



IOANA  
PÂRVULESCU

Życie  
zaczyna  
się  
w piątek

Tłumaczenie

Karolina Brykner  
Tomasz Klimkowski

WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO

*Dla Bogdana, na którymkolwiek jest świecie*

## SŁOWO WSTĘPNE

Kilka lat przed rokiem 1900 dni były pojemne. Ludzie wibrowali jak druty telegraficzne, byli optymistami i wierzyli, jak nigdy wcześniej i nigdy później, w potęgę nauki, w postęp i w *przyszłość*. Dlatego też najważniejszym momentem stał się Nowy Rok: wiecznie odnawiany początek przyszłości.

Tekstura świata dopuszczała wszelką szaleńczą myśl i często szaleńcze myśli stawały się rzeczywistością.

Rumunia była w Europie, a jej stolica stała się kosmopolitycznym miastem, czyniącym ogromne wysiłki, aby się zorganizować i ucywilizować. W Bukareszcie, jak mówią wszystkie dokumenty epoki, *nigdy* nie można było się nudzić, ani w dzień, ani w nocy.

Wrażliwe natury obawiały się nieznanym niebezpieczeństw. Jeden mężczyzna walczył laską ze światłem elektrycznym. Pewna kobieta wzbraniała się stanowczo przed zrobieniem sobie zdjęcia, chociaż pozwoliła się namalować. Neurozy przemieniały się w poezję, a cierpienie i opium szły ręką w rękę. Gruźlica, syfilis, brud albo zabijały, albo pozostawiały rany na ciele i duszy. Zło nie zniknęło z tego świata, a jego ignorowanie było najlepszym sposobem na przygotowanie przyszłości. Byli ludzie, którzy z nim walczyli.

Dziennikarze odkryli swoją siłę i za słowo pisane można już było umrzeć. A słowo pisane już zaczęło ich zdradzać. Pieniądze były problemem, ale nie celem, i nie brakowało ludzi gotowych poświęcić wszystkie swoje pieniądze z miłości do pięknej idei. Dzieci wcześniej zaczynały naśladować dorosłych, dorośli zachowywali się niekiedy jak dzieci, a ciekawość życia była radością, której nie wyzbywano się w żadnym wieku.

Przed 1900 rokiem człowiek wierzył, że Bóg chce go uczynić nieśmiertelnym, w najbardziej dosłownym tego słowa znaczeniu. Wydawało się, że nie ma rzeczy niemożliwych i faktycznie nie było. Wszystkie utopie były dozwolone. A *zabawa z czasem* była zawsze najpiękniejszą z nich. Poza tym ludzie byli bardzo podobni pod każdym względem do swoich poprzedników i swoich następców.

*Kilka lat przed 1900 rokiem dni były pojemne, a ludzie marzyli o naszym świecie.*

*Marzyli o nas.*

*Ponieważ to, czego chcesz, to życie, i to, i inne - chcesz wszystkie.*

(Miguel de Unamuno, lipiec 1906)

# **PIĄTEK, 19 GRUDNIA**

Dzień pełen zdarzeń

# 1

Lubię czytać w powozie. Mama beszta mnie za to, a papa, który nawet w towarzystwie członków rodziny nie zapomina o tym, że jest Panem Doktorem Leonem Margulisem, lekarzem medycyny pierwszego stopnia z gabinetem przy ulicy Świętego Jana nr 8, "na tyłach Teatru Narodowego", mówi, że popsuję sobie oczy i że moje dzieci będą mieć słaby wzrok. Ale ja jestem uparta i zawsze zabieram książkę ze sobą. Oni, jak byli w moim wieku, może mieli więcej czasu na czytanie i wiele innych rzeczy, ale dzisiejsza młodzież musi dobrze rozporządzać swoim czasem. Zresztą byłam ciekawa, co nowego u Becky z *Vanity Fair*. Chociaż, jeśli mam być szczerą, to jestem podobna bardziej do tej głupiej Amelii i będę kochać przez całe życie jakiegoś drania. Dzisiaj nie miałam szczęścia do czytania. Po pierwsze zmarły mi dłonie. Po drugie, jak tylko wsiedliśmy do powozu, mama i papa zaczęli obrabiać, tak jak nasza kucharka sieka pietruszkę, tego nieznajomego, którego Petre znalazł rano w śniegu pod lasem Baneasa, na polu między jeziorami. Zabrali go do aresztu Prefektury Policji. Mama, która jest na bieżąco absolutnie ze wszystkim, mówi, że uciekł z domu wariatów, że na pewno dostał bzika od nauki. I zaraz spojrzęła ostrzegawczo na mnie: "Ty też tak skończysz, jak będziesz tyle czytać!". A później spojrzęła na papę: "Chyba najwyższy czas, żeby Iulia pomyślała o odpowiednim kandydacie na męża!". Papa zbadał nieznajomego na prośbę Costache, naszego przyjaciela z policji, i mówi, że to nie żaden włóczęga, mimo że jest niewyobrażalnie cudacznie ubrany. To na pewno klaun z cyrku. Poza tym czysty, żadnego defektu "fizjologicznego" oprócz tego, że faktycznie czasem mówi bardzo zagadkowo. Ale jeśli to wariat, to wykształcony, "bardzo ładnie się wysławia". Jednak kiedy papa zapytał go, czy nie ma gruźlicy, spojrzęła na niego szyderczo, wydawał się wyprowadzony z równowagi, i odpowiedział mu beczelnie: "Beznadziejny z pana aktor!". Papa odrzekł poważnie, w swoim stylu: "Pan wybaczy, ale nie jestem żadnym aktorem, tylko lekarzem!". Dodał, że coś jakby mu zalegało w płucach i że jest bardzo błydy, ale żadnej poważnej choroby u niego nie znajduje. Wtedy mężczyzna uspokoił się i powiedział, że chce zapalić. Papa, który jest przeciwny temu zwyczajowi, podał mu jednak drobnego tytoniu i bibułkę ze stołu Costache, ale mówi, że aresztowany tylko rzucił mu dzikie spojrzenie i po prostu odwrócił się do niego plecami. Co za gbur! Zatrzymali mu walizkę do przeszukania, srebrne pudło, coś jakby sejf, co wskazywało na to, że to mógłby być jakiś fałszerz pieniędzy, ale wypuścili go już godzinę po aresztowaniu, po krótkim przesłuchaniu przeprowadzonym przez pana Costache. Kiedy zobaczył, że jest wolny, z miejsca dał nogę. Niemniej jednak śledzi go dyskretnie najlepszy woźnica policji.

- A ile ma lat? - zadała mama swoje ulubione pytanie.

- Podał czterdzieści trzy, czyli tylko cztery mniej niż ja, ale moim zdaniem kłamie, nie daję mu więcej niż trzydzieści-trzydzieści pięć. Mówi, że jest dziennikarzem i że tu się urodził. Dan Kretzu. Zdziwiło mnie, że jest całkiem ogolony, jak noszą się tylko aktorzy, gdy grają kobiety. Hmm...

I papa pogładził cienką kądziel brody jasnej jak wąsy kolby kukurydzy, swoje największe życiowe utrapienie.

- Więcej dowiemy się jutro, na kolacji, bo zaprosiłem pana Costache.

Papa spostrzegł, że mam rozpaloną twarz i od razu położył mi rękę na czole, żeby sprawdzić, czy nie mam gorączki. Dla niego wszystko ma konkretne, cielesne podłoże, nie ma mowy

o duszy.

Mama ciągle go jeszcze maglowała, ale ja, ponieważ było mi już ciepło w dłonie, wolałam zdjąć rękawiczkę i wrócić do Becky. Lubię u niej to, że dokładnie tak samo jak ja zna zarówno francuski, jak i angielski. Nie lubię u niej tego, że dokładnie tak samo jak ja ma *green eyes*. Wolałabym piwne oczy, takie jak ma Jacques, i blond włosy, takie jak ma Becky, ale widocznie dwadzieścia jeden lat temu nie było na stanie takiego modelu i muszę się zadowolić czarnymi. Dlaczego z tych samych rodziców, obojga o piwnych oczach, jedno dziecko wychodzi takie jak oni, a drugie z oczami zielonymi albo niebieskimi? Do Nowego Roku chcę skończyć książkę, więc spróbuję rzadziej pisać dziennik. Zostało jeszcze dwanaście dni i kilka godzin.

Bukareszteńscy mieli udany dzień. Wcześniej padał śnieg. Do końca roku zostało jeszcze dwanaście dni, do końca dnia - dwanaście godzin. Biel, rozciągająca się od jednego do drugiego krańca miasta, od pałacu Cotroceni po przedmieścia Obor i od cmentarza Serban Voda po klomby na Sosea, a potem jeszcze dalej, na cztery strony świata, topniała w południowym słońcu. Sople wyglądały jak posmarowane oliwą i tu i ówdzie zaczynały kapać na głowy przechodniów. Na ulicach panował spory gwar, tak jak zawsze na kilka dni przed Bożym Narodzeniem. Zapatrzywszy się w górę, aby go nie zmoczyło, Nicu wyłożył się jak długi na śniegu, zły tak jak wtedy, kiedy wstawał lewą nogą.

- No i znowu żeś się przewrócił! - powiedział głośno chłopak, otrzepując czerwoną czapkę gońca. *Tyle razy* ci mówiłem, żebyś patrzył, jak idziesz, burknął swoim cienkim głosikiem, choć tonem zdenerwowanego staruszka. Kiedy w zeszłym roku poszedł do szkoły, ten belferski ton przylgnął mu do języka i nie mógł się od niego uwolnić. Nawyk mówienia do siebie towarzyszył mu za to, odkąd pamiętał, ponieważ ku swojej wielkiej zgryzocie nie miał rodzeństwa, w przeciwieństwie do innych dzieci. Od biedy zadowoliliby się choćby jedną siostrą. Otrzepał śnieg z surduta, spojrzął ze złością na lód, na którym się poślizgnął, i dobiegł w przytupach do zegara z żołnierzem, wiszącego na drzwiach gazety "L'Independance Roumaine". Kurant zaczynał grać dokładnie o dwunastej. Nicu chciał koniecznie zdążyć na spotkanie z żołnierzem. Nie było łatwo, bo orientował się tylko według słońca i cienia. Teraz jednak uwaga chłopaka skierowana była na coś innego. Na ziemi, tuż przed nim, leżał wspaniały sopel długości jakichś dwóch łokci, idealny na szpadę. Podniósł go z miejsca, pogładził jego lekko pofalowaną powierzchnię, nie bacząc na zimno lodu, po czym przystawił go oburącz do biodra, a później uniósł, również oburącz, i wymierzył z rykiem pchnięcie szpadzisty w niewidzialnego wroga. Niestety sopel, przywykły najwyraźniej do większego spokoju na brzegu dachu, na którym wyrósł, nie trafił najlepiej: w osobnika w wojskowym mundurze i z laską o srebrnej gałce, w pana średniego wzrostu wychodzącego właśnie z budynku z zegarem. Była to prawa ręka prefekta policji, wiecznie zabiegany kierownik bezpieczeństwa publicznego, Costache Boerescu, tnący szybko powietrze swoimi krótkimi nóżkami. W tym czasie bywał po dwa-trzy razy dziennie w gazecie Francuzów. Wszystko przez zabójstwo w pojedynku pana Lahovaryego, dyrektora gazety, przez tego "uparciucha Filipescu", dyrektora "Epoki". Tak więc zwłaszcza na pojedynki nie miał teraz ochoty pan komisarz, poirytowany ślimaczym tempem śledztwa i coraz bardziej napastliwymi komentarzami prasowymi. Do tego doszło, że nie mógł już znieść żurnalistów: kiedy dobrze wykonywał swoją pracę, w ogóle tego nie zauważali, ale kiedy nie udawało mu się rozwiązać jakiejś sprawy, od razu rzucali się na niego i oczerniali go, używając jego własnych słów, tyle że wyrwanych z kontekstu i przeinaczonych. Jak tylko miał okazję i znajdował się jedynie w towarzystwie mężczyzn, wyżywał się na prasie, nazywając ją "wypacykowaną kurwą". Poza tym żył sam, a zakład przy Kamiennym Krzyżu miał dla niego zniżki, byle tylko chciał. Poznał to miejsce i jako policjant, i jako mężczyzna. Zanim zdążył wytargać urwisa za uszy, ten rzucił się do samobójczej ucieczki pomiędzy powozami i saniami w stronę Sarindaru, zwymyślany najpierw przez kilku woźniców zdążających gęsiego do Capsy, a następnie przez tych z przeciwnej strony, jadących do Dymbowicy, którzy to musieli szarpnąć po kolei za lejce, aby nie zderzyć się ze sobą. Obejrzał się za siebie. Policjant zaszczycił go w tej

samej chwili groźnie uniesioną laską, po czym zostawił go w spokoju i ruszył w stronę budynku Prefektury, znajdującego się kilka minut drogi dalej.

- Mało brakowało! Ale pan Costache nie zapomni ci tego, on niczego nie zapomina i jest chytry jak wąż. A tobie dzisiaj tylko psoty w głowie - powiedział chłopak do dużego, pokrytego śniegiem krzaka, rosnącego krzywo w zacienionym miejscu pod murem. Kilka wróbli skakało jak z procy z gałęzi na gałąź, zatrzymywały się tam na chwilę, dotykając brzuchem grubej bieli śniegu, rozpadającej się w strzępy, po czym przenosiły się na kolejny poziom krzewu, niczym w piętrowym domu. Nicu zastanawiał się, dlaczego tak latają, bo nie wydawały się czegoś szukać albo dokądś zmierzać, jak na przykład on. Miał bowiem konkretny cel, który zresztą rysował się już przed nim: bramę "Universul". Najpoczytniejszej gazety Bukaresztu. No dobra, ci z "Adeverul" mówią co innego, ale oni wszystko mówią inaczej. Wydłużył krok, po czym otrząsnął śpiesznie krzak z wróbli.

Wszedł drzwiami z lewej strony Portier uściskał mu dłoń jak dorosłemu. Pan Cercel kazał mu poczekać, paczki jeszcze nie przyszły z "biura rozdzielczego".

Nicu zajął swoje zwykłe miejsce. Był bardzo zadowolony. Rozmowy z panem Cercelem były zawsze pouczające, ponieważ portier czytał codziennie gazetę i dzielił się z nim nowościami. Nicu zapytał, czy zdecydował już, co obstawi na loterii noworocznej, na której można było wygrać dziesięć tysięcy lei. Należało wybrać sześć liczb, a chłopak poprosił, aby dołożyć jego szczęście do losu, bez roszczeń do wygranej (choć trochę pieniędzy bardzo by mu się przydało), tylko po to, aby pomóc. Jeśli o niego chodziło, to wybrałby dziewięć i osiem, to znaczy nadchodzący rok, zaś reszta należała już do portiera, tyle że ten jednego dnia mówi jedno, a drugiego drugie. Pan Cercel również tym razem odpowiedział, że to nie żarty, że musi się jeszcze zastanowić. Z dzisiejszej gazety miał dla Nicu wiadomość lepszą jeszcze niż historie o Kubie Rozpruwaczu, które do tej pory królowały w prasie. Portier wziął "Universul", odsunął dość daleko od oczu i przeczytał wolno, dukając:

- "Rozmaitości. Wiadomość z pisma Bur-del-... Bor-der-land... Planeta Mars i Marsjanie". Słuchasz?

I czytał dalej, wtrącając jak zwykle swoje komentarze: "Trzeba bowiem wiedzieć, że Marsjanie nie jedzą mięsa zwierzęcego, ale wy-ko-rzy-stu-ją mamuty jako zwierzęta po-cią-go-we. Ich konie są wielkości naszych kuców". Naszych kuców? Jakich kuców? "Ich woły są mniejsze - czyli my mamy większe woły - i mają tylko jeden róg. Marsjanie mają bardzo prze-nikli-wy wzrok. Nauczyli się latać, ale tylko na małe o-dleg-ło-ści. Po wodzie poruszają się z taką samą łatwością jak po lądzie. Problem wojen został na Marsie wy-e-li-mi-no-wa-ny. Ustrój jest te-o-kra-tycz-ny. Mają dwanaście państw. Nie znają własności".

- W takim razie nie lecę na Marsa. Tutaj mam swój kraj, swoją własność, swój dom, swój ogród, swoją żonę, swoje gołębie i swoje śliwy - portier zamknął dyskusję i gazetę.

Nicu tak nie uważał. Sam był raczej liberałem. Wiedział dobrze, że Marsjanie latają i poruszają się po wodzie, i podróżują na mamutach, które znał z obrazków widzianych w "Universul Ilustrat". Tak więc również w tej kwestii, podobnie jak w wielu innych, nie mógł być tego samego zdania co pan Cercel, mimo że jego szeroka twarz z nosem jak kartofel, spod którego wyrastał pędzel wąsów, budziła w nim respekt. Nicu powiedział ustępliwie:

- A ja, jak będzie można, to polecę! Polecę zobaczyć i jak nie będzie mi się podobać, to zaraz wrócę.

- Na razie to leć poroznosić te gazety! - i portier, najwyraźniej zły, że Nicu się z nim nie zgodził, odebrał je trochę zbyt gwałtownie z rąk niejakiego Peppina Mirto, zatrudnionego jako



tłumacz i korektor, odpowiedzialnego od niedawna za dostarczanie gazety kilku znacznie większym klientom, jeśli znajdowały się w niej jakieś ważniejsze wiadomości: panu merowi Robescu, panu dyrektorowi Teatru Narodowego Petre Gradisteanu, do pałacu, prefektowi policji Catonowi Lecce, dyrektorom innych gazet, nawet tych, z którymi prowadzili wojnę. Nicu roznosił przesyłki w "Universul" za pięć lei miesięcznie, płatne pierwszego, plus napiwki, oprócz zwykłej pensji gońca. Roznosił przeważnie paczki z najróżniejszymi rzeczami, które tam sprzedawano, poukładanymi w stopy na dole, w administracji, i na górze, w gabinecie dyrektora. Pana dyrektora zresztą łatwiej można było zastać w domu bądź w klubie niż w gazecie. Praca Nicu trwała co najwyżej dwie godziny dziennie, zaraz po szkole. Czepiał się ukradkiem tyłu dorożki albo i jeździł tramwajem konnym, jeśli był tłok i mógł przemknąć niezauważony. Bardzo rzadko jednak miał tyle szczęścia.

- Co tam, chłopcze? - powiedział Peppin Mirto swoim dźwięcznym, operowym głosem, a Nicu zdjął czapkę na przywitanie. Miał mu już opowiedzieć o swoich planach lotu na Marsa, ale mężczyzna najnormalniej w świecie odwrócił się do niego tyłem i krzyknął za nim: "Leć już!", aż było słychać na dziedzińcu. Dlaczego niektórzy ludzie pytają o coś, jeśli potem nawet nie czekają na odpowiedź? Fakt, że wszyscy z "Universul" śpieszyli się dwa razy bardziej niż inni znajomi Nicu. Byli trochę jak Marsjanie, tyle że pozbawieni ich zalet. Kiedy już miał wychodzić z paczką przewiązaną sznurkiem, prawie zderzył się z młodzieńcem prześlizgującym się do środka niczym jaszczurka, który zapytał pana Cercela, gdzie może dać ogłoszenie. Był niespokojny, uderzał jedną o drugą dłońmi w rękawiczkach i poruszał nerwowo głowę.

- Dzień do-bry pa-nu - powiedział portier, sylabizując, jakby ciągle czytał gazetę.

- Dzień dobry panu - powtórzył za nim Nicu, nie zdjawszy jednak czapki.

Młodzieniec, zbyt wzburzony, aby się przywitać, przeszedł od razu do rzeczy:

- Gdzie się daje ogłoszenia? Chodzi o zgubiony portfel, jego właściciel...

- Z pieniędzmi? - powiedzieli jednocześnie chłopak i portier.

- Nie, nie z pieniędzmi.

- Z kosztownościami? - zapytał chłopak w tym samym czasie, gdy portier mówił:

- Z dokumentami?

- Nie, z... z... czym innym. Mój pan, to znaczy jego właściciel, wyznaczył *sowitą nagrodę*. Mieszkamy niedaleko cerkwi Ikony, na ulicy Teilor, tam, gdzie te nowe domy, które budowali latem.

I znowu uderzył pięścią o pięść.

- Drugie drzwi po prawej, tam, gdzie jest napisane *Ogłoszenia*. Proszę bardzo.

Kiedy zdenerwowany młodzieniec odszedł jaszczurczymi ruchami, odprowadzany przez portiera, Nicu udał się pod swój pierwszy adres, do siedziby konkurencji na ulicy Sarindar, na wszelki wypadek omiatając wzrokiem śnieg na drodze. Miał teraz cel, który pozwalał mu zapomnieć o nudzie codziennych obowiązków i kroplach spadających z okapów. Szukał portfela, w którym był pewnie pierścionek z diamentem albo rubinowa spinka do krawata, taka, jaką miał ojciec Jacques'a, doktor Margulis. Jeśli jednak człowiek-jaszczurka mówił prawdę, co wcale nie jest takie pewne, nie były to kosztowności. Nagle przyszedł mu do głowy lepszy pomysł: los na loterię, i to ten zwycięski.

Tak, to musi być to! - powiedział do siebie Nicu, bardzo z siebie dumny. Śnieg, z którego wcześniej tak się cieszył, teraz go denerwował, całe szczęście, że zaczął już topnieć. Jego babcia, która wierzyła w różnych świętych, jak każda kobieta, powiedziała mu kiedyś, że od każdego zmartwienia jest jakiś święty. Miał nadzieję, że od zgubionych rzeczy też. Zwłaszcza zgubionych

przez innych.

- I miejmy nadzieję, że dostaniesz sówitą nagrodę.

\*\*\*

Kiedy zaniósł ostatni pakunek, pobiegł do domu, żeby zdjąć czerwoną czapkę gońca i założyć zwykłą: gdyby został w tej pierwszej, ludzie zatrzymywaliby go na ulicy i posyłali tu i tam. Ze starego orzecha sąsiadów doszło go ponure krakanie kruka. Ponieważ w domu nikogo nie było - jego matka nie wiadomo, gdzie się podziewała - mógł ruszyć w stronę ulicy Teilor, gdzie niewątpliwie należało rozpocząć *dochodzenie*. Było to gorsze niż szukanie igły w stogu siana, ale i tak nie miał nic lepszego do roboty: właśnie zaczęła się przerwa świąteczna. Zresztą lekcje były zawieszane przez jakiś miesiąc z powodu tyfusu, tak że pod tym względem miał całkiem nieźle. Szkoła zaczęła się na nowo dopiero 8 grudnia. Nicu wierzył w swoje szczęście, mimo że, albo raczej właśnie dlatego, że Pan Bóg pokarał go już chorą umysłowo matką i brakiem brata lub chociaż siostry, i przez to pozostawał jego dłużnikiem do końca życia. Zrobił przezornie znak krzyża, jak zawsze, kiedy wydawało mu się, że mówi zbyt poufale o Panu w niebiosach, ale malutki, tak jakby chciał się podrapać.

Chłopak znał dobrze ulice Bukaresztu i wielu bukareszteńczyków znało dobrze Nicu. Z niektórymi nawet się zaprzyjaźnił, jak na przykład z rodziną Margulisów z ulicy Fantanei. W łaski ich służących też się wkradł. Był gońcem, na którym można było polegać, bardzo pomocnym w pilnych i wymagających dyskrecji sprawach. Porządna firma, mawiał jej właściciel, przypisując sobie wszystkie zasługi pięciu zatrudnionych tam chłopców, podczas gdy za błędy każdy z nich odpowiadał już sam. Podniósł wzrok i przed Szkołą Główną dla Dziewcząt zobaczył policyjny powóz koloru wiśni z butelki, z której często gęsto pociągała jego matka. Ponownie wbił wzrok w śnieg, który stopniał w południe, a na którym teraz zaczynała się tworzyć cienka warstwa niczym kozuch na powierzchni gotującego się mleka. Jak to się dzieje, że oparzenie mlekiem i kawałkiem lodu, jeśli wziąć go do ręki, są tak do siebie podobne, i nawet skóra robi się tak samo czerwona? Nicu stawiał możliwie najdłuższe kroki, utkwivszy spojrzenie w ziemię. I właśnie wtedy jego wzrok napotkał najbardziej osobliwą parę butów, jaką dane mu było ujrzeć w ciągu ośmiu długich (i ciężkich) lat, odkąd przyszedł na świat. Nie przypominały ani kaloszy, ani śniegowców, ani nawet najnowszych modeli z "Universul". Nie były to buty oficerskie ani kierpce, ani trzewiki, ani pantofle. Były to takie dziwolągi, że aż brak słów.

\*\*\*

- Takie dziwolągi, że aż brak mi słów, stary, takie, jakich ani ty, ani ja w życiu nie widzieliśmy - opowiadał Nicu tego samego wieczoru w domu na Fantanei.

Był skonany po całodziennym chodzeniu w śniegu, woźnica nie pozwolił mu jechać tramwajem bez biletu, a on nie chciał roztrwonić całego majątku - dziesięciu banów, zgromadzonego tylko z napiwków. Opowiadanie o spotkaniu ze stopami nieznajomego ożywiło go jednak. Czuł, że stał się nagle kimś ważnym. Nie każdego dnia na ulicach Bukaresztu widywało się tak niezwykle rzeczy.

- Jak to - rozpromienił się Jacques, dla którego opowieści gońca, najczęściej ubarwione i przesadzone, były szczerą prawdą. Przybycie Nicu wyciągnęło go z łóżka. Jak to dziwolągi, nie rozumiem, wytłumacz mi!

I Jacques wyprostował się w głębokim fotelu, w którym zapadał się zupełnie.

- Nie uwierzysz - odparł Nicu, zanurzony w fotelu stojącym obok, i dodał, wykręcając głowę przez aksamitną poręcz: - Nie uwierzysz, były kolorowe! Kolorowe!!

- Kolorowe? - zdziwił się Jacques, który wymawiał "r" gardłowo, jak Francuzi. - Przecież nie ma takich butów. Ja widziałem tylko buty czarne albo brązowe, albo białe, latem.

- I nie miały ani zatrząsków, ani sznurowadeł, ani sprzączek, zupełnie jakby były przyklejone do stopy. Kiedy spojrzałem wyżej, zobaczyłem brzydkie czarne spodnie bez kantu i zwykły płaszcz, jak ze sklepu ze starzyzną, jak z darów, w ogóle nie pasował do reszty. A... i nie uwierzysz: był z gołą głową!

- Nie bałeś się? Ja bym od rrazu uciekł, to znaczy... - powiedział gospodarz i zaczerwienił się lekko.

Nicu mówił dalej, jakby nic nie zauważył.

- Nie, bo z twarzy był całkiem ładny, jak twoja siostra - Nicu pokazał na mały pastelowy portret nad sofą. - Aż mnie powaliło. Nie zapomnę go, póki żyję. Nie wiem, czy to był anioł, czy diabeł, ale bardzo mi się spodobał. Aż chciałbyś mieć takiego brata jak on! (Chociaż wiedział, że Nicu w chwilach podekscytowania prawie zawsze myślał o sobie, kiedy używał drugiej osoby, Jacques pomyślał, że mogłoby chodzić również o niego, ponieważ on też chciał mieć brata). Zapytał mnie...

Dokładnie w tej samej chwili przez uchylone drzwi weszła właścicielka "całkiem ładnej twarzy" znad sofy, tyle że o bardziej rumianach policzkach niż na portrecie, panna Iulia Margulis, ubrana w sukienkę z zielonego aksamitu, niosąc dwa talerze, dwa srebrne nożyki i dwa jabłka. Doktor kazał dzieciom jeść przynajmniej jeden owoc dziennie, a na zimę miał w piwnicy całą półkę pełną jabłek ułożonych od siebie na odległość jednego palca, tak aby nie popsuły się wszystkie, gdyby któreś z nich zgniło.

- Poczekaj, ja też chcę posłuchać! O co cię zapytał nieznajomy?

- Panienska też go zna? - zdziwił się Nicu.

Miał brwi w kształcie dachu - dół-góra, góra-dół - nie łukowate, jak rodzeństwo Margulis, co sprawiało, że wiecznie wyglądał na zdziwionego albo zagniewanego.

- Powiedział... eee... Powiedział: "Poczekaj, chłopcze. Trochę mi zimno, ale boję się wracać do domu". "Dlaczego?" - zapytałem. "Chyba mieszka tam ktoś inny" - mówi. "Chciałbym się gdzieś przespać. Czaisz?" Tak właśnie powiedział, bardzo dobrze pamiętam: "Czaisz?".

- Mogłeś go zaprosić do nas!

- Nie no, jak? Do siebie też nie mogłem, bo jakby czasem matka wróciła... Jak się zdenerwuje, to wszyscy się jej boją, chociaż nikomu nie zrobiłaby krzywdy. A że byliśmy koło cerkwi Ikony, to powiedziałem mu to samo, co by powiedziała moja babcia: "Wejź i pomódl się przed cudowną ikoną Matki Boskiej w srebrnej sukience, a zobaczysz, że zdarzy się cud". "Jeden już się zdarzył" - powiedział ze śmiechem. I zamiast się przeżegnać, zapytał, czy mam papierosy. "Jeszcze nie palę" - mówię. "To nawet nie zaczynaj!" - mówi.

Nicu wynurzył się z miękkiej głębi fotela, włożył rękę do kieszeni spodni i wyjął z nich jakiś przedmiot.

- I dał mi coś takiego. Patrzcie tylko!

Była to zabawka, która prawie mieściła mu się w dłoni, miękka i biała jak śnieg krowa z różowymi uszami i z jednym okiem zakrytym czarną przepaską, jak u pirata. Wszystkie cztery nogi miała schowane pod sobą niczym cztery ręce spoczywające grzecznie na podolku. Jacques chwycił przedmiot z ogromną ostrożnością, jakby bał się go uszkodzić, popatrzył na niego z powagą i przekazał uroczyście siostrze.

- Mogę się pobawić? - zapytała Iulia. I nie czekając na odpowiedź, uniosła jedną nogę. Kiedy ją puściła, nóżka wróciła na miejsce i przylgnęła do pozostałych trzech, jak pieczęć. Dziewczyna

powtórzyła manewr, ale wszystkie cztery nogi wracały od razu na swoje miejsce.

- O Boże, jak żywa! - zdziwił się Jacques, wytrzeszczając oczy.

- Jak żywa, ale nie ma wymienia, sprawdzałem - mruknął właściciel zwierzęcia. - Jaki głupek robi krowę bez wymienia? A w nogach musi być sprężyna albo coś w tym stylu. Widziałem już coś takiego w zabawkach na Gwiazdkę, w gazecie. Pokażę ci, mam ten numer w domu, poprosiłem o niego pana Cercela i mi go dał, bo były tam różne gry. I Nicu wyciągnął rękę po swoją krowę, wziął ją i schował szybko w głębi kieszeni.

- A może on nie był przy zdrrowych zmysłach?

- Jacques chciał zapytać, czy nie był czasem nienormalny.

- Nie - ściszył głos. - Odkąd moja matka... Odkąd ją *tam* czasem trzymają, rozpoznają takich na kilometr. Pan doktor mówi, że nie powinniśmy mówić o nich "wariaci", że są po prostu chorzy. Ale on z głową miał wszystko w porządku, tak jak ja albo panienka. Poczekalem, aż wejdzie do cerkwi. A kiedy się obejrzałem, zobaczyłem, że podjechał wolno, stępa, powóz policyjny, poznałem po kolorze: zgniła wiśnia. Zatrzymał się trochę dalej, przed dzwonnica, i wtedy zaczęły na niego czekać psy. Nie wiem, czy zauważył, że gliny już go śledzą... Ja tam nie lubię glin, więc chciałem wrócić i go ostrzec, ale nie mogłem dłużej na niego czekać, śpieszyłem się, miałem sprawę do załatwienia.

- Muszę was zostawić, kucharka na mnie czeka, mamy się naradzić, co podamy jutro na kolację, będziemy mieć gościa, pana Costache - powiedziała Iulia, patrząc znacząco na Nicu.

Ten posłał jej, ku jej uldze, pogodne spojrzenie i uśmiech niewiniątka. Dziewczyna wyszła śpiesznie, poprawiwszy wcześniej kilkoma zręcznymi ruchami pogrzebacza płonące w kominku polana. Nicu cieszył się, że nie przełożył jednak, choć już miał taki zamiar, dzisiejszej wizyty u Jacques'a, którego drzwi zawsze stały dla niego otworem. I postanowił nie przychodzić jutro wieczorem na Fantanei, aby nie natknąć się na policjanta, za mało czasu minęło od niefortunnego incydentu z pojedynkiem. Nie wspomniał jednak ani słowem o zajściu z lodową szpadą ani o portfelu, to był sekret, facquesowi nie mógł powiedzieć wszystkiego, mimo że uważał go za najlepszego przyjaciela, ponieważ ten żył według ścisłych zasad narzuconych przez pana doktora, podczas gdy Nicu wychował się bez ojca, z babcią w roli matki, i mógł sobie pozwolić na więcej swobody. Zdążył zbadać jedynie niewielki odcinek ulicy Teilor, przy samych nowych domach, później zapadł zmrok. Powtarzał sobie, że to on znajdzie zgubę i że jego wysiłki zostaną z pewnością uwieńczone sowitą nagrodą od jaszczurki.

### 3

W czterech z dziesięciu okien "Universul" paliło się jeszcze światło. Dziennikarze nie mieli stałego czasu pracy, przychodzili, kiedy chcieli, w zależności od tego, ile mieli roboty danego dnia, ale wychodzili dopiero wtedy, kiedy skończyli, co mieli do zrobienia. Na piętrze, w ostatnim pokoju po lewej, jeśli patrzeć z ulicy na barokową fasadę budynku, albo po prawej, jeśli wejść po schodach i patrzeć w stronę Sarindaru, znajdowało się biuro Pavla - brata Peppina Mirto - i Neculaia Procopiu, najwierniejszego redaktora gazety: pracował tu od trzynastu lat, to znaczy od samego początku. Ludzie przychodzili do niego jak do dyrektora. Znaczenie gazety ciągle rosło - była pierwsza z wydaniem porannym, więc miała teraz najwięcej czytelników. Na początku zamieszczali jedynie reklamy, z nich uzbierali kapitał i teraz mieli wszystkiego po trochu. Do polityki raczej się nie mieszała, podawali co najwyżej suche wiadomości. Próbowali wypuszczać dwa wydania dziennie, poranne i wieczorne, ale nie trwało to długo z powodu problemów z dystrybucją: oba trafiały na rynek jednocześnie, a wiadomości się powtarzały. Procopiu i Pavel Mirto, którzy byli łącznikami z drukarnią znajdującą się w tym samym budynku, wydłużonym jak ogromny wagon w głąb dziedzińca, czuli się odpowiedzialni za każdy numer, dlatego wychodzili ostatni. Pukanie poderwało ich jednocześnie znad stosu papierów. Wszedł Marwan, fotograf. Był to prawdziwy ewenement, ponieważ zdjęcia w "Universul" nieczęsto można było zobaczyć. Ilustracje były codziennie, ale tylko rysunki.

- Co pan dla nas ma? - zapytał wprost Procopiu i wstał, aby podać rękę fotografowi.

- Jeszcze nic, ale uchwyciłem parę scen na ulicy, jakich w życiu nie widzieliście, słowo daję. Dzisiaj przez kilka godzin stałem na czatach w śniegu z aparatem. A wczoraj wyszedłem z nim przez okno nad wejściem do Teatru Narodowego - a to co najmniej piętnaście metrów wysokości - żeby sfotografować panoramę miasta. Dobrze, że nie mam lęku wysokości! O siebie się nie boję, ale o aparat - to przecież najdroższy model. Przyniosę wam klisze, jeśli jesteście zainteresowani, dałbym je do numeru noworocznego, ale za sześć lei za sztukę, nie za cztery, bo to materiał pierwsza klasa - Marwan postanowił zaryzykować.

Miał reputację liczykrupy.

- Tylko mi ich nie potłuczcie, jak ostatnio - dodał z uzasadnioną troską, a obaj redaktorzy, jak na komendę, zwrócili wzrok w inną stronę, jeden na kalendarz ścienny z kanadyjskimi łyżwiarkami, a drugi na stos papierów na biurku.

To było przykre wspomnienie. Marwan przyniósł im szklaną kliszę ze zdjęciem z procesu doktora Bastakiego, absolutny unikat. Drukarz upuścił je i szkło pękło na dwie części. Musieli sięgnąć do redakcji jednego z trzech rysowników, specjalistę od portretów - zresztą rywala Marwana - który akurat miał gości na kolacji. Rysownik złożył oba kawałki szkła i odtworzył obraz: salę sądową, pannę Elenę Gorjan na pierwszym planie, w kapeluszu z piórem sterczącym jej na głowie jak ptasi czub i z nosem, który w pośpiechu wyszedł trochę za długi i zakrzywiony w dół, i dołożył od siebie twarz strażnika z sutym wąsem w tle. Kochanka kobiety i ojca dzieciom, doktora Bastakiego, oraz jednego z obrońców, pana Horii Rosettiego, nie miał już czasu narysować, mimo że na kliszy było ich trochę widać, ale pannę Gorjan rysował też wcześniej, jej postać świętoszki gościła już w gazecie. Marwan obraził się i wyszedł, zamykając bardzo głośno drzwi. Bardzo, ale to bardzo głośno. Dlatego też teraz obaj redaktorzy nie wiedzieli już, jak mu się przypodobać.

Marwan usiadł naprzeciwko Pavla, na krześle z aksamitną poduszką, przeznaczonym dla wyjątkowych gości. Pavel zdjął okrągłe okulary, od których męczyły mu się oczy, poczęstował go cygarem i sam też zapalił. Pan Procopiu uchylił dyskretnie okno, przez które wpadło zimne powietrze.

- Co ciekawego będzie w jutrzejszym numerze? - spytał Marwan, żywo zainteresowany wszystkim, co dotyczyło przyszłości.

Został fotografem, aby choć jedną nogą znaleźć się w nowych czasach.

W odróżnieniu od brata, Peppina, który mówił głośno i melodyjnie - co bardzo lubił dyrektor, signor Luigi, Włoch tęskniący za pięknymi głosami swojej ojczyzny - Pavel Mirto dużo palił i bardzo cicho mówił, należało mocno wytężać słuch, aby go zrozumieć.

- A co ma być? - wyszeptał. - Nic szczególnego. O niewielkim pożarze na Calea Victoriei, od komina domu niejakiego Ciuflei...

- Jak nazwisko?

- Ciuflea. Ciu-flea. Szybko ugaszony przez strażaków z jednostki na ulicy Cometa. Poza tym o zgubionym portfelu, którego zawartość wydaje się bardzo cenna, ponieważ nagroda jest trzy razy większa niż normalnie - nie mam pojęcia, co tam może być, robią z tego wielki sekret, poza tym o dwóch oszustach, którzy nabierają naiwnych, tak jak kiedyś słynny Andronic, to znaczy wyłudniają od nich pieniądze, żeby je rozmnożyć w jakiejś "machinie". Eee, co jeszcze...

O tureckim statku zatopionym w Morzu Czarnym. Aha, i najważniejsza wiadomość - podobno w senacie zgłoszono projekt ustawy zakazującej pojedynków.

- Słyszałem, że Księżniczka wysłała matce Lahovaryego depezę z wyrazami współczucia...

- Nie - poprawił go pierwszy redaktor Procopiu, matka nieboszczyka, pani Olimpia Lahovary, jest w Nicei i o niczym nie wiedziała, pojechał tam drugi syn, żeby jej delikatnie o wszystkim powiedzieć, bo jest chora na serce. Zaraz potem Jej Księżęca Mość Maria wysłała wiadomość pani Lahovary, wdowie, jeśli można tak powiedzieć.

I redaktor westchnął, lecz tylko *pro forma*: zbyt długo pracował w branży dziennikarskiej, aby coś jeszcze mogło na nim zrobić wrażenie. Mimo to zabicie w pojedynku jego kolegi po fachu, jednego z najlepszych żurnalistów Bukaresztu, George Lahovary'ego, z którym jeszcze całkiem niedawno się widział, wstrząsnęło stolicą. A to wszystko po kampanii, którą jego gazeta, "L'Independance Roumaine", prowadziła przez cały rok przeciwko obecnej konstytucji, i po tym, jak Lahovary stał się ofiarą ataków ze wszech stron. To trochę zastanawiające... Na szczęście "Universul" nie uprawia polityki.

- A, jest jeszcze coś - powiedział Pavel Mirto ledwie słyszalnym głosem, przeczesał ręką bujną czuprynę - taka ciekawostka, człowiek, który mówi, że ma czterdzieści trzy lata, podczas gdy wydaje się dużo młodszy, nie ma brody ani wąsów, i został znaleziony na polu na pół martwy, uratował go Petre, woźnica rodziny Ingerów.

- Którego Ingera, tego cukiernika z ulicy Karola?

- Tego samego - Pavel przełknął ślinę i wyciągnął rękę po filiżankę z kawą. Nie wiadomo, co kombinuje ten nieznajomy, policja jest bardzo zaintrygowana. Ma ze sobą kufer, sejf czy coś takiego, i nikt nic nie potrafi o nim powiedzieć.

Marwan miał kiepski słuch i nie zrozumiał wszystkiego, ale pomyślał, że chodzi o jakąś bzdurę, coś jak kobieta z brodą czy inne cyrkowe głupoty.

Przeszli do innego modnego tematu, promieni Roentgena, jak to jednemu chirurgowi z Austrii udało się zobaczyć kamień w pęcherzu moczowym i w wątrobie, i jak dzięki temu mógł zoperować pacjentów. Oglądanie człowieka od środka to coś, co zasługuje na pierwszą stronę.

Pan Procopiu napisał artykuł o odkryciu Roentgena i zatytułował go *Cudotwórczy promień*. Cieszył się, że może im powiedzieć o swojej ulubionej dziedzinie, nauce. Pewnego listopadowego dnia, dokładnie dwa lata temu, skromny uczonej ujrzał w swoim raczej ciemnym laboratorium zielonkawą światło padające z kartonu pokrytego barem. Zdziwił się niepomiernie, zgasił lampę katodową i z miejsca zniknęło też światło na kartonie. Włącza lampę i wkłada rękę, podobno przypadkiem, między kawałek kartonu i lampę katodową, i wtedy na kartonie pojawia się delikatny zarys jego własnych kości. Jego ręka niczym sfotografowana od środka! To dopiero musiało być przeżycie, coś wprost niewyobrażalnego! I tak pan Roentgen jako pierwszy śmiertelnik na tym świecie zobaczył się od środka, i to bez najmniejszego zadraśnięcia. Na to odezwał się kolega Pavel, o wrażliwości bardziej artystycznej niż naukowej, że w takim razie również hipnoza jest teraz dla niego naukowo udowodniona, ponieważ odbywa się pewnie za pomocą niewidocznych promieni. Z kolei Marwan powtórzył im to, co opowiedział mu parę dni temu sam dyrektor, signor Luigi Cazzavillan, kiedy spotkali się w klubie, jak to pewna dama z Rzymu siedziała sobie w salonie i nagle widzi wyraźnie męża, który wyjechał do Mediolanu, jak staje w drzwiach, woła ją po imieniu, po czym rozplywa się jak dym na wietrze. Dama zemdląa, a z depezy, którą później dostali, dowiedzieli się, że dokładnie w tym samym momencie jej mąż zmarł nagle w Mediolanie. Pavel opowiedział szeptem jeszcze inną historię, popularną zwłaszcza wśród służby, o służącej, która powiedziała swemu panu, że śniło jej się, jak ranny w bitwie Turek zakopał złoto pod mirabelką na jego podwórzu, a ten zaczął kopać i rzeczywiście znalazł tam złote monety. Dziewczyna wróciła do domu z posagiem, nie musiała już pracować do końca życia, a jej pan stał się bogaczem i wybudował sobie dom jak pałac w willowej dzielnicy. Coś podobnego zdarzyło się też w rodzinie Procopiu, jego siostrze przyśniło się, kiedy miała 13 lat, że wyjdzie za mąż za młynarza, a jej przyjaciółka zginie w rzece przy młynie, i teraz ta siostra jest panią Moraru<sup>[1]</sup>, a jej przyjaciółka faktycznie utonęła, tyle że w jeziorze. Co ciekawe, pan Moraru jest inżynierem. I Neculai Procopiu westchnął z zazdrości, gdyż zawód szwagra był marzeniem jego życia.

- Kto wie - powiedział cicho kolega Pavel - czy to wszystko, co było i co będzie, nie dzieje się również obecnie, w terażniejszości.

W trakcie tego zdania, usłyszanego tylko w połowie, "wszystko, co będzie", fotograf się pożegnał. Kiedy wyszedł, ku zdziwieniu obu redaktorów, znów rozległo się pukanie do drzwi, zdecydowane i grzeczne, zupełnie inne niż pukanie chłopaka z drukarni. Obaj znów podnieśli jednocześnie wzrok. Wszedł kierownik bezpieczeństwa publicznego, pan Costache Boerescu. Nie lubił podawać ręki na przywitanie ani też wdawać się w dyskusje, a jeśli to robił, to miał w tym jakiś cel, nie zawsze jasny Tym razem poprosił ich stanowczym tonem, aby zamieścili, zachowując całkowitą dyskrecję na temat jego osoby, krótkie ogłoszenie w numerze, który miał wyjść jutro rano. Pavel Mirto wstał, aby zanieść tekst na dół, do drukarni.

- Aha, zapomniałbym, jaki tu macie numer, dwa-dziewięć-siedem? - zapytał Procopiu na odchodnym.

- Numer telefonu? Tak, dwieście dziewięćdziesiąt siedem, ale wieczorem nikogo pod nim nie ma, telefonistka panu nie powiedziała?

Po godzinie dostali jutrzejszy numer, aby móc jeszcze rzucić na niego okiem przed puszczeniem całego nakładu do druku. Pan Procopiu przeczytał wydrukowane wersalikami tytuły, pierwsze akapity poszczególnych wiadomości i co ważniejsze ogłoszenia. *PROJEKT USTAWY O ZAKAZIE POJEDYNKÓW. ZATONIĘCIE OSMAŃSKIEGO BRYGU TALY w Morzu Czarnym. Wiadomości ze stolicy. Oszustwo a la Andronic... Z wokandy. Stan cywilny. Głęboko*

poruszona nieszczęściem... JKM Maria. Śluby. Z WŁOCH. Z LONDYNU. Z Buzau. Repertuar teatrów. Dziś wieczorem w Teatrze Narodowym. Opera. Panna Olimpia Marculescu i pan... w "Rigoletto". Ogłoszenie: "Zgubiono portfel z sarniej skóry w okolicy Teilor-Clementei. Zwrot pod adresem...", "Zaginął biały kotek. Bez lewej tylnej łapki...", "Aresztant, znaleziony wczoraj nieprzytomny i niemal zamrożony w pobliżu majątku Bdneasa (nad jeziorami), oświadczył, że nazywa się Dan I. Kretzu, jest dziennikarzem i nie jest przestępcą...". Wzrok Procopiu padł na ogłoszenie Costache, wciśnięte trochę bez sensu między reklamę cukierni La Inger i krosien Rumunia. Zauważył, że słowo "Rumunia" powinno być w cudzysłowie i zaznaczył to ołówkiem chemicznym, pośliniwszy go wcześniej, aby było wiadomo, że nie chodzi o naszą kochaną ojczyznę gotującą się do wojny[2], chociaż czasem miałyby ku temu powód. Z powodu ołówka pierwszy redaktor miał zawsze fioletowy język. Przeczytał uważnie ogłoszenie policji: "Młodzieniec, najprawdopodobniej z dobrego domu, w wieku około dwudziestu dwóch lat, został znaleziony postrzelony i znajduje się w stanie ciężkim w klinice doktora Rosenberga. Ktokolwiek wiedziałby coś na jego temat lub znałby okoliczności ranienia proszony jest o powiadomienie Prefektury Policji na Calea Victoriei 25".

Wszystkie te wiadomości mieli przeczytać, nieśpiesznie i w całości, prenumerujący "Universul" bukareszteńczycy następnego dnia, w sobotę 20 grudnia 1897 roku (1 stycznia 1898). Pośród nich doktor Margulis, przed wyjściem do gabinetu przy ulicy Świętego Jana, na tyłach Teatru Narodowego. I pan Cercel, aby przekazać je później Nicu, ocenzone i odpowiednio skomentowane. I Costache, przy swojej drugiej kawie, którą pił zawsze w pracy, a także jego przełożony, prefekt policji Caton Lecca, choć jeszcze w domu, przy śniadaniu, hołubiony przez swą zażywną małżonkę. I Iulia Margulis, poszukująca pomysłów na tanie prezenty gwiazdkowe. I Luigi Cazzavillan, dyrektor gazety, który wespół z dyplomatami z Legacji Włoskiej świętował już Nowy Rok. I wielu innych, których nazwiska i zajęcia nas nie obchodzą. Ostatnie rozświetlone okno "Universul", na piętrze, po lewej stronie, jeśli patrzeć z ulicy, pograżyło się w ciemności o północy. Pan Procopiu ruszył na piechotę w stronę domu. Czuł się trochę niepewnie, może dlatego że rozprawiali dzisiaj na tak niezwykle tematy. Przyśpieszył wobec tego kroku, a gdy usłyszał za sobą stłumiony hałas, zaczął niemal biec. Nagle poczuł czyjąś rękę na ramieniu i krzyknął.



Możliwe, że wszystko, co było i co będzie, dzieje się obecnie, w teraźniejszości. Być może to, co było, jest tym, co będzie. Zanim będziecie mnie o cokolwiek pytać, spróbujcie przyzwyczać się do mojego głosu, do głosu człowieka wyrwanego ze świata, który zdążył już dość dobrze poznać, i wrzuconego do innego, nieznanego i niezrozumiałego. Być może żyjemy, w tej niekończącej się chwili, nawet o tym nie wiedząc, w kilku światach jednocześnie. Być może głos, który teraz do was mówi i który miota się pośród innych głosów jak ryba w sieci rybaka, głos, który znajduje się w mieście swojego urodzenia i w swoim kraju, bardziej samotny niż głos człowieka przetrzymywanego w obcym kraju, mówi teraz z istotami, których nie macie jak zobaczyć. A może ja, źródło tego głosu, zgasłem już, jak słońce, które właśnie zaszło, ale wy ciągle mnie słyszycie, tam, w waszym świecie ze słońcem w zenicie, tam, w waszym ciepłym pokoju albo na zewnątrz, na ławce, w zielonym albo białym parku. A może właśnie wtedy, kiedy nie możecie mnie usłyszeć, kiedy śpicie, nic nie śniąc, albo kiedy wrzeszczycie na siebie jak opętani, albo kiedy nudzicie się potwornie, czekając tylko, aż upłynie czas, może właśnie wtedy dzieją się tutaj rzeczy istotne. A może nigdy mnie nie usłyszycie, co wcale mnie nie martwi. Tak czy inaczej, wnoszę teraz swój głos do nieba i modłę się również za was, tam, w oddali, i za siebie, modłę się tutaj, pod tą srebrną ikoną, z której pancerza wyziera nieporadnie mała głowa kobiety i jeszcze mniejsza głowa dziecka, modłę się, abyście byli zdrowi, dobrzy dla siebie i aby nie dotykały was takie kary jak mnie. Modłę się, abyście zestarzelili się pięknie i spokojnie jak róże. Modłę się, abyście słyszeli i rozumieli głos drugiego człowieka. Proszę cię, o Bezlitosny, wybaw nas, wybaw mnie, uwolnij mnie z tej sieci, do której wpadłem, pomóż mi znaleźć w niej zerwane oko i wypłynąć na szerokie morze. Proszę cię, o Litościwy, zlituj się. Jestem pewien, że kiedyś przyjdę do was i znów mnie usłyszycie. Nie wiem, dlaczego stoję tutaj, w cerkwi, przed ikoną. Dlaczego jestem uwięziony w zastygłym srebrze świata, którego nie pragnąłem, tak jak i wy, co byście nie powiedzieli, jesteście zamknięci od urodzenia jak w więzieniu, jak w siatce na motyle albo jak w klatce, w świecie, którego nie pragnęliście, którego nie znacie i nad którym nie macie jak zapanować. Na próżno się miotacie. Jesteśmy więźniami i skazańcami, każdy w swoim świecie i w swojej samotności. Dlaczego mnie nie widzicie? Jestem uwięziony w zastygłym srebrze ikony świata, którego może już nie ma. Próbuję was stamtąd zobaczyć, z ramy mojego dzisiejszego dnia, i jeśli będziecie milczeć przez chwilę, jak milczą głębokie wody studni, może usłyszycie, co mówię sam do siebie, ponieważ mówię tylko do siebie i dla siebie. Jestem sam: jestem tym, który czyni i tym, który sam się za to sądzi. Ja jestem tym, który mówi i tym, który milczy i słucha.

Zawsze jest inaczej, niż myślimy, drogi Danie. Wpadłeś z jednego życia w drugie. Kiedy otworzyłem oczy, ujrzałem mnóstwo błękitnego nieba i mnóstwo drzew pokrytych szronem. Setki szpilek wzlatujących w przestworza za każdym podmuchem wiatru.

Powietrze dusiło mnie. Leżałem na plecach. Zatopiłem wzrok w niebie ze zdziwieniem mieszcucha. Nagle usłyszałem jakby odgłos wody płynącej z kranu. Dochodził z bliska, z prawej strony. Odwróciłem głowę, nie podnosząc jej, i zdębiałem. Nie było żadnych wątpliwości: obok mnie stał koń, który właśnie wyrzucał z siebie przeraźliwy, potężny jak kolumna strumień moczu. Wokół kolumny unosiły się kłęby pary. Zdawało się, że nie ma zamiaru przestać, a na dole, w śniegu, powstało okrągłe wgłębienie. Koń zaprzężony był do sań

wyładowanych dużymi kawałkami lodu i paroma pniakami.

Wszystko było pogrążone w zastygłej wręcz ciszy - biel wokół, słońce, cisza, jakiej nigdy nie słyszałem, ponieważ ciszę też słychać. Zwierzę zanurzyło pysk w worku zawieszonym na szyi i zaczęło przeżuwać. Ogon miał związany w ogromny błyszczący węzeł.

- Wstawaj, chłopcze, bo cię tu noc zastanie w tym śniegu. Kto cię tu zostawił na pewną śmierć na tym pustkowiu?

Był to śniady mężczyzna o ogromnych dłoniach, w których trzymał toporek. Wystraszyłem się. Walizka leżała parę metrów dalej i spróbowałem wstać, aby ją podnieść. Miałem zmarznięte na kość nogi i zachwiałem się.

- Nie możesz ustać na nogach? Fajnych masz kolegów, że tak cię tu zostawili na mrozie, bijanego, ubranego jak straszdyło i z gołą głową.

Jeśli nic nie rozumiesz, pozostaje ci tylko milczeć. Mężczyzna mówił w dalszym ciągu, ale jakby miał coś w ustach. W końcu rzucił toporek do sań, obok kilofa i łopaty, odwiązał worek wiszący na szyi konia i podał mi czerwoną, szorstką rękę. Nie miał połowy palca wskazującego, który kończył się czymś jakby chwostem, wyglądającym jak torebka ściśnięta u wylotu.

- Wskakuj, zawiozę cię do miasta, dasz mi dwa leje i postawisz lampkę wina. Twoje pudło też zabierzemy... Masz, przykryj się tym kozuchem. Dasz radę się trzymać? Ściąłem parę pniaków, po drodze narąbałem też lodu w jeziorze, ale muszę naostrzyć kilof. Cały się spościłem.

Kiedy mówił, z ust wychodziła mu para. Chwycił za lejce, a koń poruszył żywo zadem. Sanie obróciły się na swoich śladach jak na szynach. Las został w tyle, a przed nami otworzył się biały bezkres zalanego słońcem pola. Błyszczało całe od kropel niczym morze. Tak więc ciągle nie opuściłem kraju. Co się dzieje? Gdzie to wszystko zniknęło? Skąd się to wszystko wzięło?

W przeciwieństwie do mnie, nieznanego odpowiedzi, mężczyzna na koźle sam znajdował odpowiedź na każde swoje pytanie, jakby wszystko wiedział. Zwalisty chłop z długimi wąsami przechodzącymi w wielkie, kręcone, lekko szpakowate bokobrody, wzbudzał we mnie zarówno zaufanie, jak i strach. Ale strach był mniej agresywny niż ciekawość. Sunęliśmy powoli do przodu.

- Która godzina?

A oto, po raz pierwszy, mój głos. Zachrypnięty przy "która" i stłumiony przy "godzina".

- A skąd mam wiedzieć? Wcześniej jeszcze! Wstałem skoro świt. Nie masz zegarka? Bawnie przegrałeś w karty, jak płaszcz i czapkę, co? Masz, załóż ten płaszcz, miałem go dać biednym, za duszę ojca, zmarł mi w zeszłym miesiącu. Ma kościane guziki.

Podał mi prawie pełną butelkę i znów ujrzałem jego ucięty i nieumiejętnie zszyty palec:

- Nabij się, to się rozgrzejesz! W torbie jest chleb, jak jesteś głodny.

Napiłem się śliwownicy, ale jeść nie mogłem, przeraźliwy niepokój ścisnął mnie za gardło. Minęliśmy kilka wron, odcinających się wyraźnie na tle białej drogi. Nie poderwały się do lotu, tylko krakały ciągle i rysowały pazurami w śniegu.

- Jestem Betre - powiedział mężczyzna. - Moja matka była Rosjanką.

- Petre?

- Tak, Betre, Betre - krzyknął, jakbym był głuchy.

Czekał, aż też się przedstawię. Zniecierpliwiony moim milczeniem, przeszedł do bezpośredniego przesłuchania.

- A ty z jakiej jesteś rodziny? Skąd?

Odpowiedziałem bez entuzjazmu:

- Cretu. Z Bukaresztu.

- Krewny aptekarza Kretzu, tego z rudymi wąsami? A tobie kto zgolił wąsy?

Nie odpowiedziałem. Nic mi się nie zgadzało. Petre spoglądał na mnie od czasu do czasu, coraz bardziej nieufnie. Widziałem, że myśli intensywnie. Wtem ściągnął lejce, ja poleciałem do przodu jak z procy, on zaś wysiadł z szybkością zdradzającą długą zaprawę. Zatrzymaliśmy się pośrodku kępy drzew z pniami pokrytymi śniegiem niczym białym mchem. Na ziemi leżało na wznak jakieś ciało. Dopiero teraz je dostrzegłem.

- Następnym! - wykrzyknął Petre i podszedł do formy w śniegu. - Ludzie, powariowaliście czy co?

Wysiadłem ostrożnie. Czułem ból w całym ciele. Na ziemi leżał młody mężczyzna o blond włosach i zadbanej brodzie, z raną poniżej ramienia. Mój wzrok padł na jego ubranie: elegancki garnitur, którego poszczególnych elementów nawet nie umiałbym nazwać, wyglądający jak nowy, i wysokie, czarne, starannie wyczyszczone buty. Obok leżał kapelusz, poza tym nic więcej. Widziałem, że mężczyzna oddycha. Niewątpliwie żył jeszcze.

- Chciałem uciec jak najdalej od jadaczki swojej baby i teraz mam za swoje... Czort mnie chyba pokusił, odpuść, Boże, grzechy - powiedział Petre. - I co my teraz zrobimy?

Odwrócił się nagle w moją stronę i rzucił mi podejrzliwie spojrzenie.

- A może to ty... go?

Zgiął palec wskazujący, jakby naciskał na spust.

- Ja? Uchowaj Boże! Nawet nie wiem, jak się strzela.

- Akurat! Dobrze sobie... Gdzie masz pistolet?

- Ale ja nie mam żadnego pistoletu! - powiedziałem i poczułem się jak zły aktor w dobrej sztuce.

- Co ty tam mruyczysz? - zaczął krzyczeć Petre. - Jak ci zaraz przyłożę, to się nie pozbierasz! Gdzie schowałeś pistolet, bandziorko jeden?

I rzucił się na mnie z pięściami.

- Nie rozumiesz, człowieku, że nigdy nie miałem pistoletu w ręce? Nigdy nie widziałem... tego chłopaka. Trzeba go szybko zawieźć do szpitala, chyba stracił przytomność. Ja nawet nie wiem, gdzie jestem, *niczego tu nie poznaję*. Chyba też straciłem przytomność. Może się przewróciłem albo uderzyłem się o coś, nic z tego nie rozumiem, nic a nic!

Na moje nieszczęście głos mi drżał. Petre spojrział na mnie jakby inaczej:

- Chyba masz nie bo kolei w głowie! Z byka spadłeś? A może uciekłeś z domu wariatów? W gazecie pisali, że dają wam tam rtęć, od tego ci wypadła broda i wąsy. Tylko byście się pojedykowali, jak Lahovary i Filibescu, jedni na szpady, drudzy na pistolety! Co za ludzie, szlag by was wszystkich trafił!

Przez chwilę udeptywał śnieg czubkiem buta, nie spuszczając mnie jednak z oka.

- Zawiozę cię na policję, już tam będą wiedzieli, co z tobą zrobić. Jest koniec tygodnia, więc prawie nikogo tam nie ma, ale zawsze znajdzie się ktoś, żeby cię wsadzić do aresztu.

Podniósł z trudem ciało młodzieńca, usiłując przenieść je na wóz. Męczył się przez jakiś czas i w końcu wrzasnął na mnie, wypuszczając z ust biały kłębek, jakby palił:

- Nie widzisz, że nie dam rady sam? Pomóż mi!

Złapałem mężczyznę za ramiona, zgodnie ze wskazówkami Petre. Był bardzo ciężki. Petre spojrział na mnie pogardliwie. Ułożyliśmy go na pledzie, na drewnie. Petre poprawił go, jakby to był worek z towarem, położył mu na głowie kapelusz, po czym przeszukał wewnętrzną kieszeń jego marynarki, wyjął z niej zamszowy portfel i schował go szybko do swojej kieszeni.

Nagle uświadomiłem sobie, co nie dawało mi spokoju, odkąd Petre zagroził, że zawiezie

mnie na policję.

- Jak to nikogo tam nie ma, bo jest *koniec tygodnia*? To dzisiaj nie jest poniedziałek? Przecież był poniedziałek!

Petre nie uznał za stosowne, by mi odpowiedzieć. Wydawał się spokojniejszy. Koń biegł kłusem. To nie ten krajobraz sprawiał, że byłem bliski obłądu. Drzewa układały mi się nad głową w białe sklepienie, potem znów szeroka droga, słońce, kępy drzew i co jakiś czas ptak podrywający się beztrąsko do lotu. Wkrótce dojechaliśmy do większej drogi, na której widać było wiele pomieszanych śladów.

- Dzisiaj jest piątek - raczył mi w końcu powiedzieć, jakby już udobruchany.

Przebudzony przed świtem po kiepsko przespanej nocy i zmożony emocjami chyba zasnąłem.

- Jeszcze trochę i będziemy na miejscu!

Otworzyłem oczy i moim wzrokiem zawładnęła najbardziej zdumiewająca scena, jaką w życiu widziałem. Wysoko nad nami świeciło słońce. Światło zalewało ruchliwą ulicę: powozy, do których zaprzężone były parami lśniące konie, wóz z wołami uginający się pod ciężarem ogromnej beczki, dorożki, nerwowi woźnice, jedno i dwupiętrowe domy, których okna odbijały promienie, sklepy z szyldami pomalowanymi na wesołe kolory. Ludzie byli ubrani niemal tak samo, dobrze komponowali się ze sobą. Panie z nienaturalnie cienkimi taliami, w kapeluszach ze wstęgami związanymi mocno pod brodą i ciężkich sukniach do samej ziemi, mężczyźni w sztywnych kapeluszach i z laskami w dłoniach, dwaj oficerowie w mundurach z szamerunkami salutujący komuś w powozie, radosny gwar i poruszenie, tłumiony śniegiem tętent koni, pokrzykiwania woźniców, dzwoneczki. Śnieg na drodze brudny był od popiołu i wymieszany kopytami, ale chodniki były białe. Czuję się wypoczęty i szczęśliwy.

Jakbym znalazł się w świecie młodego, obecnego wyraźnie Boga, przeżywszy tyle lat na świecie, który utracił Boga lub którego utracił Bóg. Jakbym zobaczył niebo, nie wiedząc przez tyle lat o jego istnieniu. Jakbym znowu żył, umarłszy za życia. Jakby ktoś wziął mnie pod swoje skrzydła. Przyjemne uczucie miłości do wszystkiego, co widziałem, ścisnęło mi gardło. Serce biło mi bezładnie i poczułem ból, który dawno już oswoił mnie z myślą o końcu. Coś stało się bez mojej wiedzy. Nie rozumiałem co, ale oczy zasły mi łzami.

A może to wszystko tylko mi się śniło? Ale jeśli coś ci się śni, niekoniecznie wiesz, że to sen, podczas gdy doskonale wiesz, kiedy nie śpisz. Nie musiałem się uszczypnąć, aby się upewnić, że to, co widzę, dzieje się naprawdę. Istnieje pewne niezaprzeczalne poczucie rzeczywistości. Kiedy rano idziesz do pracy, nikt ci nie musi mówić, że nie śpisz ani że żyjesz.

Znajdowałem się w żywym i przytomnym świecie. Wydawał mi się znajomy. Wiedziałem, że go znam, ale nie wiedziałem skąd. Wiedziałem i jednocześnie nie wiedziałem. Zacząłem się zastanawiać, gdzie jestem. Nie nad tym, jak się tu znalazłem. Zastanowię się nad tym, kiedy będę mógł, na razie *nie potrafię*. Jak nigdy, czułem potrzebę, aby patrzeć, aby cieszyć oczy tym spektaklem zwykłego życia. Petre powiedział coś do mnie. Nie usłyszałem co, ponieważ wzrok wbity w detale jak ogromna lupa otepił wszystkie inne zmysły.

Nagle w moje oczy uderzył znajomy obraz: budynek Teatru Narodowego w Bukareszcie, na Calea Victoriei. Na placu przed nim stały w rzędzie małe, przykryte budą dorożki, a grubo opatuleni woźnice czekali i rozmawiali ze sobą. Pokryte śniegiem drzewa wyznaczały półkole placu. Byłem więc na Calea Victoriei. Wróciłem w pewnym sensie do domu - mieszkanie moich rodziców powinno być parę kroków stąd.

- O Boże, gdzie ty mnie przywiozłeś? - wyjęczałem raczej, niż powiedziałem.

- No przecież mówiłem, że na policję! - dobiegła odpowiedź z kozła. - Nie wiem, co z tobą zrobią, ale jak cię odeślą z powrotem do domu wariatów, to przynajmniej będziesz miał jakąś opiekę. Nie mogłem cię tam zostawić, żebyś leżał nieprzytomny jak ten tutaj.

Głos Petre, szorstki, ale nie wrogi, przywrócił mnie do rzeczywistości. Do nowej rzeczywistości. Zanurzyłem się ponownie w chaosie miasta. Po lewej, na bocznej, ślepej ścianie wspaniałego domu, pod dziwnie płaskim konturem dachu z paroma kominami, z których wydobywał się dym, zobaczyłem wykonany wielkimi literami napis LINDEPENDANCE ROUMAINE. Na literach U i M, znajdujących się dokładnie pod kominem, widać było czarne ślady. Gdzieś niedaleko zaczęły bić dzwony A później usłyszałem, niczym echo, zegar z dzwoneczkami, taki, co stanowi zazwyczaj jedną z atrakcji turystycznych miasta.

- Jeszcze nie wybrali nowego dyrektora "Endebandans" na miejsce pana Lahovaryego - powiedział Petre, znów skory do rozmowy. - Czytałem wczoraj w "Universul". Tak czy inaczej, ten, co będzie zamiast niego, ma nie zmieniać polityki gazety. Co prawda oni mówią, że nie interesuje ich polityka, ale oni wszyscy tak mówią!

Droga dziwnie szybko uciekała spod sań. Dotarliśmy na skrzyżowanie, które chyba widziałem po raz pierwszy, przejechaliśmy przez nie z trudem, ponieważ bulwarem sunęły sanie i powozy, którym nie bardzo chciało się czekać, po czym skręciliśmy w prawo i zatrzymaliśmy się. Padł na nas cień jakiegoś muru. Przypomniałem sobie o nieprzytomnym mężczyźnie i pomyślałem, czy nie umarł przypadkiem podczas drogi. Spojrzałem na niego i wydało mi się, że jęczy. W jego postaci było coś niewyraźalnie dziecięcego, a dość długie blond włosy zakrywały mu częściowo twarz. Naszym oczom ukazał się imponujący piętrowy budynek żółtawej barwy. Nad wejściem, pod godłem, wisiał zegar wskazujący godzinę wpół do trzeciej. Pod nim widniały duże kamienne litery: PREFEKTURA POLICJI STOŁECZNEJ.

Kobieta kończyła właśnie piątkową modlitwę, najdłuższą ze wszystkich modlitw w ciągu tygodnia. Epiharia była wzorową parafianką, mimo że miała dopiero dwadzieścia pięć lat, przychodziła codziennie pod sam ołtarz, ksiądz ją chwalił i stawiał za przykład leniwym i gnuśnym. W głębi duszy chciała zostać mniszką. Modlitwę znała prawie na pamięć, mamrotała ją po cichu i tylko czasami zaglądała do książeczki, żeby się upewnić. *A skoro tak już jest, pomnóż, Panie, moje trudy, pokusy i udręki* - mówiła kobieta, ale myślała jednocześnie, że wcale by tego nie chciała - *tylko pomnóż również i przydad mi cierpliwości, siły, wdzięczności i błogosławieństwa* - to tak, jak najbardziej - *we wszystkich cierpieniach, jakie na mnie spadną...* Otworzyły się drzwi i wszedł nieznajomy mężczyzna. Epiharia utkwiała wzrok w książeczkę: *...we wszystkich cierpieniach, jakie na mnie spadną*. Mężczyzna szedł naprzód, patrząc wokół, na świętych na ścianach, namalowanych faktycznie z niezwykłym kunsztem, pomyślała kobieta. *Bo wiem, że będę bezsilny, to znaczy bezsilna, jeśli nie dodasz mi sił; bojaźliwy, jeśli nie uczynisz mnie śmiałym; niewidomy, to znaczy niewidoma, jeśli...* Jednak widziała go dobrze i zamiast się modlić, dawała się zwieść ułudom tego świata i patrzyła na niego, jak stał przed ołtarzem. Nawet się nie przeżegnał! *Zły, jeśli mnie nie przemienisz w dobrego, to znaczy w dobrą, zagubiony, to znaczy zagubiona, jeśli mnie nie odzujesz*. Na zagubionego wyglądał też ten człowiek, piękny jak anioł i ubrany jak dziad kalwaryjski. Ciekawe, gdzie podział kapelusz, bo nie trzyma go w ręku ani też nie powiesił go na wieszaku nad krzesłami. *Przez Twą wielką i Boską moc, i poprzez łaskę Świętego Twego Krzyża, któremu się kłaniam i który sławię, teraz i zawsze, i na wieki wieków, amen*. Pomyliła się trochę, ale nie potrafiła już zagłębić się w modlitwie. Kątem oka śledziła nieznajomego, stojącego obok świętej ikony Matki Boskiej, sprowadzonej tutaj jeszcze za czasów Brancoveanu, aby obdarzała łaskami wszystkich przestępujących próg świątyni. Ludzie przychodzą modlić się do niej, ten o pomoc w nieszczęściu, tamten o zdrowie, a inny jeszcze o bogactwo albo o dzieci, i klęczą przed nią ze spuszczoneym wzrokiem, ledwie muskając wargami jej srebrną szatę, a ten stoi wyprostowany i patrzy jej prosto w oczy, i nie chwilę, dwie, ale całe minuty. Jak tak można patrzeć prosto w oczy Matce Boskiej? Nad czym się tak zamyślił? Nie, nie powinna osądzać tego człowieka stojącego przed ołtarzem, może jest nieszczęśliwy, prześladowany, bezdomny, tylko jeden Bóg sędzi nas wszystkich i każdego z osobna, gdziekolwiek byśmy nie byli. Jednak niektórzy ludzie, tak jak ten mężczyzna, jakby sprawiają, że czujesz się, nie wiem jak, duchowo skrępowany. *Panie Jezu Chryste, Synu Boży, zmiłuj się nad nami grzesznymi, swoimi sługami* - i Epiharia uczyniła duży, wyraźny znak krzyża, zakończony na lewym ramieniu - amen. Kiedy myślą była przy "grzesznymi", mężczyzna, jak na komendę, zwrócił się w jej stronę. Odwróciła przestraszona wzrok i ukryła go z boku, w tarczy Świętego Jerzego, który od wieków zabijał tą samą włócznią tego samego smoka.

- Dobry wieczór... pani.

- Szczęść Boże!

Epiharia miała okrągłą, dziecięcą twarz, jasną karnację i okrągły jak guzik dołek pod dolną wargą. Z jej włosów widać było tylko jeden kosmyk, chustka schodziła jej za uszami, przechodziła pod brodą, opinając ją ciasno, i kończyła się niewidzialnym węzłem gdzieś na karku. Spojrzenie miała poważne. Mężczyzna wyglądał na zmęczonego. Dzięki Bogu jego głos,

smutny głos, nie zdradzał żadnych ukrytych myśli, więc kobiecie znów zrobiło się raźnie na duszy.

- Gdzie może przenocować ktoś, kto nie ma pieniędzy ani bagażu? Może tutaj?

- Chyba tylko jeśli chce pan spędzić noc z jakąś świętą - powiedziała Epiharia bez zastanowienia, po czym przeżegnała się szybko z powodu bezwstydnej myśli, która ją naszła, i przeprosiła głośno Boga, że jest taka lekkomyślna i nierozważna.

Nieznajomy uśmiechnął się. Teraz był zupełnie innym człowiekiem!

- Nie, szukam noclegu. Jestem... Źle się czuję. Jestem chory.

Kiedy się śmiał, był jak młody anioł. Bez uśmiechu wydawał się od razu o wiele starszy. Jakby głos mu broczył krwią. Faktycznie wyglądał na nieszczęśliwego, jak pomyślała wcześniej, i dobrze zrobiła, nie osądzając go.

- Może zapyta pan u naszego ojca diakona? Mieszka dwa domy stąd, o, tam, za tym brązowym czy raczej wiśniowym powozem, widzi pan? Tylko że on ma dużo dzieci i sam jest biedny. Jeśli go pan nie zastanie, to proszę przyjść z powrotem do mnie - ja mam na imię Epiharia - i coś wymyślimy.

Nieznajomy wyszedł. Nie minęło nawet pięć minut i wrócił z rozłożonymi bezradnie rękami. Nikt nie odpowiedział na pukanie. Kobieta miała jednak rozwiązanie, gdyż zawsze spodziewała się najgorszego, ale wierzyła w szczęśliwe zakończenie.

- Mamy klucz od domu, w którym latem mieszkają malarze z Bocianiego Gniazda. W czerwcu zaczęli renowację gzymsu ze świętymi pod dachem, ale w listopadzie musieli przerwać. Mogę poprosić księdza o klucz, ma go, bo kilku przychodziło też do nas, odnawiać kruchtę, i pracowali trochę tu, trochę tam...

- Byłoby wspaniale!

- Tyle że, widzi pan, jest pewien problem.

Mężczyzna znów wydawał się starszy i znów zrobiła mu się zmarszczka między brwiami.

- To letni dom i nie ma pieca ani drewna, ani posłania. Ale człowiek potrafi wiele znieść. Symeon Słupnik żył przez wiele lat na słupie. A pewnego dnia nawet zaprosił do siebie Świętego Teodozjusza. To znaczy do siebie na słup! Mogę panu dać pled od księdza.

I wyszła, pulchna i pełna dobroci. Wróciła po jakiejś godzinie. Zastała mężczyznę siedzącego z zamkniętymi oczami w stallach. Przyniosła wielki klucz i wyjaśniła, z wielką wyrozumiałością dla niewiedzy nieznajomego, jak tam trafić i jak nie zamarznąć w nocy. Wręczyła mu wytarty koc i zawinięty w ręcznik duży kawałek chleba od księdza. I kaganek, który miał mu służyć za lampę. Nie mówiła, że ksiądz napomniał ją łagodnym głosem, aby nie dawała się naciągać wszystkim miejskim włóczgom, to nie interesowało nieznajomego. Mężczyzna podziękował i odsłonił w uśmiechu białe jak śnieg zęby, jakby nie do końca rozumiejąc, co się do niego mówi. Jednak kobieta była równie pewna, że dobry Bóg zaprowadzi go na miejsce, jak była pewna, że błędzenie jest wpisane w każdą życiową drogę. Również w jej, w całej pełni.

## 6

Niemy głos, który słyszę tylko ja, silniejszy niż moje biedne udręczone ciało i niż mój biedny przerażony mózg. Mówię do siebie, aby przywyknąć do siebie, aby nie bać się aż tak swojego strachu i aby się upewnić, że nie zwariowałem. Boję się ich, siebie, Tego, który się nami bawi. Otaczają mnie istoty, które wydają się tworem mojej chorej wyobraźni. Dlaczego nie znikają? Dlaczego je słyszę? Dlaczego nie mogę pojąć swoim rozumem, jak funkcjonuje mój rozum i skąd się bierze ten strach? Czuję się, jakby zamieszkał we mnie ktoś obcy, kto wie więcej niż ja i robi ze mną, co chce. Dlaczego walczysz ze mną? Jestem z góry przegrany, ty albo Ty jesteś ode mnie potężniejszy. Jestem z góry pokonany. Jaką satysfakcję będziesz miał z tego, jeśli mi pokażesz, że jesteś potężniejszy? Wiem to równie dobrze jak ty! Tak, wygrałeś!

Kiedy przydarza się nam coś równie strasznego, czekamy na kolejny cios. Skuliłem się w sobie i czekam.

Klucz o trzech zębach spełnił bez problemu swą rolę, tak więc wszedłem. Było zupełnie ciemno. Poczekalem, aż wzrok mi się trochę przyzwyczai, po czym zbadałem po omacku pomieszczenie. Łóżko wyglądało jak prycza w schronisku turystycznym: długa platforma, na której mogłoby się przespać od biedy ponad dziesięciu ludzi. Tych dziesięciu ludzi przydałoby mi się teraz. Pomieszczenie było pełne najróżniejszych przedmiotów, jak magazyn, objąłem się o nie, nie widząc ich zbyt dobrze. W jednym rogu wpadłem na puste wiadra. Żadnych krzeseł, żadnego stołu. Rzuciłem na tak zwane łóżko zwinięty w balot koc i położyłbym się od razu, gdyby nie było mi tak zimno. Wszystko mnie bolało, od stóp, od mokrych stóp, do głów. Gorąca kąpiel, gorąca zupa albo grzane wino z cynamonem, albo chociaż herbata. Chleb zjadłem cały, jak tylko wyszedłem. Lampka była zgaszona. Musiałem ją zapalić, musiałem zrobić ogień w tym lodowatym pomieszczeniu. A może cerkiew będzie jeszcze otwarta? Tam musi się palić choćby jedna świeczka. Wyszedłem znów i dowlokłem się do wejścia. Było zaryglowane. Obszedłem cerkiew i napałem na boczne drzwi. Okna były za wysoko, nie było mowy, żeby się do nich dostać. Czy Dom Boży nie powinien być zawsze otwarty, zwłaszcza nocą i zwłaszcza zimą? Nie, wydaje się, że nie jesteśmy mile widziani o każdej porze. Kiedy Bóg nie jest przygotowany na przyjęcie gości, umie się schować. A może On też potrzebuje snu. Wróciłem zniechęcony i jeszcze bardziej wyczerpany. Znowu musiałem poczekać, aż oczy przyzwyczają mi się do ciemności. Byłem wyłączony ze świata. Rozwiązałem sznurek, którym był przewiązany koc, i na podłogę potoczyło się papierowe zawiniątko. Z pewnością podarunek od tej kobiety, od Epiharii. Macałem przez dłuższą chwilę zimną, pełną kurzu i śmieci podłogę. Paczuska musiała być bardzo mała i lekka, bo nie było nic słychać, kiedy wypadła. Zanim ją znalazłem, pokaleczyłem sobie palce o jakieś zęby czy zadry. Stałem w progu, gdzie było trochę więcej światła, i rozerwałem papier. W środku znalazłem pudełko dużych, grubych zapałek i krzyżyk. Pan Bóg jednak nie śpi, pomyślałem. "Bóg z tobą!" - powiedziała kobieta. Musiałem uważać, żeby nie zmarnować zapałek. Przygotowałem lampkę, zamknąłem znów drzwi, żeby nie wiało, zacząłem trzeć mocno ręce, bo miałem zgrabiące palce, po czym namacałem jak ślepiec zapałkę i potarłem ją ostrożnie o grudy. Zapałka złamała się. Próbowałem jeszcze kilka razy zniecierpliwionymi dłońmi, zanim mi się udało. Błysnął płomień. Pochyliłem lekko lampkę i zapaliłem ją, parząc sobie palce. Nie poczułem jednak bólu, to światło mnie uspokajało. To była moja lampa. Mogłem wreszcie zobaczyć przedmioty wokół mnie: kilka pędzli, stare skórzane kufry z podartą



podszewką, jakieś łachmany, pustą, brudną butelkę, wiklinową miotłę, młotek, gwoździe i rzeczy, których nazw nie znałem. Użyłem ich jednak. Ogrzałem dłonie nad lampką, po czym pozbierałem kamienie i zrobiłem z nich palenisko, które wyłożyłem podartym papierem z paczki - był z gazety - i podszewką wyrwaną z walizek. Męczyłem się przez chwilę, wrywając witki z miotły, i w końcu uzbierał się spory stos. Aby nie marnować zapalek, których biały fosfor był teraz cenniejszy niż złoto, zapaliłem pędzel, który wydzielił nieznośny zapach farby, duszący i paskudny, ale palił się dobrze. Rozpaliłem ogień i powietrze ogrzało się trochę, a dym buchnął na zewnątrz przez dziurę w oknie. Przeniósłem łachmany z podłogi na deskę pryczy, po czym - w płaszczu od Petre i w kocu od Epiharii - ułożyłem się do snu. Lampkę zostawiłem zapaloną. Za mną gasł, niezrozumiały, najdłuższy dzień mojego życia.

Nie zasnąłem od razu, mimo wycieńczenia, pewnie dlatego, że chciało mi się pić. Widziałem wymieszane różne części miasta. Droga prowadząca tutaj była jak labirynt. Wiedziałem mniej więcej, jak dostać się na ulicę Berzei, ale jakbym już nie był stąd, miasto igrało ze mną, płatało mi figla na każdym rogu. Perspektywa była inna, domy były inne. Mało światła, tylko z latarń, odległości złudne, a punktów odniesienia nie miałem żadnych. Żałowałem, że nie znałem cerkwi, których nazw nawet nie starałem się zapamiętać, mimo że Epiharia mi je podała, widziałem tylko błyszczące gdzieśgdzie jak plomby w zębach dachy. Ludzi idących na piechotę spotykałem coraz rzadziej. Pytałem ich o drogę, niektórzy mówili mi, jak iść, ale gubiłem się po pierwszym zakręcie. Najróżniejsze pojazdy konne, poruszające się bez świateł, za to przy wtórze krzyków i wyzwisk, które mnie przerażały. W pewnym momencie musiałem przyznać, że zupełnie się zgubiłem. Robiło się coraz ciemniej i coraz zimniej.

W środku nocy napotkałem przechodnia idącego szybko ulicą. Próbowałem go dogonić, dogoniłem, chciałem go zatrzymać, dotknąłem go, ale mężczyzna skoczył jak oparzony i rzucił się do ucieczki, oglądając się przerażony za siebie. Podniosłem z ziemi jego okrągły kapelusz. Pasował na mnie i był jeszcze ciepły od ciepła tego, który miał go na głowie przede mną. Nałożyłem go i poszedłem dalej na oślep, i kiedy już myślałem, że ciągle jestem daleko od celu i zarzuciłem walkę z labiryntem, wyrosła przede mną cerkiew z gzymsem ze świętymi pod dachem. Bocianie Gniazdo. Zaraz obok, zgodnie z tym, co mówiła kobieta, dom malarzy, gdzie również ja miałem odnaleźć swoje gniazdo.

Obudziły mnie dzwony. Śniło mi się, że jestem w Bukareszcie, innym Bukareszcie. Byli tam moi koledzy z redakcji, którzy śmiali się, ale nie byłem pewien, czy był to śmiech, czy płacz. I jeszcze ktoś, jakaś kobieta, która mnie szukała, z nieobecny i niewymownie smutnym wyrazem twarzy, ale nie wiedziałem, kto to. I właśnie wtedy, kiedy krzyczałem do niej z całych sił: "Tu jestem, tu jestem", usłyszałem dzwony i pomyślałem: "Dzwony oznaczają śmierć". Z tą myślą się obudziłem. Dzwony, które słyszałem, oznaczały życie. Ogień już dawno wygasł. Kapelusz przechodnia, którego wystraszyłem w środku nocy, leżał w wiadrze. Wszędzie panował nieopisany bałagan. Przez wybite okienko widać było płatki śniegu. Mój pierwszy śnieg na tym świecie, prawdziwym lub wymyślonym przez mój umysł nękany przez cienie. Musiałem wszystko zacząć od nowa, nie potrafiłem jednak wstać z miejsca. Czekałem, aż zdarzy się cud. Nie, nie byłem w żadnym gnieździe. Czuję się raczej jak rozbitek, tyle że moją wyspą była zima, a ja nie uratowałem nic z katastrofy. Mój bagaż został zatrzymany na policji.

Czekałeś na jakiś cud, drogi Danie. Czekałeś na swoje nowe życie, wyglądając przez wybite okno.

Inelaru odchrząknął i wypluł na kamienną podłogę gęstą flegmę, chcąc, aby pilnującemu go wysztafiowanemu posterunkowemu zrobiło się niedobrze. Wychuchany młodzieniec stał tam tylko *pro forma*, ponieważ Fane i tak nie miałyby dokąd uciec, drzwi były zamknięte na cztery spusty. W przeciwieństwie do zwykłych ludzi, którzy od wieczora do rana śpią, a od rana do wieczora pracują, u niego wszystko było na odwrót. Mimo że w dzień spał tylko kilka godzin, był teraz w doskonałej formie - kroila się robota. Wyczuwał forszę na kilometr i od razu go to ożywiało. Noc z piątku na sobotę zaczął więc w dobrym humorze. Znudzony posterunkowy próbował zagaić rozmowę, ale Fane odciął mu się krótko: "Cicho bądź, Jean, jestem zajęty!". Aby nie komplikować sobie życia, jak kiedyś wyznał, mówił do wszystkich "Jean". Głowa posterunkowego zaczęła coraz częściej opadać mu na pierś, po czym już tam pozostała. Wkrótce zaczął chrapać, a Fane starał się nie narobić hałasu, poruszał się lekko jak dzikie zwierzę, wyssał to razem z mlekiem matki. Był przystojnym mężczyzną o wąskich biodrach, szerokich ramionach, przebiegłych oczach koloru śliwki, zakrytych długimi rzęsami, oraz długich wąsach, którym nie mogła się oprzeć żadna kobieta. Srebrne pudło raczej nie było porządnie zamknięte, miało trzy kółka z szyfrem, lecz mechanizm wyglądał mu na dziecięcą zabawkę, nic skomplikowanego. Fane pokręcił kółkami, przyłożywszy ucho do mechanizmu, aby posłuchać, jak chodzą. Kierował się zawsze słuchem, jak nietoperz. Na początku nic nie wychwytał, ale kiedy powtórzył ruch kilka razy i pierwsze kółko przesunęło się na zero, dał się słyszeć leciutki odgłos. Zatrzymał je tam i przeszedł do drugiego kółka, które wydało dźwięk w tym samym miejscu. Przy trzecim nawet już się nie męczył, przesunął je na tę samą cyfrę, a wtedy rozległ się silniejszy odgłos, akurat wtedy, gdy posterunkowy czknął przez sen i otworzył oczy. Fane pochylił się nad pudłem, jak gdyby nie wiadomo jak ciężko pracował, i przykrył je swoją szeroką pierśią. Posterunkowy popatrzył na niego przez chwilę, po czym powieki znów opadły mu na małe oczy.

Inelaru położył pudło na podłodze i otworzył je bezgłośnie. Na jego twarzy rysowało się niewymowne zdumienie. Przetrzęsł dokładnie wszystkie przegródki, zamknął wszystko, przekręcił kółka i przemknął do najbliższych drzwi, gwizdząc cicho na strażnika Paunescu, który pełnił dyżur. Poprosił o przerwę. Kiedy o świcie, w gabinecie na piętrze, pan Costache dowiedział się o zniknięciu sejfu, na dole, na pierwszym poziomie pod ziemią, Fane wrzeszczał jak opętany: No i coście narobili, Jean? Jeśli już nawet policji nie można zaufać, to komu? Frajerzy, jelenie, wałkonie i partacze! Następnie położył się spać, zadowolony, że ma przed sobą piękny sobotni dzień.

# **SOBOTA, 20 GRUDNIA**

Poruszenie

# 1

Dzięki Bogu dzisiaj rano na spacerze mój braciszek był weselszy. Ucieszył się, kiedy zobaczył Nicusora, gońca, którego czerwona czapka od razu rzuca się w oczy. Ten chłopak nie może usiedzieć na miejscu. Nasz kochany Jacques też by zaraz wyskoczył, gdyby mógł. Powóz był w biegu, a ten urwis stał przed dawnym monasterem Sarindar (ciągle nie mogę przeboleć, że go zburzyli, to była bukareszteńska katedra, ludzie mówią, że sprowadzi to na nas nieszczęście!). Jacques zdążył tylko krzyknąć do niego z powozu, żeby do nas zajrzał jak najszybciej, mimo że widział go nie dalej niż wczoraj wieczorem. Nie jestem pewna, czy Nicu go słyszał, i nie sądzę, by przyszedł, zauważyłam wczoraj, że boi się pana Costache. Razem z Jakiem codziennie rano spędzamy godzinę na nadbrzeżu i patrzymy na rybitwy (jego główna rozrywka), a papa czyta "Universul" (jego główna rozrywka). Dzisiaj rano aż podskoczył, kiedy w rubryce *Wiadomości ze stolicy* znalazł informację o przedmiocie naszej wczorajszej rozmowy, a zwłaszcza gdy zobaczył - kochany papa! - że o nim też wspomniano, zresztą tylko w nawiasie. Kiedy wróciliśmy, odczytał nam dwa razy wiadomość, zniżając ton przy nawiasie: "Aresztant, znaleziony wczoraj nieprzytomny i niemal zamrożony w pobliżu majątku Baneasa (nad jeziorami), oświadczył, że nazywa się Dan I. Kretzu, jest dziennikarzem i nie jest przestępcą. Nie złożył żadnych wyjaśnień na temat tego, co się wydarzyło, i mimo wysiłków policji nie udało się znaleźć nikogo, kto by mógł potwierdzić jego tożsamość. Ponieważ stan jego zdrowia pozostawiał wiele do życzenia, zapewniono mu opiekę medyczną (Pan doktor Leon Margulius - przekręcili mi nazwisko, idioci! - był uprzejmy go zbadać). Dochodzenie jest w toku". Roześmiałam się, kiedy usłyszałam "jest dziennikarzem i nie jest przestępcą". Myślę, że w naszych czasach takie uściślenie jest bardzo potrzebne. Papa mnie zganił.

Zaczętym wczoraj zeszytem zaczęłam nowe życie. Moje życie zaczyna się więc w piątek. W książce jestem na XXV rozdziale, "w którym wszyscy główni bohaterowie przygotowują się do wyjazdu z Brighton". Jeśli chodzi o nas, o Bukareszt, wszyscy główni bohaterowie przyjechali do miasta, gdzie zostaną przynajmniej do Nowego Roku. Taką przynajmniej mam nadzieję.

Pan Costache będzie wściekły: w gazecie nie wspomniano o nim choćby i w nawiasie.

\*\*\*

Późny wieczór. No i znowu zaczęłam pisać zamiast czytać. Kiedy Safta wzięła od pana Costache cylinder, ten uszczypnął ją w..., jak to robi czasami, kiedy myśli, że nikt nie widzi. Gdy mnie zobaczył, posłał mi dziwne spojrzenie. Zaczęliśmy kolację trochę zakłopotani, bo nasz kochany Jacques nie czuje się najlepiej. Było mu też smutno, że nie przyszedł Nicu. Próbowaliśmy go rozweselić i ponieważ dobre z niego dziecko, udawał, że odniosło to skutek. Nie chciał usiąść z nami przy stole, więc dałam mu do łóżka zegar z figurkami, by kręcił nim do woli. Bardzo lubi ten piękny i niesamowicie smutny menuet, w rytm którego tancerz i tancerka pochylają się, podają sobie ręce, obracają się, oddalają od siebie i znowu podają sobie ręce. Jacques mówi, że zawsze ciekawi go, jak się skończy taniec, że jest jak opowieść. Zależy, jak długo kręci kluczykiem. Czasami wszystko kończy się dobrze i oboje trzymają się za ręce. Czasami nie i na końcu porcelanowe lalki stoją odwrócone i patrzą w dal. Jacques jest gotów przysiąc, że zmieniają wyraz twarzy, kiedy patrzą w dal. Mama ledwie może się wtedy opanować, a i papa wcale nie jest od niej dzielniejszy, mimo że jest lekarzem i mężczyzną. Tak więc dobrze nam

zrobiła wizyta naszego policjanta z najnowszymi plotkami. Opowiedział nam o pojedynku tego biedaka Lahovaryego, oskarżeniach o umyślne zabójstwo rzuconych przez "L'Independance Roumaine" i politycznych naciskach, gdyż wielu chce wierzyć, że była to zbrodnia zaplanowana przez jego dawnych przyjaciół, a obecnie wrogów, a także bardziej pikantną historię o procesie Bastakiego, kochanka i ojca dzieciom, którego próbowała zabić z rewolweru uwiedziona, panna Gorjan, córka generała Gorjana. Przysięgli stanęli po jej stronie i uniewinnili ją, a na końcu cała sala krzyczała: "Precz z Bastakim!". Mama z kolei, zniecierpliwiona, zapytała naszego gościa, jak to możliwe, że ciągle nie otworzyli kufra tego nieznanego.

- Jak to możliwe, droga pani Agato - odparł pan Costache, udając zdziwienie - że pani wie wszystko jeszcze wcześniej niż ja?

Wiedział doskonale, że odpowiedź brzmiała "dzięki służbie", którą zarówno bukareszteńskie damy, jak i policja wykorzystywały w charakterze gazety porannej, popołudniowej i wieczornej. Rzeczywiście, musiał przyznać, że nie udało im się otworzyć kufra czy pudła, czy co to tam było. Wszystko przez niego. Zamiast kazać od razu rozwalić go siekierą, z obawy, aby nie zniszczyć zawartości, może jakichś cennych przedmiotów, męczyli się z nim, aż w końcu zawezwali jednego złodziejzka z policyjnego aresztu, Fane Inelaru. A później, jak za sprawą jakiegoś iluzjonisty, pudło po prostu przepadło!

Wczoraj w południe, przez godzinę, nieznanomy siedział razem z Fane w areszcie, ale podobno nie odezwał się ani słowem, to znaczy poskarżył się tylko parę razy na zimno.

- Co ci jest, Jean, umarł ci ktoś? - zapytał go Inelaru.

Śmiesz mnie to, że Fane mówi do wszystkich "Jean", "żeby nie komplikować sobie życia", jak mówi pan Costache. Fane jest przekonany, że to jakiś międzynarodowy przestępca, bo złodziei z Bukaresztu i okolic poznaje po wyglądzie, a tych z prowincji po tym, jak "pracują". Ja też tak myślę, to musi być jakiś *chevalier d'industrie*<sup>[3]</sup>poszukiwany przez komisarzy policji na całym świecie. Czuję jednak, choć nie bardzo rozumiem dlaczego, że jest w tym wszystkim jakieś drugie dno, jakaś tajemnica, która sprawia, że serce mocniej mi bije. Umieram z ciekawości, jest jak w *Vanity Fair*. Kończy się nafta w lampie, lepiej pójść już spać.

W życiu są dwie rzeczy, które nigdy nam się nie znudzą: obserwowanie płatków śniegu i patrzenie na ogień w kominku. Tej soboty, o świcie, pan Costache mógł robić jedno i drugie. Zaczął prosić śnieg, więc popatrzył chwilę przez okno, na Calea Victoriei. Teraz patrzył na ogień. Skończył turecką kawę doprawioną francuskim koniakiem, żeby przeszła mu złość wywołana zniknięciem kufra, przebiegł oczami ogłoszenie w "Universul", zauważył, bez większego zdziwienia, że wciśnięto je między dwie idiotyczne reklamy. Jaki respekt ma wzbudzać policja, jeśli jej anonse umieszczane są obok reklamy cukierni, i żeby to jeszcze jakiejś znanej, jak ta starego Fiałkowskiego, ale takiej, która dziś jest, jutro jej nie ma? Następnie zauważył wiadomość o mężczyźnie znalezionym w śniegu: "Aresztant, znaleziony wczoraj nieprzytomny i niemal zamarznięty w pobliżu majątku Baneasa (nad jeziorami), oświadczył, że nazywa się Dan I. Kretzu, jest dziennikarzem i nie jest..." i stwierdził dwie rzeczy: *primo*, że napisali nazwisko przez *K* i *tz*, mimo że mężczyzna napisał własnoręcznie na zeznaniu najnormalniejsze *C* i najnormalniejsze *t*, i *secundo*, że on, Costache Boerescu, nie został w ogóle wspomniany. Ale to wszystko drobiazgi. Popatrzył jeszcze przez chwilę na kominek, na grę języków ognia, a następnie podszedł znów do okna. Nie ma takiego płatka, który byłby podobny do innego, tak jak nie istnieją, miał nadzieję Costache, odciski palców podobne do innych. Niestety nie udowodniono jeszcze, że człowiekowi nie zmienia się przez całe życie forma rysunku przyklejonego do opuszek palców, ale Costache był prawie pewien, że za kilka lat zostanie to potwierdzone naukowo. Jego przełożony bezczelnie się z nim nie zgadzał i podawał jako przykład drzewa przecięte piłą, które również mają coś w rodzaju odcisków. Jeśli jednak porównać słoje młodego drzewa i starego, okaże się, że u starego odległości między nimi są większe, przybywa ich z latami i że ślady różnych zdarzeń oraz dobrych albo złych lat zmieniały ich kontur. Tak samo musi być również u człowieka, zakończył swój wywód prefekt policji.

Costache w ogóle nie dogadywał się ze swoim przełożonym, mimo że przyznawał, że nie jest to głupi człowiek. 22 listopada minął rok, odkąd tu nastał, pełen kompleksów i pretensji. Jego brat, Ion, prefekt w Bacau, był zamieszany w aferę z torturowaniem jednego więźnia, w której kozłem ofiarnym zrobiono pewnego biednego policjanta, a on wyszedł ze wszystkiego obronną ręką. Costache żałował jednak pułkownika Misu Capsy, za którego rządów w Prefekturze wszystko szło jak po maśle. Był sprawiedliwym dowódcą, umiał wydawać rozkazy tak, aby nikogo nie upokorzyć, a przede wszystkim niczego się nie bał, był zresztą bohaterem wojennym, został odznaczony pod Plewną i Widyniem. Nawet mecenas Desliu, mimo że był u nich tylko jedno lato, w 1894, był lepszy. A najlepszy był generał Algiu, w 1889, z którym ciągle się przyjaźnił i którego nawet teraz prosił czasem o radę. Ostatnich, dobrych czy złych, wyższych urzędników czy zawodowych wojskowych nawet nie liczył, przyszli tu tylko po to, aby się odbić wyżej i aby im salutować, kiedy jechali powozem na defiladzie, za Królem. Obecny szef, Caton Lecca, był politykiem, czyli przedstawicielem najbardziej śliskiej kategorii. Myślał, że wszystko wie, był wcześniej i posłem, i senatorem, podejrzany o oszustwa wyborcze. Zgrywał bohatera przed swoją zażywną małżonką, ale co bystrzejsi agenci, którzy zależeli bezpośrednio od pana Costache, nazywali go wymownie Katonem Starszym. Samego Costache zaś nazywali Tache<sup>[4]</sup> Wielki, co miało podwójny wydźwięk, bo ich ukochany szef był dość niski, choć dobrze zbudowany, i o pięknych oczach, o aksamitnej głębi, które jakby nie pasowały do jego profesji.

Poza tym między agentami, starszymi posterunkowymi i zwykłymi policjantami ciągle wybuchały kłótnie i zwady. "Indory" z numerem, to znaczy starsi posterunkowi, którzy mieli na czapce numer porządkowy, śmiali się ze "szczygłów", jak nazywali szeregowych policjantów, ze względu na czerwone lub zielone naszywki na ramieniu. Ci z kolei nazywali komisarzy i podkomisarzy, czyli ludzi Costache, którzy byli magistrami prawa i których większość znała francuski lub niemiecki, "gogusiami", "gryzpiórkami" i "szczypawkami". Pan Costache westchnął. Koniec końców spory i prefekci przemijali jak woda, a on trwał jak skała. Nie było jednak łatwo być jak skała.

W bukareszteńskiej policji odciski palców pobierano od prawie trzech lat, jeszcze zanim nastał Caton Lecca, po raz pierwszy pobierał je pan doktor Minovici, najstarszy z trójki braci, Mina, który wypróbował "daktyloskopię" na kilkudziesięciu skazanych. Rok później Costache zaproponował, że sam się zajmie Służbą Identyfikacji Sądowej, która w innych krajach świata zajmowała się największymi przestępcami, kryminalistami, fałszerzami pieniędzy i gwałcicielami. Mieli tam swoje karty antropometryczne, ze zdjęciem i odciskami palców. Costache zrobił w tajemnicy eksperyment z Fane Inelaru: kazał mu pobrać odciski przy pierwszym aresztowaniu. Prawdziwy zaszczyt dla takiego złodzieja biżuterii jak Fane, który nawet nie rozumiał, o co chodzi, myślał, że to coś jak podpis - co dowodziło jego wrodzonego sprytu - i wrzeszczał jak opętany, że do niczego się nie przyznaje, że mają go nie obwiniać za coś, czego nie zrobił. Teraz, przy drugim aresztowaniu, Fane już nie krzyczał, spojrział tylko spoде łba na Costache:

- Co się tak na mnie uwziąłeś, Jean, że mi tak ciągle mażesz ręce, co wy tam knujecie? Chcesz mnie w coś zrobić? Ja tam jestem od czystej roboty, czy-stej, nie napadam, nie morduję! Tylko kradnę.

Costache poprosił w archiwum o stare odciski i oglądał je przez bitą godzinę pod lupą z rączką z kości słoniowej. Był gotów przysiąc, że są identyczne. Nie wiedział jednak, czy te dwa lata, które upłynęły, pozwalały na przeprowadzenie wiarygodnego dowodu. Zobaczymy za jakieś dziesięć lat, czy jest tak jak w przypadku drzew, czy inaczej. W domu zamoczył palce w fioletowym atramencie, ale na papierze nie wyszło nic wyraźnego. Później spróbował użyć wosku, nakapał wosku ze świeczki i odbił w nim swój prawy palec wskazujący. Musiał poczekać kilka lat, aby powtórzyć eksperyment. Wczoraj kazał też pobrać odciski temu nieznanemu, przywiezionemu przez Petre, i co dziwne - ten wcale się zdziwił, jakby wiedział, o co w tym chodzi. Jedyne rozsądne wnioski były takie, że to jakiś międzynarodowy przestępca, może z Nowego Jorku, gdzie - jak widział na zdjęciu w gazecie - kartoteka znajdowała się w pomieszczeniu ze ścianami pokrytymi od góry do dołu setkami szufladek: coś takiego marzyło się Costache w Bukareszcie. Dana Cretu z kolei należało uważnie śledzić, aby się przekonać, czy ma współników, zresztą prędzej czy później na pewno sam się zdradzi.

Zostawił płatki śniegu i plany reformy, wrócił do biura, skręcił papierosa, zapalił go, zaciągnął się z lubością aromatycznym dymem i nacisnął na dzwonek. Rozległo się przenikliwe brzęczenie. Kiedy w drzwiach pojawiła się łysa głowa przodownika, rozkazał wprowadzić Petre, zwanego Rosjaninem, woźnicę rodziny Ingerów, którego uważał za rozgarniętego człowieka. Przypomniała mu się znów reklama cukierni umieszczona obok jego ogłoszenia, ale odpędził tę myśl ręką jak muchę.

- Wezwałem cię, żebyś mi opowiedział wczorajsze zajście.

Woźnica obracał w rękę czapkę, a kikut palca jakby mu drgał. Powiedział zdecydowanym tonem:

- On musiał uciec z domu wariatów. I wydaje mi się, że to on postrzelił tego chłopaka z jasnymi włosami. Ale nie chce się przyznać. Nawet krzyczał: "Do niczego się nie przyznaję!".

- Jak to? Przecież nikt go o nic nie oskarżał, nie był wtedy na policji!

- Ja go oskarżyłem, tak jakbym był z policji! A on: "Nawet nie umiem strzelać" - akurat - "zawieźmy go szybko do szpitala, nie mam żadnego pistoletu, nie wiem, gdzie jestem, nic nie rozumiem, do niczego się nie przyznaję, chyba uderzyłem się w głowę!". Jest winny jak nic. A co z tym paniczem z jasnymi włosami, żyje?

Costache rzucił badawcze spojrzenie na woźnicę cukiernika.

- A czemu cię to tak interesuje?

Petre zmieszał się i odpowiedział wymijająco, że przecież jesteśmy chrześcijanami, nie poganami. Costache zmienił ton i zagroził mu, że jeśli ukrywa coś przed policją, to popamięta, i ze skamieniałej twarzy Petre wyczytał, że ten nie powiedział wszystkiego. Nie sądził, by chodziło o coś ważnego, może zdjął mu z palca jakiś pierścień albo coś w tym rodzaju, prędzej czy później wszystko się wyda.

- W jakim był stanie, kiedy go znalazłeś, był przytomny?

- Leżał na boku i gapił się na konia, jak szczy, przepraszam za wyrażenie, jakby pierwszy raz w życiu widział, jak szczy koń. Znalazłem go, jak już miałem wracać do miasta. Ledwo się trzymał na nogach, bałem się, że mi zleci z kozła, byłem pewien, że jest pijany.

Z woźnicy chyba już nic więcej nie można było wyciągnąć. Przekazał mu zamówienie dla cukiernika, na Wigilię, na którą miał zaproszenie w dwa miejsca, do państwa Margulisów i Livezeanu (jeszcze nie zdecydował, dokąd pójdzie, i nie dał odpowiedzi), po czym go odesłał. Wiele sobie po nim nie obiecywał i proszę, nie doznał zawodu. Następnie zadzwonił znów po staruszka przy drzwiach, ociężałego umysłowo, ale też fizycznie, bo ledwie chodził. Trzymał go z litości. Dowiedział się, że woźnica, który śledził mężczyznę o nazwisku Cretu, jest w budynku i z miejsca wezwał go na rozmowę. Otrzymał szczegółowe sprawozdanie z minionej nocy: o błąkanii się po ulicach, o spotkaniu z gońcem Nicu przed Szkołą Główną dla Dziewcząt, o dwudziestodwuminutowym pobycie w tak zwanej cerkwi Ikony, o pukaniu do drzwi ojca diakona, o pulchnej kobiecie (o imieniu Epiharia), która najwyraźniej wie coś więcej, o wyjściu z kocem w rękach, a później o całych godzinach bezsensownego kręcenia się w kółko, tak jakby chciał sobie zakpić ze śledzących go, co wykończyło dzielnego woźnicę bardziej, niż mógł powiedzieć szefowi. Szarpał za lejce dziesiątki razy, aż koń ustawał. Była jeszcze pogoń za przechodniem na ulicy Brezoianu, a na samym końcu - wejście do rudery koło cerkwi pod wezwaniem Świętego Stefana, zwanej też Bocianim Gniazdem. Od tego momentu woźnica policji kłamał: między północą a pianiem kogutów udał się do domu na spoczynek, będąc pewnym, że mężczyzna nie jest już w stanie ruszyć się na krok, ponieważ - co faktycznie dziwne w przypadku człowieka o jego statusie - przez całą swą szaleńczą wędrówkę ani razu nie wziął powozu albo dorożki.

- Dam sobie rękę uciąć, że to wariat, powinniśmy zapytać o niego i w Marcuty, i u doktora Sutu na ulicy Plantelor, i u doktora Marinescu na Pantelimonie.

- Masz rację, Budacu, jedź tam od razu. Do południa chcę mieć odpowiedź. A przede wszystkim zajrzyj do przychodni na Teilor i sprawdź, co z tym postrzelonym chłopakiem. Jeśli się obudził, wracaj natychmiast, muszę z nim koniecznie porozmawiać.

W klinice doktora Rosenberga przyjmowano pacjentów bez nazwisk i papierów, wielu w stanie ciężkim, za których Merostwo uiszczało roczną opłatę, tak jak na Plantelor, u Sutu, gdzie trzymano ludzi bez środków do życia. Zamiast "Tak jest!" i stuknięcia obcasami najlepszy



woźnica policji poruszył bezgłośnie wargami: żona czekała na niego, żeby zajął się świniobiciem, bo przecież dzisiaj było Świętego Ignacego. Widać, że szef to stary kawaler! Co go podkuśliło, żeby się mądrzyć i snuć przypuszczenia, przecież znał metodę przełożonych: proponujesz coś, to sam to robisz. Czasem lepiej ugryźć się w język. Obiecał sobie jednak, że najpierw wpadnie do domu, a dopiero później odwiedzi wszystkich możliwych wariatów w stolicy. Ten włóczęga to prawdziwe utrapienie. Jak tylko Petre go tu przywiózł, wszystkim źle się zaczęło powodzić, jak jakiś urok.

- Kto cię zmienił? - zapytał Costache.

- Wysłałem Ilie, ma szybką dorożkę. Ale według mnie nie trzeba czterech kół, starczą dwie nogi, żeby go śledzić.

- Dobrze, dobrze... Tylko nie wstępuj do domu, świniobicie zdążysz zrobić po południu!

- krzyknął jeszcze do woźnicy, jakby na potwierdzenie krążącej o nim opinii, że umie czytać w myślach.

Następnie Costache zarządził, aby zatrzymać gońca Nicu, kiedy przyjdzie z "Universul", i przysłać go od razu do biura. Z pouczeniem, że chłopak nie przyjdzie dobrowolnie i że należy go zatrzymać za wszelką cenę. Podeszedł znów do okna: ziemię pokryła świeża warstwa śniegu i miasto nabrało w ten sobotni dzień niezwykajnie radosnego charakteru. Woźnica musiał go jednak przekląć, gdyż przodownik przyniósł niewiarygodną wiadomość, że sejf nieznanego nie został odnaleziony, mimo że zaprzęgnięto do tego połowę wszystkich obecnych. Kiedy strażnik Paunescu odstawił Fane do aresztu, posterunkowy dyżurujący w pomieszczeniu z sejfem zdrzemnął się na chwilę, ale drzwi były zamknięte, a pudło, również zamknięte, ciągle tam było. Po prostu nikt nic nie widział i nic nie wie, przesłuchali wszystkich, posterunkowy zebrał cięgi, tak samo jak Paunescu, którego zbili na kwaśne jabłko, ale coś tu było nie tak, niczego nie można się było dowiedzieć. Teraz wzięli Fane na przesłuchanie. Na twarzy Costache nic nie można było wyczytać, a przodownik szybko opuścił biuro.

Około pierwszej dwóch żołnierzy wprowadziło wrywającego się Nicu. Chłopak miał rozbiegany wzrok, jakby chciał uciec, ale kiedy zorientował się, że nie ma odwrotu, spojrzął panu Costache prosto w oczy z czymś w rodzaju badawczej nieufności. Jego cieniutkie wargi były zaciśnięte i proste, jak u człowieka, którego właśnie niesłusznie obrażono, ale jeszcze zachowuje pełne godności opanowanie. Costache próbował ukryć nagły przypływ dobrego humoru. Chłopak trzymał czapkę za daszek w lewej ręce i kołysał się z nogi na nogę, pozostawiając na drewnianej podłodze ślady z wody i błota. Policjant dał znak żołnierzom, aby wyszli.

- Jesteś leworęczny?

Pan Costache tak samo zwracał uwagę na szczegóły jak doktor Margulis, tyle że policjant zwracał uwagę na wszystko, podczas gdy doktor tylko na objawy choroby. Policjant czuł instynktownie, że coś tu jest nie tak, tak jak lekarz wiedział, kiedy go boli brzuch. Tak samo instynktownie Nicu okłamywał obu. Wydał wargi i powiedział pewnym głosem:

- Nie, proszę pana, skąd! Jestem praworęczny.

- Siadaj tutaj. Jesteś głodny?

- Nie!

- Tym lepiej. Opowiedz mi szczegółowo, o czym rozmawiałeś z tym nieznanym, którego spotkałeś przed cerkwią Ikony.

Nicu westchnął i rozpiął surdut: więc to o to chodziło. Nie o incydent z soplem lodu ani nawet o portfel, którym policja lepiej żeby się nie interesowała, bo wtedy mógłby nie dostać

nagrody. I też nie o jego matkę, o jakąś aferę z nią. Po raz pierwszy rozmawiał z panem Costache i z bliska wydał mu się mniej straszny. Opowiedział, co pamiętał, zaczął od najprzyjemniejszej części, od krowy, ale na końcu wyraził też swoje zdanie. Powiedział ostrożnie.

- Nie jestem pewien, ale możliwe, że to Marsjanin. Nie wiem, czy pan o nich słyszał - dodał - było o nich we wczorajszej gazecie. W każdym razie to na pewno nie Kuba Rozpruwacz!

- Dlaczego? - zapytał Costache lekko skonfundowany na to "na pewno", ponieważ faktycznie wyeliminował z góry tę hipotezę.

Policja w całej Europie i cała prasa siedziały jak na szpilkach z powodu mordercy.

- Bo widziałem, że to dobry człowiek. Podobny jest trochę do pani Iulii, jakby byli rodzeństwem.

Twarz Costache nic nie wyrażała.

- Gdzie masz tę zabawkę, którą ci dał? Chciałbym ją obejrzeć.

- W domu - powiedział Nicu, powstrzymując się przed włożeniem ręki do kieszeni. Wzruszył ramionami na znak żalu, żeby dodać sobie wiarygodności.

Costache zaczął się głośno zastanawiać, w nagłym przypływie gniewu, jakich to ma podwładnych i jak przeprowadzili przeszukanie nieznanego. Kto wie, co jeszcze im umknęło, skoro zniknęło nawet pudło-sejf. Nicu pozwolił mu się wyładować, był przyzwyczajony do takich napadów, dzięki doświadczeniom z matką, ale zapamiętał wszystkie nowe informacje.

- Narysuj mi, co ci dał.

Podał Nicu piękny arkusz papieru welinowego. Wziął ołówek i naostrzył go nożykiem. Nicu lubił rysować, ale do tej pory robił to tylko na tabliczce albo na śniegu. Po raz pierwszy miał do dyspozycji białą kartkę i ołówek. Zarumienił się, wyteżywszy się jak wtedy, gdy dźwigał ciężką paczkę, i narysował najcudacznieszczą krowę w życiu, przedziurawiwszy niechcący w kilku miejscach kartkę. Oko zrobił jej przykryte czarną łatką, jak mają piraci, ale nie udało mu się narysować zbyt dobrze złączonych ze sobą nóg, cienkich jak włos i zakończonych kuleczkami. Podał rysunek Costache, spojrzawszy na niego wcześniej z niezadowoloną miną, jak artysta, który malował w pośpiechu.

- Nazywa się Fira, ja ją tak nazwałem. Nie ma wymienia, ale lepiej, że nie ma, niż gdyby jej mieli zrobić wymię tylko z trzema cyckami!

Pan Costache wydawał się czytać w ludziach jak w taflি czystej wody, za to gdyby patrzeć na niego, woda stałaby się mętna i nic by nie odbijała. Przeszedł do wniosków:

- Po pierwsze, skłamałeś, mówiąc, że nie jesteś leworęczny, ponieważ trzymasz ołówek w lewej ręce, po drugie, skłamałeś, że nie jesteś głodny, na to nie potrzeba mi dowodów, i po trzecie, skłamałeś, że nie masz tej zabawki przy sobie. To akurat łatwo udowodnić. Masz ją w lewej kieszeni, nie każ mi samemu jej szukać.

Nicu bardzo niechętnie się poddał. Kąt brwi zaostrizył mu się jeszcze bardziej, wyglądał teraz jak odwrócona litera "v". Pocałował krówkę i oddał ją, patrząc na boki. Pan Costache obejrzał zabawkę, po czym wstał i podszedł do kominka. Nicu był pewien, że wrzuci ją do ognia i ledwie powstrzymał się, żeby nie krzyknąć. Costache wypuścił ją z rąk, specjalnie lub może przypadkiem, ale krowa Fira uczepliła się nogami żelaznej kraty i przykleiła się do niej.

- Możesz ją zabrać - powiedział pan Costache bez żadnych dodatkowych wyjaśnień. - Weź sobie też w prezencie ode mnie papier i ołówek. Powiedz mi jeszcze tylko... Chcesz pomóc temu nieznanemu?

Nicu potwierdził, że tak. Policjant strofował go jeszcze przez chwilę, po czym pozwolił mu odejść.

- Jak matka? - zapytał zamiast pożegnania.

- Dobrze - odparł Nicu, kończąc wizytę na policji tak samo, jak ją zaczął, to znaczy kłamiąc. Skąd miał wiedzieć, gdzie się teraz podziewa jego matka? Pan Costache to dobry policjant, ale to nie znaczy, że policja też jest dobra. Nie należy przesadzać. Wybiegł więc szybko.

Doktor Margulis spojrział na swój zegarek *double* - złoty zegarek sprzedał, kiedy zaczęło się z Jakiem - i stwierdził, że jest dopiero 11.48. Do końca darmowych konsultacji dla biednych, których udzielał w każdą sobotę, zostały jeszcze jakieś trzy kwadranse. Jego asystent wziął sobie tradycyjnie wolne. Doktor odprowadził staruszkę, chorego niewątpliwie na wątrobę i równie niewątpliwie nadużywającego alkoholu - cuchnął poranną śliwownicą i miał pożółkłą twarz - i jednocześnie ucieszył się i zasmucił, widząc, że w poczekalni nie ma już nikogo. W końcu ludzie, którzy mogli go potrzebować, nie czytali ogłoszenia w gazecie. Wiadomość rozchodziła się właściwie z ust do ust. Margulis był dobrym lekarzem, ale nie miał zbyt wielu pacjentów. Za to u szarlatanów, felczerów lub "dyplomowanych" cyrulików, oferujących aspirynę w proszku albo maść na porost włosów i pigułki dla kobiet chcących "usunąć", drzwi się nie zamykały. Zarabiał tyle, żeby starczało na życie, zwłaszcza że Agata sprzedawała raz po raz jakiś wartościowy przedmiot ze swojego posagu. Przypomniało mu się ogłoszenie o nieznanym znalezionym nad jeziorami, które czytał rano, oraz drugie, policyjne, o postrzelonym mężczyźnie. Jemu również udzielił pierwszej pomocy, a następnie - ponieważ nie miał on przy sobie żadnych dokumentów - odesłano go do kliniki doktora Rosenberga. Popatrzył przez okno na padający śnieg i postanowił zamknąć wcześniej gabinet, aby pojechać do kolegi po fach, Rosenberga, i sprawdzić, co ze znalezionym wczoraj rannym mężczyzną. Był to jego obowiązek. Należał do lekarzy, którzy czuli się odpowiedzialni za swojego pacjenta, nawet jeśli ten nie pozostawał już pod ich opieką. Dla doktora Margulisa najlepszą szkołą była praktyka medyczna przy łóżku pacjenta, dogłądanie go przez cały czas, czyli jednym słowem szpital. Niestety zrezygnował z pracy w szpitalu z powodu nieporozumień z kolegą, wolał otworzyć własny gabinet i być niezależny. Bardzo by chciał zbudować i zorganizować samemu szpital, ale było to niemożliwe, to było tylko marzenie. Chyba że wygrają główną nagrodę na loterii noworocznej. Nic nie mówiąc rodzinie, zagrał w tym właśnie celu. Wyjął z kieszeni los i sprawdził jeszcze raz numery: 12.21.42. Wiek małego Iacoba, Iulii i Agaty. Złożył ostrożnie los, schował do tajnej przegródki w *portefeuille*[\[5\]](#), *portefeuille* do tajnej kieszeni marynarki, wziął torbę z brązowej skóry, wielką i ciężką, z przyborami poukładanymi w przegródkach, i wszedł po stopniach pasażu, w stronę postoju dorożek pod Teatrem Narodowym. Dał znak, na który rzuciło się naraz ze trzech dorożkarzy, ale doktor wszedł do Jewdoszki, nie dlatego, że był najbiedniejszy z nich, ale dlatego, że był najbardziej gadatliwy. On sam był raczej milczący, dlatego lubił słuchać.

- Do Rosenberga, do kliniki!

Jewdoszka raz po raz kłął siarczyście, choć jego cieniutki głos rzezańca nie pasował do wypowiedzanych słów. Śmiesznie mówić to wszystko takim dziecięcym głosem. Doktor wiedział, tak jak i wszyscy, że dorożkarze należą do pewnej rosyjskiej sekty i że dają się dobrowolnie wykastrować, niektórzy jako młodzieńcy, ale większość po spłodzeniu dwojga dzieci. Jemu jednak Jewdoszka powiedział więcej, a mianowicie, że w poprzednim stuleciu żył święty człowiek nazwiskiem Seliwanow, z guberni tulskiej, który miał objawienie w związku z wersetami z apostoła Mateusza o trzebieńcach, zakończonymi słowami "Kto może pojąć, niech pojmuje!" Otóż człowiek ten, znany już z tego, że dobrem odpłacał za zło i nadstawiał drugi policzek, kiedy go bito, początkowo nic z tego nie mógł zrozumieć, ale później dostąpił oświecenia i zrozumiał, że ma się wykastrować. Głoszona przez niego herezja rozprzestrzeniła

się bardziej, niż można by sądzić, a Katarzyna II, zaniepokojona, że jej poddani z czasem przestaną wystarczająco się rozmnażać, postanowiła położyć jej kres. Seliwanowa ujęto, spętano, obito knutem i polano mu głowę wrzącym woskiem. Zesłany na Syberię, przebywał tam tak długo, aż ułaskawił go car Aleksander. Ostatnie lata życia spędził na kontemplacji w monasterze. Jednak prześladowania, jak było do przewidzenia, zrobiły swoje, ludzie zaczęli go uważać za męczennika i świętego, i dobrowolnie oddawali się w ręce "nastawnika", aby pozbyć się klucza do piekieł. Kobiety zaś obcinały sobie czasami sutki, aby nie móc karmić i na znak, że nie chcą więcej dzieci. A później żyli - mężczyźni i kobiety - bez mięsa, bez wina, bez tytoniu, bez grzechu cielesnego i modlili się przed ikoną swojego świętego. Jewdoszka też miał swojego małego świętego Seliwanowa u siebie w domu, na ulicy Birjarilor. Tylko przeklinania się nie wyzbyli, grzeszyli językiem bardziej niż inni ciałem z jego kluczem do piekieł. U Leona Margulisa klucz do piekieł działał na szczęście bez zarzutu, Agata nie miała powodów, aby się skarżyć.

Z trudem posuwali się naprzód, był tłok, konie jechały stępa, dorożkarze rozmawiali ze sobą z kozłów o tym i o tamtym, i powozili, nie patrząc przed siebie, tak więc gdyby nie brudny śnieg, wielu ludzi wolałoby iść pieszo. Najlepiej wyszli ci, którzy jechali tramwajem konnym, miał swój wydzielony pas, i doktor Margulis żałował, że nie wybrał właśnie tej opcji. Jednakowoż poważnemu lekarzowi nie wypadało jechać tramwajem, co pomyśleliby pacjenci? Cały Bukareszt wyległ dzisiaj na ulice. Na Batistei doktor dojrzał młodego Livezeanu jadącego z przeciwnej strony w odkrytym powozie, niezbyt stosownym ze względu na padający śnieg. Kapelusz miał cały biały od płatków, ale najwyraźniej się tym nie przejmował, powoził samemu, zbyt szybko jak na taki ruch i wyprzedzał wszystko, co mu zagradzało drogę. Żeby tylko nie spowodował jakiegoś wypadku! Coraz więcej młodych mężczyzn ulega wypadkom lub z ich winy ulegają im inni, w zeszłym roku tylko do jego gabinetu trafiło czterech takich. Dojechali na Teilor. Zwrócił uwagę na wspaniałe domy na skrzyżowaniu ze Świętym Spiridonem, wiedział, że już od dawna je budują, ale proszę, teraz były już gotowe i aż lśniły. W środku paliły się żyrandole, a przez okno widać było poruszenie. Z podwórza wyszedł sprężystym, falującym krokiem jakiś młodzieniec i wskoczył szybko do stojącego na przystanku tramwaju konnego.

- Jesteśmy na miejscu, jaśniepanie! - oznajmił Jewdoszka, a jego klient postawił nogę na małej żelaznej podpórce, służącej jako stopień. Margulis przypomniał sobie, że w soboty doktora Rosenberga nie było w klinice, zapytał więc, gdzie jest młodzieniec o nieustalonej tożsamości przywieziony wczoraj przez policję, a wtedy pielęgniarka w białym kitlu i związanej z tyłu chustce zaprowadziła go do małej izdebki z czterema żelaznymi łózkami, z których tylko dwa były zajęte. W pomieszczeniu był zaduch i wionęło potem oraz środkiem dezynfekującym. Na jednym z łóżek doktor rozpoznał jasnowłosego chłopaka z zamkniętymi oczami, takiego, jakim widział go dzień wcześniej. Niestety musiał stwierdzić, że nie rokuje zbyt wielu nadziei.

Może powinien był pojechać z nim wczoraj, a może nie należało mu robić zastrzyku z oleju kamforowego? Niestety czasami medycyna nie jest wcale nauką, tylko raczej metodą prób i błędów. Może za sto lat nikt już nie będzie na nic chorować, bo będzie jakieś uniwersalny lek, inny niż śmierć.

Na drugim łóżku drzemał krzepki, rumiany młodzian z nogą w gipsie. Razem z nim do pomieszczenia wszedł ktoś jeszcze, trochę nieokrzesany korpulentny mężczyzna w mundurze, który pierwszy rzucił się do drzwi, a doktor, chociaż starszy, przepuścił go grzecznie.

- Jestem z policji - powiedział mężczyzna niemiłym tonem. - Proszę poczekać na korytarzu!

Doktor poczuł, że krew napływa mu do głowy, ale opanował się i odparł spokojnym głosem:

- Nie wiem, kim pan jest, może strażnikiem na posterunku w Ciorogarli, w każdym razie to pan niech poczeka na korytarzu, aż zbadam pacjenta.

Wzięty z zaskoczenia, mężczyzna spojrział gniewnie na intruza i gdy miał już na niego nakrzyczeć, rozpoznał go i stał się nagle potulny jak baranek.

- Najmocniej przepraszam, panie doktorze, jestem starszy posterunkowy Budacu, przysłał mnie pan Costache z Prefektury Policji, żebym zobaczył, co z tym chłopakiem, i kazał mi wrócić jak najszybciej z odpowiedzią.

Po czym dodał poufałym tonem:

- Żona czeka na mnie ze świniobiciem. Boję się jej bardziej niż szefa, wie pan, jak to jest, kiedy ma się heterę w domu.

- Muszę najpierw zbadać pacjenta - powiedział trochę burkliwie doktor. - Nie sądzę, aby był w stanie rozmawiać.

Chłopak ze złamaną nogą patrzył na nich z zaciekawieniem. Należał do ludzi, którzy trzymają ze zwycięzcami, bez względu na to, kim by byli, zwrócił się więc do Margulisa:

- Odkąd go przywieźli, jęczał tylko, aż do tej pory, ale co to kogo obchodziło. Możesz być umierający, a i tak nikt nie przyjdzie. Dała mu trochę wody - pokazał na kobietę w białej chustce - ale jak miał pić? Wszystko poleciało na boki, na łóżko.

Doktor pokręcił kółkiem i zwiększył płomień lampy naftowej, chwycił umierającego za przegub lewej ręki, wyjął zegarek z kieszeni kamizelki i zaczął liczyć.

- Biję nierówno. Chyba już po nim. Przekaż ode mnie panu Costache Boerescu, żeby przyjechał jak najszybciej - powiedział do policyjnego woźnicy - w agonii, przed samą śmiercią, chorzy na ogół odzyskują jeszcze przytomność na dłuższą lub krótszą chwilę. Tylko musi liczyć się z tym, że może przyjechać na próżno, bo nie ma na to żadnej reguły. Moim zdaniem nie wytrzyma nawet do piątej po południu.

Następnie odwrócił się w stronę pielęgniarki i kazał jej posłać po księdza.

## 4

- Wierzysz w Boga?

Nicu wszedł do domu malarzy, nie pukając i nie dziwiąc się panującemu tam bałaganowi. Sam też nie mieszkał w pałacu, jednak kiedy jego matka miała lepszy dzień, to robiła porządki, sprzątała i prała. Najmowała się zresztą jako praczka. Latem chodziła prac na nadbrzeże, gdzie też wszystkie kąpały się nago razem z mężczyznami bez żadnego wstydu, zimą było gorzej, chodziła tylko do domów, które miały bieżącą wodę. Biedaczka miała ręce "jak praczka", czerwone i spuchnięte. Kiedy go czasem głaskała, czuł wszystkie jej odciski, właściwie bardziej go drapała po twarzy, niż pieściła. "Nieznajomy", oparty głową o jakieś łańchmany i opatulony w brązowy koc, patrzył na okno, przez które ledwo przenikało światło, a z każdym powiewem wiatru wpadało, by obumrzeć w środku, kilka płatków śniegu. Nie wyglądał tak dobrze jak poprzedniego dnia, miał dłuższy zarost, przez co wydawał się brudniejszy. Nie był już ani trochę podobny do Iulii. I twarz też miał jakby bardziej zapadniętą. Nicu bardzo lubił pytanie o Boga, było to jego ostatnie odkrycie, i kiedy je zadawał, stanowiło oznakę wielkiej zażyłości z jego strony. Jego umiejętności konwersacyjne były zresztą ograniczone, chociaż jego nauczyciel twierdził, że jest zbyt rozgadany i czasem targał go z tego powodu za uszy albo bił różgą po dłoniach: "A ciebie znowu język śwędzi!" i "Ty to ani chwili nie usiedzisz spokojnie, jakbyś miał robaki!". Nicu faktycznie miał robaki, ale doktor Margulis kazał mu jeść czosnek i seler, i słodycze na glisty, i mu przeszło. Chciał się zaprzyjaźnić z nieznajomym, bo było widać na kilometr, że potrzebuje pomocy. Nie spodziewał się dostać odpowiedzi na pytanie o Boga, więc sam odpowiedział belferskim tonem:

- Ja wierzę w elektryczność. Ale w Boga też wierzę, jeśli mam jakiś problem. Dzisiaj wierzę.

- Dzisiaj masz jakiś problem? Jaki jest dzisiaj dzień?

No proszę, nieznajomy jednak z nim rozmawia i nawet rozumie, o co chodzi, nie jest więc głupi ani chory na głowę, zresztą zauważył to już wczoraj. Ale Nicu był nie w sosie. Odpowiedział:

- Dzisiaj jest sobota i jest mi smutno.

- Mnie też - stwierdził oschle nieznajomy, patrząc ciągle na oko ze szkła z dziurą w kształcie promienistego słońca. Słońce było zbite i zimne.

Nicu wolałby usłyszeć "Dlaczego?", aby móc opowiedzieć o portfelu, którego szukał bezskutecznie przez cały ranek. Jemu mógłby powiedzieć. Jeśli ten mężczyzna był z Marsa, może wiedział, gdzie jest, bez szukania, i czy w środku był los na loterię, i czy numery na losie były zwycięskie. W przeciwnym razie nie było już sensu się trudzić.

- Jak się nazywasz? - zapytał Nicu, mimo że wiedział jak, ale nieznajomy nie wiedział, że on wie.

- Dan Cretu.

- A ja Nicu. Ale w szkole pan woła na mnie Niculae, Stanciu Niculae. Znasz aptekarza Kretzu, tego rudego? Wcale nie ma kręconych włosów[6]. Posyła mnie nieraz z różnymi leczniczymi maściami, mazidłami, tabletkami i proszkami. Jestem gońcem - powiedział chłopak, chcąc, aby zabrzmiało to skromnie, chociaż był bardzo z tego dumny.

- Czego tu szukasz?

Nicu nie wiedział, co odpowiedzieć, więc zajął się ogniem.

- Pójdę do Bocianiego Gniazda po świeczkę. Ładnie się nazywa, nie?

- Kto, ty?

- Nie nazywam, tylko nazywa. Bocianie Gniazdo! Ich kantor powiedział mi, że kiedyś przylatywały tu bociany i wily gniazdo na dachu - był z gontu. Bardzo bym chciał, żeby znów przyleciały, lubię wszystkie ptaki, nawet wrony, a Jacques, mój przyjaciel, bardzo lubi rybitwy. Patrzymy na nie, bo umieją latać... Ja też chciałbym umieć latać, nawet śniło mi się, że latam. Biednemu Jacquesowi też to się czasem śni. A panu śniło się kiedyś, że lata?

- Nie tylko mi się śniło. Latałem - powiedział mężczyzna, a Nicu wprost nie mógł uwierzyć, że jego podejrzenia się potwierdziły: to faktycznie był człowiek z Marsa, który spadł na Ziemię. Oszołomiony, nie ośmielił się pytać o nic więcej.

Zniknął na kilka minut i wrócił z zapaloną świecą, osłaniając płomień dłonią. Ułożył kupkę z resztek drewna znalezionych w pomieszczeniu i rozpałił z łatwością ogień, a potem znów wybiegł na zewnątrz. Tym razem wrócił z wodą w obtłuczonym kubku.

- Nie znalazłem herbaty. Jeśli chcesz, podgrzeję ci wodę na ogniu. Wziąłem chleb, szykowali go na liturgię, bo jutro jest niedziela. Wina nie chcieli mi dać, myśleli, że sam chcę je wypić, ale ja jeszcze w życiu nie piłem wina. Ja nie jestem głodny, niech pan je.

I opróżnił kieszenie surduta.

- Rozmawiałeś kiedyś przez telefon?

Mężczyzna kiwnął głową, że tak, przeżuwając chleb.

- Ja też, już nawet trzy razy, w "Universul", pan dyrektor Cazzavillan mi pozwolił. Słysząc kiepsko, zawsze coś stuka i trzeszczy, ale w słuchawce jakby siedział żywy człowiek, mały jak laleczka, tyle że go nie widzisz. Niektórzy mają głos podobny do swojego, ale niektórych to nawet nie idzie poznać, jakby mieli nie swój głos, jakby w ogóle do nich nie pasował... Chcesz być moim bratem?

Nie otrzymał odpowiedzi. Zamilkł na chwilę i westchnął. Wyjął z kieszeni krowę i poruszył jej nogami.

- Teraz nazywa się Fira. Słuchaj, przyszedłem ci pomóc - powiedział, łypiąc okiem na chleb znikający w ustach nieznanego, który wstał i usiadł na brzegu łóżka. - Pomogę ci i może ty też kiedyś będziesz mógł mi pomóc, to znaczy będzie pan mógł - poprawił się. - Ale ja i tak ci pomogę, za darmo.

Nicu czuł się jak wtedy, kiedy przełykał z trudem kawałek jedzenia, który utkwiał mu gdzieś w przełyku.

- Kto cię tu przysłał?

Pytanie zabrzmiało trochę szorstko. Chłopak zastanowił się przez chwilę.

- Babcia mówiła, że to Bóg nas przysyła i zna los każdego z nas. Piszą o tobie w "Universul", to znaczy o panu, czytał mi pan Cercel. Ja też umiem trochę czytać, zwłaszcza jak coś jest dużymi literami. I pisać też troszeczkę umiem, ale lewą ręką. Wersaliki to duże litery, tak na nie mówią u nas w gazecie. A jeśli jesteś dziennikarzem, tak jak tam napisali, to cię zaprowadzę do "Universul", bo pan Procopiu potrzebuje kogoś po szkołach, kto umie ładnie pisać. Pan Procopiu jest tam szefem, tylko pan dyrektor Cazzavillan jest od niego ważniejszy. Szuka kogoś od Świętego Dymitra, kiedy odeszło naraz ze trzech redaktorów, i jeszcze nikogo nie znalazł. A ty umiesz, to znaczy umie pan pisać, nie? Naprawdę jesteś dziennikarzem?

Mężczyzna albo nie usłyszał, albo wolał nic nie mówić. Nicu studiował jego kolorowe buty, teraz widział dokładniej fioletowe i zielone paski. Nie wyglądały zbyt solidnie i widać było, że są ciągle mokre. Musiał spać w ubraniu, jak włóczędzy.



- Może w "Universul" dadzą ci parę kaloszy. Najlepsza marka to St. Petersburg, wszyscy chłopacy takie noszą, bo mają podwójną podeszwę.

Nicu złapał go za rękę, tak jak matkę, kiedy nie bardzo wiedział, co jej jest. Zabrał też z wiadra jego okrągły kapelusz, przetarł go rękawem surduta, dziwiąc się, skąd tu się nagle wziął. Tak jak powiedział Jacquesowi, był pewien, że poprzedniego dnia mężczyzna nie miał żadnego nakrycia głowy. Udało mu się wyrwać go z odrętwienia, jednak nieznajomy jakby nie przebudził się tak do końca. Kucharka Margulisów opowiadała chłopcom o ludziach, którzy o pełni księżyca chodzą we śnie, jakby byli przytomni, wchodzą na dach, i jeśli na nich krzyknąć, mogą spaść, ale poza tym nic im nie jest. Czyżby dzisiaj w nocy była pełnia? Nie zwrócił na to uwagi. Spojrzał sceptycznie na nieznajomego mężczyznę. Na ulicy trochę było mu wstyd ze względu na jego ubranie, za duży płaszcz i wygląd przybysza z obcej planety. Pewnie, że wolałby jechać teraz w krytym powozie z błyszczącym ekwipażem, z kimś ładnie ubranym, wesołym i pewnym siebie, pachnącym olejkiem paczulowym, a nie z jakimś nędznie wyglądającym Marsjaninem. Ale rodziny się nie wybiera. Tak jak na loterii, jedni wygrywają, drudzy przegrywają. Nicu uważał już za członka swej niewielkiej rodziny tego Dana, który w dziennym świetle wyglądał łagodnie, ale i chorowicie. Przyszło mu jednak do głowy, że może faktycznie tak było, że może miał nieznanego brata, który wychował się daleko od niego, tak jak to przydarzyło się w rodzinie jednego kupca z targu rybnego. Kiedy bracia się spotkali, poczuli coś jak porażenie prądem i popłynęły im łzy. On też poczuł się jak porażony prądem, kiedy po raz pierwszy go zobaczył, brakowało tylko łez. Więc czy to naprawdę jest jego brat, jeśli jednak nie zebrało mu się na płacz?

Weszli do redakcji "Universul", a pan Cercel, który od pewnego czasu cierpiał na ostry ból brzucha, podniósł się z jękiem. Kiedy nieznajomy otrzepywał się ze śniegu, portier - co za niespodzianka! - zakomunikował chłopcu ściszone głosem, że ma w końcu los na loterię. 98.38.51. Czyli: przyszły rok, tak jak chciał Nicu, jego rok urodzenia i rok urodzenia jego żony. Spojrzeli sobie w oczy, czując wzruszenie, tak jak wtedy, kiedy wystawia się przeznaczenie na próbę. Pan Cercel, z mniej niż zwykle zaczerwienioną twarzą, zaprowadził ich do Peppina Mirto. Nicu w ogóle się nie zdziwił, dowiedziawszy się, że pan Peppin jest gotów pomóc nieznajomemu, był to człowiek, na którego zawsze można było liczyć i który umiał załatwić wszystkie trudne sprawy. Nie rozumiał za to, dlaczego pomagał mu też pan Costache, jednak nie zastanawiał się teraz nad tym. Widocznie miał swoje powody. Peppin pracował akurat nad jakimś tłumaczeniem.

Napisał właśnie: *Część druga. Geniusz zła...* i zamierzał znów zanurzyć pióro w kałamarzu, kiedy w drzwiach stanęła niecodzienna grupka złożona z portiera, Nicu i nieznajomego mężczyzny o łagodnym wyrazie twarzy. Portier wytłumaczył, o co chodzi, pan Mirto odłożył pióro, osuszył bibułą wspaniały tytuł i donośnym głosem poprosił Dana, aby usiadł. Zdziwił się, widząc, że mężczyzna nie zdjął melonika wciśniętego trochę za mocno na uszy.

- Pan Neculai Procopiu już jest? - zapytał portiera.

- Jeszcze nie - odpowiedzieli jednocześnie Nicu i pan Cercel. - Ale powinien być lada chwila. Powiem mu, żeby do pana zajrzał... - dodał portier.

- Ja też mu powiem - dorzucił Nicu i wyszedł razem z portierem i mrugnął w drzwiach do swojego przybranego brata. Nauczył się tego w szkole, od starszych chłopców, którzy zawsze się ze sobą solidaryzowali i jednocześnie zawsze sobie dokuczali. Nicu przeważnie dokuczali, ale on nie brał tego do siebie, przyjmował wszystko z pokorą.

Peppin nie bardzo wiedział, jak powiedzieć nieznajomemu, że ten zapomniał zdjąć kapelusz, i w końcu poniechał, żeby nie wprawiać go w zakłopotanie. Zaczął szukać odpowiedniego tematu do rozmowy między ludźmi, którzy się nie znają i właśnie powiedział melodyjnie: "Ale śnieżycy! Jutro za to ma być ładnie, to chyba najładniejsza zima od...", kiedy usłyszał z ulgą głosy na korytarzu i do pokoju wszedł pan Neculai Procopiu w trochę nazbyt eleganckim jak na zwykły roboczy dzień cylindrze. Pewnie prosto stąd pójdzie do opery - pomyślał Peppin łaknący wiecznie muzyki.

- Dzień dobry, czyli to pan... - zdążył powiedzieć pierwszy redaktor, zanim wbił wzrok w kapelusz na głowie nieznajomego.

- Pan Dan Kretzu. Nie jest pan czasem krewnym aptekarza Kretzu? - zapytał Peppin.

Widząc spojrzenie pierwszego redaktora gazety, wpadł, nie wiedząc jak, na sformułowanie, którego brakowało mu wcześniej, tak jak to przytrafiało mu się czasem podczas tłumaczenia, gdy odpowiednie słowo przychodziło mu nagle do głowy.

- Jeśli ktoś siedzi ubrany w redakcji, znaczy to, że jest tam tylko gościem. Proszę się nie gniewać, że jako stary dziennikarz dzielę się z panem tą uwagą, bo mam nadzieję, że będziemy wkrótce kolegami. Może powiesi pan płaszcz i kapelusz na wieszaku?

I opatrzył tę pięknie wyartykułowaną frazę zachęcającym gestem w stronę wieszaka, obok którego, jak w każdym biurze, wisiał kalendarz z kanadyjskimi łyżwiarkami. Mężczyzna zdjął

bez przekonania kapelusz, ale nie wypuszczał go z rąk. Trzymał go jak szmacianą piłkę. Peppin Mirto nie odczuwał na razie jakiejś wielkiej sympatii do tego ani młodego, ani starego człowieka o bladej twarzy i przygaszonych oczach, któremu - na osobistą prośbę pana Costache - miał dyskretnie pomóc. Nie rozumiał do końca, z jakiego powodu. Z kolei pierwszy redaktor utkwiał w męczyznę spojrzenie, które mogło oznaczać wszystko.

- Pan pozwoli - powiedział Neculai Procopiu i rzucił się, aby wziąć kapelusz.

Zamiast jednak powiesić go na wieszaku, spojrzął na podszewkę i wydał okrzyk, który zdziwił niepomiernie tłumacza. Czegoś tu nie wiedział.

- Ten pan - zaczął od początku - jest tu w sprawie pracy, jest dziennikarzem... Gdzie pan wcześniej pracował, pewnie za granicą? Nie chcemy być niedyskretni, mimo że to część naszego zawodu, ale nie między kolegami, sam nam pan opowie, kiedy zechce, mamy mnóstwo czasu, tak więc może to poczekać.

Peppin lubił słuchać swojego głosu. Neculai Procopiu przerwał mu:

- Gdyby był pan łaskaw zademonstrować nam swoje umiejętności, pan Peppin Mirto powie panu, co i jak, a kiedy będzie pan gotów, proszę przyjść do mnie, na górę, ostatnie drzwi na prawo, jak pan wejdzie po schodach. Czekam na pana, do zobaczenia!

Peppin czuł się trochę skrępowany i nie wiedział dlaczego. Pomógł nieznanemu zdjąć płaszcz z kościanymi guzikami, powiesił go na wieszaku, pod kapeluszem, po czym wyjął stertę listów. Przeprowadzoną przez gazetę ankietę na temat *Dlaczego pościsz?*, która miała się ukazać w środę, 24 grudnia. Otrzymane od różnych abonentów odpowiedzi należało podzielić na kilka kategorii, przepisać i dodać do nich zdanie wprowadzenia i kilka słów podsumowania.

- Już zacząłem, więc właściwie nie ma pan dużo do roboty - powiedział z odrobiną żalu Peppin. - Widzi pan, jestem korektorem i tłumaczem, nie redaktorem, ale z braku ludzi robię wszystko, jak gosposia w domu. Tłumaczę z włoskiego, bo moja matka była z Arezzo, i z angielskiego, jeśli trzeba, choć z dużo większym trudem. Pan ma tylko dokończyć, co zacząłem. Jeśli chodzi o ortografię, to używamy nowej, jak pan zresztą zobaczy w moim rękopisie. W razie jakichś niejasności proszę pytać.

Peppin wychylił się zza biurka, aby poprosić o kawę, którą przyniósł po chwili Nicu. Kazał mu też wziąć dwa placki "na rachunek »Universul«", które ten położył na biurku i zadowolony z siebie mrugnął znów do Dana. Nieznajomy zjadł łączywie jeden z nich, niemal nie gryząc, a później jeszcze bardziej łączywie rzucił się na papierosa, którym poczęstował go pan Mirto.

Po jakiejś godzinie, w czasie której pan Peppin oddał się tłumaczeniu o geniuszu zła, a nieznanomy pisał bez żadnych potknięć - wolał ołówek od pióra - zadanie było ukończone. Pracował bez słów, jakby był niemy, i wypalił jeszcze dwa papierosy z papierośnicy pana Mirto, aż ten nie schował jej w szufladzie biurka, którą zamknął dyskretnie na klucz. Raz tylko Dan Cretu podniósł głowę i zapytał, co znaczy "legumina", "dlatego, że lubię leguminę". Peppin wyjaśnił mu znaczenie słowa, choć był trochę zaintrygowany tą luką w pamięci, którą można było położyć jedynie na karb długiego pobytu za granicą. Mężczyzna mieszkał pewnie od dziecka w innym kraju, kto wie, w jaką podejrzaną aferę był zamieszany. To dlatego policja tak się nim interesuje. Z ciekawości rzucił okiem na kartki, pismo wydało mu się bardzo nieładne, ale - co najważniejsze - można je było łatwo rozczytać. Na razie nie wypadało oceniać wyników.

Pan Procopiu uczynił od razu to samo spostrzeżenie.

- Pismo nieładne, ale łatwo je rozczytać, a to najważniejsze.

Zapalił stojącą na biurku lampę, ponieważ cienie zmierzchu spowijały już pomieszczenie. Na dworze ciągle padał śnieg, ale ogień w kominku i światło elektryczne (podciągnięte kilka lat

temu z bulwaru aż do numeru 11 na ulicy Brezoianu, to znaczy akurat do nich) nadawały biuru miły wygląd. Następnie przeczytał uważnie materiał:

(Margines) TRADYCJE: ADWENT

Nasza ankieta (odstęp pojedynczy)

**DLACZEGO LUDZIE POSZCZĄ?** (czcionka pogrubiona)

(Chapeau) Redakcja "Universul" zadała to pytanie grupie stu respondentów. Oto, jakie odpowiedzi otrzymaliśmy od naszych czytelników. Niektóre poważne, niektóre żartobliwe, tak różne, jak różni są ludzie.

21 osób odpowiedziało: Poszczę, ponieważ taki jest zwyczaj.

13 żeby być w dobrej formie.

13 żeby mieć poważanie u sąsiadów.

1 żeby sprawić przyjemność teściowej.

3 żeby oczyścić żołądek.

3 bo tak mi kazali w testamencie babcia, matka albo ojciec.

2 bo lubię fasolę.

1 bo lubię leguminę.

4 dlatego, że dobre postne jedzenie jest lepsze niż złe niepostne.

2 żeby kupcy mogli sprzedać ośmiornice.

2 żeby zaoszczędzić, bo mięso jest coraz droższe.

1 dlatego, że przyjaźnię się z metropolią.

4 żeby zgubić brzuch.

3 bo tak gotuje nasza kucharka.

1 bo mój ojciec handluje warzywami.

1 żeby żona nie kazała mi już chodzić po kawior.

4 żeby było wstyd naszemu księdzu, który nie pości.

7 żeby nie mieć wojny w domu.

2 żeby się przypodobać przyszłym teściom, bo nie wydaliby córki za heretyka.

2 bo taka jest moda.

9 nie mam pojęcia dlaczego.

Tylko jeden respondent odpowiedział: "Ponieważ jestem chrześcijaninem".

Nasza redakcja życzy Wam, bez względu na to, czy pościliście, czy nie, wesołych świąt w rodzinnym gronie!

## 6

Pan Procopiu miał wąsy posmarowane woskiem kosmetycznym i czytając, ciągle ich dotykał, jakby chciał sprawdzić, czy są na swoim miejscu. Na górze strony skreślił "respondentów" - źle brzmi, staramy się unikać zbyt radykalnych określeń - i wstawił zamiast tego "chrześcijan", a na końcu napisał, zamiast "tylko jeden respondent", "tylko jeden spośród ankietowanych, abonentów gazety »Universul«".

- Moje gratulacje, panie kolego! Bardzo dobrze, może się pan uważać za przyjętego - powiedział pierwszy redaktor. - Witamy u nas! Pozwoli pan jednak, że przejdziemy na ty, wydaje mi się, że jesteśmy w tym samym wieku. Ja urodziłem się w 1854, tak samo jak nieboszczyk George Lahovary.

Mężczyznę przeszedł dreszcz. Procopiu zinterpretował to po swojemu:

- Umrzeć przebitym szpadą w wieku czterdziestu trzech lat za napisanie artykułu politycznego... To ci dopiero los, co? No ale my nie zajmujemy się polityką, przynajmniej na razie. Widać u ciebie dobrą szkołę - Procopiu wrócił do tematu. - Piszesz zwięźle i treściwie. Naszą naczelną zasadą jest, o ile to możliwe, nie używać przymiotników. Dostaniesz też listę nowych skrótów. I damy ci też z naszego magazynu nowy kapelusz, pracownicy dostają prezent na święta, i chyba też przydałyby ci się nowe kalosze - powiedział, patrząc z zażenowaniem to na głowę, to na nogi nowego pracownika. Na słowo "kapelusz" wytworzyło się między nimi coś w rodzaju nieprzyjemnego sekretnego porozumienia. Z zupełnie różnych powodów żaden z nich nie miał ochoty wyjaśniać nocnego zajścia z ucieczką Procopiu i utratą kapelusza.

- Jutro proszę przyjść na dziewiątą. Jak pewnie wiesz, przychodzimy również w niedzielę i pełnimy po kolei dyżur. Resztą, to znaczy zakwaterowaniem, wyżywieniem, wynagrodzeniem zajmie się pan Mirto, którego już poznałeś, to ten pan z dołu o grubym głosie, Peppin. Jest jeszcze jeden Mirto, Pavaluca, Pavel, pracuje przy tamtym stole, ale dzisiaj wziął wolne, ma świniobicie, bo jest przecież Świętego Ignacego. Na święta przyniesie nam najróżniejszych smakołyków, ma znakomitą kucharkę, zresztą sam się przekonasz. Jesteśmy jak rodzina. Zdarzyło się kiedyś, że odeszło jednocześnie paru dobrych redaktorów i "Calauza Bucurestiului" i "Adeverul" trochę nam dogryzają, że nie mamy ludzi... Więc jeszcze raz serdecznie witamy - dodał, lekko rozzłoszczony tym, że nieznajomy nie odpowiada, nie reaguje i przede wszystkim nie zbiera się do wyjścia. Wstał, otworzył drzwi i uklonił się grzecznie na pożegnanie. W tej samej chwili zadzwonił na korytarzu telefon, a Procopiu rzucił się podnieść słuchawkę.

- Moje uszanowanie, panie Boerescu. Jak najbardziej, to temat na pierwszą stronę, któż by nie chciał mieć wyłączności na coś takiego? Już tam jadę.

Usłyszawszy, kim jest przybysz, siostra w białym fartuchu zaprowadziła Costache Boerescu do jasnowłosego młodzieńca przywiezionego dzień wcześniej. Kobiecie żal było tego biednego chłopca, doświadczenie mówiło jej, że nie ma wystarczająco siły życiowej, *vis vitalis*, ani chęci, by żyć, by z tego wyjść. Jego witalność była zmacona jak woda w rzece po deszczu. Miał na sobie eleganckie ubranie i wypolerowane buty, a kiedy zdjęli mu garnitur, zobaczyła bieliznę bogatego panicza. Na koszuli pokrytej teraz zakrzepłą krwią widniał wyszyty starannie monogram, trzy litery o ogonkach zwiniętych jak ślimaki, *R.O.Z.* Pierwsze, co zrobił pan Costache, to zbliżył lampę naftową stojącą u wezglowia łóżka do koszuli leżącej na oparciu krzesła i samemu zaczął studiować te trzy litery. Choćby po to warto było się tu fatygować.

Usiadł obok rannego i pogрузzył się w myślach, ignorując badawcze spojrzenia dobrze odżywionego mężczyzny z nogą w gipsie. Zrobiło mu się gorąco, pokój był mały, a piec stał zbyt blisko, tak więc uchylił okno i wciągnął chciwie do płuc zimne powietrze. Zobaczył zatrzymującą się przed wejściem dorozkę, a po chwili siostra wprowadziła pana Neculaia Procopiu, który usiadł bez słowa z drugiej strony łóżka. Szpital, sanatorium były dla niego czymś w rodzaju cerkwi lub świątyni, gdzie nie wypada rozmawiać. Nieoczekiwanie zjawił się też doktor Rosenberg. Powiadomiono go, że ma ważnych gości i chociaż w szabat starał się nie wychodzić z domu, uczynił tym razem wyjątek, którego tam na górze nikt z pewnością nie weźmie mu za złe. Daleko było mu do bigoterii. Poleciał przenieść drugiego pacjenta do innego pomieszczenia i rozmówił się z nim delikatnie, kiedy ten zaczął protestować i użalać się na nudę, po czym poprosił przez drzwi o krzesło. Usiadł z trudem, ponieważ cierpiał na artrozę. Jeśli ktoś jest lekarzem, nie znaczy to, że choroby omijają go szerokim łukiem, jak to powinno być w idealnym świecie. Zaczęli rozmawiać ścisłym tonem o całej tej dziwnej historii.

- Myślą panowie, że jest jakiś związek między panem Danem Cretu, którego właśnie przyjęliśmy do pracy - powiedział z lekkim niepokojem w głosie Procopiu - jest po dobrych szkołach, pewnie zagranicznych, a tym młodzieńcem?

- Najwyraźniej. W naszym zawodzie zbiegi okoliczności są rzadkie, ale nie wykluczone - odpowiedział cicho Costache. - Na ogół dopiero dwa lub trzy takie dziwne trafą dają pewną odpowiedź. Na razie jest tylko jeden, to, jak ich znalezione.

Doktor Rosenberg, o zupełnie siwych włosach i niezwykle łagodnym głosie, przedstawił im stan pacjenta.

- Pan doktor Margulis prosił mnie, abym przyszedł, jeśli będę mógł, ponieważ spodziewa się krótkotrwałej poprawy, zanim... I myślę, podobnie jak on, że byłoby dobrze, jeśli się uda, zrobić mu zastrzyk domięśniowy z kofeiny, tak żeby miał siłę rozmawiać.

Uprzedził ich jednak, że u niektórych umierających ten ostatni moment, na który odzyskują świadomość, upływa w zupełnej ciszy, tylko oczy zdają się mówić, innych trudno zrozumieć, choć na pozór mówią logicznie, inni zaś wydają z siebie rozdzierające krzyki, a inni jeszcze wpadają w ekstazę. I zrelacjonował im kilka przypadków, z których najbardziej napawała otuchą historia pewnej kobiety, która opowiadała przed śmiercią, że widzi bardzo jasne światło i że wzlatuje ku niemu, a gdy wydawała ostatnie tchnienie, na jej twarzy malowała się błogość.

Zamilkli na dłuższą chwilę. Procopiu wstał i podszedł do okna, doktor Rosenberg wpatrywał się w pacjenta, drzemiąc już prawie, a pan Costache pogрузzył się w zadumie. Od czasu do czasu podkręcał w dół końce kasztanowych wąsów, które zazwyczaj sterczały lekko w górę. Brody nie miał, zrezygnował z niej, z pewnym wahaniem, kilka lat temu. Wydawało mu się jednak, że dzięki temu wygląda młodziej. Wszyscy trzej aż się wzdrygnęli, kiedy chory otworzył oczy. Po raz pierwszy ujrzeli jego spojrzenie i uderzył ich głęboki brąz w ogromnych oczach. Były przepełnione zdumieniem: próbował dociec, gdzie się znajduje.

- Spokojnie, jesteś w dobrych rękach - powiedział doktor Rosenberg kojącym głosem i przypomniał sobie radę kolegi Margulisa, niemal pobiegł po strzykawkę do naczynia z wodą gotującą się na małym ogniu na piecu w salce obok.

Kiedy wrócił, jasnowłosy mężczyzna siedział na łóżku i mówił coś, z trudem artykułując słowa. Costache wyjął wizytówkę i ołówek, próbując zapisać to, co słyszał: "światło, Popescu, światło, z gwiazdami, Matka Boska". Wydawało mu się, że usłyszał też coś jakby "sar" albo "dar". Następnie, jakby uwolniony od nieznanego ciężaru, jasnowłosy młodzieniec wypuścił powietrze, nie biorąc już jednak kolejnego oddechu. Doktor Rosenberg zastygł z igłą

w powietrzu, zdążył tylko uronić z niej jedną próbną kroplę niczym łzę. Mógł już tylko zamknąć mu na powrót oczy, stwierdzić zgon, o godzinie osiemnastej, minut jedenaście, dnia 20 grudnia, sobota, i wpisać go do rejestru. Procopiu złączył ręce, Costache wbił wzrok w słowa zapisane na wizytówce, usiłując nie patrzeć na boki, a doktor Rosenberg zapytał:

- Kto się zajmie pogrzebem, jeśli ciągle nic nie wiadomo na jego temat? Mam powiadomić Merostwo, tak jak zwykle? Pan mer Robescu aż do Nowego Roku jest w Wiedniu, ale jest pan Bursan, właściwie to on zajmuje się tymi sprawami.

- Bardzo proszę, aby był pan tak uprzejmy i zaczekał do jutra. Jest zima, więc myślę, że można przenieść go do jakiegoś nieogrzewanego pomieszczenia. Dam panu znać, co dalej, ponieważ mam nadzieję odnaleźć jego rodzinę. I pan też - Costache zwrócił się do dziennikarza.

- Proszę zostawić kogoś pod telefonem. Dwieście dziewięćdziesiąt siedem, jeśli dobrze pamiętam?

Wychodząc, spotkali księdza z cerkwi Ikony, który przyszedł z ostatnim namaszczeniem, tyle że spóźnił się o parę minut. Mimo wszystko wszedł i zrobił, co trzeba, ponieważ uważał, że nigdy nie jest za późno na te sprawy. Costache zamienił szeptem parę słów z Procopiu. Chyba nie wszystko z tego, czego się dowiedzieli, powinno znaleźć się na pierwszej stronie, niektóre informacje dobrze było ujawnić, niektóre należało zataić. Tak czy inaczej, nie wcześniej niż w poniedziałek, ponieważ jutro mieli nadzieję ustalić coś więcej. Redaktor poczekał na tramwaj i pojechał do domu, aby odespać utracone poprzedniej nocy godziny snu.

Pan Costache poszedł pieszo. Dał wolne Budacu, żeby ten mógł zająć się świniobiciem. Starał się nie dawać swoim ludziom powodów do zbyt długiej złości. Śnieżycą ustała i świeżo spadły śnieg błyszczał tu i tam w świetle latarni. Podeszwy Costache zostawiały duże ślady w bieli chodnika. Obok nich, po prawej stronie, ciągnął się rząd małych, głębokich punktów odcisniętych przez laskę. *Popescu* było często spotykanym nazwiskiem, trudno będzie dojść, o kogo chodzi. *Światło, gwiazdy, Matka Boska*, to wszystko zwiastowało już najwyraźniej zbliżający się koniec. Chociaż... Reszty nie było słyhać zbyt wyraźnie, coś jakby *dar*? Za to *R.O.Z.* będzie o wiele łatwiej znaleźć. W domu miał sporządzony osobiście alfabetyczny wykaz wszystkich ważnych monogramów wielkich rumuńskich rodów. A młodzieniec mówił po rumuńsku bez śladu obcego akcentu, nie był więc cudzoziemcem.

Mimo że Costache znany był z szybkiego chodu, teraz stąpał powoli i ciężko, ogarnięty melancholią. Przyjazna twarz młodzieńca i jego czarne oczy mieszały się z cieniami nocy. Jeszcze jeden chłopak, który dał się zwieść uczuciu nieśmiertelności. Pomyślał, że w tej samej chwili w jakiejś rodzinie matka lub ojciec albo siostry i bracia przeżywają chwile grozy, ponieważ chłopak od dwóch dni nie wrócił do domu. I że biegają pewnie po znajomych i pytają, a z każdą negatywną odpowiedzią ich nadzieja rozwiewa się coraz bardziej, a serce nabiera przekonania, że stało się jakieś nieszczęście. Ten prześladowający ich strach to dopiero początek zła. I że ta nadzieja, której się chwytają, nadzieja, że wróci, jest najgorsza ze wszystkiego. Po co ta nadzieja i niepokój, jeśli muszą się tak skończyć? Tak jakby rozpacz potrzebowała tak okrutnego preludium. A jeśli w przypadku radości wielu uważa, że oczekiwanie jest najpiękniejsze, to w przypadku cierpienia oczekiwanie jest najgorsze. Oczekiwanie na największe cierpienie. A cierpienie, wiedział to aż za dobrze, ma wiele macek, jak ośmiornica. Na próżno by je obcinać, zawsze pozostanie ich dostatecznie dużo, aby cię udusić.

Był zaproszony na kolację do Margulisów, więc nie mógł teraz tracić czasu na szukanie monogramu, jeśli nie chciał się spóźnić, miał tylko chwilę, aby się przebrać. Z podwórzy szczebały psy, kiedy się zbliżał, i jeszcze długo po tym, jak je mijał. Zauważył, że chmury się

rozproszyły, a między nimi połyskiwało kilka gwiazd. *Gwiazdy, światło?* Dym z kominów unosił się pionowo w górę. Niechybny znak, że jutro, w niedzielę, będzie ładna pogoda.



- Proszę jedną kąpiel w kadzi z prysznicem - powiedział mężczyzna z silnym mołdawskim akcentem i dał dwa leje, czekając z wyciągniętą ręką na resztę.

Wyglądał na zabiedzonego, ale do Łaźni Grivita przychodzili najróżniejsi obszarpańcy. Łazienby był bardzo dumny z tego, że urodził się w Bukareszcie, mimo że innych zasług nie miał. W soboty był na ogół tłok, ludzie szykowali się na niedzielę, a łazienby nienawidził sobót. A odkąd mer Robescu zaczął rozdawać biedakom darmowe talony do łaźni, to już w ogóle! Nie mówiąc już o tym, że wypisywali bezczelnie w książce skarg i wniosków: "Dali mi brudny ręcznik!" albo "Precz z merem!" i "Niech żyje Król!", "Łazienby się awanturuje!", a ktoś napisał nawet sprośny żart z pisma "Furnica" o pani domu obmacującej młodego chłopaka w poszukiwaniu zegarka, który gdzieś się zawieruszył, i akurat wtedy, gdy wydawało się jej, że znalazła go w jego spodniach, wchodzi jej mąż. Na zewnątrz było już ciemno, choć oko wykol, na szczęście w środku wszystko było oświetlone elektrycznością, a ściany, świeżo pobielone, pozostawały czyste i białe. Powodem, dla którego najróżniejsi osobnicy oblegali Łaźnię Grivita, była z jednej strony reklama w "Universul", najpopularniejszej gazecie, czytanej - jak mawiali jej redaktorzy - i w dzielnicy biedoty, i w pałacu, a z drugiej - wysiłki aptekarza Vasiliu, który prowadził zakład. Ten wpływowy członek Rady Sanitarnej Bukaresztu zaskoczył kiedyś kolegów wiadomością o zainwestowaniu całego majątku w łaźnię z najnowocześniejszym sprzętem. Przy tak przystępnych cenach lokal był na każdą kieszeń i już za jednego leja i dziesięć banów, choć w drugiej klasie, można było poczuć się jak nowo narodzony. Łazienby był szczęśliwy, kiedy oceniwszy klienta jednym rzutem oka, mógł zaproponować tym, których było stać, hydroterapię, masaż lub elektroterapię, oczywiście wszystko w pierwszej klasie. Nowością był też rabat dla wszystkich członków towarzystw farmaceutycznych i medycznych w mieście. Zresztą łaźnia cieszyła się większym powodzeniem, niż zakładał pan Vasiliu, a łazienbemu wzrosła pensja bez większego wysiłku z jego strony i bez większych konsekwencji dla jego uprzejmości. Minęła dłuższa chwila, zanim znalazł trzydzieści banów reszty i wręczył klientowi ręcznik oraz mydło.

W tym czasie Mołdawianin zlustrował go dokładnie wzrokiem. Ciągnął za sobą coś w rodzaju wielkiego srebrnego kufra, a łazienby powiedział mu, że ma go zostawić pod drzwiami. Wtedy mężczyzna wziął go na stronę i wsunął mu do kieszeni jakąś dwudziestokrotność ceny kąpeli w pierwszej klasie, na co łazienby zaczerwienił się gwałtownie. W środku zresztą było bardzo gorąco, co niezmiernie cieszyło zziębniętych klientów. Mołdawianin wystraszył się, że mężczyzna w białym fartuchu dostanie zawału, co byłoby teraz bardzo niepożądane, ale nie, po chwili wszystko wróciło do normy, tak więc poszedł wziąć kąpiel, tyle że nie w drugiej klasie, tylko luksusowej. Zabawił tam prawie godzinę, rozkoszując się gorącą wodą, która jakby rozpuściła mu wszystkie bolesne gruzły na ciele, następnie poszedł na masaż, a przy wyjściu łazienby ukłonił mu się do samej ziemi, jak znacznemu klientowi. Takiego szczegółu jak to, że mężczyzna przyszedł z kufrem, a wyszedł bez niego, nie było komu zauważyć. Jeśli chodzi o łazienbego, to był w wieku, w którym człowiek szybko zapomina wszystko, co dla niego nieistotne. Po powrocie do domu powiedział żonie, która pracowała jako pomoc domowa, że zaoszczędził trochę pieniędzy i że po raz pierwszy w życiu spędzą Nowy Rok w Sinai, w pięknym hotelu, obsługiwani jak jakie jaśniepaństwo.

# **NIEDZIELA, 21 GRUDNIA**

Udany dzień. Z pewnymi wyjątkami...

# 1

Dzisiaj spotkała mnie prawdziwa radość. Niespodzianka. Zresztą najwyższy czas, bo inaczej pomyślałabym, że naprawdę jestem jak Amelia z *Vanity Fair*, a w naszych czasach dobre, płacziwe istoty są jeszcze bardziej niemodne niż długie paznokcie babci i jej loki nad uchem!

Jak tylko się obudziłam, zobaczyłam na ścianach, przez zasłony, ukośne, jasne smugi, grę promieni, które bardziej migotały niż błyszczały. Sprawily, że się uśmiechnęłam, a potem wręcz zaczęłam się śmiać. Wiał trochę wiatr, a promienie wymieniały się zręcznie, jakby były sterowane przez niewidzialnych szpadzistów. Był słoneczny dzień, jeden z tych, kiedy człowiekowi robi się różniej na duszy. Wstałam, podrzuciłam do ognia, umyłam się i włożyłam niebieską sukienkę, ponieważ niebo też było niebieskie. Staram się zawsze odmalowywać świat kolorami swoich sukienek. Nie spodziewałam się żadnych wizyt, więc nie zakładałam gorsetu. Kiedy byłam młodsza, a nauczycielki zabraniały nam w Szkole Głównej nosić gorset, wbijając nam do głowy, że zakłóca to normalny rozwój kości, że dostaniemy anemii, bo będziemy za mało jadły, wszystkie robiłyśmy dokładnie na odwrót. Zresztą chcieliśmy robić wszystko, czego nam zabraniały. Skoro w dzień nie mogłam nosić gorsetu, bo mogli mnie przyłapać, zakładałam go na noc i spałam w nim, żeby mieć wąską talię i prosty kręgosłup. Za to teraz, kiedy mogę i nawet powinnam go nosić...

Fakt, że winnym tego, że już nie lubię gorsetu, jest tylko i wyłącznie pan doktor Gerota. Byłam w gabinecie papy, jakieś dwa miesiące temu, kiedy przyszedł z wizytą. Dużo o nim słyszałam: trzydzieści lat, bardzo zdolny, studia w Paryżu, od niedawna znów w kraju, chcący naprawiać świat, wykłady o najnowszych osiągnięciach medycyny. Od października, powiedział mi papa, wyklada na Akademii Sztuk Pięknych, prowadzi zajęcia z anatomii. (Bardzo bym chciała tam studiować, szkoda, że nie mam talentu. Tak czy inaczej, w przyszłym roku mam zamiar zdawać na jakąś uczelnię). Papa nazywa doktora Gerotę Dimitriem. Więc ten Dimitrie, dzięki któremu prawie zapomniałam o Alexandru, kiedy zobaczył, że mam na sobie gorset - nie jadłam, bo wieczorem było przyjęcie - złapał mnie w talii swoimi wielkimi dłońmi o pięknych palcach i stwierdził, że dokładnie się w nich mieszczę. Zamiast mnie pochwalić, tak jak wymagałaby grzeczność i tak jak pochwaliły mnie w domu Safta i kucharka, zbeształ mnie tak ostro, że aż popłynęły mi łzy.

- Moja panno! - powiedział. - Matka pozwala ci się tak ścisnąć? Ile masz lat? Niepotrzebny ci gorset, przecież jesteś szczuplutka, nawet za bardzo. Wieczorem na pewno masz zaczerwienioną skórę i otarcia, a może nawet sińce? Zdajesz sobie sprawę z tego, na co narażasz organy wewnętrzne?

Papa się zaczerwienił, a ja poczułam, że się duszę. Jednak doktor Gerota, o wyglądzie szlachetnego bojownika, z włosami zaczesanymi do tyłu i władcym podbródkiem, zakończył spokojnie egzekucję z niewzruszonym sercem medyka:

- Zobacz, jak dyszysz, twoje płuca są ściśnięte jak kryminalista w karczerze. Na pewno masz migreny i zawroty głowy, podejrzewam, że również krwotoki z nosa, a krew nie dopływa ci jak należy do mózgu. Szanowny panie doktorze! - dał mi w końcu spokój i wziął się za papę. - Dlaczego pozwala jej pan na podobne tortury? Specjalnie dla pana córki przygotuję wykład o mankamentach gorsetu i prześlę zaproszenie panu, pana małżonce i pana córce. Postaraj się nie zemdleć, płakać też nie ma powodu, idź od razu i rozwiąż sznurówki.

Rzadko widywałam u ludzi taką stanowczość - papa, choć prawie dwadzieścia lat starszy od niego, zupełnie oniemiał. Myślę, że dokona wielkich rzeczy.

\*\*\*

Tak więc poszłam do salonu bez gorsetu. Spojrzałam na zegar - było już dość późno, długo dzisiaj spałam. Co można robić w tak piękną niedzielę? Pobiegłam otworzyć okno, a następnie fortepian - mojego starego, dobrego, wysłużonego Bósendorfera, i wzięłam nuty, wielki stos, który zdążył się już zakurzyć, tak długo go nie ruszałam. Mama chodzi często do sklepu Graeve i ciągle mi coś przynosi. Zaczęłam przeglądać nuty - nic mnie nie zainteresowało, ale nagle, w *jakiś czarodziejski sposób*, moją uwagę przykuł jeden utwór. Był to menuet Handla w opracowaniu na fortepian. Tak jakby ktoś naprowadził moją rękę, aby z całego stosu nut wybrała akurat to. Miałam zamiar zagrać coś nowego, wesołego, bezpretensjonalnego, w stylu utworów z "Le Journal", pisma, które prenumeruje mama, ale to na te nuty padł mój wzrok. Widziałam je po raz pierwszy, nawet nie wiem, kiedy się tam znalazły. Spróbowałam je rozczytać - tonacja g-moll, metrum trzy czwarte, niezbyt łatwy utwór, nie trafiałam w dźwięk ani w tempo, myliłam się, potykałam, ale powoli uchwyciłam linię melodyczną i aż dostałam gęsiej skórki z ekscytacji, kiedy zorientowałam się, co gram! *Była to melodia wygrywana przez zegar Jacquesa z figurkami!* Od dwóch lat rozpaczliwie usiłuję się dowiedzieć, co to, ale nikt nie ma pojęcia... Kogo ja nie pytałam, nawet samego pana Wiesta! A teraz, nieoczekiwanie, odkryłam ją w stosie swoich własnych nut, kto wie, jak długo tam leżała. Ale tak już mam: szukam daleko, żeby znaleźć tuż obok.

Dopiero wtedy poczułam chłód, zapomniałam, że zostawiłam otwarte okno. Wpadłam jak burza do pokoju braciszka. Siedział przy stole, na którym rozgrywał prawdziwą wojnę swoimi ołowianymi żołnierzami, chyba ustawił tam wszystkie, jakie miał. Odgrywał, biedactwo, wojnę o niepodległość. Na stole trwała prawdziwa rzeź, mało który żołnierz trzymał się jeszcze na nogach. Od pewnego czasu nie wygląda za dobrze, jest zbyt blady. Jacques, mam dla ciebie prezent - powiedziałam. - Coś, na co czekasz od dawna. Zapytał z ciekawością:

- Prawdziwą szablę, mundur oficera, *Robinsona Crrusoe* czy prawdziwego wilczurra?

- Nie, Jacques, nic z tych rzeczy. Coś bardziej dla ducha.

I aby dłużej go nie dręczyć, powiedziałam:

- Chodź do salonu, a zobaczysz. A właściwie usłyszysz.

Usiadłam przy fortepianie i zaczęłam grać, myśląc się jeszcze, a Jacques poblądł jeszcze bardziej i po pierwszej frazie wydał z siebie okrzyk:

- Znalazłaś! Znalazłaś! Kto to jest? Co to jest?

Powiedział, że to najpiękniejszy prezent, jaki w życiu dostał, i prawie popłakał się z radości. Przyniosłam mu jego flet. Postanowiliśmy nauczyć się menueta w tajemnicy i zagrać go w święta, żeby zrobić niespodziankę rodzinie i znajomym. Na pewno będzie nasz sąsiad, Giuseppe, nauczyciel gry na gitarze, może przyjdzie też pan Costache.

Mama i papa uprzedzili nas wczoraj, że wcześniej rano wyjeżdżają na wieś, do wujostwa z Giurgiu, i że wrócą dopiero w poniedziałek po południu. Przywożą stamtąd jedzenie na święta, bo od paru lat nie hodujemy świni. Przestaliśmy, kiedy Jacques zobaczył przypadkiem, jak zabierali od maciory nowo narodzonego prosiaka, aby go zarznąć. Parobek wytłumaczył mu jasno: "Policz sutki u maciory, a potem policz prosięta. Jedno jest skazane na śmierć!" Współczucie Jacquesa dla *niewinnego* prosiaka skazanego na śmierć było tak wielkie, jego cierpienie tak konkretne i tak fizyczne, że mama i papa zrezygnowali z hodowli zwierząt. Zarówno Jacques, jak i ja, cieszymy się, kiedy zostajemy sami w domu. Graliśmy bez

skrepowania, póki nie zrobiliśmy się głodni. Już dawno nie widziałam, żeby Jacques jadł z takim apetytem. Zauważyłam, że radość jest najlepszym lekarstwem, nawet papa się z tym zgadzał. I całkiem możliwe, że również opryskliwy pan Gerota.

Nicu uczesał matkę, sprawdziwszy, czy nie przyniosła znów skądś wszy, i związał jej przedwcześnie posiwiałe włosy najładniej, jak umiał, po czym przygotował śniadanie. Cieszył się, kiedy matka była w domu, zwłaszcza zimą, i spełniał wszystkie jej zachcianki, jakby była dzieckiem. Czasami kobieta uśmiechała się do niego z matczyną łagodnością, czasami znów patrzyła na niego groźnie, jak dzikuska, ale chłopca to już nie przerażało. Pewnie, kiedy był jeszcze mały, zdejmował go strach i sam zaczynał krzyczeć, co tylko pogarszało sytuację. Teraz obchodził się z nią tak, jak jeszcze niedawno obchodziła się z nią jego babcia, mówił do niej cicho i uspokajał ją. Jak to możliwe, by z tak spokojnej i szczęśliwej matki jak jego babcia urodziła się tak chora i dręczona przez demony córka jak jego matka? Miał szczerą nadzieję, że będzie podobny do babci, nie do mamy. Czy to możliwe, aby czyjeś cechy przeskoczyły dzieci i przeszły bezpośrednio na wnuków, jak spadek zapisany w testamencie przez naturę? Taki spadek dobrze by rokował na przyszłość. Babcia zmarła w wieku sześćdziesięciu lat, ale dla niego ciągle była młoda. Co do ojca, to wiedział tylko, że był żołnierzem albo ordynansem. Mówił wszystkim, że był oficerem. Mówił też, że nie żyje, chociaż wcale nie był tego pewien, i bał się, żeby nie pojawił się nagle i nie zmarnował mu życia, tak jak zmarnował je jego biednej matce, jak mawiała babcia.

Zrobił przegląd spiżarni i stwierdził z zadowoleniem, że mieli co jeść. Kiedy dzieci pytały go, do kogo chce być podobny, do świerszcza czy mrówki, wyśmiewały się później z niego, ponieważ odpowiadał zawsze z poważną miną: "Do mrówki!". Prawie wszyscy chłopcy woleli świerszcza. Spiżarnia była całkiem nieźle urządzona - zachował wiernie układ skrzynek i słoików obmyślony przez babcię. To prawda, że różni znajomi dawali mu jedzenie, a nawet ubrania dla niego albo dla matki. Dziękował i brał wszystko, nawet to, co było dla niego zupełnie bezużyteczne. Prawie za każdym razem, kiedy odwiedzał Jacquesa, wracał do domu w biednej dzielnicy Olari powozem i ze skrzynką smakołyków, którymi - odkąd został bez babci - dysponował, jak mógł najlepiej. Jego największą radością było otwieranie opakowań i układanie na półkach w spiżarni zgromadzonych tam skarbów: cukru, soli, smalcu, mąki kukurydzianej, konfitur, sera. Zapasy długoterminowe, mąkę albo ryż, umieszczał na górnej półce, stając na krześle. Na podorędziu trzymał to, co było potrzebne codziennie. Liczył ciągle, na jak długo starczy mu zapasów i niczego nie wyrzucał. Latem, jeśli dostawał kwartę mleka i zostawało niewypite, wlewał je do filiżanki, aby się zsiadło, a potem rozrzedzał je kijkiem obracany w dłoniach, aby można je było pić. Z chlebem było już gorzej - musiał uważać, żeby nie sczerstwiało albo nie spleśniało i czasami okazywało się, że nie mają w ogóle chleba. W innych domach chleb piekło się w piecu, na podwórzu, aż zapach unosił się na ulicę i przez nozdrza dostawał się człowiekowi do brzucha, on jednak musiał kupować chleb, a nie zawsze mu się udawało. Miał suchary i nieraz oszukiwał nimi matkę, chociaż krzywiła się i wypluwała je na podłogę, robiąc bałagan.

Tego ranka, kiedy ją czesał, po raz pierwszy od dawna uśmiechała się słodko i łagodnie. Może dlatego też, że była słoneczna pogoda i Nicu podśpiewywał jak na próbie w szkole: "Gwiazda wschodzi, jak tajemny znak, gwiazda błyszczący i zwiastuje światu...". Sama też zaczęła coś nucić matowym głosem, wpadając w coraz większy zachwyty. Postawił przed nią nakrycie, miał nawet chleb i sam też zjadł trochę starej, stwardniałej marmolady, po czym zajął się

ogniem, przypomniał jej, że ma uważać, aby nie zgasł, pokazał jej drewno i włożył do ręki kłębk kolorowej wełny, którą bawiła się dokładnie tak samo jak kot. Potrafiła je rozwijać i zwijać cały dzień, a czasem, kiedy wracał do domu, znajdował rozplecioną wełnę w całej izbie, która dzięki temu wypełniała się kolorami. Nicu założył stojące przy drzwiach buty, zawiązał w skupieniu sznurowadła i wyszedł. Obiecał wtedy babci, że będzie ją odwiedzał co niedzielę, ilekroć będzie mógł. Dziś mógł. Dobrze mu robiło, kiedy opowiadał jej o wszystkim i radził się jej. A jej ziemski głos jakby mu odpowiadał, choć teraz tylko w jego głowie, w której w jakimś sensie pozostał, ułożony obok innych głosów, jak zapasy w ich spiżarni, jej i jego. Doradzała mu, jak ma postępować i jak pokonywać przeciwności losu. A od wielkich problemów, ale dopiero wtedy, kiedy człowiek spróbował już wszystkiego, co w jego mocy, były cudowne ikony, w następującym porządku: Święty Stelian, w cerkwi Vergului, troszczy się o zdrowie dzieci, zaś Święci Kosma i Damian, lekarze darmo leczący, i Święty Menas - o zdrowie wszystkich ludzi. Święta, której imienia nie pamiętała, strzeże dziewcząt przed ospą wietrzną, a Świętego Eleuteriusza z cerkwi w Cotroceni miał odwiedzić, kiedy się ożeni, mówiła. Mógł się za to pomodlić w każdej chwili przed ikoną Świętego Mikołaja, orędownika biednych, tak bardzo przejmującego się ich losem, że raz spóźnił się na spotkanie z Bogiem, zatrzymawszy się w drodze, aby pomóc chłopu, któremu wóz ugrzązł w błocie. Dlatego też nie dość, że się spóźnił, to jeszcze miał buty całe w błocie. Bóg jednak się nie pogniewał, powiedziała babcia. Nicu zapamiętał też Świętego Spirydona, który był "od demaskowania złodziei". Nie wiedział, co to znaczy demaskować złodziei, ale niewątpliwie należało ich demaskować.

I oczywiście srebrna ikona w cerkwi Ikony, która też była od chorób, ale raczej tych duchowych. Co do Matki Boskiej z Sarindar, cerkwi, którą Nicu Filipescu postanowił zburzyć, kiedy był merem, to była najpiękniejsza i najświetniejsza ze wszystkich, miała diamentowe gwiazdy na ramionach, mówiła babcia, ale Nicu nigdy jej nie widział i nie wiedział, gdzie się teraz znajduje ani od czego jest, ponieważ ikony były dla niego jak lekarstwa na określone choroby. Pomyślał za to, że jeśli pan, z którym dzielił imię, Nicu, został pokarany przez Boga i może nawet iść do więzienia, gdyż zabił w pojedynku najlepszego dziennikarza w Bukareszcie, to również dlatego, że pozwolił zburzyć cerkiew, zamiast ją odremontować. Tak mówili ludzie, tak mówił też pan Cercel, a on w tej sprawie zgadzał się z nim całkowicie. Codziennie w drodze do "Universul" przechodził obok miejsca, w którym stała kiedyś cerkiew Sarindar, i codziennie robiło mu się jej żal. W zeszłym roku postawili tam niewielką fontannę, specjalnie na wizytę Franciszka Józefa, a teraz znowu nic tam nie było.

Grób pokryty był śniegiem niczym kopcem, na którym Nicu narysował ręką krzyż i napisał wielkimi, lekko pochylonymi w lewo literami: "U MNIE WSZYSTKO DOBRZE, NICU". Następnie wyjął z kieszeni krówkę, pokazał ją białemu kurhanowi i poszedł sobie. Dzwony już dawno wybiły południe, a ponieważ była ładna pogoda i chłopcu zrobiło się błogo na duszy, postanowił pójść do Ogrodów Cismigiu.

Była niedziela, więc nie wypadało pracować, to znaczy szukać portfela z losem na loterię. Jeśli pogoda na to pozwalała, na jeziorze Cismigiu jeżdżono na łyżwach. Nie dalej jak rok temu, stojąc z boku, widział księżniczkę Marię na łyżwach, z rękoma skrzyżowanymi z rękoma jej męża. Była piękna, po prostu... piękna. Szczupła, chociaż była ubrana w grubą kurtkę, a jej suknia niemal zamiatała lód. Nicu przyglądał się zwłaszcza jej ciemnozielonemu kapeluszu z wstążkami i piórami przechylającymi się do tyłu, kiedy sunęła naprzód. Księżę był w mundurze, przewiązanym w talii pasem, i w sztywnej czapce, takiej jak jego, ze złotą nicią. Na środku lodowiska, obok masztu z flagą, stało kilku adiutantów. On też zostanie łyżwiarzem albo

marynarzem, kiedy dorośnie.

Teraz też zaczynały się już gromadzić pary. W pawilonie pojawiła się też orkiestra wojskowa, a łyżwiarze próbowali ślizgać się w rytm muzyki. La-la-la-la-la... la-la... la-la... la-la-la-la-la... la-la... la-la. Kręcili piruety, nabierali prędkości, a pewien pan oficer jechał tyłem. Nicu śmiał się i podskakiwał, kiedy ktoś się przewracał, tak śmiesznie uderzali siedzeniem o lód i machali w powietrzu nogami, jak chrabąszcze. Kobiety upadały z większą gracją i owijały spódnice wokół nóg, a Nicu nie śmiał się wtedy, tylko patrzył, jak bardzo odkryją im się nogi. Kiedy muzyka przestawała grać, słyszał, jak żelazo rysuje twardą taflę jeziora. Jeśli pan Cercel wygra na loterii, na pewno jemu też coś da i może kupi sobie parę łyżew i nauczy się jeździć na nich do przodu i do tyłu. Kiedy odwrócił głowę, wydało mu się, że widzi po drugiej stronie jeziora Petre, woźnicę cukiernika Ingera. Pomyślał, że mógłby się od niego dowiedzieć czegoś więcej o swoim nowym przyjacielu, Danie Cretu, więc obiegnął lodowisko, aby się z nim spotkać. Zanim go dogonił, Petre zdążył wyruszyć w drogę. Ruszył za nim, bo i tak nie miał nic lepszego do roboty. Petre wsiadł do sań, a Nicu rozsiadł się wygodnie na tylnej desce, opierając się plecami o jej krawędź. Było to miejsce znane wszystkim chłopcom. Niektórzy przywiązywali tam sanki i jechali ciągnięci przez sanie.

Petre zatrzymał się w Ogrodzie Filareta. Zsiadł z kozła i ruszył w stronę drzew, które tworzyły z prawej strony głównej alei spory zagajnik. Obok wejścia było kilkoro ludzi z dziećmi, którzy przyszedli tu na spacer, jednak pozostała część ogrodu była pusta. Petre zniknął między drzewami. Kiedy woźnica cukiernika znów pojawił się w alei, Nicu był już między drzewami. Zaczął iść po śladach w śniegu. I dotarł do miejsca, w którym ślady się kończyły. Był pewien, że odkryje jakąś tajemnicę, ale nic nie znalazł. Petre po prostu załatwił się pod drzewem, a Nicu doszedł do wniosku, że zrobi to samo.



Liza, biała suka Costache, leżała koło ognia, zwinięta w kłębek. Zaczęła się już starzeć, wypadała jej sierść i bolał ją krzyż, wstawała z coraz większym trudem, a Costache pocieszał ją głośno: "Spokojnie, gołąbko, zestarzejmy się razem! Ty dziesięć lat, a ja pięć razy tyle". Tyle że on czuł się właściwie bardzo dobrze i w pełni sił. Skorowidz był pod ręką, w pięknie uporządkowanej bibliotece, ze skórzanymi grzbietami pokrytymi złotymi literami, wykonanymi przez tego samego introligatora. Jeszcze w nocnej koszuli, zdobionej wymyślnymi niebieskimi haftami, pan Costache usiadł w wygodnym fotelu, obitym ciemną skórą, i zabrał się, tak jak był, do pracy. Jego włosy koloru jaśniejszego trochę niż skóra na krzesłach, z kilkoma tylko białymi kosmykami, były w nieładzie i potrzebowały strzyżenia. Wąsy też wyglądały nieporządnie.

Pogodziwszy się niechętnie z tym, że był bardziej służącym i cyrulikiem niż ordynansem, Zaharia nie dziwił się kaprysom pana i w ogóle niczemu już się nie dziwił na tym świecie. Stał się jednak przez to ponury i wyobcowany, chociaż wcześniej lubił się śmiać, śpiewać i pić. Wzdychał za czasami wojny z 1877 roku, kiedy i on, i jego pan byli młodzi i weseli. Zapomniał o stosach zabitych, a zwłaszcza o jękach rannych, zapomniał o zimnie, zapomniał o wystrzałach armatnich, które na resztę życia przytępiły mu słuch. Jak wszyscy prości ludzie utożsamiał swoją młodość z błogostanem świata. Odsunął atlasowe zasłony i do środka wdarło się słońce i zatrzymało się na jednej z półek biblioteki, na kilku tytułach, którym nadało nieoczekiwanego blasku. Nie zapytawszy nawet, Zaharia przyniósł panu dość skromne śniadanie i postawił je na jednym ze stolików *gigogne*<sup>[Z]</sup>, podrzucił do ognia i wyszedł. Pan Costache nie zwracał na niego uwagi. Otworzył niecierpliwie księgę, gdzieś pod koniec, O... P... R, R...? Nie, monogramy były ułożone według nazwisk, przejął to z policyjnej kartoteki, tak było sensowniej. Należało szukać pod O albo pod Z. Wszystko zależało od tego, czy tylko R oznaczało imię - zapewne Radu - czy również O, ale imię męskie na O? Oprea? Ovidiu? Oliver? Nie, drugi wariant był bardziej prawdopodobny, więc wrócił do nazwisk na O. OA, OB, Obedeanu, Odivoianu, Odobescu, Olanescu... OMN, ONN, OR, Otetelisanu, nie, tu nic nie było. Jeszcze raz pod Z. Ale pod Z były tylko trzy monogramy, Zbarcea, Zatreanu, Zorila. I co teraz? Najwyraźniej za bardzo się śpieszył, nie szukał dobrze. Przekartkował też R, gdyby czasem R oznaczało nazwisko. Było tam czternaście nazwisk, od Racotta do Rosetti, ale żadnego w połączeniu z O i Z albo przynajmniej z jedną z nich.

Przerwał szukanie i wypił łyk kawy. Fuj, ale lura! Znów zapomniał zwrócić Zaharii uwagę, aby wsypywał łyżeczkę więcej do dzbanka, a wodę odmierzał filiżanką! Jego ordynans był oszczędny aż do skąpstwa i wiecznie serwował mu niechciane diety. Mimo że Costache przypominał mu, że wojna skończyła się jakieś dwadzieścia lat temu i że jemu osobiście niczego nie brakuje, i prawdę mówiąc, nigdy nie brakowało, to Zaharia obcinał mu zawsze porcje - kawy, cukru, drewna. Oszczędzał na zakupach, na wodzie i na świetle, chociaż największą zaletą mieszkania w centrum było właśnie to, że miało się bieżącą wodę i światło elektryczne. Costache trudno byłoby teraz żyć bez tych wszystkich prawdziwych wygod i błogosławieństw naszych czasów. A kiedy był z wizytą u państwa Margulisów z ulicy Fantanei, widział różnicę. Oczywiście na swoją korzyść. Z drugiej strony ciągły stukot kół zaczynał go męczyć. Postanowił wziąć prysznic przed kontynuacją poszukiwań, więc krzyknął do starego służącego, aby zagrzał wody w kotle. "Dwadzieścia trzy stopnie, pamiętaj!" Lekarze nie zalecali częstych pryszniców

i radzili wyższą temperaturę wody, ale on nie zważał na niczyje rady i sam też ich nie dawał. Tym właśnie różnił się od swojego przyjaciela Margulisa, który wiecznie strofował ludzi, mówiąc, co mają robić, a czego nie, chociaż strzepił sobie język po próżnicy. Najtrudniej znieść to, że robi się jakieś głupstwo nie z własnej woli, tylko z czyjegoś poduszczenia.

Ożywiony zaczął na nowo poszukiwania, akurat wtedy, kiedy dzwony zaczęły wybijać południe. Przypomniał sobie, że miał zamiar porozmawiać osobiście z Epiharią z cerkwi Ikony, dlatego że nie chciał jej wystraszyć zaproszeniem do Prefektury, ale teraz było już za późno, aby złapać ją jeszcze na nabożeństwie. Pójdzie tam kiedy indziej, wiedział, że chodzi do cerkwi bardziej punktualnie niż urzędnik do biura. Otworzył znów skorowidz na literze O i tym razem rzuciło mu się w oczy OZ i M, pewnie jakiś inny członek rodziny. Wpatrywał się przez dłuższą chwilę w monogram, rozpoznał go, następnie przeczytał parę linijek komentarza i przygotował się do wyjścia. Najpierw na policję, aby zadzwonić pod numer 297. Dyżur miał Ilie, tak że to na niego spadał obowiązek zawiezienia go we właściwym czasie na Dworzec Filareta, aby zdążył na pociąg do Giurgiu.

Dowiedziawszy się, z kim ma honor, kierownik stacji w Giurgiu wyprostował się i skierował go do dworku Manolache Ochiu-Zanoaga, oddając mu do dyspozycji dobrego, wypoczętego gniadosza. Costache ostatnio mało jeździł konno, ale teraz czuł potrzebę wyładowania energii. Znów poczuł się młody, kiedy ruszył galopem. Musiał przejść przez najgorszą dla policjanta próbę, zawiadomić rodzinę o nagłej śmierci. Postanowił doprowadzić samemu sprawę do końca z prostego powodu: chciał się dowiedzieć, co mogły znaczyć słowa chłopaka, zagadka, z którą położył się spać i z którą się obudził. Niestety musiał wykorzystać świeży ból, kiedy ludzie nie trzymają ust zamkniętych na kłódkę. Dotarł na miejsce o wpół do piątej, dokładnie wtedy, kiedy zachodziło słońce.

*Młody arystokrata zabity pod lasem Baneasa.* Pierwszy redaktor "Universul" utracił lekkość pióra. Był mózgiem gazety, kontrolował, poprawiał, ale rzadko brał do ręki pióro i pisał, i to tylko w wyjątkowych sytuacjach. Dlatego też ucieszył się, że już na samym początku znalazł tytuł, mimo że wahał się między *paniczem, szlachcicem, młodzieńcem z dobrego domu a arystokratę*, który koniec końców wygrał. Z tytułami już tak miał: albo przychodziły mu do głowy od razu, albo nijak nie mógł nic wymyślić i musiał prosić o radę kolegów. Najlepszy w tym był Pavaluca, sypał nimi jak z rękawa, jak iluzjoniści albo szalbierze od sztuczek karcianych. Dowiedział się jednak, że od jakichś dwóch miesięcy jego kolega z biura pisał powieść, a to wiele wyjaśniało. Udało mu się jedynie wydobyć z niego wyznanie, że akcja toczy się w przyszłości czy jakoś tak. Podejrzewał, że to jakieś naśladownictwo Juliusza Verne'a i niestety nie wierzył w sukces kolegi. Spojrzał na zegarek: dopiero dziesiąta rano. Miał mnóstwo czasu, powiedział żonie, że wróci do domu koło drugiej, na obiad. Zanurzył zatem pióro w kałamarzu i napisał: *W numerze z piątku, 19 grudnia, nasza gazeta zamieściła wiadomość o niezidentyfikowanym młodzieńcu, którego znaleziono postrzelonego, ale żywego...* Zatrzymał się i dopisał po *ale*, u góry wiersza, *jeszcze*. Kontynuował zdanie: *...ale jeszcze żywego w pobliżu lasu Baneasa. Młodzieniec został przewieziony, zgodnie z umową zawartą z...* - przekreślił *z* i napisał *między* - *...zawarte między Merostwem a kliniką doktora Rosemberga.* Skreślił *m* i wstawił *n. Rosenberga do...* Nie, źle. Przekreślił całe zdanie i przeformułował je, po czym przyłożył suszkę i wysuszył nią cały tekst. *Zgodnie z umową, zawartą między Merostwem a panem doktorem Rosenbergiem o niezidentyfikowanych osobach potrzebujących pomocy medycznej, będący w agonii młodzieniec został przewieziony do Kliniki doktora...* - skreślił *K* i napisał *k* - *...kliniki doktora, gdzie udzielono mu...* hmm, *wszelkiej koniecznej pomocy.* Zatrzymał się i przeczytał całość raz jeszcze, a następnie znów osuszył atrament bibułą, zamoczył pióro i zaczął pisać dalej. Męki tworzenia nie obchodzą nas jednak, gdyż są zbyt intymną sprawą, tak więc przyjrzymy się jedynie końcowemu wynikowi, artykułowi na pierwszej stronie "Universul" z poniedziałku, 22 grudnia, przepisane na czysto i zakończonemu (winieta) dzień wcześniej, w niedzielę, o godzinie pierwszej, minut czterdzieści:

*Młody arystokrata zabity pod lasem Baneasa*

*W numerze z piątku, 19 grudnia, nasza gazeta zamieściła wiadomość o niezidentyfikowanym młodzieńcu, którego znaleziono postrzelonego, ale jeszcze żywego w pobliżu lasu Baneasa. Zgodnie z umową, zawartą między Merostwem a panem doktorem Rosenbergiem o niezidentyfikowanych osobach potrzebujących pomocy medycznej, będący w agonii młodzieniec został przewieziony do kliniki doktora, gdzie udzielono mu wszelkiej koniecznej pomocy. Mimo to, w sobotę o godzinie 18.11, młodzieniec wydał ostatnie tchnienie. Świadkiem tego smutnego zdarzenia był wysłannik specjalny naszej gazety. Ponieważ na niektórych częściach garderoby młodzieńca wyszyty był monogram R.O.Z. Pan pułkownik Costache Boerescu, znakomity kierownik bezpieczeństwa publicznego, odkrył, że to członek rodziny Ochiu-Zanoaga z Giurgiu. Zanim oddał ducha, młodzieniec wypowiedział kilka słów i nazwisko. Śledztwo jest w toku, a policja ma pewien trop, który - mamy nadzieję - doprowadzi ją do mordercy. Możliwe, że był to pojedynek na pistolety, dlatego uważamy, że ustawa zakazująca pojedynków, zaproponowana przez p. senatora Visoreanu, powinna zostać przyjęta jak*

*najszybciej. Przypominamy, że p. Senator zaproponował wykreślenie z Kodeksu karnego artykułów dotyczących pojedynku, tak aby w przyszłości pojedynkujący się byli uważani za pospolitych przestępców i sądzeni przez ławę przysięgłych.*

Pan Procopiu pisał w imieniu gazety, dlatego nie podpisał się pod artykułem. Zadowolony, że udało mu się skończyć na czas, wziął cylinder, ponieważ melonika już nie miał, i zszedł do drukarni, aby zamienić pierwszą stronę. Następnie, głodny jak wilk, udał się do domu. W życiu nie pościł.

Śniłem, że dusza oddzieliła mi się od ciała. Jaki spokój, jaka pustka - z tymi słowami się obudziłem. Jest jeszcze ciemno i słychać koguta rozdzierającego noc. W jaki sposób zakrzepł we mnie ten smutek, skąd te wszystkie dziwadła, z czego jesteśmy zrobieni? Kto nas prowadzi? Nie trzeba zbytnio wyteżać umysłu, aby się zorientować, że takie myśli pojawiają się jakby na siłę, raczej z zewnątrz niż z wewnątrz, tak jakby ktoś wstrzyknął je nam niewidzialną igłą. Może powinniśmy zacząć od zera i wszystko od nowa przemyśleć, tak aby wszystko zrozumieć. Wyruszyć inną drogą, przez nikogo nieprzebytą, aby odnaleźć istotę rzeczy. Czego byśmy się dowiedzieli, gdybyśmy przestali przepuszczać wszystko przez słowa i obrazy innych? Gdybyśmy myśleli całym ciałem, a nie tylko jego częścią? Co przypomnielibyśmy sobie z naszej przeszłości? Z przyszłości? Co zrozumielibyśmy z naszych wyborów dokonanych niezależnie od naszej woli? Ciągle rozmyślam o tym wielkim problemie i uderzam głową o gruby mur milczenia. Coś nie pozwala również mnie mówić zrozumiale, nawet w chwili, gdy dostępuję łaski rozumienia. Wszystko trwa tylko chwilę, nie dłużej. Jak żyć ze świadomością, że wszyscy wiemy... i nie wiemy. I czy w ogóle możemy być pewni, że żyjemy?

W pokoju jest ogień i drugie łóżko, na którym śpi jakiś mężczyzna. Hotel nazywa się "Frascati" i jest mi zupełnie nieznany. Przyproceedził mnie tu "kolega" z redakcji. Wpisałem się do rejestru, tak jak mi kazał recepcjonista, podałem nazwisko, zawód i miasto zamieszkania. Dan Cretu, dziennikarz, Bukareszt. To wszystko prawda, ale jednak coraz bardziej wydaje mi się, że kłamię, kiedy to mówię. Może naprawdę postradam rozum, okłamując ciągle prawdę. Zaprowadzono mnie do pokoju z dwoma łóżkami, umyłem się w wodzie nalanej przez pokojowego do porcelanowej miski, wytarłem się białym, szorstkim ręcznikiem, zszedłem na posiłek, ale nawet nie wiem, co jadłem, byłem zupełnie wyczerpany. Wróciwszy na górę, zastałem tam tego samego nieznanego człowieka, z którym - jak się okazało - miałem dzielić pokój. Położyłem się na metalowym łóżku, które wydało mi się przystanią dla moich lęków. Pościel była czysta, biała, a kołdra gruba, z wiśniowego jedwabiu. Pachniała nieprzyjemnie, zdaje się, że środkiem owadobójczym. Później zapadłem w głęboki sen. Jaki spokój, jaka pustka - dlaczego śniły mi się te słowa? Zaczyna świtać.

Wstał również mój sąsiad i wy dobył z siebie serię najrozmaitszych dźwięków, nie wiedziałem, czy się krztusi, czy charka, czy oddaje ducha. Następnie rozebrał się do naga i zaczął myć starannie całe ciało, w ogóle się nie krępując. Miał białawą skórę. Jednocześnie mówił coś i odwracał się co jakiś czas, obserwując moją reakcję na to, co mówi. Nazywa się Otto i jest Sasem, ale mówi dobrze po rumuńsku, chociaż z akcentem. Urodził się na wsi, w *Michelsberg*, Cisnadioara, w Siedmiogrodzie, gdy miał dwanaście lat - *mit zwolf*[8], oddali go do majstra na naukę. Jest murarzem, był w wojsku, a teraz, mając już 26 lat, przyjechał tutaj za pracą. Tylko w dużym mieście można coś znaleźć w tym zawodzie choćby i zimą, powiedział. Przyjechał *mit dem Zug*[9]. Mówi, że na granicy, w Predealu, ludzie przebierali się w eleganckie ubrania, kupione w *Kronstadt*, w *Budapest*, w *Wien*, żeby nie płacić cła, a do walizek upychali stare. On też założył nowy kapelusz, a stary schował do walizki, poprosiła go o to jedna pani z przedziału, która kupiła go dla męża. Spociał się ze strachu jak mysz, bo w pociągu chodziły słuchy, że Rumuni z Królestwa każą pokazać *Pass*[10]. Tylko u Turków i u Rosjan trzeba go jeszcze pokazywać. Kiedy przyszła jego kolej, dał celnikowi najróżniejsze *Papiere*[11], ale temu

to nie wystarczyło, chciał inne. Tuż przed nim kazali wysiąść jakiemuś obcokrajowcowi, więc obleciał go strach. Na szczęście miał książeczkę wojskową, to go uratowało, celnik zrobił zadowoloną minę i go puścił. Cudem się udało, powiedział Otto, i zaczął się wycierać, patrząc w lustro, w którym widział również mnie. Potem oglądał z podziwem *die Transsylvanischen Alpen*,<sup>[12]</sup> urzekły go wysokością i poszarpanymi szczytami, przez cały czas siedział ze wzrokiem utkwionym w okno, a potem wyszedł nawet na platformę, wiał wiatr, ale nikt się go nie czepiał, spodobał mu się ten *rumanische Ordnung!*<sup>[13]</sup>, bo w Cesarstwie byłby nie do pomyślenia. Podobał mu się też dworzec w Sinai i królewski peron, za to Dworzec Północny nie zrobił na nim wrażenia, zwłaszcza że bruk był w dość kiepskim stanie, zachwyciły go zaś eleganckie *Droschken*<sup>[14]</sup>, z woźnicami ubranymi w aksamit i w aksamitnych czapkach, zaprzężone w krzepkie gniadosze. W pociągu dowiedział się od jednego Sasa, że w Bukareszcie Niemcy kierują się do "Wilhelma", hotelu w pobliżu bulwaru Elżbiety.

Otto skończył się wycierać, powiesił ręcznik na wieszaku obok umywalki i włożył długie kalessony i flanelową koszulę. Do stolicy Rumunii dotarł po południu, a do "Wilhelma" już o zmierzchu, szedł długą, choć nieco wąską ulicą, *Galea Victoriei*, później minął Pałac Królewski, wyglądał jak duży hotel, kiedy był w wojsku, widział Wiedeń i miał porównanie, i dotarł do bulwaru ze światłem elektrycznym i tramwajami, skręcił w prawo, a następnie w krótką uliczkę koło parku. Wilhelm już niestety nie żył, obecny właściciel przenocował go za darmo na sofie, ale to wszystko, co mógł zrobić. Trafił tutaj, do "Frascati", gdzie może mieszkać za darmo, pod warunkiem że na wiosnę odmaluje kuchnię i zaplecza. Szuka jednak jakiejś porządnej roboty w jakiejś cerkwi, ponieważ kiepsko u niego z pieniędzmi. Teraz dostał się do bractwa malarzy i murarzy i zaprzyjaźnił się z nimi. Następnie zaczął mnie wypytywać: kim jestem, ile mam lat, czy mam żonę i dzieci, i matkę, i ojca, i rodzeństwo. Niektórzy ludzie, jak na przykład taki Otto, uważają, że trzeba im powiedzieć wszystko o sobie od samego początku, i nie wiedzą, kiedy przestać. Udawałem, że śpię. Kiedy wreszcie sobie poszedł, wstałem i zacząłem się przystosowywać do życia jak zwierzęta zaraz po urodzeniu. Nie jest mi łatwo, nic nie jest na swoim miejscu, ale to rodzaj gry: muszę szukać, odkrywać, udawać, a nade wszystko milczeć. W każdym słowie czai się niebezpieczeństwo.

# **PONIEDZIAŁEK, 22 GRUDNIA**

Trudny początek tygodnia

# 1

Po raz pierwszy od dzieciństwa mam puzaty policzek. Jakbym coś miała w ustach. Nie wyglądałabym źle, gdyby drugi nie wyglądał z kolei jak wychudzony, jakbym nic nie jadła. Innymi słowy, jedną połowę twarzy mam spuchniętą, a drugą zapadłą. Odkryłam to, jak tylko otworzyłam oczy. Poczułam, że jestem chora. Wystraszyłam się i na bosaka pobiegłam do lustra. Zobaczyłam tam dziewczynę w śmiesznym różowym czepku, spod którego wystawały czarne kosmyki, wydęty policzek, a w białku oczu pełno czerwonych żyłek, jak w książkach papy do anatomii. Wyglądały jak rozgałęzienia i drażniły mnie, jakbym tam miała jakiś pyłek. Co to mogło być? Piasek w oczach i spuchnięta szczeka. Chciałabym studiować medycynę. To, jak choroba czai się w ukryciu, a później, przez noc wydostaje się na powierzchnię i staje się widoczna, rzucając się od razu w oczy, czasami dosłownie, jak u mnie. Papy nie ma w domu, wróci dopiero wieczorem. Niedobrze nie mieć w domu lekarza. Muszę więc poczekać do wieczora. Nie wiedziałam, czy brać kąpiel, ale koniec końców wzięłam. Nie wiedziałam, czy umyć zęby. Koniec końców umyłam, uważając na ząb, który bardziej pulsował, niż bolał. Włożyłam sukienkę w kolorze *gris souris*[\[15\]](#).

Sześć obciętych już paznokci leżało na kupce na toaletce, a cienkie, białe łuki pozostałych czterech były ciągle na prawej ręce piszącej te słowa. Oczywiście teraz, kiedy piszę, również pozostałe cztery poszły już w ślady pierwszych sześciu. Ale sytuacja była taka, jak ją opisałam, sześć do czterech, spuchnięty policzek, piasek w oczach, szara sukienka, kiedy do pokoju weszła Safta i wyraźnie poruszona podała mi na srebrnej tacy wizytówkę. Przeszedł mnie dreszcz, kiedy przeczytałam nazwisko. Dom był wywrócony do góry nogami, w trakcie generalnych porządków, a ja - patrz wyżej. Oczywiście ktoś inny śmiałyby zjawić się bez zapowiedzi w poniedziałek rano! Safta zawsze z nim trzymała, nawet wbrew swojej pani (to znaczy mnie!), ale tak bywa, nie wolno ufać tym, którym się płaci. Prędzej czy później cię zdradzą: jeśli nie z zawiści czy z nienawiści, to z miłości. Myślę, że i Safta należy do tych licznych panien, które nie mogą mu się oprzeć. To prawda, że on bardzo grzecznie odnosi się do służby, co jest - jak sądzę - jedną z jego wielkich zalet. Jedną z jego nielicznych zalet... Drugą jest... nie, to bez znaczenia.

I co zrobiłam? Pozornie spokojna dalej obcinałam paznokcie, co zawsze robię sama, w przeciwieństwie do innych, a potem powiedziałam:

- Nie znam żadnego pana Alexandru Livezeanu. Znam pana Hristeę Livezeanu, panią Marię Livezeanu, pannę Marioarę Livezeanu, zamężną za panem Visinescu, a po rozwodzie znów Livezeanu, pannę Elenę Livezeanu, siostrę pani matki, niezamężną i nierozwiedzioną, znam miłego pana Mihaia Livezeanu, zwanego Misu, studiującego medycynę w Paryżu, który w zeszłym roku był uprzejmy zaprosić mnie na swoje imieniny, ale żadnego pana Alexandru Livezeanu. Tak więc nie mogę go przyjąć, ani teraz, ani kiedy indziej. Powiedz mu, że nie ma czego szukać na ulicy Fantanei, niech lepiej zapomni o istnieniu tego domu i państwa Margulisów. I przekaz mu też, że dobrze wychowany człowiek wie, że to ani dzień, ani pora na składanie wizyt! I że... i że...

Byłam bliska powiedzenia czegoś *bardzo* niegrzecznego, ponieważ jego obecność, choćby parę ścian dalej, wywołuje u mnie nieopisaną nerwowość. Powstrzymałam się, zaciskając po prostu pięści, jak mogłam najmocniej, na szczęście miałam już obcięte wszystkie paznokcie. Nie



powinno się okazywać swoich słabości, zwłaszcza wobec ludzi, którzy trzymają z wrogiem, a zwłaszcza wobec kobiet, które z nim trzymają. Kiedy Safta wyszła, wzięłam do ręki *Vanity Fair* i próbowałam czytać. Naturalnie nie byłam w stanie: trzymałam książkę odwrotnie. Kiedy się zorientowałam, zaczerwieniłam się. Podeszłam do okna: nie było już tego wiosennego światła jak wczoraj. Śnieg prószył niemrawo, a ja patrzyłam na drogę. Nie pozwoliłam sobie na choćby jedną łzę, co napawało mnie dumą.

Zajrzałam do Jacques'a. Był na bieżąco z nieudaną wizytą i bez słowa uściśnił mi rękę swoją zimną dłonią. Aby nam poprawić humor, powiedziałam mu, że umówiłam się z naszą kuzynką na świąteczne zakupy i naradziliśmy się, co kupić papie i gościom, którzy mieli być u nas na Boże Narodzenie.

- A nie lepiej, żebyś została w domu? Bardzo śmiesznie wyglądasz. Nie boli cię?

Bolało mnie, ale nie ząb, tylko dusza. Ropa w zębie i piasek w oczach przedostały się również do duszy. Ale zakupy też są bardzo dobre dla duszy. Ponieważ jest zima, mogłam zasłonić policzek szalem. Zresztą trzeba było kupić prezenty, nie było już czasu. Nie wiem, co sobie myślałam, zostawiając to wszystko na ostatnią chwilę. Nie wiem, co myślałam, ale wiem o *kim*.

Na drugim spotkaniu Alexandru powiedział mi, swoim czułym i jednocześnie bezczelnym głosem: "Chcę zaszczepić w tobie trochę zła! Strzeż się mnie!". Dziwne, jak mogą człowieka prześladować niektóre słowa... Spojrzał na mnie łagodnie, z jakby zatroskanym uśmiechem - ma piękne wargi i kasztanowy wąsik, i twarz jakby przemawiającą bez słów - i w tej samej chwili czas się zatrzymał, bal zamarł w bezruchu i nic już nie słyszałam wokół, mimo że była muzyka, hałas i dużo śmiechu. A później, jakbym ocknęła się ze snu i widziałam znów salę pełną ludzi i poruszenia. Znałam jego dwuznaczną sławę i wiedziałam, że trudno mu się oprzeć, że nie jestem sama, gdyż wiele osób o wybitnych zaletach przegrało przede mną tę walkę, ale to wyzwanie spodobało mi się i przejęło mnie dreszczem. Nie obchodziły mnie niebezpieczeństwa i ofiary z tym związane.

Po tym zdaniu życie stało się o wiele bardziej kolorowe. Pozwoliłam mu mówić sobie na ty i to był pierwszy raz, kiedy tak do mnie powiedział, zabrzmiało to niemal jak pieszczota. Poprosił mnie, nie, wręcz porwał mnie do tańca, a kiedy zbliżyliśmy się do siebie, oddalał mnie lekko, jakby broniąc mnie przed samym sobą, ale ciągle czułam jego oddech. Pachniał trochę tytoniem. Po naszym walcu uciekł z balu, ku wielkiemu żalowi wielu dam i panien, które zawczasu wpisały go do swojego karnetu. Również panowie czują do niego sympatię, ponieważ emanuje jakąś szczególną energią i akceptuje ich wady, nie próbuje sprowadzać ich na dobrą drogę, jak na przykład papa. Zauważyłam, że bierze z miejsca w obronę wszystkich, którzy znaleźli się w trudnej sytuacji, zanim oni sami zorientują się, że są w tarapatkach. No proszę, znowu go chwale, ciągle go chwale! Raz widziałam nawet jego zdjęcie w "Universul"! "Chcę zaszczepić w tobie trochę zła. Strzeż się mnie!" Taniec się skończył, uklonił się, odprowadził mnie na miejsce, nie spuszczając nawet na sekundę z oka, jakby przywiązał mnie do siebie spojrzeniem, jakbym była dzieckiem. Uczynił gest, jakby chciał dotknąć moich włosów, po czym zacisnął zziębniętą pięść, odwrócił się i wyszedł, tak jak napisałam wyżej. To był dopiero początek. Takie przynajmniej odniosłam wrażenie. Nie, nie chcę nic wiedzieć, nie znam go, on już nie istnieje, nigdy nie istniał, zapamiętaj to sobie raz na zawsze, Iulio Margulis! Moją duszę uciska ciężki głaz. Dlaczego tydzień nie może się zaczynać od wtorku? Zauważyłam, że w poniedziałki wszystko idzie nie tak i nic się nie układa tak, jak byśmy chcieli.

\*\*\*

Poszłam więc na zakupy z Vasilicą, co - jak już wspomniałam - dobrze robi na złe samopoczucie. Poza tym dzięki temu mogłam wyrwać się z domu w dzień generalnych porządków. Srebra wyszoruję po powrocie. Powóz mojej kuzynki czekał na nas przy wejściu i rozejrzałam się, czy w pobliżu nie ma czasem jego powozu, który nauczyłam się rozpoznawać na odległość, wyłuskując go od razu z pejzażu ulicy. Nie wiem, czy bardziej miałam nadzieję go zobaczyć, czy - wręcz przeciwnie - raczej przejmowała mnie groza, że tam będzie. Nie, nie było go, zobaczyłam jednak jego ślady w świeżym śniegu i jak głupia wpatrywałam się w nie. Ustaliśmy z Vasi plan działania: pierwszy postój na naszej ulicy, u Marie Rose, modystki, krawcowej, bielizniarki i tak dalej, później w Maison Jobin, na Calea Victoriei, w poszukiwaniu kapeluszy i krawatów dla panów, następnie nieco niżej, w cukierni. Ja wolę panów z Capsy, Vasilica, o wiele bardziej wielkoduszna niż ja, starego Fiałkowskiego, zwłaszcza że jest chory, biedaczysko, a jego interes prowadzi już ktoś inny, kto niezbyt przyciąga klientów. Podobało mi się u Fiałkowskiego, kiedy miał ten stary piec, rodzaj piekarnika w ścianie z cegły szamotowej, na którym wylegiwał się kot. Odkąd wymienili piec, a kot zdechł na zapalenie płuc, jak Violetta, i odkąd nasz Polak też się rozchorował, czuję się nieswojo, kiedy tam wchodzę. Następnie, po cukierni, pojedziemy do "Universul", gdzie można dostać niemal wszystko w przystępnych cenach, a później zobaczymy, czy będziemy jeszcze mieć czas i pieniądze. *Time is money*, dowiedziałam się niedawno od niej, i podoba mi się to wyrażenie, chociaż nie sądzę, by to była prawda, gdyż ja mam mnóstwo czasu i ani grosza. Za to *on*, ten łajdak, ma mnóstwo pieniędzy, ale czasu nie ma, przynajmniej dla mnie, traci go bez opamiętania, aż dziw bierze z kim. Może właśnie od tego wzięło się to wyrażenie, że jedno i drugie traci się potrzebnie lub niepotrzebnie. Pomyślałam przez chwilę, że może miniemy się z nim na Calea Victoriei, ale później postanowiłam wyrzucić go z pamięci. Wyrok zapadł: nie będzie mi psuł kolejnych świąt! I zaczęłam śmiać się głośno z Vasilicą, aż ludzie oglądali się za nami.

Nigdy jednak nie wiadomo, jakie niespodzianki zgotuje nam nowy, tak burzliwie zaczęty dzień. Kiedy dotarliśmy do "Universul", dostrzegłam go przez uchylone drzwi, tylko na chwilę, nie, nie *jego*, tylko tego nieznanego, o którym tyle się mówi ostatnio. Jestem pewna, że to był *on*, wyczułam, że to *on*, tak jakbym go znała. Był na dole, w biurze pana Peppina Mirto. Był chudy i miał nieogoloną twarz, poczerniałą od cienia brody, poza tym nic szczególnego. Zwolniłam, na ile mogłam, kroku, ale usłyszałam jedynie niewyraźny pogłos rozmowy. *On* również spojrzął na mnie, kiedy go mijałam, nie dłużej niż na dwie sekundy, i przerwał w pół słowa. Wydawał się zdziwiony - z pewnością z powodu mojego policzka, bo obsunął mi się szal. Poszliśmy z portierem do gabinetu dyrektora, gdzie składowano większość produktów reklamowanych w gazecie. Ależ tam był bałagan! Nasza dyrektorka ze Szkoły Głównej byłaby oburzona. Tyle razy powtarzała nam te same zasady, że znam je na pamięć: "Jeśli nie uporządkuje się swoich rzeczy, myśli, uczuć, planów życiowych, nie można żyć, jak należy. Tak jak nie można żyć bez tlenu, nie można żyć bez porządku. Człowiek staje się jak martwy, nie kontroluje już swojego życia. Jest nieszczęśliwy, nie czuje się dobrze w swoim domu, między swoimi rzeczami, w swojej kuchni, w swoim łóżku. Zróbcie porządek w swoim pokoju i w swoim sercu, dziewczęta, a będziecie szczęśliwe!". Pana dyrektora Luigiego Cazzavillana nie było, przychodzi, kiedy chce, wychodzi, kiedy chce, jak każdy dyrektor, tak że miałyśmy spokój i mogłyśmy przebierać do woli w towarze. Ale się uśmiełam, zapomniałam o wszystkich zmartwieniach. Z czego się śmiałam? Z tego, jak były przedstawione zabawki, ponieważ każda miała opis. Gdyby tak można było zrobić zapasy śmiechu na gorsze chwile! Ułożyć je na półkach, w spiżarni albo w piwnicy, i wyciągać je, kiedy nam smutno. Być może przyszłość

wymyśli coś takiego, gdyż dla człowieka przyszłości nie ma rzeczy niemożliwych. Ja poczytałam takie zapasy, przepisując kilka opisów (teraz, kiedy przepisuję je jeszcze raz, znów zanoszę się od śmiechu). Muszę je też przeczytać Jacquesowi.

"*Mama*\ Tajemnicze pudełko wymawiające bardzo wyraźnie słowo *mama*\ Ten dziecięcy krzyk wydobywający się z kieszeni wprawi wszystkich w zdumienie, ponieważ nie będą mieć pojęcia, skąd pochodzi". Vasilica odłożyła jedno dla siebie, gdyż znów spodziewała się dziecka, zdaje się, że w maju.

"*Miauczek!* Taki sam aparat naśladowujący doskonale miauczenie kota". Tego nie chciała, dlatego że nie spodziewa się kociąt w najbliższej przyszłości, wręcz przeciwnie, topi małe swojej kotki. Wzięłam go ja, ponieważ nie mam ani dzieci, ani kotów.

"*Cudowna papierośnica.* Poczęstuj kogoś papierosem z tej papierośnicy. Papierosy znikają, a zamiast nich zostaje skrzywiona gęba".

To że "skrzywioną gębą" bardzo mi się spodobało, więc wzięłam ją dla papy, który będzie umiał ją docenić. Właściwie to z jego powodu nie trzymamy psów ani kotów, mówi, że zostawiają wszędzie sierść i że można się od nich zarazić różnymi chorobami, a zwłaszcza robakami.

"*Pudełko z domino.* Kiedy się je otworzy, ze środka wyskakuje mysz. Znakomity figiel dla dam zwykłych grać w domino". Kosztuje tylko jednego leja, ale "damy", to znaczy nasze ciotki, nie gustują w podobnych żartach.

"*Magiczne szydło.* Możesz udawać, że przekłuwasz sobie nim usta, czoło, nos, nie pozostawiając jednak najmniejszych śladów". Dwa leje. Wyobraziłam sobie minę papy, gdybym dała komuś coś takiego.

Za to po kilkukrotnym przeliczeniu uzbieranych pieniędzy kupiłam Jacquesowi za niebotyczną cenę czterech lei pięćdziesięciu banów - dokładnie tyle kosztuje u Marie Rose gorset - małe чудо: *Fontanny świetlne*. Były opisane tak kusząco, że nie mogłam się oprzeć: "Osoby, które były na wystawie w Paryżu, ciągle nie mogą zapomnieć wrażenia, jakie zrobiły na nich fontanny świetlne. Ale dlaczego akurat w Paryżu? Któż nie widział 10 maja w Bukareszcie fontann świetlnych w Cismigiu? Ci, którzy ich jednak nie widzieli - jak właśnie Jacques - albo ci, którzy chcą zobaczyć je raz jeszcze w miniaturze - jak ja - mogą zrobić je sami, w pomniejszeniu, ale tak samo prawdziwe i piękne jak naturalnej wielkości. Kompletny zestaw ze wszystkimi niezbędnymi elementami i instrukcją". Coś niesamowitego! Oprócz tego były jeszcze "diabelskie kulki" wydzielające brzydki zapach, na gości, którzy zbyt szybko się zasiedzieli, wąż ruszający się jak żywy "dzięki niewidzialnemu systemowi", spinka do krawata i broszka, wydzielające perfumy, sztuczne wąsy, brody i bokobrody na bale maskowe. Vasilica mówi, że to same głupstwa, zrobiła się bardzo poważna, odkąd ciągle rodzi. Mnie podoba się wszystko, tylko że nie mam pieniędzy.

Na odchodnym spotkałyśmy pana Peppina Mirto, niezwykle szarmanckiego i uprzejmego mężczyznę, który pięknie śpiewa arie operetkowe na wieczorkach i jest tłumaczem w gazecie. Zapytałam go, zakrywając starannie policzek szalem, jak przetłumaczyłby tytuł powieści Thackeraya *Vanity Fair*. Zaproponował *Jarmark próżności* albo *Targowisko marności*, ale żaden z nich mi się nie podoba. Poprosiłam go, żeby do nas zajrzał, chciałam go jeszcze zapytać o parę rzeczy, które podkreśliłam w książce, ponieważ ich nie zrozumiałam. Spotkanie z panem Mirto, a zwłaszcza "półspotkanie" z nieznanym i chwile spędzone na wybieraniu prezentów sprawiły, że zapomniałam o ropie w zębie, swędzących oczach i o tym, że rano odrzuciłam oczekiwaną co wieczór od dwóch miesięcy wizytę człowieka, o którym myślę od roku. Trochę

zła... Wiele zła. Czego on jednak chciał? Zaczęłam szorować zapamiętałe srebra proszkiem do mycia zębów - to moje odkrycie, które powinnam opatentować.

Alexandru spodziewał się, że nie zostanie przyjęty, chociaż liczył na cud. To, że poniedziałek rano to nie pora na wizyty, było równie oczywiste, a w tym przypadku nawet bardziej niż oczywiste, jak to, że poniedziałek następuje po niedzieli. Jednak konieczność poproszenia jej, właśnie jej, o pomoc była poza dbałością o konwenanse, a ufność w swoje szczęście i w *niq* - poza wstydem. Safta powiedziała mu z żalem w głosie: "Panienska prosi o wybaczenie, bardzo jej przykro, ale nie może pana teraz przyjąć!" i spojrzała na niego spod rzęs. Było rzeczą oczywistą, że wiadomość dotarła do niego w zmodyfikowanej postaci, i bardzo chciałby usłyszeć pierwotną wersję. Wiadomo jednak, że służący są często cenzorami swoich panów.

Zawrócił powóz w stronę Świętego Józefa i ruszył, nie patrząc na drogę. Jakiś kundel uskoczył ze skowytem przed kołami. Jego pierwsze spotkanie z Iulią, przed sześciu laty, też było na czterech kołach. Wiedzieli o tym tylko on i Pan Bóg. Panna Margulis nie. Było to w Świętego Jerzego, pierwszego ładnego dnia po okresie deszczów. Wrzenie jego ciała i duszy prześcigało wrzenie natury, było jak statek parowy gotów wypłynąć na szerokie wody. Margareta, w której - jak mu się wydawało - był wtedy zakochany, dwudziestoletnia zaledwie wdowa, ze zmysłami pobudzonymi przez dwuletnie małżeństwo i pełna namiętności, pokazywała mu właśnie przez okno dylizansu, wydając ciche pokrzykiwania, kwitnące drzewo, kiedy jego wzrok padł na towarzyszki drogi siedzące naprzeciwno. Młoda, ujmująca dama w ciąży, która wyraźnie się męczyła i ocierała co chwilę chustką o koronkowych brzegach pokrytą plamami twarz, a obok niej śpiąca pannica w wieku około czternastu lat. Spojrzał na kwiaty na drzewie, które zostało w tyle za dylizansem, a potem znów na dziewczynę: miała w sobie coś bardziej subtel nego niż one. Podbródek nie zwisał jej na piersi, jak niektórym, ale opadał lekko na ramię, jak główka ptaka. Nie widać było, że oddycha, jej usta był wilgotne, jakby dopiero je zamknęła. Oczy zszyte czarnymi, zaciśniętymi rzęsami skrywały swój kolor. Postanowił sam im dać jakiś kolor, jak malarz. Do ciemnych włosów dziewczyny pasowałyby zarówno piwne, jak i niebieskie. Wolałby niebieskie i założył się sam ze sobą, że są niebieskie. Prawie nie mógł oderwać wzroku od twarzy śpiącej dziewczyny, a Margareta, czując, że poszybował myślami gdzie indziej, co chwilę dotykała go z byle powodu, ciągle coś do niego mówiła, śmiała się, ciągnęła w swoją stronę, przestraszona, że go traci. Biedna Margareta! Jego spojrzenia muskały jednak znowu twarz dziewczyny, aby jej nie zapomnieć i aby sprawić, by otworzyła oczy. Na pierwszej stacji pocztylion zatrzymał po mistrzowsku konie, tak że dziewczyna się nie przebudziła, tylko zmieniła pozycję głowy. Na ogół pocztylioni są brutalni, że też musiał trafić na tego jednego jedyne go artystę powożenia! Ukłonił się kobiecie z dużym brzuchem, która uśmiechnęła się do niego, umęczona, ale bardzo uprzejma, po czym spojrzał po raz ostatni w stronę śpiącej. Jej ciało było wątle, a piersi dopiero się zaokrąglały. Wysiadł, pomógł też wysiąść Margarecie, która złapała go za szyję i wsparła się ciężko na nim, a dylizans odjechał, unosząc ze sobą sekret nieodkrytego koloru. Żałował, że nigdy więcej jej nie zobaczy. Dziwne jednak było to, że po dwóch latach rozpoznał ją od razu. Wyszedł z teatru - tym razem był sam, śpieszył się do oczekującej go damy, ale nie Margarety. Na dworze zerwała się zawierucha, a w świetle lamp elektrycznych na placu Teatralnym połyskiwały igły deszczu. Spod swojego parasola dojrzał, kto był pod ich parasolem: ona i jakiś pan, pewnie jej ojciec. Jakby jeszcze nabrała kształtów, ale twarz w ramie ciemnych włosów, przykryta kapturem z aksamitu i jedwabiu, była taka sama.

Jedyna dorożka - jak zwykle w deszcz żadnej nie można znaleźć - podjechała do niego, gdyż znany był z sutych napiwków. Odstąpił im ją, skłoniwszy się grzecznie, i już po chwili byli na górze. Ojciec podziękował prostym gestem, a dziewczyna zniknęła od razu pod budą dorożki. Nie śmiał ich zatrzymywać. Również tym razem nie dowiedział się, jakiego koloru są jej oczy, było zbyt ciemno, usłyszał za to adres. "Ulica Fantanei, obok Świętego Józefa!" Tam pojechał jego kolor.

Następnego dnia służba zdziwiła się, że panicz chce wiedzieć, jak nazywają się właściciele domów na ulicy Fantanei, obok katedry Świętego Józefa. Właściwie to niezbyt się zdziwili, w jego przypadku wiadomo było, że chodzi o kobietę. Toader, najbardziej domyślny z nich i wiecznie uśmiechnięty, jakby świat obchodził wieczne święto, wymienił mu od razu domy z młodymi dziewczynami: państwo Petrescu - pięć córek, biedni, muszą mieć cały sklep z ubraniami dla nich, prawdziwe nieszczęście! I z tych pięciu tylko najmłodsza jest ładna. Pan Valeanu, kupiec - siedemnastoletnia córka, prawdziwa bogini, nazywa się Elisabeta, jak królowa, następnie Margulis, lekarz - również siedemnastoletnia córka, drobniutka, jej imienia Toader nie znał, ale nie sądził, by była warta uwagi. Im bardziej służący skłaniał się ku bogini Elisabecie, hojnie obdarzonej wszystkimi krągłościami niezbędnymi dziewczynie, tym bardziej Alexandru był pewien, że to nie ona była śpiącą dziewczyną z dyliżansu. Nie sądził też, by była to jedna z pięciu sióstr, wyglądała na jedynaczkę. Przejechawszy się ze dwa razy dwukółką (jeszcze nie miał powozu) na ulicę Fantanei, Alexandru dał sobie spokój. Wydawało mu się, że o niej zapomina i faktycznie zapomniał. Jednak po trzech latach, kiedy przeglądał listę osób zaproszonych na imieniny Misu, swojego starszego brata, studenta w Paryżu, który na święta przyjeżdżał do Bukaresztu, ujrzał *pan doktor Leon Margulis z małżonką*. Ciągle pamiętał to nazwisko.

- A panna Margulis nie jest zaproszona? - zapytał od niechcienia Alexandru.

Misu obracał się w kręgu studentów medycyny, póki co sprawy zawodowe pochłaniały go bardziej niż sercowe.

- O ile wiem, doktor ma dwoje dzieci: córkę Iulię i syna Iacoba, który... Czemu pytasz?

- Kiedyś miałem okazję wyświadczyć im małą przysługę i chciałbym zobaczyć ponownie pannę Margulis. Iulię - powiedział, świadomy, że po raz pierwszy wypowiada jej imię.

Misu wystarczyło to w zupełności, aby dopisać ją do listy gości. Alexandru wybrał dla śpiącej dziewczyny prosty strój, dwurzędową marynarkę zamiast surduta i jasnioletowy jedwabny krawat. Miał minę spóźnionego licealisty, z którą było mu nawet do twarzy, trochę za długie kasztanowe włosy oraz wąsy były jak łagodne błyski, za to policzki, wycięte nieco ostro, drżały lekko, kiedy zaciskał wargi, jakby przebiegał go dreszcz. Był światowym człowiekiem i nie potrzebował wiele czasu, aby się zorientować, że państwo Margulisowie nie należeli do najzamożniejszych. Nie chciał epatować swoim bogactwem. Ciągle nie wiedział jednak, czy na przyjęciu u Misu zjawią się oczy czarne czy niebieskie. Zobaczył, jak wchodzi, i mimo że był wtedy dość daleko od wejścia, ruszył przez salon pełen ludzi. Wydawało mu się, że posuwa się zbyt wolno, jakby grzązł w piasku. Ciągle ktoś go zatrzymywał i przez to tracił cenne jak złoto sekundy. W końcu przedarł się do niej. A kiedy Iulia podawała mu rękę do pocałowania, miała spuszczone wzrok. Następnie popatrzyła prosto na niego i wtedy zobaczył zielone, dziecięce spojrzenie. Nie wiedziała, że jest obiektem długich poszukiwań, nie wiedziała, że jest jego śpiącą panną, a z otwartymi oczami wydawała się odarta z wszelkiej tajemnicy. Tak intensywnie wyobrażał ją sobie z niebieskimi oczami, że ta niezgodność aż go irytowała. Wtedy jeszcze nie wiedział, że każdy defekt działa w takich przypadkach na korzyść uczucia. Faktycznie była

drobniutka. I wyglądała trochę dziwnie z tą kręconą grzywką. Zaopiekował się nią, to znaczy swoją bajką, nie odstępował jej, bronił przed beczelnymi typami, gdyż w każdym towarzystwie zawsze znajdzie się choćby jeden taki, a chamstwo panoszy się teraz wszędzie, przedstawił jej ludzi, rodzinę. Zauważył tylko, że dziewczyna błądzi gdzieś myślami. Od czasu do czasu uśmiechała się do kogoś w tych myślach, nie do niego. Chciał się dowiedzieć, gdzie jest, a kiedy zapytał: "Gdzie panienka jest?", odparła: "W powozie, w dalekiej podróży". Pojął w mig. *Comme elle est sage!* [16] Na jej twarzy rysowało się coś tak bardzo grzecznego, że Alexandru zapragnął nagle zobaczyć jej wzburzone oblicze. Na odchodnym odprowadził całą trójkę i w blasku świateł przy wejściu zobaczył, że on i Iulia stali się dwoma cieniami rozpostartymi na ziemi. Dwoma szarymi konturami stykającymi się ze sobą. Był pewien, że jej cień czuł dotknięcie cienia jego ramion. Ucałował znów jej białą dłoń, dotykając ją wargami nieco niżej, niż wypadało. A jego ciepłe wargi poczuły jakby jedwab.

To dziwne, że bez względu na to, czy w człowieka wstępuje dobro czy zło, skutek jest taki sam. Co więcej, kiedy wstępuje dobro, może być jeszcze gorzej. Alexandru nie wiedział, czy jest zakochany w Iulii, raczej nie. Spotykał się znów z Margaretą, z którą wcześniej rozstał się na jakiś czas, ale czuł potrzebę, by zobaczyć raz jeszcze dziewczynę ze swojej prywatnej bajki. Okazja ku temu nadarzyła się wcześniej, niż się spodziewał. Było to na balu w Teatrze Lirycznym, z loterią charytatywną - na rzecz sierot czy wdów po żołnierzach, nie pamiętał już, na którym zaprosił ją do tańca, by następnie podjąć gwałtownie decyzję o wyjściu bez słowa pożegnania. Czekala na niego Margareta, a spędzona z nią noc pozwoliła mu zapomnieć o tańcu z Iulią. Margareta śmiała się zbyt donośnie, ledwie się powstrzymywał, aby jej o tym nie powiedzieć, irytowała go. Jego śpiąca panna miała przymknięte oczy, jak wtedy, i głowę odwróconą w bok, i nad wyraz żywo przypominała mu się podróż powozem, podczas której ujrzał ją po raz pierwszy. Wiedziało jedno: nie przypominała kobiet, które zawracały mężczyznom w głowach i których miał już dawno dość. Była inna. Uderzyła go jej wewnętrzna siła, której ona sama nie wydawała się świadoma. A może jednak była?

Ale z czasem sprawy przybrały dla nich zły obrót. Teatr Liryczny spłonął prawie doszczętnie. Alexandru pomyślał niemal z przerażeniem, że sala, w której z nią tańczył, w której chłonał jej oddech i zapach, zamieniła się w zgliszcza. Tak jakby spłonęła część ich historii, jakby przepadł jej zapach, jej kroki, jej oddech... i jego miłość. A on nie uczynił nic, aby ją ratować. Teraz znajdował się w najstraszniejszej sytuacji w całym swoim życiu, tak zły, że nie wiedział, kto mógłby go uratować. Dlaczego sądził, że ona? Jaką moc może mieć córka lekarza, niezbyt jeszcze wtajemniczona w arkana życia? Zatrzymał powóz obok sprzedawcy gazet i kupił "Universul". Otworzył go pełen obaw i przeczytał, pośród proszących anemicznie płatków śniegu, niepodpisany artykuł na pierwszej stronie: *Młody arystokrata zabity pod lasem Baneasa*. Zrobiło mu się czarno przed oczami: nie żyje!

### 3

Pierwszy tytuł, na który padł jego wzrok, brzmiał: *Młody arystokrata zabity pod lasem Baneasa*. Znaczy się jasnowłosy chłopak nie żyje! Petre odetchnął z ulgą. Może jednak nie powinien "pozbywać się portfela", ale kiedy przeczytał ogłoszenie w gazecie i zobaczył, ile wynosi nagroda, przestraszył się. Opowiedział o wszystkim żonie, która poradziła mu, aby poszedł go oddać i wziąć za niego pieniądze. Petre jednak nie miał odwagi, a po rozmowie z panem Costache podjął ostateczną decyzję i oznajmił ją kobiecie:

- Muszę się pozbyć tego fanta. Tylko gdzie to wyrzucić? Do strumienia? Do jeziora? Do rowu? W lesie?

W niedzielę zrobił mały przegląd miejsc z wodą i może gdzieś by go wyrzucił, gdyby go miał ze sobą. Bał się, "żeby nie wypłynął". Bał się, żeby nikt go nie zobaczył. Ten "mały łobuz" już za nim chodził. Wyjął znów portfel i obejrzał go uważnie. Na środku wytłoczone były w skórze trzy splecione ze sobą litery: *R.O.Z.* Po otwarciu można w nim było znaleźć całą masę kieszeni i kieszonek, jedne widoczne, drugie ukryte, zajęło mu sporo czasu odkrycie wszystkich. Ten portfel to było prawdziwe osiągnięcie sztuki rzemieślniczej, coś jak połączenie portfela i portmonetki. Niestety wszystkie kieszenie były puste, z wyjątkiem jednej. Rozczarowany Petre spojrzał jeszcze raz na "skarb" z zamszowego portfela: klucz! Raczej mały, ale solidny, połączony, z gęsto powycinanymi ząbkami po obu stronach trzpienia, zajmującymi dokładnie jego połowę.

Nie ulegało wątpliwości, że to klucz od jakiejś kasy pancерnej! Jak wszystkie prawdziwe skarby, było to coś, co może być użyte tylko przez konkretne osoby, Petre i jego żonie na nic się nie zdał. Nie miał jak dowiedzieć się, skąd pochodzi klucz i jako że nie był zawodowym włamywaczem, tylko woźnicą, nawet gdyby jakimś cudem dowiedział się, gdzie jest ta kasa, to i tak na próżno. A teraz, po śmierci chłopaka i po rozmowie z panem Costache ("pamiętaj: jeśli coś ukrywasz - popamiętasz!"), Petre nie uśmiechało się odnosić portfela. Był jedynym człowiekiem w Bukareszcie, który - po lekturze "Universul" - powiązał wiadomość o śmierci "młodego arystokraty" z ogłoszeniem "zgubiono portfel". Po namyśle połączył wszystko w następujący sposób: postrzelony młodzieniec i portfel to zdarzenia z tego samego ranka. Najwyraźniej chłopak ukradł portfel i dał znać tym z ulicy Teilor - i co dziwne, wrócił, by umrzeć, w to samo miejsce, "jak to los potrafi zrządzić!" - że go tam zgubił. A może to właśnie tamci mu nie uwierzyli i "go postrzelili"? Ale - dla pewności - dali jednak ogłoszenie? Na pewno ci z nowych domów, prawdziwy cud świata - te domy, wiedzą, że chłopak leżał u doktora Rosenberga. W takim razie dlaczego nie powiedzieli, że go znają? Na pewno w grę wchodziło mnóstwo pieniędzy i wielkie niebezpieczeństwo. Na razie nikt nie wiedział, że portfel nie zaginął, tylko został ukradziony, może nawet po raz drugi, i że on, Petre, stał się w ten sposób złodziejem. Tylko dlaczego go to spotkało, skoro do zeszłego piątku był uczciwym człowiekiem? Jesteś uczciwy całe życie i nagle stajesz się złodziejem, kieszonkowcem, "kryminalistą". Petre im więcej o tym myślał, tym bardziej się bał. Chłopak umarł; a jeśli i jego czeka podobny los, jak w historiach o przeklętych rzeczach, które - jeśli je ukradłes - ściągają na ciebie nie wiadomo jakie nieszczęścia? Petre zaczął aż dyszeć ze strachu i poczuł, że musi iść szybko na podwórze. Wziął "Universul", podarł każdą stronę na osiem kawałków i ruszył śpiesznie w stronę wychodka. Po niecałych pięciu minutach uwolnił się od strachu i od portfela.



Jedynie kanalarze mogliby go jeszcze znaleźć, ale trudno sobie wyobrazić, by chcieli przeszukiwać ten niezbyt ładnie pachnący przedmiot swojej pracy. Który jednak podobno przynosi szczęście.

## 4

Tym razem nerwowy młodzieniec o jaszczurczych ruchach przywitał się, chociaż w dość obraźliwy sposób, z pewną wyższością.

- Dzień dobry panu - odpowiedział portier.

Twarz Nicu pokazywała, że nie wie, czy warto się przywitać. Po chwili jednak, pomyślawszy o nauczycielu "jesteś niewychowany!", postanowił pójść w ślady portiera i powiedział, możliwie ironicznie:

- Dzień dobry *panu!*

Jaszczurka spojrzała na niego ze zdziwieniem, ale nie truduła się odpowiedzieć.

- Portfel się znalazł? - zapytał Nicu, a wyjątkowo ostre teraz łuk jego brwi wyrażał zaniepokojenie, tyle że zupełnie innego rodzaju, niż należało. Właśnie wtedy portier powiedział:

- Powtarza pan ogłoszenie?

- Nie... Tak... Powtarzamy - powiedział chłopak. - Proszę się nie fatygować, znam drogę - dodał i ruszył falującym krokiem w stronę biura, które odwiedził kilka dni temu, aby opłacić cały tydzień.

- To musi być coś bardzo cennego - pomyślał głośno portier, Nicu zaś wyjawiał mu swój sekret, zaklinając go na wszystkie świętości, aby nic nikomu nie mówił: to na pewno był los na loterię noworoczną. Następnie wrócili do swoich spraw i pan Cercel zaczął czytać na swoją bardzo wyrazistą modłę:

- "Uwaga!! - dwa wykrzykniki - W siedzibie gazety »Universul«, ulica Brezoianu nr 11, naprawiamy najtaniej w mieście zegarki, zegary et cetera. Roczna gwarancja niezakłóconego działania, a - słuchaj tego! - w przeciwnym razie kolejna naprawa *gratis!*" Moja kobita dostała od mojego teścia zegar ścienny, który przestał chodzić, już dwa razy go tu przynosiłem, a teraz powiedzieli mi, że mam go już nie przynosić, bo nawet sam Edison go nie naprawi. Ale ciebie to nie dotyczy, bo nie masz zegarka. Nicu wzruszył ramionami na znak żalu i rzucił mu spojrzenie zbitego psa. Czasem lubił wyolbrzymiać swoje problemy, by wzbudzić większe współczucie. Robił zapasy uczuć.

- O, a to coś dla ciebie - powiedział szybko portier. - "WIADOMOŚCI ZE ŚWIATA: Rekord w jeździe na łyżwach. Informujemy wszystkich łyżwiarzy amatorów i zawodowców, że rekord w jeździe na łyżwach należy od trzech lat do młodego angielskiego *skatera* - jakiego *skatera*, dlaczego nie napisali łyżwiarza? gdzie to było... - młodego angielskiego *skatera*, pana Harryego Taya, który założył łyżwy o godzinie dziesiątej rano i przejechał na nich cały dzień i całą noc aż do tej samej godziny następnego dnia - to znaczy do dziesiątej rano, rozumiesz, dwadzieścia cztery godziny - bez chwili odpoczynku. Pan Tay nie tylko nie zatrzymał się ani minuty podczas wykonywania różnych figur na lodzie, ale też nic w tym czasie nie jadł i nie pił - o ludzie! ja bym tak nie mógł - i nie pił". Piszą jeszcze, że to absolutny mistrz łyżwiarstwa i że - chociaż jeździł w kółko - zrobił sześćset kilometrów.

- Ciekawe, ile kilometrów zrobiła duża wskazówka pana zegara, kiedy tak ciągle chodziła w kółko - powiedział Nicu. - Pewnie zepsuły jej się łyżwy i zmęczyła się, biedaczka, że już nie chodzi. Ja nie rozumiem, co to takiego czas, a pan rozumie?

- Nie. Przeczytam ci jeszcze to, jakbyś chciał się żenić. KNĄB... KRNA-BRNA NARZECZONA - czyli że narowista klacz. "Kilka dni temu, jak donosi »Kurier Stanów

Zjednoczonych«, miało się odbyć wielkie wesele w Wo-od-lawn, w Woodlawn, jednej z głównych dzielnic miasta Chi-, miasta Chi-ca-go". I posłuchaj, jak to się skończyło. "Małżeństwo pana Tho-ma-sa Leo de Shong z panną She-pard zostało zaaranżowane, kiedy dziewczyna miała osiem lat".

- Jak ja - ucieszył się Nicu, bardzo wyczulony na historii o miłości. - Myśli pan, że powinienem poszukać sobie narzeczonej? Babcia też ciągle mówiła mi o żeniactwie.

- Poczekaj: "Narzeczeni żyli przez wiele lat z dala od siebie, w ogóle się nie odwiedzając, i kiedy pan de Shong przybył do Chicago na ślub, panna Shepard, uznawszy, że narzeczony nie odpowiadał, nie odpowia-da ani trochę jej ideałowi przyszłego męża, odmówiła stanowczo poślubienia go. W ten sposób ceremonia została odłożona do... greckich kalendarzy. Greckich kalendarzy? Greckich *kalend*". To znaczy na zawsze - objaśnił portier, mimo że nie potrafiłby powiedzieć nic więcej o tych całych kalendarzach.

- To znaczy na nigdy! - wykrzyknął Nicu, ale z żalem, jak gdyby chodziło o jego własny ślub.

I zdziwił się, że zawsze może znaczyć to samo co nigdy i wyobraził sobie, że zawsze to górski szczyt, wysoki jak Himalaje, a nigdy - bezkresna dziura.

\*\*\*

- Jednakowoż dziwi mnie, że nie słyszał pan o sprawie Lahovaryego, gdziekolwiek by pan wcześniej mieszkał. "L'Independance Roumaine" wydawana jest, między innymi, dla zagranicy w najbardziej znanym języku Europy. Chyba że nie interesowały pana wiadomości o Rumunii.

Drzwi od biura pana Peppina Mirto były uchylone, aby się trochę przewietrzyło. Prawda jednak była taka, że pan Cretu, który - rad nierad - był teraz jego kolegą z biura, przyniósł ze sobą lekki zapach potu. Peppin spojrzął na Dana, który zmarszczył się i sposepniał, więc pośpieszył z wyjaśnieniami, z ogromną uprzejmością w głosie.

- George Lahovary był z pewnością człowiekiem z charakterem. Widzi pan, w tym roku, w styczniu, krótko przed Świętem Zjednoczenia, "L'Independance" opublikowała jego list, bardzo grzeczny, ale i stanowczy, skierowany do przywódcy partii konserwatywnej, czcigodnego pana Lascara Catargiu. Lahovary też należał do konserwatystów, był nawet w komitecie wykonawczym, ale w liście ogłosił swoje wystąpienie z partii. Zapyta pan dlaczego - powiedział Peppin, właśnie dlatego, że Dan nie zadawał żadnych pytań. Ponieważ *monsieur Georges Lahovary* oznajmił *en français* [\[17\]](#), że zaczyna "w dobrej wierze i beznamiętnie" kampanię, którą uważa za potrzebną swojemu krajowi, Rumunii, i to ponad codziennymi, drobnymi polemikami gazetowymi. I wtedy nastąpiło uderzenie pioruna...

Peppin zapalił papierosa, podsuwając papierośnicę również Danowi. Aromatyczny dym tłumiał zapach potu.

- Kampania we francuskiej gazecie - musiał pan widzieć szyld, to ten żółty budynek z zegarem ze spiżowym żołnierzem i z własną skrzynką pocztową, czyli że odbierają tam od nich korespondencję - kampania, znaczy się, była bezlitosną analizą partii, klubów rządzących życiem politycznym, podporządkowanej partiom prasy Aha, część dotycząca prasy jest straszna, słowo daję, powinien pan to przeczytać! Zachwiała w posadach całą instytucją prasy Na szczęście my nie jesteśmy gazetą polityczną, zaczynaliśmy od reklam i tak zdobyliśmy czytelników. Ale przede wszystkim była to krytyka obecnej konstytucji i aktualnego ustroju parlamentarnego.

Na wprost drzwi przeszły dwie młode kobiety, a Dan utkwiał wzrok w jedną z nich, która zresztą zatrzymała się na chwilę przed drzwiami, po czym lekkim krokiem ruszyła dalej, ku stopniom. Miał wrażenie, że skądś ją zna.

- Dziennikarze tylko na to czekali, skoczyli jak oparzeni. Jeden po drugim zaczęli oczerniać Lahovaryego i jego gazetę. Jedni nazywali go pachołkiem Francuzów, inni Rosjan - co za pomysł! - inni znów mówili, że Król kupił go z całą gazetą, aby zaprowadzić w Rumunii tyranię, a jeszcze inni nazywali go "patologicznym przypadkiem". Poza nami nie atakował go chyba tylko "Constitutional" Junimii[18]. Szydzili z niego, ale powstrzymać go nie zdołali. I wie pan, co zrobił Lahovary?

Pan Mirto zgniótł papierosa w popielniczce obok papierosa Dana.

- Wydał całą serię artykułów w formie książki w drukarni gazety, dlatego że oni też, tak jak my, mają swoją własną drukarnię. Tytuł był niezbyt zrozumiały, *Histoire d'une fiction*, czyli *Historia pewnej fikcji*, jedni twierdzili, że jest zbyt abstrakcyjny, drudzy - że metafizyczny. Niektóre tezy tej książki warto byłoby przedyskutować, ale nikt o nich nie dyskutował, na tym polegał dramat. Obszerna książka i - proszę mi wierzyć - bardzo śmiała. Szczerze panu powiem, że ja nie miałbym odwagi napisać czegoś takiego...

Po raz pierwszy tłumacz ujrzał na twarzy Dana uśmiech, co wprawiło go niemal w osłupienie. Coś rozświetlało go i przemieniało zupełnie, wygładzało jego rysy, jakby był postacią z florenckiego obrazu w którymś z kościołów, które Peppin zwiedzał wiosną w poszukiwaniu południowego słońca i śladów włoskich przodków. Po dłuższej przerwie ciągnął dalej:

- A po tym wszystkim George Lahovary napisał artykuł wymierzony w dyrektora gazety "Epoca", Nicu Filipescu, którego oskarżył o dwulicowość podczas nieprzyjemnych zajęć, które miały miejsce pod koniec zeszłego miesiąca na ulicy Karola, nie będę panu teraz o tym opowiadał, akty wandalizmu, w które - jak się podejrzewa - zamieszani byli również jacyś studenci, więc rektor uniwersytetu, pan profesor Maiorescu - nie sądzę, aby pan o nim słyszał - po tym, jak napomniał ich po ojcowsku, aby nie brali udziału w podobnych ekscesach, podał się jednak do dymisji, co jest niepowetowaną stratą. Pan Filipescu, człowiek impulsywny, nerwowy, na dodatek z wrogiej teraz gazety, natychmiast zażądał satysfakcji i wyzwiał go na pojedynek. Zastanawiam się, czy to nie była kropla, która przepełniła czarę.

Tutaj pan Peppin Mirto przerwał znów i wybiegł na korytarz, aby porozmawiać z panią Iulią Margulis, która właśnie schodziła. Po jakichś pięciu minutach wrócił.

- Więc, tak jak mówiłem... Przepraszam za to nagłe wyjście - panna Margulis miała do mnie pytanie, czasem konsultuje się ze mną, jak coś przetłumaczyć, a ja chętnie jej pomagam. Więc, tak jak mówiłem, jego przeciwnik polityczny zażądał satysfakcji. Nicu Filipescu trenował regularnie przez dwa tygodnie, jest zresztą dobrym szpadzistą, Lahovary z kolei nie miał szpady w ręku od jakichś *pięciu lat* - zgodnie z tym, co mówi jego sługa Paul, Francuz - i trochę utykał. Ale mówi też, że rano, w dzień pojedynku, 29 listopada - no proszę, minęły już trzy tygodnie - trochę jednak ćwiczył.

Po raz pierwszy Dan zadał pytanie, długości jednej samogłoski:

- I?

- Poszli do zbrojowni na nadbrzeżu Dymbowicy, do małej sali szermierczej. Przed pojedykiem sekundanci powiedzieli, żeby go odwołać, że jest za zimno, ale Filipescu na to, że nie i nie, żeby się pojedykować, jak było ustalone. Sekundanci opowiedzieli też, co było później. Już pod koniec pierwszej rundy Lahovary został przyparty do muru, palce jakby mu skostniały na rękojęści. Victor Ionescu, jeden z sekundantów Filipescu, wybrany w drodze losowania na kierownika walki, przerwał ją i pozwolił przeciwnikom zająć znów pozycję wyjściową i przyjąć postawę bojową. Zaraz po wznowieniu walki, kiedy ostrza się złączyły,

Filipescu zrobił unik, po czym - z zaskakującą zwinnością i siłą - wbił szpadę w brzuch Lahovaryego. Tak mocno, że jej koniec dotknął żebra i się wygiął! Położył go na miejscu. Zgodnie z ustaleniami wszystko miało trwać tak długo, aż jeden z nich stanie się *widocznie* niezdolny do walki. Pojedynek przerwano, a największe emocje i współczucie wzbudziły ostatnie słowa Lahovaryego: "Umieram! Umieram! *Zamordowali mnie...*".

Peppin odegrał scenę pojedynku z prawdziwą maestrią.

- Policji nie udało się jeszcze ustalić, czy był w tym jakiś motyw, czy dyrektor "L'Independance" umarł za swoje przekonania, za swoje zasady, które niektórym nie były w smak, czy "jedynie" w obronie honoru. Costache Boerescu rozmawiał ze wszystkimi, zapraszał ich po kolei na obiad i delikatnie wypytywał. Tak czy inaczej, to wielka strata... Jestem tym głęboko poruszony, dobrze go znałem. Nie był to człowiek gwałtowny, był zrównoważony, słowny i raczej wesoły. Rodzina jest zdruzgotana. A panu jak się powodzi? Jak się pan czuje w nowym mieszkaniu?

Dan chciał coś odpowiedzieć, ale Peppin zasiadł znów za biurkiem. Jak każdy, kto dużo mówi, nie potrafił słuchać.

\*\*\*

Na piętrze, w biurze pierwszego redaktora, rozmowa nie kleiła się jeszcze bardziej. Brat Peppina, Pavel, otoczony od dzieciństwa wielomównymi osobami, stał się milczkiem, a Procopiu, który miał gadatliwą żonę, ponad wszystko na świecie pragnął spokoju. Pavel, kiedy nic nie mówił, wyobrażał sobie najróżniejsze sceny, pisał w myślach. Nikt nawet nie podejrzewał, ile się dzieje za jego okrągłymi okularami. Sprawiał wrażenie, że otwiera drzwi do świata zewnętrznego, przez chwilę rozmawia w progu z ludźmi, po czym - ni z tego, ni z owego - zatrzasuje im drzwi przed nosem, opuszcza zasłony w oknach, zrywa wszelką możliwą komunikację ze światem zewnętrznym, a sam zapada się w głęboką otchłań, w kłębowisko idei. Neculai Procopiu - wręcz przeciwnie, był ciągle niespokojny, żądny kontaktu z ludźmi i polujący na idee. Wstawał razem z żoną, o siódmej rano, ubierał się, wiązał fontaź, stroił się, jakby szedł na zaręczyny z Ideą. Przez cały ten czas małżonka suszyła mu głowę, więc wyjście z domu było prawdziwym błogosławieństwem. Wybierał ulice pełne ludzi, oglądał witryny sklepów, czasem wstępował na kawę, na bulwarze, i zamawiał zawsze "kapucyna z dużą ilością mleka", siorbał go bez pośpiechu, wyłapując wzrokiem znane osobistości. Dzisiaj dużo jeździł tramwajem po mieście w poszukiwaniu dobrego tematu, od Biskupstwa do Świętego Jerzego, a później na Mosilor i stamtąd na bulwar Elżbiety aż do przystanku Cismigiu. Z przystanku szedł pieszo, koło ogrodu - latem to była prawdziwa przyjemność oglądać klomby kwiatów w żywych kolorach i zegar słoneczny - później skręcał w prawo w Brezoianu i już był na miejscu, rozczarowany, że nie zaobserwował żadnego zdarzenia godnego artykułu na pierwszą stronę. Za dobrze wszystko szło, a wszyscy ludzie na jego drodze byli mili i usłużni. Tymczasem to zamieszki i wypadki, pożary i kradzieże były prawdziwym szczęściem dla gazety i zwiększały nakład. Może by tak napisać o zarządzeniu Merostwa w sprawie drukarni? Nie była to jakaś wielka nowina. Odkąd wynaleziono druk, wiadomo, jakie ma toksyczne właściwości z powodu ołowiu. Oczywiście wzorowa czystość, zapobiegająca wdychaniu kurzu, może zmniejszyć ryzyko, ale nie eliminuje go zupełnie. Ponadto pisanie o tym jest trochę niebezpieczne, jeśli jest się wielką gazetą z własną drukarnią, chełpiącą się jedyną w Rumunii maszyną rotacyjną, przywiezioną właśnie z Wirzburga. To już lepiej robić jak koledzy po fachu, którzy podają amerykańskie wiadomości, niepomiernie zaskakujące, ale niestanowiące tematów do kłótni: na przykład o tym, że drukarz układa dwanaście tysięcy liter dziennie. Jeśli policzyć odległość przebywaną przez rękę, czyli

jakieś dwa kroki na każdą literę, wychodzi, że w ciągu roku, nie licząc świąt, ręka zecera pokonuje około sześciu tysięcy kilometrów. Prawie jak do Nowego Jorku.

- Myśli pan, że Nicu Filipescu zostanie skazany? - zapytał Pavel, unosząc głowę, jakby wyczuwał rozterki kolegi i chciał je przegnać.

- Były mer? Mało prawdopodobne, ale możliwe, ponieważ nigdy nie widziałem, aby opinia publiczna była tak wstrząśnięta - nawet wtedy, gdy zarządził zburzenie cerkwi Sarindar, pamiętam ten kurz, który wdychaliśmy po drodze do pracy, a "Adeverul", mimo że ich redakcja mieściła się wtedy w pasażu Vilacross, miał powód, żeby zrobić wielką aferę. Ale kiedy pomyślę, że biedny Lahovary był dokładnie w moim wieku i kiedy przypomnę sobie, jakim był prawym i radosnym człowiekiem, pragnę z całej duszy, aby Filipescu został skazany.

- Ale dlaczego? - rozplomienił się Pavel, a jego głos był donośniejszy i bardziej rozdrażniony niż zwykle. - To już nie można żądać satysfakcji, kiedy zostanie się oczernionym w gazecie? Nie bronię Filipescu, ale w tym przypadku chodziło o jego honor, to Lahovary zaatakował. I wiedział, że godzi w człowieka, który łatwo się unosi.

- To już zapomniał pan, ile razy "Epoca" w osobie jej dyrektora Filipescu atakowała George Lahovaryego i jego gazetę? - pierwszy redaktor również się uniósł. - Znaczący się jeden wali drugiego maczugą przez okrągły rok i nie ponosi za to żadnej kary, ale kiedy ten wymierza mu lekki policzek, to trzeba go od razu wyzwać na pojedynek? Mam panu powiedzieć, co o tym sądzę? To morderstwo! Dlatego że jeśli za wszelką cenę chcesz pojedynkować się z kimś, kto nie zwykł tego robić, a później - zamiast go drasnąć - wbijasz mu szpadę w brzuch, to jest to morderstwo! Pojedynek to średniowieczna instytucja i jestem zdumiony, że tak wrażliwa natura jak pan, człowiek o duszy artysty, może ją akceptować.

- Proszę mi nie mówić, panie Neculaiu, że należy pan do zwolenników wprowadzenia zakazu pojedynków. Proszę mi nie mówić, że chce pan żyć w świecie, w którym każdy będzie mógł kpić sobie z pana do woli, a pan nie będzie mógł bronić honoru choćby bronią - powiedział Pavel niemal trzęsącym się z oburzenia głosem. - Możliwe, że w przyszłości, o której niektórzy z nas już myślą, dojdzie do podobnego absurdu, ale obecnie, skoro nie mamy innych przywilejów, mamy przynajmniej honor.

Atmosfera stała się bardzo napięta, tak jak w parlamencie, gdy omawiano tę kwestię. Pierwszy redaktor wstał od biurka i spacerował dużymi krokami, a Pavel zapalił kolejnego papierosa, co tylko zwiększyło irytację przedmówcy.

- I proszę nie zapominać, od czego to wszystko się zaczęło - dodał Neculai Procopiu, nie patrząc na niego.

Zaczęli rozmawiać, trochę spokojniejszym tonem, mimo że w środku ciągle kipieli, o zajściach na ulicy Karola, które właściwie spowodowały wybuch, próbując ustalić, co było iskrą. Bandy chuliganów, stołeczne szumowiny, zawodowi złodzieje, będący na bakier z prawem, wybili szyby wystawowe i okradli sklepy na ulicy Karola, w większości prowadzone przez Żydów. Bukareszteńczycy nie doświadczyli czegoś takiego od grabieży Greka Melanosa Domokrążcy i jego wagabundów, których ludzie nazwali "fanfaronami ze Starego Dworu". U Ingera i w sklepie "Au bon gout" potłukli witraże grubości jednego centymetra, a u doktora Steinharta okna. Byli też pobici. Gazety stanęły po stronie żydowskich właścicieli. Żandarmi przegonili przestępców i dokonali aresztowań. Tutaj jednak pojawił się mały problem. Na Catonie Lecce, zwanym "Starym", ciążyło przykre podejrzenie, że przemyka oczy na antyżydowskie ekscesy. U jego brata z Bacau miały miejsce podobne zajścia. Costache Boerescu wręcz przeciwnie, miał nieposzlakowaną opinię bez widocznych skaz. Ludzie wiedzieli, że ta

dwójka żyje jak pies z kotem. Również o Nicu Filipescu mówiono, że jest antysemitą, chociaż później wziął Żydów w obronę. Lahovary napisał w artykule *Dwie polityki*, że Nicu Filipescu jest hipokrytą, że pisze, jak wiatr zawieje, przypomniał też o aferze metropolity Ghenadie. W tym momencie omal nie zaczęła się znów kłótnia, więc pierwszy redaktor uznał za stosowne zmienić temat:

- Widział pan, że golarze i fryzjerzy chcą zgody na pracę w Wigilię i w Boże Narodzenie, bo tracą mnóstwo klientów? A jeśli jej nie dostaną, grożą strajkiem! Słyszał pan o strajku, którego celem byłoby zniesienie dnia wolnego od pracy? Myśli pan, że to temat na pierwszą stronę?

Zadając to pytanie, Procopiu patrzył z zazdrością na Pavla: on nie ma takich problemów, kiedy ma napisać artykuł wstępny, od razu znajduje jakiś aktualny temat, taki jak na przykład transmisja telefoniczna koncertu skrzypcowego z Pałacu Poczтового. O, to zainteresowała Procopiu w najwyższym stopniu! To tak, jakby być w dwóch miejscach jednocześnie, choćby tylko za pośrednictwem jednego zmysłu, słuchu. Jednak już niedługo, mówił mu jego przenikliwy umysł, ta jego część, którą stanowił inżynier posiadający również zdolność wyobraźni, jednak już niedługo będziemy mogli być w dwóch miejscach jednocześnie również za pośrednictwem wzroku, później także pozostałymi zmysłami naszego ciała, a za jakieś sto lat - czemu nie - już zupełnie, całą naszą istotą. W takich wiadomościach spotykali się obaj - jeden wnosił naukę i nadzieję, drugi - fantazję i literaturę. Procopiu westchnął i otworzył okno. W dzisiejszej gazecie na pierwszej stronie był jego artykuł o zabitym młodym arystokracie, a tekst o Rumunie rozszarpanym przez jaguary przesunięto bardziej na bok, chociaż zasługiwał na środek, była to niesamowita historia. Pod nią - kto to układał? - "RADA DNIA: *Spuchnięta twarz*. Wziąć po jednej garści kwiatu czarnego bzu, rumianku i lipy, wymieszać i włożyć do woreczka. Podgrzać woreczek i przyłożyć do spuchniętej części twarzy". Pomyślał o pannie Margulis, którą właśnie spotkał, ponieważ wpadła na dziwny pomysł, by ze spuchniętym policzkiem odwiedzić redakcję, i żałował, że nie zdążył jej powiedzieć o radzie dnia, kto wie, może by jej pomogło. Właściwie niezbyt wierzył w te rady ani też w reklamy cudownych leków na wszystkie choroby, które zmuszeni byli zamieszczać, jak na przykład w reklamę wody genueńskiej, słono opłacaną, ma się rozumieć, albo w reklamę leku przeciw wirusom siwienia.

- Odkąd większość młodych woli wąsy zamiast brody, golarze nie mogą nadążyć z robotą. Długie włosy też już są niemożliwe - powiedział Pavel pojednawczym tonem.

Nieco udobruchany, ponieważ mógł pod tym względem uchodzić za bardzo młodego, Procopiu pogładził swoje czarne, posmarowane woskiem wąsy:

- Ale na przykład pana Costache Boerescu wolałem z brodą, nie z wąsami. Kto wie, dla jakiej primadonny zgolił brodę.

Pavel Mirto dodał jeszcze, aby zatrzeć ślady wcześniejszego incydentu:

- A, mam dla pana wiadomość. We Francji powstała gazeta z samymi tylko kobietami, "La Fronde". Santa Maria, Madre di Dio! Chętnie bym się tam zatrudnił.

- Jako palacz miałby pan tam niejaki problemy - pierwszy redaktor wykorzystał okazję do rewanżu i pozwolił sobie na przytyk. - Co z jutrzejszym artykułem? Ma pan jakiś pomysł?

**WTOREK, 23 GRUDNIA**

Przypadek



# 1

Wczoraj wieczorem papa, wróciwszy z Giurgi, wystraszył się, że cały dzień chodziłam po mrozie i stanowczo zabronił mi wychodzić z domu. Wezwę mojego kolegę Steinharta, aby cię zbadał - powiedział - ale widzę, że ropa zebrała się pod zębem "mądrości", więc najlepiej go usunąć, te zęby są zupełnie bezużyteczne, tylko sprawiają problemy Tak samo jak mądrość - odpowiedziałam, ponieważ byłam bardzo przygnębiona. Pomyślmy, miałam wszelkie powody ku temu: czułam się coraz gorzej, ciągle tak, jakbym miała coś w oku, twarz ciągle miałam spuchniętą i znów śnił mi się Alexandru. Pojedynkował się z Nicu Filipescu i obaj odnieśli rany, a ja, zdaje się, byłam jednym z sekundantów, kierownikiem walki. Nie mogłam mu jednak pomóc, wyglądało na to, że nie było mi wolno. Oczywiście jest to skutek obsesyjnego zainteresowania gazet sprawą Lahovary - Filipescu, innymi słowy - "L'Independance Roumaine" - "Epoca", innymi słowy - polityczną *querelle* [19]. Nie bardzo wierzę w to, że Nicu Filipescu zabił go z premedytacją, jak mówi służba, znany jest z tego, że łatwo się unosi. Ale też nie miał litości dla człowieka nieobytego z szablą. W pewnym sensie popełnił zbrodnię w imię honoru. Papa zakropił mi oczy collirem, ale nic mnie nie bolało. Wyrwania zęba też się nie boję. Zresztą teraz są takie metody, powiedział papa, że usypiają ząb, znieczulają szczękę i wszystko odbywa się bezboleśnie, nawet jeśli później, kiedy uspione miejsce się budzi, wraca również ból. Papa pochwalił mnie, mówi, że kobiety są dzielniejsze od mężczyzn, jeśli chodzi o walkę z chorobą. W rodzinie opowiadamy przy każdej okazji, jak to papę zapytał kiedyś jeden kolega: "Panie Margulis, co pan sądzi o słabej płci?". A papa odpowiedział z miejsca: "Sądzę, że słaba płeć to silna płeć", co weszło zaraz do obiegu, zwłaszcza że papa nie jest jakoś szczególnie znany z dowcipnych powiedzonek. Kiedy jestem chora, tłumaczy mi zawsze, co się we mnie uszkodziło i wtedy już w ogóle się nie boję, mam wrażenie, że jesteśmy maszynami, które trzeba od czasu do czasu naprawić, naoliwić, doprowadzić do porządku. Powiedział, że mam *zapalenie spojówek* i że obie dolegliwości spowodowane są najwyraźniej przeciagiem: "Miałas otwarte okno?". Nauczył mnie, że wszystko w naszej głowie jest ze sobą połączone: uszy z nosem i gardłem, i ile kanałów i połączeń nerwowych wpuszcza do środka złe rzeczy. On ma na myśli ciało, a ja duszę. Mówi wtedy: *Mens sana in corpore sano* [20], jak słusznie powiadał Juwenalis, chociaż był poetą. Ma coś do poetów, niezbyt ich lubi. I jeszcze to: dobry lekarz umie wyleczyć i duszę, i ciało. Ciekawe, papo, czy umiesz wyleczyć mi duszę i ciało z Alexandru, pomyślałam przybita.

- Wyleczę cię - powiedział, jakby to słyszał.

Zauważyłam, że czasem czyta w myślach, dokładnie tak samo jak nasz przyjaciel, pan Costache. Prawda jest taka, że mam wyrzuty sumienia z powodu tego, jak odprawiłam wczoraj Alexandru. Po dzisiejszym śnie widzę wszystko zupełnie inaczej, mam wrażenie, że jest w niebezpieczeństwie i że powinnam mu pomóc. Ale jeśli u niego wszystko w porządku i znów tylko się ośmieszę? Z drugiej strony nikomu jeszcze nie odmówiłam wizyty, dlaczego miałabym zacząć od niego? Otworzyłam więc szufladę biurka i zaczęłam szukać trochę lepszej papeterii. Ostatecznie wybrałam papier, na którym widniał - jeśli spojrzeć pod światło - filigranowy kwiat szarotki. Długo się zastanawiałam, umysł miałam ociężały, najwyraźniej dlatego, że *corpore sano* też nie miałam. Koniec końców napisałam tak:

*Bukareszt, 23 grudnia 1897 Szanowny Panie!*

*Pańska wczorajsza wizyta zaskoczyła mnie w niezbyt odpowiednim momencie. Jestem chora, mam zapalenie spojówek (z którego to powodu moje oczy stały się mieszanką zieleni z czerwienią, kolorów ubrań na renesansowych obrazach), mam też inne zmartwienia, o których nie będę pisać. Może gdyby poświęcił Pan kilka minut ze swojego niewątpliwie bardzo cennego czasu na napisanie do mnie choćby z jednodniowym wyprzedzeniem, udałoby mi się doprowadzić do naszego spotkania. Troska o konwenanse jest jednak Panu obca. Jeśli zaś, będąc uprzedzonym o moim wyglądzie, ciągle życzy Pan sobie zobaczyć się ze mną, proszę o przybycie do nas w sobotę, 27 grudnia, o godzinie piątej po południu. Niestety moi rodzice są wtedy zaproszeni w inne miejsce. Oczekuję z niecierpliwością na Pańską odpowiedź, Iulia Margulis. Zawijas podpisu wyszedł trochę krzywo - znak, że nie jestem w dobrym nastroju. Nie będę mu się na nic skarżyć: ani na oczy, ani na ząb, który trzeba wyrwać, ani na *mes regles*[\[21\]](#), ani na generalne porządki, które nie chcą się skończyć, co więcej, chyba dopiero się zaczynają, ponieważ dopiero teraz przechodzą pod komendę mamy, ani na zły sen. Jednak jak tylko skończyłam pisać, zaraz się uspokoiłam. I jak tylko Nicu przyszedł do mojego braciszka, zaraz wysłałam go z listem do Alexandru, dałam mu nawet pieniądze na tramwaj. Za każdym razem, kiedy czekam na odpowiedź od niego, w sercu rośnie mi wielki zegar, który chodzi dwa razy wolniej, niż powinien i wybija sekundy dwa razy głośniej. A wszystkie moje zmartwienia stają się mniejsze i bardziej odległe, jak wtedy, gdy patrzy się w operze przez odwróconą lornetkę.*

Z łóżka doktora przylegającego do jej łóżka słycać było jego równy oddech. Spał jeszcze, zmęczony wczorajszą podróżą. Z rzadka tylko chrapał, co było jedną z jego wielkich zalet, inne żony muszą mieć osobną sypialnię, aby móc spać, gdyż ich mężowie huczają jak lokomotywa przez całą noc. Agata myślała właśnie o dudniącym pociągu, którym w niedzielę jechali do Giurgiu, i o wczorajszym, powrotnym, który strasznie ją wymęczył. Krzyż dokuczał jej coraz bardziej, chociaż obwiązywała się wełnianym pasem, a teraz jeszcze jakby zanosilo się na migrenę. Tylko tego brakowało, kiedy ma tak ciężki dzień za sobą i tak wielkie zmęczenie przed sobą. Może w przyszłym roku powinni sami hodować świnie, nie warto jechać taki kawał drogi, chociaż dobrze mieć wszystko gotowe, przyznała pani Margulis. Zapaliła lampę naftową u wezłowia łóżka, gdyż było jeszcze bardzo ciemno, ale położyła się z powrotem, aby nie budzić męża - podłoga mocno skrzypiała.

Miłą niespodzianką stanowiło w drodze powrotnej spotkanie z ich przyjacielem Costache. Był sam, więc przenieśli się ze swoim kuferkiem wypełnionym kuszącymi zapachami z drugiego końca wagonu do jego przedziału. Drugi, większy kufer, musieli oddać do wagonu bagażowego. Doktor poszedł z bagażowym do kasy, nie na kwadrans przed odjazdem pociągu, jak należało, ale na pół godziny przed, bagaż został zważony - miał trzydzieści dwa kilogramy - a oni uwolnili się od niego. Bardzo łatwo było więc im przesiąść się do Costache. Na dworze było ponuro, płatki śniegu przyklejały się do szyby, pokazywały przez chwilę swój gwiazdzisty rysunek, po czym topniały, ale w środku było im dobrze, było jasno, czuli się bezpiecznie, a rozmowa toczyła się łatwiej niż kiedykolwiek. Tak jakby mieli gości, ale nie obowiązki gospodarzy, które się z nimi wiążą. Czas topnieje jak płatki śniegu, wiesz, że kilka godzin będzie w zawieszeniu, że nic wtedy nie musisz robić, tylko płynąć wzdłuż białych pól, jakbyś latał. Trochę się wahali, czy jechać, ponieważ zimą pociągi grzęzły czasami w zaspach. Gazety jednak nie zapowiadały zamieci.

- Wiadomo coś nowego o tym nieznanym znalezionym wczoraj, Danie Cretu? - zapytała Agata. - Ludzie zaczęli opowiadać najróżniejsze bzdury, a nasze dzieci - to znaczy głównie Jacques - są przekonane, że spadł z nieba.

Costache, na ogół bardzo dyskretny, jeśli chodzi o sprawy, nad którymi pracował, powiedział, że nie dowiedział się niczego istotnego, ale ma nadzieję, że czas wyjaśni wszystko i - nie wiedzieć jak - zaczął opowiadać swoim starym przyjaciołom o młodym Raresu Ochiu-Zanoaga i nieprzyjemnych chwilach spędzonych w majątku jego rodziny. Policjant wiele już widział, ale ciągle nie mógł się przyzwyczaić. Był w dalszym ciągu poruszony bólem rodziców, którzy na wieść o śmierci syna jakby zostali wyrwani z ziemi ich życia, jak drzewa przez burzę. Coś takiego nie powinno mieć miejsca w porządku świata - powiedział. Chłopak był artystą i to prawda, że czasem przysparzał im zmartwień, siedzieli jak na szpilkach podczas jego licznych wyjazdów do Bukaresztu, ale nic, może jedynie zew krwi dający znać wcześniej niż jakikolwiek posłaniec, nie zapowiadało podobnego końca. Z siostrą młodego Raresa - dowiedział się od niej, że chłopak nie skończył jeszcze dwudziestu dwóch lat, był w wieku Iulii - udało mu się porozmawiać trochę dłużej, mimo że dziewczynie oczy co chwilę zachodziły łzami i nie mogła już wtedy wypowiedzieć ani słowa. Kilukrotnie wachała sole trzeźwiące, ale była to odważna dziewczyna, nie zemdląca, choć ciągle połykała łyż. Chłopak, Rares, miał talent do malarstwa

i latem, już w czerwcu, jeździł do Bukaresztu pracować ochotniczo przy renowacji fresków w cerkwiach. Była to jego wielka pasja, a ostatnimi laty renowacje były częste w Bukareszcie, przenosiły się z jednej cerkwi do drugiej. Kiedy miał zaledwie dziesięć lat, jeden malarz z Giurgiu pozwolił mu wejść na rusztowanie podczas prac w cerkwi i poprawić okopcone od świec oczy i usta Świętego Konstantyna oraz jego matki Heleny. Chłopiec wziął pędzel od malarza i, zręcznie manewrując swą dziecięcą dłonią, ujawnił wyjątkowy talent. Wtedy wszedł pop i - zły, że niszczył mu fresk - zaczął krzyczeć na nich obu, na malarza i na chłopca. To był pierwszy znak, ponieważ Rares wystraszył się i spadł z rusztowania. Trzeba było widzieć, jak popowi drżały ręce, kiedy uchwycił jego jasnowłosą głowę w swoje dłonie i zobaczył jego zamknięte oczy. Trzeba było widzieć, jak miotła się matka, która zagadała się z kimś na dziedzińcu, i jak tuliła go w ramionach, niczym niemowlę. Wtedy jednak skończyło się tylko na strachu.

Policjant ściszył głos i poprosił ich, aby zachowali pełną dyskrecję na temat tego, co miał im w dalszym ciągu powiedzieć, a Agata i doktor, siedzący naprzeciwko, pochylili się ku niemu, aby lepiej słyszeć. I opowiedział im o ostatnich słowach wypowiedzianych przez młodzieńca i o widocznej uldze, którą wyczytał później na jego twarzy, i o tym, jak wydawało się, że umiera ze spokojnym sumieniem.

- A może było to tylko mistyczne przeżycie - powiedział doktor, a Agata dodała:

- Rodzaj modlitwy.

Ale Costache był pewien, że "syndromy" mówią co innego. Policjanta i jej męża rozbawiły podobieństwa między ich zawodami, znaleźli ich całą masę. Oba wymagały spostrzegawczości, dobroci serca i jasnego umysłu, wielkoduszności i oddania, taktu i odwagi. Oba wymagały dyskrecji i pracowitości. Obaj przeprowadzali dochodzenia, jako że we współczesnej medycynie wywiad stał się czymś obowiązkowym - wyjaśnił Leon. Odpowiedzi należało zinterpretować: chorzy, podobnie jak przestępcy, często mijali się z prawdą. Obaj bardzo uważnie analizowali znaki. Oba zawody wymagały kręgosłupa moralnego i miłości bliźniego. I lekarz, i policjant powinni być wykształceni i inteligentni, zdolni zrozumieć najsubtelniejsze mechanizmy cielesne, duchowe lub społeczne. I lekarz, i policjant powinni mieć pieniądze, pierwszy na przyrządy i szpitale, drugi - aby nie można było go przekupić. Pod tym względem Costache znajdował się w lepszej sytuacji niż mąż Agaty, był z zamożnej rodziny, a jego wynagrodzenie miało dla niego wartość raczej symboliczną. Nie można było zajmować kierowniczego stanowiska w policji, jeśli nie pochodziło się z bogatej rodziny - aby nie być podatnym na przekupstwo i by posiadać wykształcenie konieczne do wykonywania tak trudnej profesji. Przede wszystkim jednak i lekarz, i policjant boją się rozpowszechnienia zła i próbują je powstrzymać. Może społeczeństwo przyszłości, kiedy człowiek uczyni cały możliwy postęp, jakiego się od niego oczekuje, nie będzie już potrzebowało ani jednego, ani drugiego. Tak mówili, ale należeli do tych niewielu ludzi, którzy w to nie wierzyli. Wiedzieli bowiem, że człowiek, gdziekolwiek by się znalazł w czasie lub przestrzeni, jest w gruncie rzeczy taki sam. Leona Margulisa i Costache Boerescu łączyło z perspektywy Agaty jeszcze jedno podobieństwo: obaj byli w niej zakochani. I to nie silniejszy z nich wygrał.

Agata myślała, leżąc ciągle w łóżku, trochę osłabiona, o słowach przytoczonych przez Costache: według niej słowa *światło*, *Matka Boska* należało wiązać z ostatnimi chwilami życia. Ale *Popescu*? Pop albo potomek popa... Tylko dlaczego chłopak wymienił to nazwisko? Należało znaleźć jakiegoś Popescu, tego Popescu, który znał to biedne dziecko. Myśląc o cierpieniu jego matki, Agata wkraczała na grząski grunt, po którym prawie nigdy nie

pozwalała sobie stapać. Ani Iulia, ani Jacques nie wiedzieli, że przed nimi była siostrzyczka, teraz będąca za nimi, gdyż umarła na zapalenie opon mózgowych na kilka dni przed swoimi trzecimi urodzinami. Niezwykle wdzięczna, grzeczna i wesoła, póki nie powaliła jej choroba. Agata nigdy w życiu o nic nie walczyła tak jak wtedy. Czuła najdosłowniej, jak to możliwe, że mocuje się ze śmiercią, dzień i noc siedziała przy córeczce i mówiła do niej, mimo że dziewczynka jej nie słyszała, pieściła ją, wołała, pokrywała pocałunkami jej rączki, odmierzała łyżeczką krople i robiła wszystko to, co jej kazano, aby wyzdrowiała, modliła się nieustannie. Czuła, że ojciec - lekarz nie wierzy już w możliwość ratunku, ale ona wierzyła i walczyła, jednak śmierć była silniejsza od matki, zawsze jest silniejsza. Agata chciała iść za córką, aby jej pomóc, jak mogła zostawić ją samą w ciemności, właśnie ona, ochraniana zawsze przez matkę, ojca i zapalone światło przy łóżku? A o tym, co się potem zdarzyło, nie da się mówić, była w piekle, całe dnie w piekle, była tego pewna. Gdzie popełniła błąd? Czym zawiniło dziecko, jeśli to ona popełniła błąd? Czy Bóg istnieje, jeśli pozwala na coś takiego? A może to świat jest zepsuty u podstaw? Może żyjemy w nieudanym i pozostawionym na pastwę losu świecie? Doktor musiał jej dawać zastrzyki i usypiać ją na całe dnie. Jak tylko się budziła, chciała iść za córeczką i prosiła o podwójną dawkę morfiny, aby zasnąć na dobre. Od tamtego czasu znicz na grobie dziewczynki nie gasł nigdy, sama tego pilnowała, nie pozwalając jednak towarzyszyć sobie żadnemu z dzieci.

Ciągle z nią rozmawiała i mówiła jej: jeśli jesteś w raju, to bądź tam szczęśliwa, nawet jeśli my mielibyśmy być nieszczęśliwi tutaj, a jeśli jeszcze tam nie trafiłaś, to sama cię tam zaprowadzę, złap mnie mocno za rękę, nie puszczę cię. I Agata zaciskała dłoń, a w dłoni było powietrze. A jeśli nie ma raju, to ja ci go stworzę, a jeśli nie ma Boga, to ty będziesz go miała, mama ci to obiecuje. I Agata widziała wyraźnie Boga trzymającego na rękach jej córeczkę. A jeśli jesteś nicością, to kocham tę nicość i zraszam ją łzami i chronię ją całym swoim jestestwem. Słyszysz, kocham nicość! Ty jesteś teraz moją nicością, moją jedyną nicością. I ta nicość miała jej oczy. Jeśli ci źle, zamienię się z tobą, aby mnie było źle, ale nie, nie może ci być źle, daję ci całe swoje dobro. Jeśli nas potrzebujesz, zawołaj nas, przyjdziemy, słyszymy cię. Przyjdę o każdej porze, daj mi tylko znać! Agata czekała z nadstawionym uchem duszy, aby wyczuć, czy jej córeczka potrzebuje pomocy. I nigdy nie mogła już być w pełni szczęśliwa, tak jak kiedyś. I nie było dnia, żeby nie całowała jej w myślach po główce, a kiedy całowała Iulię, która przyszła na świat zaraz potem, w jej czarne włosy, miała nadzieję, że ten pocałunek znajdzie się również na jasnych włosach jej pierwszej córki. Dzieci coś czuły, czuły, że nie mogą rozweselić tak do końca swojej mamy, jakaś część jej pozostawała zawsze niezadowolona i smutna. Dla mnie ta śmierć była jak ciąża, ale w przeciwnym sensie. Odliczałam dni, rozmawiałam z dzieckiem, które odeszło, tak jak rozmawiałam wtedy z dzieckiem, które jeszcze nie przyszło na świat, tłumaczyłam mu, pocieszałam je, opiekowałam się tym, którego już nie było, tak jak opiekowałam się tym, które jeszcze nie przyszło na świat. Tyle że jedno zbliżało się do życia, a drugie się od niego oddalało.

A kiedy nadszedł jeszcze czas próby z Jakiem, to jego też Agata nie mogła przeżyć jak zwykła matka. I jak zawsze próbowała okiełznać myśli, pracując zawzięcie. To było jej wybawienie i, co dziwne, zbawcze wydawały się jej również i gadanina służby, i zajęcia kobiet, które kierowały jej myśli na konkretne rzeczy. Również wizyty Costache dobrze jej robiły i jego troska, która jeszcze nie osłabła, mimo upływu czasu. Teraz Costache zdawał się patrzeć na Iulię tak samo, jak kiedyś patrzył na nią. Nie dziwiła się, wiedziała, że potrafi on przejrzeć człowieka lepiej niż cudowne promienie Roentgena. A jednak Agata nie lubiła, gdy kręcił się w pobliżu

Iulii.

Teraz musiała skontrolować porządki zrobione pod jej nieobecność, zająć się kuchnią, kwiatami w doniczkach oraz przygotowaniem lamp i świeczników, wyjęciem i przejrzeniem świątecznej zastawy, pokojem gościnnym, aby było tam wszystko, co trzeba, sprawdzić ręczniki w toaletach obok sypialń, aby wszędzie były świeże, miski wyszorowane, a gąbki i porcelanowe naczynia przygotowane, pamiętać o posłaniu po stroiciela fortepianu, ponieważ Iulia o to prosiła, uporządkować spiżarnię, zmieścić pajęczynę, na którą właśnie padł jej wzrok, pomyśleć o prezentach, a jutro wczesnym rankiem iść na spotkanie Stowarzyszenia Matek. Miały odwiedzić sierociniec im. Elżbiety na ulicy Teilor 11, założony jakieś trzy tygodnie temu, pod koniec listopada. Agacie utkwiła w pamięci śliczna dziewczynka, podobna do jej nieżyjącej córki, tyle że bardziej śniada i o smutniejszych oczach, podczas gdy jej mała Maria sprawiała, że uśmiechała się cała ulica i całe miasto, i cały świat, kiedy wychodziła z nią na spacer.

Wstała i zobaczyła na stoliku nocnym *Planetę dam*, którą w Giurgiu wyciągnęła dla niej z koszyka papuga zezowatego katarzyniarza. Dopiero teraz ją przeczytała, włożywszy okulary: "Lubisz żartować, spędzać czas z przyjaciółmi, z którego to powodu wiele dam ci zazdrości, ale twoje serce należy tylko do tego, za którego wyszłaś. Będziesz żyć 80 lat. Udane małżeństwo mieć będziesz. A przed mężem się nie broń. Twoją nagrodą będzie szczęście. Loteria: 13.21.26".

Kupi los, pieniądze przydadzą się na naprawy w domu, potrzebne były nowe tapety, a zwłaszcza remont mieszkania, które już dawno przestało być na czasie.

- Wstałaś? Chyba *jai fait la grasse matinee*<sup>[22]</sup> - powiedział Leon Margulis, szukając stopami kapci. - Która godzina? Śnił mi się Costache. Koniec końców zapomnieliśmy go zapytać, czy będzie jednak na Wigilii, czy nie.

Costache nacisnął ostrożnie przycisk dzwonka elektrycznego założonego niedawno przez generała Iona Algiu. Rozległo się brzęczenie i w tej samej chwili szczekanie. Kroki ordynansa i czworonoga jednocześnie dotarły do drzwi, jak na jakichś wyścigach, i kiedy żołnierz odbierał od niego kapelusz, wspaniały borzój skoczył łapami na spodnie od munduru policjanta. Odegnął go, mimo że był bardzo przyjazny i miał w sobie coś niezmiernie arystokratycznego, ze swoją ruchliwą, wydłużoną głową i obwódką wokół szyi. Costache zostawił laskę ze srebrną gałką w stojaku na korytarzu i wszedł, jak zwykle w przypadku wizyt roboczych, do biblioteki. Generał nosił żałobę po żonie, która zmarła zeszłej zimy, wkrótce miał minąć rok, ale jego ból był tak samo wielki jak na początku. Syn, mieszkający w Krajowie, często do niego pisał, córki, zamężne i mające własne domy, próbowały go trochę rozerwać, zapraszając do siebie, ale on wolał siedzieć sam jak palec, zażywając tabakę i oddając się wspomnieniom w miejscu wypełnionym jeszcze jej drobnymi gestami. Na początku nie mógł znieść nikogo w pobliżu, wizytówki pozostawały bez odpowiedzi na tacce w holu, dopiero teraz przeglądał je stopniowo i odpowiadał. Mniej więcej w jednej czwartej *tak*, w trzech czwartych zaś - *Proszę o wybaczenie..., być może przy innej okazji*. Odwiedziny Costache jednak dobrze mu robiły, polubił go już jako prefekt policji, siedem-osiem lat temu, kiedy - nieco skrępowany ideą pracy w biurze - szukał jedynie sumiennego podwładnego, a znalazł przyjaciela. Zmierzyli się spojrzeniami, jak za pierwszym razem, kiedy wytworzył się między nimi ten fluid, który - jak mówią - wydziela się tylko między określonymi ludźmi, i ucieszyli się, stwierdziwszy, że nic się nie zmienili i że fluid z pierwszego dnia teraz też unosił się między nimi.

- Kłopoty! - powiedział policjant zamiast powitania, a generał uniósł tylko białe brwi z włosami wyrosłymi w nieładzie.

Żaden z nich nie marnotrawił słów. Pan Costache zgodził się i na kawę, i na koniak, i połączył je, wlawszy kilka kropel koniaku do kawy, *a la maniere de Marghiloman*[23]. Opowiedział krótko o obu sprawach, które go trapiły i zdawały się prowadzić donikąd, z dnia na dzień rwały się, jedna bardziej od drugiej. Jednocześnie gazety zaczęły się burzyć, a to tylko pogarsza sytuację. Młody Rares Ochiu-Zanoaga, znaleziony z raną postrzałową, i niejaki Dan Cretu, niespokrewniony z tym rudym aptekarzem - dwie sprawy, między którymi występuje szereg zbieżności. Generał czytał codziennie cztery-pięć gazet, więc był na bieżąco. Znał też relację z "Universul", który wydawał się najlepiej poinformowany.

- Myśli pan, że między tą dwójką jest jakiś związek?

- Obu znalazł tego samego ranka ten sam człowiek, Petre, woźnica cukiernika Ingera. Obaj byli nieprzytomni, z tym że jeden był ranny, a drugi nie. Petre nie podejrzewam, on jest spoza ich świata, bez żadnego związku z nimi, i nie przywiózłby ich, gdyby miał coś na sumieniu, zresztą przesłuchałem go. Co do Dana Cretu - jeśli to jego prawdziwe nazwisko, bo nie ma żadnych dokumentów - moglibyśmy dowiedzieć się więcej z jego bagażu, pudła typu sejf, ale niestety zniknął on bez śladu. Mężczyzna spędził godzinę w areszcie, ale pozostali złodzieje mówią, że z nimi nie rozmawiał, nawet z Fane Inelaru, który jest głównym podejrzanym w sprawie tego zniknięcia.

- A pański nos co panu mówi?

- Skłaniam się ku przekonaniu, że to ekskluzywny przestępca, ekskluzywny fałszerz

pieniędzy lub złodziej kosztowności - dżentelmen, przybyły z daleka, może nawet zza oceanu. Jednak...

Generał zachęcił go ruchem brwi, aby kontynuował.

- Jednak wydaje mi się, że jest trochę pomyłony, jak to ludzie mówią.

- A dlaczego te dwie rzeczy miałyby się wykluczać?

- Dziwi mnie, że pierwszy redaktor "Universul", ten, który napisał artykuł o drugiej sprawie - rozumiem, że czytał go pan - i którego prosiłem, aby go zatrudnił, tak byśmy mogli mieć go przez cały czas na oku i kontrolować jego kontakty, powiedział mi, że na pewno parał się dziennikarstwem, widać, że ma doświadczenie.

- A dlaczego te trzy rzeczy miałyby się wykluczać?

- Nie wiem, mnie się wydaje, że się wykluczają, nie w teorii, ale sądząc po tym, co widziałem u ludzi, to ten nos, o którym pan mówi. A *propos* nosa, widziałem raz na kolacji Turka z kartonowym nosem, nałożonym nie na, ale zamiast prawdziwego. Dziwne zjawisko, słowo daje. Jeśli mój nos nie jest z kartonu, ten człowiek nie przypomina zwykłego dziennikarza: jeśli postawić go na przykład obok Procopiu, od razu widać dlaczego. Nie przypomina też złodziei i oszustów, których czuć na kilometr. Nie ukrywam, że przez chwilę pomyślałem nawet o Kubie Rozpruwaczu i wyobraziłem sobie, że w jego bagażu są najróżniejsze skalpele i piły. Koniec końców przypomina najbardziej zwykłego człowieka, z epizodami choroby psychicznej, ale doktor Margulis zapewnił mnie, że - choć mówi trochę dziwnie, jakby miał inne punkty odniesienia niż my - jednak mówi bardziej jak poeci. Jakiego tropu bym nie obrał, to i tak zawsze pojawia się coś, co tu nie pasuje, jeszcze nigdy tak nie miałem.

- Mam tylko jedną sugestię, ale nie wiem, na ile może ona panu pomóc. Właśnie o zbieżności chodzi. W sobotnim "Universul" moją uwagę zwróciły trzy rzeczy: postrzelony młodzieniec, niejaki Dan Cretu i zgubiony portfel, za który wyznaczono nieprawdopodobną wręcz nagrodę. I to najbardziej mnie zastanawia. Co może zawierać? Znalazł się?

Pan Costache nie wiedział.

- Widzi pan, panie Costache, dwie z tych trzech rzeczy są na pewno ze sobą powiązane, a trzecia tylko gmatwa wszystko. I to pan musi się dowiedzieć, które z nich to te dwie, które do siebie pasują. Niech pan pójdzie tropem ogłoszenia, jeśli pozostałe dwa tropy są zbyt zagmatwane.

- Miałbym dla pana jeszcze jedną kwestię do przemyślenia, jeśli można - powiedział Costache w drzwiach, wzięwszy laskę ze srebrną gałką. - Przed śmiercią chłopak powiedział kilka słów, zanotowałem je: *światło*, *Popescu*, *światło*, *Matka Boska* i jedno niewyraźne słowo, *sar* lub *dar*. Gdyby miał pan jakiś pomysł, proszę dać mi znać. Ogromnie się cieszę, że mogliśmy się spotkać, brakowało mi pana, dopiero teraz zdałem sobie sprawę z tego, jak bardzo - dodał, odwracając się raz jeszcze pod markizą przy wejściu i salutując dla żartu po żołniersku, Ion Algiu popatrzył za nim z lekkim uśmiechem ukrytym dobrze pod wąsami. Jemu też go brakowało.



Nicu wziął kopertę i schował ją ostrożnie do kieszeni, aby się nie pogniotła. Następnie uklonił się siostrze Jacques'a - widział, że tak robią ważne osoby, jak pan Cazzavillan, w obecności żon redaktorów, ale dziewczyna wybuchnęła śmiechem i złapała go za brodę, unosząc ją ku sobie. W ten sposób mógł zobaczyć, że wcale dobrze nie wyglądała tego ranka, jeden policzek miała spuchnięty jak ciasto, drugi zaś zapadnięty. Oba za to były rumiane. Dla Nicu twarz panny Iulii była jak latarnie, o których pisali niedawno w "Universul", jedna jest w Tuzli, z czerwonym światłem, a druga w Mangalii, z białym. I tak samo u niej, raz zapalała się jedna, raz druga, dlatego że biała też świeciła. Teraz paliła się latarnia w Tuzli.

- Powiesz mi, że czekam na odpowiedź, tak? I koniecznie oddaj mi do rąk własnych, a jeśli nie będziesz miał jak, to daj panu Mihaiowi Livezeanu, temu panu z kosmykiem włosów spadającym na czoło, jego bratu, który studiuje w Paryżu. A jak nie, to przynieś z powrotem, ale jednak postaraj się go oddać, w razie czego poczekaj, aż wróci, obiecujesz?

Czerwona Tuzla zgasła i zapaliła się znów Mangalia. Tak to już jest z kobietami! W zamyśleniu ruszył w stronę przystanku tramwajowego. Iulia Margulis nie należała do osób, którym można było odmówić. Doktorowi można było odmówić, ponieważ był spokojnym człowiekiem i wiele rozumiał, pani doktorowej można było odmówić, ponieważ była matką, Jacquesowi mógł odmówić jak mężczyzna mężczyźnie, ale jego siostrze nie miał sumienia odmówić pod żadnym pozorem. Sam nie rozumiał dlaczego. Ochoty jednak nie miał za grosz, był "po pracy", nie miał nawet czapki służbowej, tylko zwykłą, przyszedł pobawić się żołnierzami Jacques'a, jednak obowiązki nie pozwoliły mu na to.

- Ale ty masz roboty - wyznał bezpieczeństwa psu. - Ani chwili spokoju. Tyle spraw do załatwienia...

Pies pomachał wesoło ogonem i biegł za nim przez chwilę, a następnie zostawił go, jakby dotarł do niewidzialnej granicy świata. Merostwo wydało zarządzenie, aby wszyscy właściciele i najemcy odgarnęli śnieg przed domami i posypali popiołem, żeby nikt nie złamał sobie nogi. Jego buty jednak ciągle się ślizgały, więc ślizgał się, kiedy tylko miał okazję. Doszedł na przystanek i zatrzymał się na nim. Zobaczył dziewczynkę, która szła za rękę ze swoją mamą i poczuł jakby iskrę elektryczną - właściwie to nie poczuł nigdy iskry elektrycznej - poczuł mrowienie od daszka czapki po czubek butów. Podeszedł do nich bliżej i zapach jaśminu spowił go jak wiosna. Jak gdyby biel śniegu była nagle zielona i na zielonych liściach widział białe kwiaty jaśminu z żółtym środkiem.

- Mamo, dlaczego ten mały chudy chłopiec jest sam? I dlaczego jest tak ubrany? - usłyszał, jak pyta, ale matka szarpnęła nią i dała do zrozumienia, że ma być cicho.

Jeśli wcześniej czuł się owładnięty miłością, to teraz mrowienie, w dalszym ciągu od daszka po czubek buta, było podwójną zniewagą. Ty mała idiotko, co ty sobie wyobrażasz? Właściwie nie mała, tak naprawdę całkiem wysoka. Tak czy inaczej, Nicu przełożył na kiedy indziej długo oczekiwane spotkanie ze swoją wielką miłością, ze swoją piękną narzeczoną. Jego uwagę zwróciła jama w ziemi i jako że ostatnio jego wyobraźnię zajmowały krecie tunele i podziemne krecie życie, zaczął się zastanawiać, czy dotarłby tamtędy do ciemnych krecich domów i ulic. Zapytałby dryblaszkę, ale jakikolwiek dialog z nią był niemożliwy. Ostentacyjnie nie wszedł do tramwaju, żeby - nie daj Boże - nie musiał stać obok niej i sam nie zaczął pachnieć jaśminem.

Pojedzie następnym. Ale najwyraźniej był jeden z tych czarnych wtorków, o których mówiły stare baby. Nie dość, że zamiast bawić się przy kominku musiał iść do roboty na mróz, zamiast paść w ramiona miłości został obrażony przez tę małą, choć wysoką idiotkę, to jeszcze teraz na przystanku pojawił się jedyny człowiek, którego nie znosił, którego się bał i którym przede wszystkim się brzydził. Był to złodziejasek, który ilekroć go spotykał, łupił go ze skóry. Wszelkie próby obrony były daremne, jak również krzyki, tak że Nicu, rozważywszy sytuację, albo rzucał się do ucieczki, jeśli był w bardziej uczęszczanej okolicy, albo pozwalał się okraść i upokorzyć. Sandu, zwany Botosu [24], stały klient policji, był uczestnikiem wszystkich zamieszek w stolicy i również podczas ostatnich zajść, manifestacji na ulicy Karola, zdewastował kilka sklepów. Kiedy złapał go za rękę, wykręcając mu ją na plecach, Nicu poczuł, że cuchnie mu z gęby - od której pochodziło jego przezwisko.

- O, bachor tej wariatki, chodź tu, podziel się łupem!

Chłopiec, znoszący agresję gorzej niż gorzkie lekarstwo, którego smak przechodzi po jakimś czasie, przypomniał sobie z przerażeniem, że dzisiaj ma przy sobie dwie rzeczy, których pijak w żadnym wypadku nie powinien znaleźć: krówkę, którą dostał od Dana, ochrzczonej przez niego imieniem Fira, i list panny Margulis. Wyjął więc taktycznie pieniądze na tramwaj, które dała mu Iulia, i udał, że podaje mu je niechętnie, spuszczać wzrok. Złodziej schował je z miejsca do kieszeni, a następnie znów zaczął mu ubliżać i wykręcać rękę na plecach, to zwalniając, to zaciskając uchwyt. Nicu wiedział z bajki o lisie, że należy krzyczeć, kiedy nie boli, i milczeć, kiedy boli, więc milczał jak zakłęty.

- Masz coś tam jeszcze, darmożjadzie? Co, chcesz mnie wykiwać? Mnie, Sandu? Botosu' chcesz wykiwać, łajzo jedna? - i przysunął głowę do twarzy chłopca.

Nicu uznał, że nadszedł moment, aby krzyczeć, mimo że go bolało, zwłaszcza że łzy popłynęły mu ciurkiem. Ale ponieważ tramwaj właśnie odjechał, na przystanku nie było nikogo, kto by go obronił. Złodziej zaczął go przeszukiwać, z przerwami i na chybił trafił, zionąc mu w twarz oparami śliwownicy. Nicu myślał już, że mu się upiekło, ale nie, Botosu' właśnie znalazł Firę. Popatrzył na nią bez zainteresowania i wyrzucił ją do kreciej jamy, a zaraz potem znalazł też w lewej kieszeni surduta kopertę. Nie umiał czytać, więc podarł ją na dwoje i rzucił do jamy na krówkę Nicu, jak całun. Przekonawszy się, że w kieszeniach chłopca nie ma już nic godnego uwagi, dał mu jeszcze z dwa kuksańce i powiedział ochryple, żeby zmykał jak najszybciej. Nicu oddalił się, powłócząc nogami, i schował się za pierwszym rogiem. Złodziej nie zamierzał sobie iść, usiadł na ławce i wyjął butelkę. Zaczęli się schodzić ludzie, którzy patrzyli na niego podejrzliwie, następnie przystanek się zapełnił, a pijak odszedł jak pies z podkulonym ogonem, ni z tego, ni z owego bardzo pokorny. Jak wszyscy łajdacy, był bardzo odważny tylko względem słabych. Jego ulubionymi ofiarami były dzieci i młode służące. Chmara wron wypełniła niebo czernią i krakaniem, jakby przestworza zaczęły skrzypieć.

Nicu wrócił do jamy i ocenił straty. Czuł się prawie jak na pogrzebie babci, kiedy - mając skończone siedem lat - mimo że go bolało, krzyczał i płakał głośno. Teraz, w ten straszny wtorek, po raz pierwszy utracił coś, co mu powierzono, i bardzo mu było wstyd. Widział już, jak wylatuje z pracy i zostaje bez zajęcia, gdyż pierwszą zasadą gońców było niczego nie zgubić, niczego nie zepsuć. Ani jednego płatka, mówił szef, chociaż w przypadku niektórych bukietów róż było to prawie niemożliwością. Pomyślał o matce, która zimą z trudem znajdowała pracę, a kiedy miała swoje napady, to już w ogóle nikt jej nie chciał. Jego najgorszą obawą było to, aby nie trafiła do Marcuty, a on do sierocińca, jak mu ciągle groziła sąsiadka z ulicy. Wyjął list z kreciej jamy, podarty i mokry. Nie mógł go zanieść w takim stanie ani panu Alexandru

Livezeanu, ani z powrotem Iulii Margulis, która czekała na odpowiedź. Właściwie to nie miał nikogo, komu mógłby powiedzieć, co się stało. Ogarnął go spazmatyczny płacz.

...przyzwyczaić się do *tego* świata i przyzwyczaić się znów do życia, po tym jak z bólu nie śmiałem już nikomu spojrzeć w oczy. Zapytałem, którego dziś mamy, i kolega z biura odparł, spoglądając na kalendarz: 23 grudnia u nas, 4 stycznia w reszcie Europy, włącznie z krajem mojej matki i pana dyrektora. A pan jakie ma zdanie w kwestii kalendarza? Na szczęście nie czekał na odpowiedź, jak zresztą nigdy nie czeka. Jego melodyjny, jasny głos dobrze jednak na mnie działa, pomaga mi zachować równowagę. Wyszliśmy razem, portier pożegnał nas, zdejmując czapkę, i jakby z przyzwyczajenia, o którym zdążyłem zupełnie zapomnieć, ja też zdjąłem kapelusz. Dostałem w prezencie filcowy kapelusz i parę czarnych kaloszy. Jak szybko można przywyknąć do nowych rzeczy, jak łatwo cuda zamieniają się w banał. Koniec końców może zostaliśmy stworzeni po to, by przyjąć każde zło i każde dobro, tak aby poczuć swoją nicność. Jak tylko o tym zapominamy, otrzymujemy za karę jakiś cios. Być może wiemy swój żywot na planecie-więzieniu, tyle że nie widzimy strażników, a przy każdej próbie buntu zbieramy cięgi, ale w bardzo subtelnej i fantazyjnej formie. Czuję się jak w więzieniu. Nie mam odwagi uważać się za człowieka wolnego i nie umiem się zachowywać jak wolny człowiek. Kolega zapytał, czy ma mnie odprowadzić do hotelu i ledwie śmiałem mu powiedzieć, że chciałbym się przejść. Z uprzejmości nie nalegał, pożegnał się i przepadł jak zjawą.

- Panie Cretu! Panie Cretu!

Aż podskoczyłem, tak mnie wystraszył. Był to mężczyzna z brodą jak wąsy kolby kukurydzy, który zeskoczył z dorożki. Poznałem go: lekarz, który badał mnie w areszcie policyjnym, i pytał, czy nie mam czasem gruźlicy! Sprawia wrażenie porządnego człowieka, zaprosił mnie do siebie do gabinetu, by porozmawiać:

- To niedaleko, obok Teatru Lirycznego, tego, który się spalił, pojedziemy prosto, a zaraz potem skręcimy w ulicę Świętego Jana na tyłach Teatru Narodowego. W sąsiedztwie mieszkają głównie aktorzy, wielu przychodzi do mnie z różnymi chorobami. Nawet nie wiemy, jacy są udręczeni, jak bardzo cierpią, kiedy widzimy ich tam, na scenie, skąpanych w świetle. Proszę mi wybaczyć, że nie podaję ręki.

Wsiadliśmy obaj do dorożki.

- Do mnie, do gabinetu, Jewdoszka! - powiedział doktor.

- Wracam od pacjenta chorego na tyfus, epidemia się skończyła, to ostatnie przypadki, na szczęście odosobnione. O, w domu, który teraz mijamy, zmarł Pascały, może pan o nim słyszał, prawdziwy Armand Duval, łamacz serc. Byłem kiedyś na górze, na strychu jego domu, gdzie zbierała się młodzież, a on ćwiczył najróżniejsze role, był pełen *charmeu*<sup>[25]</sup>. Zachorował na gruźlicę i niektórzy żartowali sobie: zaraziłeś się suchotami od swojej damy kameliowej. Po kuracji w Reichenhal, która nic mu nie dała, wrócił tu jesienią i pewnego pięknego dnia zgasł nagle jak świeca. Ciało było wystawione w cerkwi Sarindar - jej też już nie ma - przyszło mnóstwo ludzi, aktorzy wszystkich pokoleń i publiczność, aby raz jeszcze zobaczyć biednego Pascały'ego w jego ostatniej roli, tej samej dla nas wszystkich.

Weszliśmy do budynku, na którym wisiał mały szyld: *Dr Leon Margulis - lekarz medycyny pierwszego stopnia, I piętro*, i wstrząśnięty zadałem sobie pytanie, kto jest gospodarzem, a kto gościem. Dlatego że gdzieś tutaj był też mój dom. Otworzył nam służący, odebrał ode mnie kapelusz i płaszcz. Doktor położył na podłodze wielką skórzaną torbę z potężnym zamkiem.

- Proszę mi pozwolić umyć najpierw ręce i się zdezynfekować, to pierwsza rzecz, jaką robię. Proszę, niech pan siada.

Rozejrzałem się wokół z zaciekawieniem. Szafa, łóżko przykryte ceratą, krzesło, stół i parawan w kwiatowe wzory. Półki z kolorowymi butelkami i słoiczkami: zielonym, niebieskim i pozostałymi przezroczystymi, z różnymi proszkami i tabletkami. Na najwyższej półce butelka, niczym niebieski balon, z długą, wysoką i wąską szyjką, z etykietką "Morphine", i druga, rudej barwy, z napisem "Wyciąg z wilczych jagód". Przy szafie stały plansze anatomiczne. Biały piec z drewnem poukładanym obok w niszy. Odniosłem wrażenie, że wszędzie jest bardzo czysto. Podszedłem do półki z książkami, prawie wszystkie były o medycynie. Odczytałem: Dr Petrini, *Choroby klatki piersiowej*, Dr Felix, Dr Istrati i niepozorna książka Charlesa Darwina, *On the Origin of Species*, na której było napisane: Londyn, 1859. Mój gospodarz zapytał mnie, jak się czuję i czy wydobrzałem. Dopiero teraz podszedł do mnie i uściskał mi rękę - mocno i mam wrażenie, że przyjaźnie. Wydaje się, że był na bieżąco z tym, co się wydarzyło, ta stolica jest jak wieś, wszyscy wszystko o wszystkich wiedzą. W odróżnieniu od mojego kolegi z biura doktor nie ustąpił, zanim nie uzyskał ode mnie konkretnych odpowiedzi. Zaproponował mi herbatę z rumem i chleb z serem i oliwkami. Był to pierwszy człowiek, do którego miałem zaufanie i z którym nagle zacząłem rozmawiać jak z przyjacielem:

- Panie doktorze, czy to możliwe, aby zdrowy człowiek miał wrażenie, że żyjemy w dwóch światach jednocześnie?

Odpowiedział mi, że tak, że u bardziej wrażliwych natur wyobraźnia może płatać figła, a nawet mieć stan zapalny, jak każdy organ.

- Panie doktorze, chyba mnie pan nie rozumiał: w dwóch realnych światach o tej samej konsystencji. Właściwie źle się wyraziłem, nie jednocześnie, ale po kolei. Jeden się skończył, drugi dopiero się zaczął.

- Jest wiele opowiadań, zwłaszcza filozoficznych, o ludziach, którzy przestali odróżniać sen od jawy.

- Ale nie chodzi mi o sny, wiem, kiedy śnię, czy w jednym świecie, czy w drugim.

Zauważyłem, że zmarszczył czoło. Coś jakby go rozzłościło. Spojrzał na mnie podejrzliwie, tak jak patrzy na mnie od pewnego czasu tyłu ludzi.

- A może chce pan wykorzystać mnie jako parawan? - i pokazał na swój kwiatowy parawan w gabinecie. - To znaczy może chce pan ukryć jakiś nieczyny czyn pod płaszczykiem choroby psychicznej, zagubienia, podwójnej osobowości? Czytałem jakieś dziesięć lat temu - zachęcony przez córkę Iulię - książkę Stevensona o dziwnym przypadku doktora Jekylla, który w dzień ratował ludzi, a nocą ich zabijał. Pamiętam, że po śmierci Stevensona gazety pisały, że przez całe życie chorował na płuca i że bardzo dzielnie walczył z chorobą.

Zapytałem, czy mogę zapalić papierosa z papierośnicy otrzymanej od mojego kolegi Peppina Mirto, ale się nie zgodził, powiedział, że w żadnym wypadku nie pozwala palić w gabinecie. Zadowolilem się herbatą z rumem, która była wyjątkowo dobra i mnie rozgrzewała. Powiedział, że przecucie mówi mu, że nie jestem chory psychicznie, że wyglądam na uczciwego człowieka, z głową na karku, mimo że jego zdaniem powinienem rzucić palenie, na dłuższą metę tyle dymu wprowadzanego do płuc nie może mieć pozytywnych następstw.

- A jednak - powiedziałem i z trudem powstrzymałem uśmiech - a jednak, panie doktorze, świat, z którego pochodzę, jest tak samo realny jak ten.

Udał, że nie słyszy, jednak się zamyślił.

- Wie pan co - powiedział nieoczekiwanie - chciałbym pana zaprosić do nas na jutrzejszy

wieczór, będziemy *en familie*[\[26\]](#), może przyjdzie jeszcze tylko nasz sąsiad, pan Giuseppe, to bardzo samotny człowiek, daje lekcje gry na gitarze i mandolinie, ledwo wiąże koniec z końcem. Ma pan ochotę przyjść?

- Mam, może po raz pierwszy w moim nowym świecie.

# **ŚRODA, 24 GRUDNIA**

Wigilia Bożego Narodzenia

# 1

Jakby mnie pokarało. Wczorajsze porządki były niczym wojna, dowodzona przez mamę, z której papa tchórzliwie zdezerterował; wrócił do domu dopiero wieczorem, dość zamyślony. Mówił, że spotkał Dana Cretu i zaprosił go do nas, ale nie jest pewien, czy się pojawi i czy jest przypadkiem, który go interesuje. Nie sądzę, aby w domu był chociaż pyłek kurzu, dywany zostały rozłożone na śniegu, wierzchem do ziemi, i mocno oklepane trzepaczką. Kiedy je zbieraliśmy, zostawiały po sobie duże, czarne kwadraty. Każdy dywan poddawano tej operacji kilka razy, aż śnieg pod nim robił się biały. Osobiście życzyłam sobie, aby podobne porządki można było przeprowadzić również w duszy, ale nie wymyślono jeszcze trzepaczek do dywanów duszy. Nie zaszliśmy tak daleko, może w przyszłym stuleciu, jakiś nowy Bell... Nie mogę uwierzyć, to znaczy, dlaczego nie miałabym wierzyć, że mi nie odpowiedział! Nicu nie wrócił wieczorem, czekaliśmy na niego do późna i ja, i biedny Jacques. Jacques wciąż wygrywał na flecie melodię z zegara z figurkami, a ja zajęłam się sporządzaniem listy prezentów. Przeczytałam kilka stron *Vanity Fair*, ale bez zainteresowania, wciąż myślałam o liście. Becky coraz mniej mi się podoba, już nie chcę być do niej podobna, choć żal mi jej bardziej niż Amelii. Może poczuł się urażony? Nie mam brudnopisu, żeby sprawdzić, co napisałam, niejasno przypominam sobie myśli, ale nie pamiętam dokładnie tonu i słów. A może go nie zastał i list został u brata, a ten mu go nie oddał? To okropne, kiedy nie wiesz, w czyje ręce trafiły twoje tak osobiste słowa. Najprawdopodobniej nie zadał sobie trudu, aby do mnie napisać, nie ma ochoty mnie widzieć, skoro nie mógł tego zrobić wtedy, kiedy sam chciał, lub wymierza mi karę za to, że go nie przyjąłem. Muszę się wyciszyć i czekać, coś nieznośnego. Jest jednak i dobra wiadomość - wyprysk na dziąsła pękł sam, opuchlizna zeszała po częstych płukankach z rumianku, a papa stwierdził, że poczekamy z usunięciem zęba. Z oczami też już lepiej, a oczu potrzebuję, żeby skończyć powieść. Za bardzo zajmuję się sobą, to nie jest dobry znak.

Lepiej będzie, jeśli wezmę się za przygotowania. Najdłużej trwa ubieranie choinki, robię to samiuteńka. Bardzo się cieszę, że przyjdzie ten tajemniczy nieznajomy, pan Dan Cretu, to znaczy mam nadzieję, że przyjdzie, jeśli się nie pojawi, wyślemy po niego papę, tym bardziej że pan Costache wybiera się do *nich*, a do nas zawita dopiero jutro. Chciałabym się w nim zakochać, mam na myśli w nieznajomym. O tak, chciałabym. Chciałabym zapomnieć o Alexandru. Nie, nie chciałabym. A właśnie, że tak - chciałabym. Właśnie tak - chcę. Napiszę wieczorem, jak było, i czy się zakochałam. Z wciąż opuchniętą szczęką, każda miłość to kompromis.



Pan Costache zdążył jedynie unieść duży uchwyt wystający z pyska pozłocanego lwa i nie opuścił go jeszcze, kiedy w progu ukazał się dość nerwowy młodzieniec, właśnie wychodził, a między jego nogami prześlizgnął się przegowany kocur z myszą w zębach. Młodzieniec i policjant zderzyli się pierś w pierś. Po tym, jak naraz się przeprosili, a gość wyjaśnił, kim jest i po co przyszedł, młodzieniec szybko zawrócił. Miał bardzo dziwny chód. W salonie pachniało rozgrzanym piecem, wysokim aż po sufit. Costache spojrzął na chłopaka z zawodowym zainteresowaniem, był człowiekiem, który ani chwili nie potrafił ustać w miejscu, przypominał dzieci, które machają a to ręką, a to nogą. Otwierał i zaciskał dłoń, jakby łapał coś, co wciąż mu wypadło.

- Pana mecenasa nie ma w domu, ma coś do zrobienia... jest... - ściszył głos i dodał - jest u... no dobrze, ma kochankę. Skoro pracuje pan w policji i jest dyskretny z racji swojego zawodu, nie chcę pana okłamywać. Wydaje na nią fortunę. Pani to podejrzewa, ale nie ma pewności. Pan wychodzi codziennie, a pani ciągle cierpi na bóle głowy i uprzykrza służbie życie. Niech pan usiądzie, jeszcze raz przepraszam, trochę się spieszyłem, jestem prawą ręką pana mecenasa, chcę studiować prawo i wybierałem się właśnie załatwić pilne sprawy.

Costache zapytał go o ogłoszenie i o to, co znajdowało się w portfelu, skoro nagroda była tak sowita. W tym momencie drzwi salonu otworzyły się ze skrzypnięciem i wszedł pan domu. Był człowiekiem postawnym, miał wystający brzuszek, który prawdopodobnie zawdzięczał żonie, i młodzieńczy uśmiech na promiennej twarzy, który zawdzięczał kochance. Podszedł do Costache przyjacielsko, z wyciągniętą dłonią, zanim dowiedział się, z kim ma do czynienia. A kiedy już się dowiedział, stał się jeszcze miłszy. Odwołał młodzieńca gestem i natychmiast podał żadaną informację:

- Chodzi o portfel z kluczem do sejfu. Powierzył mi go pewien znajomy.

- Kim jest znajomy, jak się nazywa?

Zanim pan mecenas zdążył odpowiedzieć, weszła pani domu, niska i *bien en chair*<sup>[27]</sup>, z chmurną miną, wręcz wściekła, lecz z zaróżowionymi policzkami. Kiedy dostrzegła nieznanego, jej złość zaczęła ustępować. Wyciągnęła do Costache pulchną rękę, z dołeczkami, a ten zbliżył ją do ust, nie dotykając jej, po czym pani poprosiła służącą o dwie kawy. Zdawało się, że pan mecenas z trudem znosił jej obecność, ponieważ po dwóch minutach rozmowy o handlarzach obnośnych, teraz, w grudniu, i zapytaniu bezbarwnym tonem, jak znosi migreny, poprosił, by ich opuściła, aby mogli porozmawiać; są takie kwestie, które jej nie dotyczą i tylko ją znudzą. Złość znowu zagościła na twarzy kobiety, a Costache przestraszył się, że zrobi scenę. Nic nie irytowało go bardziej, jak bycie świadkiem kłótni małżeńskich. Na szczęście pani oddaliła się urażona, nie odzywając się ani słowem nawet do gościa.

- Zatem kim jest przyjaciel, który powierzył panu klucz? - zapytał prędko, aby rozproszyć zakłopotanie.

Adwokat był spięty.

- Wie pan, panie Boerescu, mój zawód sprawia, że otaczają mnie różni ludzie, których dobrze nie znam, ale muszę zagwarantować im zaufanie i zachować sekrety, które mi powierzają. Panu mogę to jednak zdradzić - dodał pospiesznie, widząc, jak aksamitne oczy Costache stają się surowe i groźne. Wstał i powiedział, lekko dysząc:

- Chodzi o Rareę Ochiu-Zanoaga, wie pan, postrzelonego młodzieńca, o którym pisano w poniedziałkowych gazetach. Zdaje się, że umarł tutaj, w okolicy, w klinice, ale ja nie miałem o tym pojęcia.

Policjant ukrył swoje zaskoczenie. Nie spodziewał się usłyszeć czegoś tak istotnego i mógł jedynie ponownie zadziwić się perfekcyjnym mechanizmem rozumowania swojego poprzedniego szefa.

- Skąd pan go zna?

- Przyszedł do nas do domu, dowiedział się z gazet, że jestem adwokatem, zamieściłem reklamę w "Adeverul", chociaż irytują mnie ich poglądy i metody, ale jak to się stało, że ostatecznie opublikowałem tam ogłoszenie, to już inna historia. "Adwokat Movileanu, ulica Teilor, nowe budynki". Mówił, że jego sprawa jest "niezwykle ważna, może nawet niebezpieczna", przedstawi mi ją wkrótce, przed Nowym Rokiem. Zdawał się być porządnym człowiekiem, a my, adwokaci, znamy się trochę na ludziach, choć być może nie aż tak jak pan, to pewne. Miał przyjść dzisiaj rano, zanim wyjedzie do Giurgiu, o ile dobrze pamiętam. Dowiedziałem się z gazet, że nie przyjdzie i że nie ukończył jeszcze dwudziestu dwóch lat. Nie wiem, co się dzieje, jakby wszyscy oszaleli, nic już nie idzie prosto, wszystko kuleje. Boję się, że dwudziesty wiek okaże się niezwykle ciężki, i myślę o dzieciach, o ile będę je kiedyś miał.

Twarz mu pochmurniała i Costache widział, że nie odgrywa przed nim żadnego spektaklu. Nie był jednak w stanie stwierdzić, o czym myślał w tym momencie adwokat.

- A portfel? Co panu o nim powiedział? Jak pan go zgubił?

- Nie wiem, nie rozumiem, jak zniknął, był tutaj, na stole. Zapytał, czy mógłbym przechować go u siebie przez kilka dni, bo bał się, że go zgubi, a był wartościowy. Powiedział mi też, że chodzi o klucz do sejfu, ale nie powiedział, co znajduje się w tym sejfie, pieniądze czy coś cennego. Nie miałem powodu, żeby zadawać więcej pytań ani żeby mu odmówić. Poszedłem tylko do sąsiadów, żeby zostawić coś na pocztę, pilna sprawa, a po powrocie chciałem zamknąć portfel we własnym sejfie. Kiedy miałem wziąć go ze stołu, już go nie było.

Na twarzy adwokata zaskakująco wyraźnie odmalowało się ówczesne zdziwienie. Spoglądał głupkowato na stolik z nogami w kształcie liry. Otrząsnął się i powiedział:

- Traiana, tego młodzieńca, który niedawno wyszedł, nie było wtedy w domu. Żona była na piętrze, w zaciemnionym pokoju, z bólem głowy, ciągle jest obolała. Służący mieli wolne popołudnie, a ci, którzy zostali na miejscu, pracowali na podwórzu, nie wchodzili do domu, znam ich i im ufam. Pomyślałem, że mogłem wziąć go ze sobą bezwiednie, jestem dość rozkojarzony, mógł mi upaść na ziemię, dlatego zamieściłem ogłoszenie, chociaż, mówiąc między nami, jest to wyjaśnienie wymyślone naprędce, to prawda, że jestem rozkojarzony, ale nie nieodpowiedzialny. To musiał być raczej złodziej, który wszedł do domu po moim wyjściu...

- Drzwi wejściowe nie były zamknięte? - Costache zapytał tylko z obowiązku. Znał odpowiedź. Wchodząc, widział, że drzwi mają automatyczny zamek *yale*.

Gospodarz życzył mu na pożegnanie wesołych świąt i dopiero wtedy Costache przypomniał sobie, że na ten wieczór, w Wigilię, przyjął zaproszenie rodziny Livezeanu, a jutro, żeby nie rozczarować przyjaciół, je śniadanie na ulicy Fantanei. To ciekawe, on również był rozkojarzony, ha, być może z tego samego powodu co adwokat, *une jeune femme* [28], z tym że sprawy obierają niespodziewany obrót, kiedy pracujesz w policji. A młoda kobieta nie była trafnym wyborem, wiedział to.

### 3

Ankieta zamieszczona w "Uniyersul", zatytułowana *Dlaczego pościsz?*, ukazała się rano podpisana nazwiskiem Dana Kretzu i zajmowała połowę pierwszej strony. To Procopiu zrobił mu tę niespodziankę, chciał mu pomóc zaistnieć, a ponieważ większość artykułów była anonimowa, to kiedy na pierwszej stronie pojawiała się nazwisko, było ono dostrzegane i zapamiętywane. Mówiono przecież o jego nowym pracowniku, był znaną osobą, więc jego imię mogło tylko pomóc w sprzedaży gazety. Kobiety ze Stowarzyszenia Matek, zgromadzone w sierocińcu na ulicy Teilor, rozmawiały właśnie o postnych potrawach, wynikach ankiety i tajemniczym nieznanym, który się pod nią podpisał.

- Doktor Istrati, którego mój mąż zna z czasów, kiedy studiował medycynę - bo teraz został chemikiem, bardzo skrytykował sposób, w jaki się u nas pości, od Bożego Narodzenia do Świętego Jana ludzie objadają się, a ich żołądki, skurczone po poście, są jakby atakowane, bombardowane jedzeniem - próbowała wyjaśnić Agata, jednak kobiety nie zaśmiały się z jej żartu, wolały kontynuować rozmowę o Danie Cretu. Każda знаła od swoich służących inny szczegół wart przytoczenia. Lucica Argintaru, niespokojna i wciąż młodo wyglądająca brunetka, odpowiedziała:

- Wszyscy wiedzą, że doktor Istrati jest ateistą, niech więc nie mówi mi o poście...

Agata spojrzała na nią ze zdziwieniem, uważała ją bowiem za mądrzejszą, jednak Lucica skierowała rozmowę na pożądane przez towarzystwo tory:

- Nieznajomy zgolił wąsy i brodę, żeby go nie rozpoznano, tak robią ci, którzy chcą zatrzeć za sobą ślady.

- Był zamieszany w romans na śmierć i życie, zdaje się, że ściga go mąż z przyprawionymi rogami - dodała Marioara Livezeanu, siostra Alexandru. - Tak powiedziała mi opiekunka do dzieci.

Odkąd się rozwiodła, Marioara czytała powieści i marzyła o przeżyciach pełnych pasji. Poza tym stąpała twardo po ziemi i była rozsądna, co sprawiało, że nie wierzyła w plotki. Była piękna, tak jak jej brat, miała kameliową cerę, odziedziczoną po ich matce, malutki nos niczym z obrazka i policzki z dołeczkami.

Agata głośno wyraziła swoje zdziwienie, nie słyszała czegoś podobnego, uważała, że mężczyzna jest nieszczęsnym nieznanym, który nie ma za co żyć i poszukuje sensu w stolicy pełnej możliwości:

- Nie widzicie, ilu obcych do nas przyjeżdża i chwytają się różnych zajęć, na ulicy słychać wszystkie języki Europy! Sądzę, że pan Cretu jest porządnym człowiekiem, który mieszkał za granicą. Jeśli policja natychmiast go wypuściła, a "Uniyersul" zatrudnił, znaczy to, że jest mężczyzną uczciwym.

- *Pas du tout, ma chere* [29], śledzi go policja, Budacu, świetny woźnica, cały czas miał na niego oko, więc nie może być to człowiek uczciwy. Jest raczej *un voyou* [30] który jeszcze się nie ujawnił - wtrąciła zażywna małżonka pana Catona Lekki, która nie krępowała się komentować tajemnic Prefektury, dzięki czemu była mile widziana w kręgu dam. - To twój przyjaciel pan Boerescu umieścił go pod nadzorem.

Agata poczuła rumieńce pojawiające się na twarzy, żona prefekta nie omieszkała jej dogryźć i przenosiła na nią napięcie panujące między panem Leccą a Costache. Wszyscy wiedzieli, że

kierownik bezpieczeństwa publicznego podkochiwał się w Agacie i chociaż pani prefektowa nie mogła go znieść, podziwiała go, a co więcej, w innych okolicznościach prawdopodobnie znosiłaby go całkiem dobrze. Nie mogła pojąć, dlaczego jej najlepsza przyjaciółka stała się panią doktorową Margulis, był przeciętnym lekarzem bez majątku i nie wzbudzał szacunku - jak Costache Boerescu - samą swoją obecnością. Gdyby była na miejscu Agaty Margulis...

- To prawda, teraz przypominam sobie, że i ja widziałam koło niego powóz policji - powiedziała nieśmiało młoda dziewczyna o okrągłej twarzy i poważnych oczach. Została im przedstawiona jako "panna Epiharia Surdu, najzarliwsza parafianka cerkwi Ikony, która pomoże w sierocińcu, mieszka tutaj, na ulicy Teilor".

- Spotkałam tego nieznanego - kontynuowała Epiharia - u nas w cerkwi. Zdawał się być aniołem przybyłym z daleka, człowiekiem nie z tego świata.

Lucica Argintaru spojrzała na nią z mieszaniną zaskoczenia, pogardy i zazdrości.

- Cieszyłabym się, gdybym go poznała, a może zaprosiłybyśmy go jako dziennikarza do...

W tym momencie podniosła się starsza kobieta, przy kości, nie nosiła nawet gorsetu, siedziała z tyłu i nie wtrącała się do dyskusji. Była ubrana bez szyku - w grubą spódnicę i prosty surdut o ciemnym kolorze, ale jej wciąż kasztanowe włosy, z przedziałką na środku, były starannie upięte. Nie nosiła żadnej ozdoby oprócz obrączki. Nos miała jakby orli, a jej usta i oczy wyrażały niezmierny smutek, ale i zdecydowanie, które uciszyło trajkotanie dam.

- Nie zapominajmy, jeśli można, po co tutaj przyszliśmy - powiedziała głosem, którego surowość nie wynikała z jego tembru, był przyjemny, ale z wewnętrznego cierpienia.

Była to pani Elena Turnescu, wdowa po znanym chirurgu. Jej reputacja wyprzedzała ją, gdziekolwiek by się udała. Odziedziczyła po ojcu liczne posiadłości, dwa razy wyszła za mąż i urodziła czwórkę dzieci. Po śmierci drugiego męża, lekarza, dla którego była żoną, asystentką i powiernicą, oraz po tym, jak straciła dwójkę dzieci, chłopca i dziewczynkę, zostając z dwoma synami, gromadziła nieszczęścia ludzi w oczach oraz sercu i z pełnym oddaniem poświęcała się działalności charytatywnej. Nie tylko wspierała potrzebujących datkami, więcej niż hojnymi, ale również pożytkowała całą swoją energię na zakładanie instytucji, jak na przykład ten sierociniec, oraz zapewniała im dobre funkcjonowanie. Ludzie obdarzali ją zatem szacunkiem, miłością, ale też pełnym podziwu lękiem. Od pewnego czasu nikt nie widział, aby się śmiała. Czasami, bardzo rzadko, uśmiechała się.

Epiharia spotkała ją w jedynym miejscu, w którym spotykała się z ludźmi - w cerkwi. Przyszła pewnego dnia, równie skromna jak dzisiaj, w towarzystwie dwóch służących, którzy nieśli w rękach duże kartonowe pudła. Pani uniosła pokrywę i wyciągnęła tak piękne zasłony na ikony, że Epiharia poczuła, jak traci oddech. Były wyhaftowane przez "jej" dziewczynki z sierocińca. Pani udała się następnie do diaka i wręczyła mu sto lei, szepcząc przy tym coś do ucha. Dowiedziała się prawdopodobnie, że miał gromadkę dzieci i niewiele środków, aby je utrzymać. To wtedy, widząc spojrzenia Epiharii, odezwała się do niej i poprosiła, aby dwa razy w tygodniu przyszła pomóc w nowym sierocińcu imienia Elżbiety, przy ulicy Teilor. Zważywszy, że młoda kobieta mieszkała na tej właśnie ulicy, przyznały, że jest to przeznaczenie wykraczające poza ludzkie pojęcie.

Kobiety wstały w pośpiechu i rozeszły się do pokojów, każda do dziecka, którym się opiekowała. Agata dostrzegła, że dziewczynka przypominająca jej małą Marię gorączkuje, i wpadła w panikę. Dziecko miało zarumienione policzki i błyszczące oczy. Na szczęście Agata wiedziała, co należy zrobić, tak jak pani Turnescu, która towarzyszyła mężowi podczas jego walki z chorobami. Dziewczynka wydawała się mimo wszystko zadowolona z towarzystwa

gości, rzuciła się jej na szyję i pochwaliła się, że nauczyła się szyć. Przed wyjściem Agata zostawiła dyrektorce sierocińca bożonarodzeniowe prezenty.

Nicu wydawało się, że śni mu się jej miły głos, który, no proszę, delikatnie go obudził:

- Nicușor, skarbie, idę do pracy, zarobić jeszcze pieniążków. Zbliża się Boże Narodzenie i ludzie wciąż mają pranie do zrobienia. Bądź grzeczny.

I ucałowała go w czoło. Była starannie ubrana, gotowa do wyjścia. Zostawiła mu nakryty stół. Nie widział *takiej* mamy od miesięcy, nie wiedział nawet kiedy ostatnim razem. Niezmiernie za nią tęsknił i miał ochotę płakać z radości, ale przypomniał sobie o nieszczęściach wczorajszego dnia, tych na przystanku tramwajowym, o pierwszym liście, którego nie mógł dostarczyć na miejsce, i znów poczuł, jak bardzo serce ciąży mu w piersi. Wiedział, jak wygląda serce - trochę czerwone, trochę niebieskie, z wystającymi rurkami, widział je na planszy doktora Margulisa, ale był pewien, że jego własne jest całe czarne i pomarszczone ze smutku. Powiedzieć mamie? Nie, po co miałyby ją straszyć, jej serce jest niczym pisklę gołębia, nie można się do niej zbliżyć, nie sprawiając, że zadrży ze strachu. Powiedzieć Iulii? Nie miał odwagi, robiła z tego zbyt wielką tajemnicę i prosiła kilka razy, żeby wsunął list w dłoń Alexandru. Serce Iulii jest jak miękki ser. Powiedzieć panu Cercelowi? To mógłby zrobić, tym bardziej, że wybiera się dzisiaj do niego. Mają spotkać się po południu, w "Universul", i wyjść razem. Ale, przepraszam bardzo, po co miałby mu mówić? Pan Cercel potrafi dobrze czytać, chociaż skończył tylko cztery klasy, jest na bieżąco z polityką, jest bardzo mądry, ale nie ma nie wiadomo jakiej władzy. Nawet trochę się go boi, kilka razy od niego oberwał, chociaż nie wie dlaczego. A gdyby poprosił Dana o przepisanie biletu, jeśli można jeszcze odczytać coś z tego, co zostało? Braciom, nawet przyszywanym, możesz powiedzieć coś takiego i prosić o podobne przysługi. Wyciągnął strzępy listu i próbował je rozczytać. Iulia pięknie pisała. Podpis był czytelny, Iulia Margulis, z ogonkiem niczym wstążka zawiązana podwójnym węzłem, oprócz tego był w stanie odczytać jedynie cztery wyrazy i jedną cyfrę: "zieleni z czerwieni" i "godzinie piątej". Nie można było już nic zrobić, rzucił więc list w ogień. Pomyślał, żeby wieczorem wybrać się z chłopakami na kolędowanie u rodziny Livezeanu, zobaczyć, co będzie, może da się to wszystko jakoś naprawić. Państwo Livezeanu dawali dużo pięknych prezentów. Co by się stało, gdyby wyznał wszystko panu Alexandru? Podziwiał go za to, że był bogaty i przystojny, i pewny siebie. Jakby poczuł, że jego serce zmieniło kolor z czarnego niczym żeliwo w brązowy, taki, jaki mają kasztany z kolekcji znajdującej się na półce w kuchni, zebrane tej jesieni. Niektóre były połączone długimi gwoździkami, tworząc postać człowieka. Ale z okrągłych i połyskujących stały się pomarszczone. Mniej więcej tak musi wyglądać teraz jego serce.

\*\*\*

O piątej po południu Nicu i pan Cercel wsiedli do powozu, na której widniały białe litery UNIVERSUL. Chłopiec nie wiedział, w jaki sposób udało się to portierowi, przecież powozu używano w redakcji dla ważniejszych osób. Był bardzo dumny, siedząc obok przyjaciela i spoglądając na innych z góry.

- Czy możemy opuścić dach, żeby było nas lepiej widać?

Ich myśli podążyły tym samym torem - portier dokładnie w tym momencie opuścił dach. Dzień zaliczał się do ciepłych, od dawna nie było tak pogodnie w okolicach Bożego Narodzenia.

- Ile dni zostało do ogłoszenia wyników loterii?

- Skoro dzisiaj mamy 24 grudnia, to równo za tydzień, trzydziestego pierwszego, w Nowy

Rok, ale u nas w gazecie dowiemy się 30 grudnia wieczorem, żebyśmy mogli je opublikować. Jeśli wygram, dostaniesz jedną trzecią, tyle, ile ci się należy.

Kiedy przechodzili przez bulwar, pan Cercel patrzył z podziwem na budynek uniwersytetu, podczas gdy Nicu na Michała Walecznego, który dosiadał konia z brązu i trzymał w lewej dłoni topór. Chłopiec po raz pierwszy pomyślał, że władca mógł być leworęczny i że już wie, co od tej pory będzie mówił chłopakom ze szkoły, kiedy będą się z niego naśmiewać, na przykład wtedy, kiedy nie udaje mu się przeciąć czegoś nożyczkami. Dlaczego nie można zrobić nożyczek dla mańkutów, z ostrzem w drugą stronę? Domek portiera znajdował się przy ulicy Vişinelor, niedaleko hali Trajana, na przedmieściach Popa Nan. Dziwne było, że pan Cercel nie miał na podwórzu żadnej wiśni[31], jedynie śliwy i gołębie. Nicu przychodził tym razem jako klient - kupić gołębia, którego chciał sprezentować Jacquesowi na Boże Narodzenie. Mieli przed sobą długą drogę, bulwarem Karola, potem bulwarem Pachę - z obydwu odgarnięto śnieg - potem w prawo, ulicą Trajana aż do szkoły publicznej, i w końcu w lewo, w trzecim domu mieszkał portier. Nad miastem zapadł zmrok, a za oknami widać było światła oraz, to tu, to tam, kilka choinek. Na drzwiach wisiały girlandy, a wszystkie latarnie były zapalone. Nicu czuł w powietrzu święta, kiedy tak siedział na ławie powozu obok pana Cercela i mknął nad błotem, za siwymi końmi z "Universul", które pędziły niczym zwycięzcy wyścigów. Chłopiec znalazł sobie zajęcie, żeby się nie nudzić - wypatrywał iskier, które pojawiały się niekiedy, gdy podkova dotykała bruku. Woźnica miał ze sobą butelkę czegoś mocniejszego i unosił ją od czasu do czasu do ust, wydając z siebie stęknienie, jak gdyby się poparzył. Jeśli chodzi o portiera - zdrzemnął się, a Nicu długo podziwiał jego garbaty, czerwony nos.

O dziwo, woźnica nie miał czerwonego nosa, chociaż popijał, a portierowi, który trzymał się od trunków z daleka, nos czerwieniał się od razu. Jednym z nowych zajęć Nicu było przyglądanie się oczom i nosom, wszystkie wydawały mu się śmieszne i człowiek dziwił się, kiedy patrzył na pana Cercela, który miał uszy niczym solidne uchwyty i nos, pod którym znajdował się niby-pędzel. Nos woźnicy przypominał te u bałwanów, był długi i ostro zaostzony jak marchewka. Dotarli do bramy domu. Płot wyglądał smutno bez różowych, niebieskich i fioletowych trąbek powoju, które ukwiecały go do późnej jesieni. Wysiedli i woźnicę również zaproszono do domu.

I on chciał kupić sobie kapłona, żeby przygotować go w Nowy Rok. Pan Cercel miał też koguta rozplodowego, z płaską piersią, oczami pełnymi ognia, dużym grzebieniem i rozłożystym ogonem, często piał, grzebał w ziemi i prowadził za sobą orszak kur, zatem kapłon mógł zostać spokojnie sprzedany.

Żona krzątała się, z włosami związanymi w niebieskiej chuście, z mąką na rękach i fartuchu; choć jeszcze nie skończyła świątecznych przygotowań, czuło się od progu zapach kapusty zmieszany z zapachem ciasta drożdżowego i startej skórki cytrynowej - podmuch, który zdawał się wchodzić Nicu i do nosa, i do uszu, i do oczu, i sprawiał, że chłopiec niemal omdlewał z głodu. A jakby to było mieć uszy czujące zapachy? Albo dwa nosy, po jednej i po drugiej stronie głowy, do wąchania, i jedno ucho, na środku twarzy, do słuchania? Portier zawołał go do gołębnika. Gołębie, którym światło lampki przyniesionej przez właściciela zakłóciło spokój, zaczęły się poruszać i protestować w swoim gardłowym języku, który wydawał się Nicu okropny, ale ponieważ nie chciał obrazić pana Cercela, powiedział pojednawczo:

- Zdenerwowały się, bo je obudziłem. Chciałbym dla Jacquesa gołębicę, ale po gołębiach nie widać, który to chłopiec, a który dziewczynka, u innych ptaków jest łatwiej...

Pan Cercel wyjaśnił mu pewne bardzo interesujące kwestie dotyczące tego, jak rozmnażają się gołębie, i powiedział, że jedynie po wielkości i sposobie zachowania można je odróżnić,

a czasami i tak się pomylił, bo bywają gołębnice większe i silniejsze od gołębi. Nicu zbyt to nie uradowało, on trzymał z chłopakami. Portier przedstawiał swój dobytek z imienia i ubarwienia: Rycerz, Kołnierzyk, Pękatek, Ślicznotka, Kopciuszek, Wołek, Kłótnica, Dobosz...

- Nie rozumiem, gdzie jest bęben - przerwał Nicu, a portier wyjaśnił mu, że to nazwa rasy[32].

- A to jest Paryżanin, ochrzciłem go tak, bo, jak widzisz, nosi binokle. Zobacz, mam też Nicu, dałem mu imię po tobie.

Był to ptak, którego chłopiec zauważył w pierwszej chwili, miał przy gardle coś niby zielonkawę łuski, cudo, i nie wiadomo dlaczego, pewnie wpadł w jakiś oset lub drut, kilka piór na karku stało mu dęba, niczym sierść u kota.

- Chcesz go? - zapytał właściciel, jednak Nicu nie mógł zabrać Nicu, lepiej, żeby został tutaj, przypominał o nim. Wybrał śliczną gołębnicę; była biała jak śnieg i skropiona czernią, wyglądała, jakby nosiła sukienkę w groszki.

- Jak się nazywa?

Nazywała się Pstrokata. Portier schwycił ją i włożył do dużej klatki, a potem nakarmił ziarnem - owsem. Nicu zdziwił się trochę, że gołębnice i konie jedzą to samo, może dlatego o koniach również się mówi, że latają. Kukurydza o drobnych ziarnach, jęczmień, soczewica, rzepak - wyjaśniono mu, jak należy karmić Pstrokatą i jak przygotować dla niej przestronny, jasny domek.

Wrócili do małego i dość ciemnego domu portiera, pokrytego białym wapnem i utrzymywanego przez żonę w czystości. Kobieta nie znosiła gołębnice, ponieważ, jak mówiła, jedzą, korzystają z toalety i spacerują w tym samym miejscu.

- Wiosną przyjdź kupić dla niej partnera, gołębnice sprzedaje się parami - powiedział portier.

- Myśli pan, że kiedy dorosnę, mógłbym zostać gołębnicą? Nie zdecydowałem jeszcze, czy będę mistrzem łyżwiarstwa, czy będę hodował ptaki... Nie chcę być gońcem, bo co jeśli zgubię przesyłkę?

- A co ma być, wyrzucą cię - wtrącił wesoło woźnica.

Portier poczęstował gości syropem z wodą, którego woźnica odmówił, mówiąc, że nie jest spragniony, i dżemem ze śliwek. Ani *sarmale*[33], ani ciasto nie były jeszcze gotowe, więc Nicu niestety musiał się zadowolić jedynie zapachem. Chociaż post wciąż trwał, chłopiec gotów był udać, że o nim zapomniał. Żona pana Cercela i tak by mu na to nie pozwoliła, darzyła dzieci równie niewielką sympatią, co gołębnice. W powozie Nicu zaczął się drapać.

- Chyba złapałem pchłę - powiedział, ale po chwili zajmowały go już pogodne myśli o Pstrokacie i chmurne myśli o zniszczonym liście, podczas gdy woźnica zajmował się butelką. A jednak poczuł pragnienie.



*Wieczór.* Poznałam pana Dana Cretu, nareszcie. Przyprowadził go sam papa, zabrał go naszym powozem, z woźnicą z sąsiedztwa, od pana Valeanu, taty Elisabety. Nasz Nelu zachorował, to papa się nim zajmuje, a ja przynoszę mu jedzenie, bo wszyscy są zajęci. Napiszę tu chociaż, że oczekiwanie z zapartym tchem na nieznanego i podenerwowanie związane z milczeniem Alexandru zeszły na drugi plan. Z tego co zauważyłam na zewnątrz, a było dość ciemno, zdawało mi się, że pan Creju miał spore problemy, aby zejść z powozu, jego krok był niepewny. Wszedł do przedpokoju i chciał wejść do jadalni w kaloszach, ale mama, natknąwszy się na niego, powiedziała w swój uroczy sposób, niczym prawdziwa pani domu: "Jeśli chce pan zdjąć kalosze, pomoże panu służący, żeby pan się nie pobrudził!" i wskazała, gdzie jest na nie miejsce. Pan Cretu poczuł się zmieszany i spojrzął na drzwi - a tam para kaloszy taty, para butów z koziej skóry należących do mamy, para moich botków na obcasie z guziczkami i, obok, kamasz Jacques'a. Takie drobnostki smuć mnie najbardziej, czasami tak bardzo, że mam ochotę położyć się do łóżka i już nie wstawać - ogłosić strajk przeciwko życiu. Za każdym razem, kiedy kupujemy Jacquesowi kamasze, jeden musimy wyrzucić do śmieci.

Dan Cretu nie zrozumiał od razu, spojrzął na mnie pytająco, przyjrzał się moim stopom, następnie zaprowadził go do domu, kalosze zdjął sam, nie przyjął pomocy. Zobaczył Jacquesa, siedział na sofie, a gość zrobił się blady, biały, po czym wszystko zniknęło z jego twarzy i stał się jakby pusty. Papa zaproponował mu honorowe miejsce - w pobliżu ognia, na fotelu zwróconym w kierunku drzewka, które udekorowałam, sądzę, że całkiem ładnie (żółtymi jabłkami, czerwonymi świeczkami i aniołkiem na czubku, tylko tyle, łańcuchów nie powiesiłam). Jako że światło płomienia grało na jego twarzy, a ja siedziałam bardziej w głębi, mogłam patrzeć na niego do woli, bo przecież nie wypada tak wpatrywać się w gościa. Co za szczęście, że mama na mnie nie spoglądała, inaczej by mnie zbesztła. I ja myślę, że jest młodszy, niż się twierdzi lub niż sam przyznaje. Na początku jego twarz nic mi nie mówiła, ciężko odczytać cokolwiek z jego fizjonomii. Zmylił mnie również sposób, w jaki był ubrany, a idźże, a ja osobiście uważam, że szata zdobi człowieka, chociaż rodzice uczyli mnie, że tak nie jest, że bym nie oceniała ludzi po stroju... Zdziwiła mnie też jego twarz bez porządnej brody, chociaż był nieogolony. Włosy miał lśniące i krótko obcięte. Trochę się później uspokoiłam i mogłam już odczytać z jego oblicza emocje pojawiające się za każdym razem, kiedy padało jakieś pytanie. W pewnej chwili mama, która - jak mi się zdaje - polubiła go od pierwszej chwili, odezwała się z nietypową dla niej wesołością:

- Czy to prawda, że fałszuje pan pieniądze? Bo jeśli tak, to trochę by nam się przydało.

W tym momencie na twarzy pana Cretu wydarzył się cud. Uśmiechnął się po raz pierwszy i ujrzałam jego piękne białe zęby, ale przede wszystkim dostrzegłam pogodne oblicze i słodycz, której chyba nigdy wcześniej u nikogo nie widziałam.

Nie brakowało wiele, aby wokół jego głowy roztoczyła się poświata, taka, jaka pojawia się niekiedy wokół księżyca. Jakby kryły się w nim dwie osoby - jedna zupełnie nijaka, obecna większość czasu, która niczym nie przyciąga uwagi, stapia się z otoczeniem, i druga tak piękna, można rzec, jak z romantycznego obrazu, która pojawia się jedynie, kiedy się uśmiecha.

O ósmej przybył również *signor* Giuseppe, nasz sąsiad, nie mówi dobrze po rumuńsku, ale gra nam na gitarze, jest człowiekiem poczciwym i wesołym, tak właśnie sądzę, ale kucharka

zarzuca mi, że uważam, iż wszyscy ludzie są poczciwi. Z wyjątkiem jednego! Potem usiedliśmy przy stole; wszyscy byliśmy głodni. Papa był tym razem radosny, opowiadał dużo o przypadkach medycznych, którym pan Cretu uważnie się przysłuchiwał i na które odpowiadał ze znajomością rzeczy, aż nas wszystkich zadziwił. Papa zaczął mówić o światku teatralnym, który zna raczej jako lekarz, muszę go błagać, żeby poszedł z nami na jakieś przedstawienie. Opowiedział historię, której nawet my nie znaleźliśmy, choć większość z nich powtarza, o Grigore Manolescu, naszym pierwszym prawdziwym Hamlecie.

- Pochodził z rodziny drobnego ziemianina, Alexandru Manolescu, miał dom w okolicy Schitu Magureanu i nie uczył się zbyt dobrze, powtarzał klasę w Świętym Sawie, tutaj, niedaleko, gdzie uczęszczał do szkoły. Kiedy dorósł, w wieku czternastu lat, poszedł do konserwatorium, nie mówiąc nic ojcu. Wcale nie był przystojny, miał zbyt długie ręce, jak u małpy, z dłońmi jak wiosła, był bez wyrazu i, przede wszystkim, miał nogi prostowane na becze. A co najgorsze - seplenił.

- *Mio Dio*<sup>[34]</sup> - wykrzyknął *signor* Giuseppe, który jest wrażliwy na wszystko, co dotyczy teatru.

- Był tak brzydki, że nauczyciel posadził go w ostatniej ławce, z litości, a kiedy pewnego dnia postawił go na scenie, ludzie drodzy, cała klasa śmiała się do rozpuku, chociaż recytował smutny wiersz. Ale chłopak się zawziął. Ćwiczył uparcie z kamykami w ustach, stojąc w domu przed lustrem i wszystko poprawił. Jeśli masz wolę, to cuda zdarzają się również w teatrze, choć częściej w medycynie. Po raz kolejny wspiął się na deski sceny i wyrecytował *Jezioro Lamartinea* tak pięknie, że nikt już się nie śmiał. Pewnego dnia czytano w klasie sztukę, która poruszyła go jak żadna inna, Grigoraę zapytał więc nauczyciela, co to za sztuka, a ten odpowiedział: *Hamlet*. Od tamtej chwili chłopak postanowił, że musi wcielić się w rolę Hamleta. Ale ojciec dowiedział się, z gazety, że jego syn jest w konserwatorium. Żeby powstrzymać rękę, która gotowa była go uderzyć, a stary Manolescu miał ciężką rękę, syn rzekł: "Poszedłem do konserwatorium, żeby poprawić wymowę i zostać adwokatem". *Hamleta*, książeczkę przetłumaczoną z francuskiego, miał zawsze przy sobie, pokazywał ją, była jego wizytówką, choć dostawał w przedstawieniach jedynie role śmiesznych staruszków. Skończył szesnaście lat, a ojciec znowu kłócił się z nim o to, że grozi mu powtarzanie klasy. Pewnego dnia na zajęciach w Konserwatorium pojawił się Matei Millo, wielki aktor i wspaniały reżyser. I mówi do nauczyciela, że potrzebuje jednego ucznia. Ten polecił mu etatowego amanta, ślicznego chłopaka z pierwszej ławki, jednak Millo wskazał palcem na Grigore Manolescu, brzydala z ostatniej. I tak, w wieku szesnastu lat, Grigore znalazł się na scenie, znowu w roli starca, obok Millo i Frosa Sarandy.

Tutaj papa zrobił pauzę i wyjaśnił Danowi Cretu, kim jest Frosa Sarandy, bo wyglądało na to, że nie słyszał o naszej wielkiej aktorce. W międzyczasie gość jadł pogrążony w myślach, mama szeptała do służącej, co ma przynieść, co ma zabrać, chociaż poinstruowała ją wcześniej, ja i Jacques wymienialiśmy różne dyskretne znaki, a Giuseppe zajadał się ze smakiem i głośno się śmiał. Kiedy pojawił się deser, papa dostał nagłe wezwanie. Jesteśmy do tego przyzwyczajeni i nie wiem, jak to się dzieje, ale to zazwyczaj w dni świąteczne przychodzi choroba, niczym niechciany gość. W biegu powiedział nam, co następuje:

- Podczas spektaklu, na widowni, siedział ojciec Manolescu. Na afiszu nie widniało imię chłopca, obok nazwiska Tochenbourg z *Wielkoświatowego balu* były gwiazdki, a ojciec nie rozpoznał go pod makijażem, mówiącego głosem starca. Na koniec publiczność wykrzykiwała: Millo, Millo! Frosa, Frosa! I głośniej: Tochen-bourg, Tochenbourg. A kiedy ponownie uniesiono

kurtynę, Millo chwycił debiutanta za rękę i przedstawił donośnym głosem: Grigore Manolescu! Powiem krótko, bo muszę już iść, ojciec wyrzucił go z domu. Minęło kilka lat i proszę, oto Grigore Manolescu triumfuje w *Hamlecie*. Miałem trzydzieści cztery lata, więc było to w... 1884 roku, jesienią, pamiętam też dzień, jak miałbym zapomnieć, 2 października, urodziny waszej mamy. Czegoś takiego jeszcze nie widziałem, ludzie po prostu padali mu do kolan, widownia była wstrząśnięta, owacje trwały całe minuty, a za kulisami wszyscy byli we łzach. Dzisiejszy teatr wydaje mi się nijaki, mdły w porównaniu z tym, co my przeżywalismy, mama i ja, w młodości - i papa spojrział na mamę z uśmiechem.

Zapytałam, czy wie, kiedy i jak zmarł Grigore Manolescu.

- Odszedł siedem lat temu - powiedział - miał zaledwie trzydzieści pięć lat! To przez papierosy, odpalał jednego od drugiego - i spojrział niczym rozgniewany ojciec w kierunku Dana Cretu, jak gdyby miał prawo, aby go ganić, dla taty wszyscy jesteśmy dziećmi. - Jak tylko zszedł ze sceny po ostatnim przedstawieniu, zaraz padł w ramiona lekarzy. Pochowali go ze stronicami *Hamleta* na piersi, zgodnie z tym, co zapisał w testamencie, opłakiwały go tłumy ludzi. Byłem i ja, udałem się prosto na cmentarz. Tam też było niczym w teatrze; kiedy dotarłem, zapytałem, gdzie znajduje się grób, a człowiek od bramy wskazał mi kierunek i powiedział: " Nieboszczyka jeszcze nie ma, ale w każdej chwili spodziewamy się, że wpadnie!". Ale nie mam czasu wszystkiego teraz opowiadać.

A ja i Jacques zostaliśmy z otwartymi buziami, bo papa jest zazwyczaj bardzo oszczędny w słowach. No proszę, co też się kryje w naszych rodzicach! Chciałabym zobaczyć tatę w wieku dwudziestu lat, w Paryżu, jako studenta! Papa pożegnał się z gośćmi, a my przeszliśmy do ciasta. Nie chcieliśmy dzielić się prezentami bez niego, więc zaczekaliśmy z tym do następnego dnia. Pan Cretu był bardzo zażenowany, bo nic dla nas nie przyniósł, ale my wiedzieliśmy, że nie ma pieniędzy, i mama, śmiejąc się, powiedziała:

- Szewc bez butów chodzi, a fałszerz pieniędzy bez gotówki. Żartuję, niech się pan na mnie nie gniewa, musi pan wiedzieć, że pokochałam pana jak Iulię i Jacquesa, jest pan jak rodzina. Prezent, który od pana otrzymaliśmy, to pańska obecność, jest nam niezmiernie miło.

O, tyle ze strony mojej mamy... Dan Cretu nie wiedział nawet, co to ma oznaczać, bo gdyby wiedział, skoczyłby ją uściskać. Jest prawie północ, spoglądam wstecz i dziękuję panu Danowi Cretu, że pozwolił mi zapomnieć o moich nieszczęściach. Jest zaproszony również na jutrzejszy obiad, przyjdzie pan Costache i Nicu, wygląda na to, że nowy gość jest nam wszystkim drogi. Nie zakochałam się w nim (choć jego uśmiech jest najpiękniejszy, jaki widziałam), jest dla mnie jak starszy brat. To była najwspanialsza Wigilia rodziny Margulisów. Dan Cretu okazał wiele dowodów przyjaźni mojemu braciszkowi, Jacques był szczęśliwy i, zanim zapaliliśmy świeczki na drzewku, jego oczy błyszczały w ciemności jak agaty. Właśnie zdałam sobie z tego sprawę - Jacques odziedziczył po mamie oczy niczym czarny agat, a mnie przypadł przysłowiowy fałsz oczu zielonych[35]. Papa jeszcze nie wrócił. Czy dostanę jutro odpowiedź?

## 6

Marioara spoglądała z wielkim niepokojem na młodszego, chociaż wyższego od niej brata. Alexandru wyszedł zapalić, jadł szybko to, co mu się podało, i wstawał od stołu, rzecz zazwyczaj nie do pomyślenia, a kiedy masz gości - niewybaczalna. Wszyscy spoglądali na niego ze zdziwieniem i za każdym razem odwracali za nim głowy jak na rozkaz, ale nikt nie odważył się o cokolwiek zapytać, Mięu podejrzewał, że chodzi o jakąś kobietę, jak zawsze w jego przypadku. Pan Costache przyszedł obładowany słodyczami z cukierni Ingera, przy ulicy Karola, co również zaskoczyło domowników, było naruszeniem tradycji, która narzucała Capęę lub Fiałkowskiego, a od kiedy Fiałkowski był chory, jedynie Capęę. Choinka sięgała niemal sufitu, a sufit zaliczał się do wysokich. Potrzebowali drabiny, żeby ją udekorować. Wszystkie kandelabry były zapalone, a grona światła odbijały się i mnożyły w lustrach salonu. Hristea Livezeanu był w złym humorze, jak podczas każdych świąt, i wyładowywał nerwy na żonie.

- Powiedz swojemu synowi, że kiedy mamy gości...

Pani matka nigdy nie powstrzymywała się od riposty - wojny z mężem sprawiały jej przyjemność. Obydwoje korpulentni, w odróżnieniu od dwójki dzieci, przypominali generała i generałową w trakcie bitwy. Ona zmarszczona, z małą głową, ale też z imponującym dekoltem o kameliowej skórze, charakterystycznej dla kobiet z jej rodziny, on z purpurową twarzą i białymi bokobrodami.

- Powiedz "mojemu" synowi, chciałeś powiedzieć, tak, to ja go urodziłam, ale wdał się tylko w ciebie. We mnie wdała się pozostała dwójka - spowiła wzrokiem Marioarę z jej idealnym noskiem i Mięu z kosmykiem włosów opadającym na czoło, który sprawiał, że wyglądał jak urwis.

Starsza siostra Marii, Elena, stara panna, jak to mówią, zawsze trzymała z Hristeą, i miała swoje powody. Elena próbowała odwrócić uwagę Costache od rodzinnych scen.

- Panie Boerescu, co słyhać w sprawie młodego Ochiu-Zanoaga? Nie oczekuję, że już pan wie, kto go zastrzelił, ale może chociaż wiadomo z jakiego powodu?

- Rozczaruję panienkę. Nie wiem, nie wiemy, policja nic nie wie.

Pan Costache też był nie w humorze, wieczór nie zapowiadał się na udany, jak na razie był ciężki do zniesienia, a przecież liczył na nieco spokoju. Pieczeń była mdła, choć przyrumieniona i przyozdobiona wyglądała wspaniale; może to atmosfera zmieniała smak potraw. Popijał wino, które dla odmiany było przepyszne, ponieważ rodzina Livezeanu szczyciła się najlepszymi winami w całej stolicy, i poczuł się nieco odważniejszy. Marioara uśmiechała się do niego z dołeczkami w policzkach, ale był to uśmiech niepewny, niemal zalękniony. Naraz usłyszano z ulicy chór, który śpiewał wysoko i fałszował. Przyszli kołędnicy.

Pan Hristea, a zaraz po nim pani, również zaczęli śpiewać, wspólnie z ludźmi z ulicy, zupełnie zagłuszając dzieci, on barytonem o niesłychanie czystym tembrze, ona sopranem tak gładkim, że trudno się było tego spodziewać, widząc ją w jej wojowniczym nastroju. Ich głosy łączyły się ze sobą z delikatnością, spoglądali na siebie, jakby od dawna się nie widzieli i, po raz pierwszy tego wieczora, tworzyli szczęśliwą parę - ze wspólnie rozwartymi ustami, z których wydobywały się te same słowa. Costache odgadł, że muzyka jest jedną z rzeczy, które pozwoliły im przetrwać razem przez te wszystkie lata, i patrzył z litością na Elenę, która cierpiała i skręcała się cała z wyrazem udręki spowodowanej bólem głowy.

Alexandru wrócił, gdy zakończyły się pieśni na ulicy i w domu; powiedział, że zajął się prezentami dla kolędników i poprosił Costache o poświęcenie mu dwóch minut po kolacji. Lęk Marioary przerodził się w przerażenie, również Mięu zaczął zdawać sobie sprawę, że coś jest nie w porządku, a jego wcześniejsze domysły nie zdawały się wybiegać za daleko. Z kolei rodzice, oszołomieni komunią swoich głosów, nie dostrzegali niczego, jakby przeżywali miesiąc miodowy. Costache zauważył, że Alexandru wyraźnie rozpogodził się po powrocie i zaintrygowany zadawał sobie pytanie, co też zaszło na zewnątrz.

# **CZWARTEK, 25 GRUDNIA**

Prezenty

# 1

Do zeszłego roku prowadziłam dziennik po francusku, ale od kiedy wzięłam udział w konferencji w Ateneum na temat biednego języka rumuńskiego i wielu burz, które nad nim przeszły, nie mogąc jednak wyrwać go z korzeniami, powzięłam doniosłą decyzję, aby pisać wyłącznie po rumuńsku. Czasami bywa ciężko, ponieważ sprawy osobiste łatwiej przelać na papier, kiedy pisze się po francusku. Na przykład dzisiejszego wieczora chętnie schowałabym się za językiem obcym niczym za karnawałową maską, napisałabym, ile we mnie emocji i skąd się wzięły, *mais puisque j'ai promis decrire en roumain, je dois tenir promesse*<sup>[36]</sup>. Zatem odwagi, weź głęboki oddech i pisz w języku swoich przodków (co rozmija się częściowo z prawdą, ponieważ niektórzy z nich to Grecy). Dziś na obiedzie był Nicu, pan Costache i pan Dan Cretu, o mało nie zapomniałam o panu Giuseppe. Zaczęłam od Nicu, oficjalnego gościa mojego brata, ponieważ cały czas starałam się uchwycić jego spojrzenie i odgadnąć, czy mój list dotarł tam, gdzie powinien, oraz czy przyniósł mi odpowiedź, jednak, jak na złość, chłopiec miał wzrok zwrócony ciągle w inną stronę. Dopiero przed wyjściem poprosiłam go na bok i zapytałam: "Dałeś mu?", a on skinął głową, że tak, wciąż na mnie nie patrząc.

Potem zapytałam, czy ma dla mnie odpowiedź i potrząsnął głową, że nie. Zdawało mi się, że było mu mnie żal, może coś podejrzewał, może widział, że adresatowi nie zależało. I, nie wiem skąd, dodał: "Ale sądzę, że przyjdzie o piątej. Zieleń z czerwienią". Ucałowałam go w czubek głowy; był to dla mnie najpiękniejszy prezent. Nie udało mi się zapytać go o nic więcej - skąd to wie, co oznacza zieleń z czerwienią (brzmiało jak hasło), i czy Alexandru poprosił, aby przekazał mi te słowa - ponieważ pojawił się obok nas pan Costache, aby się pożegnać. Przeszkadzał mi, wręcz mnie zdenerwował - jakby mnie śledził. Podczas kolacji był wciąż w złym humorze, zirytowany, co nie było dla niego typowe, a w tamtej chwili spytał dość nieskładnie: "Kto ma przyjechać?" Nicu udał, że jest niewidzialny, ja udałam, że nie słyszę. Nie ma prawa wkraczać w moje życie, choć zazwyczaj jest tak subtelny, iż trudno byłoby zgadnąć, że pracuje w policji. Poprosił, żebym przyszła jutro do Prefektury, jeśli mogę, bo ma coś do omówienia w cztery oczy. Rozmawiał już z papą, prosząc, żeby mnie odwiózł, kiedy będzie udawał się do gabinetu, a potem on lub ktoś inny odwiezie mnie do domu. Nie rozumiem, o co może chodzić i jak mogłabym mu pomóc, a wizyta na policji jest najmniej oczekiwanym *rendez-vous*<sup>[37]</sup>, jakie kiedykolwiek w życiu zaproponował mi mężczyzna. I to w drugi dzień świąt, kiedy wszyscy siedzą w domach! Słowa Nicu zajmują mnie jednak najbardziej: "Ale sądzę, że przyjdzie o piątej. Zieleń z czerwienią". Dlaczego jedynie "sądzę", dlaczego nie był pewien? Może nie miał czasu na napisanie odpowiedzi? Albo bawi się ze mną w kotka i myszkę?

Po obiedzie Jacques i ja zrobiliśmy wszystkim, a szczególnie naszemu sąsiadowi *signorowi* Giuseppe, ogromną niespodziankę - daliśmy "koncert", odgrywając menuet Handla. Ja pomyliłam się jedynie trzy razy, Jacques nieco więcej, ale wszyscy udawali, że było idealnie, choć sądzę, że ich uszy zostały przez nas trochę nadwężone. Mama i papa byli szczerze zdziwieni tym prezentem i postęпами, jakie zrobiliśmy bez nauczycielki (zrezygnowaliśmy z niej rok temu, żeby zaoszczędzić). Przyniosłam karylion Jacquesa, uruchomiłam i akompaniowałam zegarowi, jakby sprawiając, że czas zaczął grać na trzy różne sposoby, a Giuseppe bił brawo jak szalony. Ma w sobie coś z gondoliera, z jego czarnymi włosami pełnymi lśniących pasm, z wąsem niczym skręcony sznur, i jest wobec mnie bardzo szarmancki, nie przekraczając jednak

granicy. Podobają mi się Włosi, mają w sobie ciepło, które cię nie przytłacza. Podeszedł do pianina, wziął moją dłoń, aby ją ucałować z wdzięcznością "za tę niebiańską muzykę", a ponieważ *manina*[\[38\]](#) była zimna - zawsze mam zimne dłonie - zaczął śpiewać najnowszą operę Pucciniego, *Cyganerię*: "Che gelida manina se la lasci ris-caldar..." Papa, który zna włoski, przetłumaczył mi: "Jaka zimna rączka, jeśli pozwolisz, ogrzeję ją". Odgrywał uwodziciela Rodolfo, a ja sąsiadkę Mimi, która powstrzymywała się od śmiechu. Pan Costache kontynuował arię Rodolfo, którą - a jakże! - znał bardzo dobrze, i śpiewał, spoglądając na mnie od czasu do czasu, jednak na próżno, ponieważ nie rozumiałam zupełnie nic poza słowem *signorina*. W pewnym momencie zwrócił spojrzenie również w stronę pana Cretu, a papa wyszeptał mi, że była właśnie mowa o kradzieży i kasetce lub czymś podobnym. *Signor* Giuseppe był rozentuzjzmowany, uściskał nas wszystkich z radości, podobno był na premierze w Turynie (czy też w Mediolanie?). Odkryłam, co nietrudno zauważyć, że również pan Costache ma zachwycający głos i bardzo dobrze śpiewa, co też mu powiedziałam. Ale że zna włoski - to była niespodzianka. Oto coś, o co bym go nie podejrzewała. W młodości musiał być wesołym człowiekiem, szkoda, że wybrał sobie zawód, który go postarza. Z rzadka widywałam go w bardzo dobrym nastroju. Czy papa częściej? Obydwaj są bardziej ponurzy niż wszyscy wokół razem wzięci.

Dałam Nicu zabawkowego miauczącego kotka, a Jaccjuesowi sztuczne ognie z "Universul". Kiedy chcieliśmy je zapalić, okazało się, że nie mamy instrukcji, musiałam więc pójść do redakcji "Universul" i znaleźć kompletne pudełko, dlatego zabrałam Jacquesowi ognie, pozostawiając go zasmuconego. Kotek zamiauczał dwa razy, potem już nie chciał, ale Nicu stwierdził, że może to i lepiej, ponieważ nie lubi kotów, sam ma psa i trzyma go na podwórzu, bo ma pełno pcheł. Tacie nie pasował kapelusz, chociaż wybraliśmy taki sam rozmiar jak poprzednio, sterczał mu na czubku głowy i wyglądał tak zabawnie, że wszyscy się z niego śmialiśmy; oto jak człowiek otrzymuje drwiny zamiast prezentu. A, tak, mamie dałam *Wiersze*. Veroniki Micie, podziękowała mi z entuzjazmem, mówiła, że właśnie tego sobie życzyła, ale pan Costache powiedział mi później, iż wie, że się jej nie podobają, chociaż nie rozumiem dlaczego. Jeśli chodzi o mnie, podarowano mi piękną mufkę z białej wełny. Nie cierpię mufek, bo czuję się, jakbym miała związane ręce. Poza tym są już niemodne. Nicu nic nie przyniósł dla Jacquesa, poczuł się tym jakby zakłopotany i ciągle tłumaczył mu coś szeptem. Zaproponowałam, abyśmy zorganizowali loterię z naszymi nietrafionymi prezentami, ale uznano to za niestosowny pomysł i spoglądano na mnie z konsternacją. Ogólna katastrofa, licho nie śpi.

I wreszcie rozdział najtrudniejszy - pan Dan Cretu. Zamilkł, kiedy zobaczył pana Costache, a Costache przeciwnie, wciąż próbował coś z niego wydobyć, jakby był na przesłuchaniu; wydawało mi się, że przesadza, ale obydwoj byli gośćmi, a świece na choince paliły się pojednawczo. W końcu, chcąc nie chcąc, Dan Cretu musiał coś powiedzieć i wszyscy dowiedzieliśmy się wtedy czegoś nowego i emocjonującego. Petre, woźnica Ingera, który znalazł pana Cretu i panicza z Giurgiu, miał podobno zabrać portfel z kieszeni umierającego. Pan Cretu powiedział to *en passant*[\[39\]](#), nie wydaje mi się, aby uważał to za istotne, ale Costache był poruszony, aż podniósł się z krzesła, miał ochotę wyjść i chyba tylko zdrowy rozsądek mu w tym przeszkodził. W odróżnieniu od wczorajszego był to zatem dzień szalony, a ktoś jakby włożył nam kij w szprychy, przynajmniej w dwa z czterech kół. Pozostałe, które mkną niczym welocyped, niosą mnie i Alexandru z naszą od zawsze rozchwianą równowagą.



Wracając od pana Cercela, Nicu z całego serca pragnął zastać mamę w domu, żeby móc jej pokazać, co kupił, jednak dom był pusty i zimny. Zapalił ogień w blaszanych piecach w kuchni oraz w pokoju, w którym ściany spojone wapnem zaczęły już czernieć, i postawił klatkę na łóżku. Pstrokata istota w środku była spokojna, większość czasu spała.

- Chcesz jeść? Chcesz pić? - pytał Nicu i usłyszał w myślach, że Pstrokata nic nie potrzebuje.

- Chcesz spać? - a pstrokata ptaszyna w jego głowie odpowiedziała, że tak i żeby zostawił ją już w spokoju.

Nicu nic już więcej nie mówił. Jadł szybko, prawie nie gryząc. Doktor Margulis powiedział mu, że powinien jeść zawsze o stałej porze i długo przeżuwać. Nicu robił dokładnie na odwrót - jadł, kiedy akurat wrócił do domu lub kiedy od czasu do czasu ktoś mu coś dał, połykał szybko, nie lubił tracić czasu, przeżuając jak owce. Lekarz był dla niego bardzo dobry i często go badał, aby na nic się nie rozchorował, a kiedy ten kaszłał, dawał mu pigułki i mówił, jak ma o siebie dbać; kiedyś kazał mu wdychać parę z garnka, w którym wrzała woda z solą. Innym razem nauczył go odchyłać głowę i płukać gardło, to znaczy "bulgotać", mówiąc "a-a-a-a". Najpierw ćwiczył ze zwykłą wodą, potem dostał do tego jakiś syrop. Kiedy, po śmierci babci, pewnego gorącego lipcowego dnia mama była w *ty*m stanie, pobiegł na ulicę Fantanei, a doktor, który odpoczywał przy spuszczonej zasłonie, wstał natychmiast, zabrał słomkowy kapelusz, nakazał Nelu przygotować powóz i pojechał galopem na przedmieścia Olari. Lekarz wszyściutkim się zajął - zabrał mamę do doktora Marinescu, Nicu nie wiedział za jakie pieniądze, a jemu samemu pozwolił przez jakiś czas mieszkać z Jakiem, było mu z nim jak w raj. Po pewnym czasie lekarz zwołał go do biblioteki i zapytał jak dorosłego, czy chce się zająć mamą, która wciąż będzie miała "kryzysy", czy czuje się w stanie samemu z nią mieszkać, a Nicu odpowiedział, że tak i że chce. Lekarz miał na nich oko, nie było tygodnia, aby nie zapytał o "naszą chorą" i nie służył poradami lekarskimi, nie męcząc się ciągłym ich powtarzaniem. Tylko dlaczego to robił?

Obudziła go śnieżka na szybie, chwycił gwiazdę i łańcuch i wybiegł na zewnątrz, zostawiając Pstrokata śpiącą w kuchni na stole. Miał teraz, oprócz matki, kolekcji pomarszczonych kasztanów i krowy bez wymienia, również żywego gołębia, który był w istocie gołębicą, i z którym miał się jutro rozstać. Odwiedzał z chłopakami różne domy, torby zaczęły wypełniać się jabłkami i orzechami, ale Nicu nie miał swojej i kiedy wypchał już kieszenie, poprosił przewodniczącego chóru, wysokiego chłopaka z falistymi kosmykami i z głosem zbyt ochrypłym jak na chórzystę, aby schował i jego smakołyki. Alexandru spotkali na progu, palącego, i natychmiast go otoczyli. Miał gołą głowę, a wiatr targał jego miękkie kasztanowe włosy. Repertuar chóru tworzonego przez pięciu osobników był stały - *Wesoła no-o-o-wina*, *Trzej królowie* i pieśń otwierająca, która podobała się Nicu najbardziej, choć jej melodia była dość trudna.

Nicu drżał szczególnie w trakcie: "lecz są chatki bez płomienia" i ostatniego zawołania: "Nie zapomnij, gdyś wesół, Rumuuunie, być dobrym!" były to słowa, podczas których ludzie natychmiast udawali się do domów i przynosili smakołyki, a niektórzy nawet pieniądze. Dobrze jest przypominać ludziom, co mają do zrobienia, niektórzy zwyczajnie o tym zapominają. Alexandru dał wszystkim pieniądze oraz cukierki i polecił Toaderowi przynieść z domu

smakowitości. Co dziwne, Toader nie był tego wieczora w dobrym nastroju i udał się do domu niechętnie. Przewodniczący chóru poprosił o papierosy, a Alexandru go poczęstował. Kiedy odchodził, Nicu szybko powiedział: "Panienka Iulia przesyła wiadomość. Godzina piąta, zieleń z czerwienią!", po czym zniknął, żeby o nic więcej go nie pytano, przecież nic już więcej nie wiedział. Miał nadzieję, że Alexandru zrozumie lepiej od niego to, co miał zrozumieć. Wiedział, że oprócz "godziny piątej" powinien podać również dzień, ale nie miał pojęcia jaki, zostawił więc wszystko tak, jak było. Wracając do domu, znowu miał pecha, jednego z tych, które zdawały się go ostatnio prześladować - przewodniczący chóru nie chciał oddać mu z torby jego części zdobyczy, został więc jedynie z pieniędzmi i tym, co pomieścił w kieszeniach. Ślizgał się po słabo oświetlonej ulicy, w pośpiechu, obawiając się, że spotka Botosu' i z całej roboty nic mu już nie zostanie; rok temu tak się właśnie stało. Pstrokata spała w kuchni, mama była w domu, dzięki Bogu, wróciła, ale znowu piła, co oznaczało, że i tym razem będzie się awanturować. Położył się i spał dobrze, ponieważ załatwił bardzo dużo spraw, przede wszystkim zajął się listem Iulii.

A dzisiaj, kiedy wychodził z Pstrokatą na obiad do rodziny Margulisów, serce pękało mu na myśl, że się z nią rozstaje, że oddaje ją w prezencie właśnie teraz, kiedy znalazł spokojną towarzyszkę życia, kupioną za własne pieniądze. Przyjaciel zrozumie, pomyślał, kiedy mu wyjaśni, że Pstrokata nie chciała już go opuszczać, że w żaden sposób nie mógł jej przekonać, choć usiłował, naprawdę. Jacques powiedział:

- Mój drogi, nie ma potrzeby, żebyśmy dawali sobie prezenty, nie obchodzą mnie nie wiadomo jakie gołębce, dużo bardziej wolę rrybki! Niestety, nikt w Bukarreszcie nie hoduje rrybek, co by było gdybym to ja pierrwszy się za to zabrał? Wchodzisz w to, jeśli będzie trzeba?

Nicu obiecał mu pomoc i zapewnił, że da mu inny prezent, "Universul Ilustrat", ten z mamutami. Dokonał też dziwnego odkrycia - jego krowa uwielbiała pieniądze! Kiedy natrafiała w kieszeni na monetę, przyczepiała się do niej nogami i z trudem można było ją odciągnąć. Po prawdzie i Nicu je uwielbiał i zachowywał się dość podobnie.

### 3

Ani śladu świąt w domu generała Algiu, w którym paliła się tylko jedna świeczka, na biurku. Byli koledzy z Prefektury Policji, ci, którzy, jak się zdaje, zachowali dla niego najcieplejsze uczucia, przesłali mu przez podporucznika o wesołych oczach małą choinkę przyozdobioną grubymi świeczkami, a tym, który wpadł na pomysł podarunku, jak domyślał się generał, mógł być tylko Costache. Był to jednak głupi pomysł, nawet jeśli przyjaciel miał dobre intencje. Zabronił swojemu ordynansowi wnosić choinkę do domu, więc drzewko zostało oparte obok drzwi, wypełniając korytarz zapachem górskiego lasu. W porze kolacji generał wskoczył na konia i udał się do Bellu. Ordynans z trudem dźwigał za nim drzewko, które z żalem zostawił na grobie pani Algiu, niech Bóg mają w swojej opiece! Zdaniem ordynansa pani nie potrzebowała podobnych rzeczy, gdziekolwiek by teraz była, może w miejscu pełnym zieleni i ciepła, za to im bardzo by się to przydało, rozweseliłoby salon, ponieważ od roku mieszkali jak jacyś pustelnicy i miał już serdecznie dość takiego życia! Kiedy wrócili, również galopem, ściągnął wreszcie wysokie buty, które zdejmowało się z trudem, ponieważ były długie i sztywne, wypastował je na błysk i ułożył w prawidłach, po czym generał dał mu wolne i pozwolił udać się, gdzie zechce, aby świętował, jeśli ma ochotę. Jeśli chodzi o generała, został jedynie z filodendronem stojącym na parapecie i z borzojem imieniem Lord, który był tylko trochę starszy od jego żaloby. Generał zasmucił się na myśl, że Lord zdążył poznać jego żonę, a nawet, będąc szczeniakiem, leżał obok niej na łożu boleści. Kiedy chart był jeszcze młody, zachowywał się niesfornie i skakał wokół pana, bez przerwy go zaczepiając. Pan lubił głaskać jego sierść, długą i białą, ze sterczącymi gładkimi kosmykami oraz z rdzawym kołnierzem wokół szyi. Jego wąskie ciemne oczy spoglądały na niego z arystokratyczną dumą i, kiedy tylko słyszał z zewnątrz najmniejszy hałas, nadstawiał lekko uszu w oczekiwaniu. Dźwięk dzwonka elektrycznego doprowadzał go natomiast do szału; generał niemal żałował, że go zainstalował. Jeśli chodzi o tresurę, to nie pozwalał się wytresować, a generalska duma Algiu często na tym cierpiała - Lord był nieposłuszny, tak samo jak teraz, kiedy nie chciał zostać na miejscu. Co za szczęście, że nie było przy tym świadków.

Chwytał stos czasopism oraz starych gazet i zaczął je kartkować, zwilżając palec w ustach, czytając artykuły, to ten, to inny, przy świetle lampki, bez celu, choć, tak czy inaczej, zatrzymywał się na wszystkich informacjach dotyczących Filipescu. Jego osoba interesowała go od dłuższego czasu, zwrócił uwagę na jego wyniosłe i zdecydowane spojrzenie, w pewnym sensie przypominał borzoja, ale miewał czasami mniej rozumu. Po tym, jak przejrzał kilka kalendarzów, przede wszystkim tych zawierających rubryki historyczne, wziął "Universul" z 3 września 1893 roku. "W poniedziałek w Ministerstwie Spraw Religijnych odbyła się licytacja w związku z wyburzeniem monasteru Sarindar. Wyburzenie wyceniono na kwotę trzech i pół tysiąca lei. Prace mają zakończyć się w ciągu miesiąca". To z pewnością nie pomogło reputacji Filipescu. Chociaż bukareszteńczycy końca stulecia mniej myślą o świętościach aniżeli ci z początku wieku, chociaż wielu, a wśród nich i on, chwali się, że są ateistami, ich niebo nie jest jednak puste, i w rzeczywistości nie zapominają, że człowiek jest równie nieistotny jak robak. Nicu Filipescu miał wówczas trzydzieści lat i dopiero jakieś pół roku wcześniej zaczął urzędowanie w stołecznym Merostwie, wiedziony myślą o wielkich czynach. A ponieważ Sarindar był w ruinie, zamiast spróbować go odbudować, postanowił go wyburzyć. Miał w tym

trochę racji, przyznajmy. Kiedy nie wiedzieć po co dobudowano monastyrowi dwie wieżyczki, stał się zagrożeniem publicznym. Pomińmy to, że generał pamiętał, jak szczury i martwe koty stanowiły jedyną ozdobę kościelnego podwórza wyglądającego gorzej niż majdan. Ale właśnie w tym monastyrze pobrała się duża liczba znaczących bukareszteńczyków, a resztę, mającą mniej szczęścia, poprowadzono tam w ostatnią podróż. To dlatego wyburzenie raniło wiele wspomnień. Nicu Filipescu zaliczał się do młodych, którzy uważają, że lepiej wyburzyć to, co liche, aniżeli tracić czas na naprawę i ratunek. Prace zlecono więźniom, ponieważ nikt nie chciał tknąć sanktuarium. Efekt, jaki wywarło to na bukareszteńczykach, był gorszy, niż można było przewidzieć: przychodzili starcy, prosząc, żeby dać im do domu chociaż jedną cegłę, aby mogła chronić ich od złego. Co ciekawe, odkąd Sarindar zniknął, bukareszteńczycy postrzegali go lepiej, niż kiedy istniał. Ale czy i jemu nie przytrafiło się coś podobnego, od kiedy nie ma jego ukochanej żony, będącej zawsze przy nim? Generał przeszedł następnie do wiadomości o pojedynkach, licznych jak mrówki, ale przecież słuszne jest, że należy bronić honoru, nie zgadzał się z tym, aby dwóch mężczyzn walczących w towarzystwie świadków w umówionym pojedynku nazywano "pospolitymi przestępcami". Ustawa zaproponowana przez Viisoreanu była niedopuszczalna! A jednak żał mu było Lahovaryego, człowiek ten był odważny niczym cała armia, szkoda, że nie miał czasu z nim poćwiczyć, wystarczyłoby dziesięć dni, aby przeprowadzić z nim poważny trening...

Jeszcze zanim dzwonek elektryczny wybrzmiał w panującej w domu ciszy, Lord nadstawił uszu, po czym rzucił się w stronę drzwi jak strzała, szcękając ogłuszająco. W progu stała nieznaną kobietą, miała około sześćdziesięciu lat, ubrana była skromnie, wysiadła z powozu, który zatrzymał się tuż przy wejściu. Generał zachwyił się orlim nosem kobiety oraz kamiennym wyrazem jej twarzy - jedynie jego najlepsi żołnierze jeszcze taki posiadali. Zaprosił ją do salonu, z trudem uspokajając psa, którego gość się nie przestraszył, jakby wcale nie dostrzegł biednego Lorda.

- Posłałam panu liczne bileciki, a ponieważ pan nie odpowiedział, postanowiłam "złamać zasady" - powiedziała z niedostrzegalnym cieniem uśmiechu. - Oto i ostatni - gość zauważył bilecik leżący na tacce przy wejściu. Generał, zamiast zbliżyć, oddalił go od oczu i odczytał: "Pani doktorowa Elena Turnescu". Nie rozumiał, skąd ten zaszczyt.

- Nie rozumiem, skąd ten zaszczyt, pani doktorowo Turnescu, co więcej, ośmielę się powiedzieć - ta radość. Znam pani reputację!

- Mam panu coś ważnego do powiedzenia, wiem, że był pan prefektem policji, a mój mąż wyrażał się o panu z szacunkiem, podczas gdy nazwiska nowych funkcjonariuszy nic mi nie mówią.

I bez owijania w bawełnę wyjaśniła w kilku jasnych słowach, dlaczego przybyła.

## 4

Ulica była pusta, a powietrze ciężkie. Fane Inelaru stąpał lekko swoim dzikim krokiem. Podejrzewał, że nie wypuszczono go z aresztu bez przyczyny. To oczywiste, że nie mieli z nim problemów, nigdy nie miewali, pracował czysto, czym się i szczycił; prawdziwym powodem musiał być sejf nieznanego. Łudzili się pewnie, że śledząc go, odnajdą sejf; gdyby siedział zamknięty, nie zdałby się na nic, a mieliby tylko kolejną gębę do wykarmienia.

- Dajcie mi już spokój, Jean - powiedział zamiast "do widzenia" nieszczęśliwcom spędzającym Boże Narodzenie w areszcie. - Nie urodziłem się wczoraj!

Zagwizdał ze zdziwienia, kiedy natrafił na otwarty zakład fryzjerski, wszedł zadowolony przez drzwi przytrzymywane miotłą i opadł na drewniane krzesło naprzeciwko lustra. Tylko spójrzcie, idzie jak po maśle, pojawi się elegancki u swojej "narzeczonej".

- Co jest, Jean, czemu masz otwarte w święta, Turek jesteś czy co?

- Jestem Mitica, Dumitru, nie Jean, o ile mi wiadomo, Jean to fryzjer z ulicy Schitu Magureanu - odpowiedział i zaczął mu opowiadać o polityce, związkach i sprzeciwie fryzjerów, aby odpoczywać w dni świąteczne. Prawdą jest, że rząd tego nie popiera, ogłosił przymusowe wolne, ale kilku, między innymi i on, łamie prawo, przecież to nic takiego. Klient odpowiedział:

- Stul dziób, Jean, bo robię się śpiący - i rzeczywiście, zdawało się, że jego oczy koloru śliwek zaraz się zamkną.

Fane był ponad społecznymi konfliktami, miał swoją własną politykę, był swoim własnym panem. Fryzjer podziwiał jego wąsy, proponując podcięcie ich według nowej mody, zgodnie z którą nie powinny być aż tak długie.

- Spróbuj obciąć, a poderżnę ci gardło tą brzytwą - powiedział cicho Fane, a fryzjer zdobył się na dość wymuszony uśmiech.

Być może to nie jest jednak dobry pomysł, aby otwierać zakład w dni świąteczne, pojawiają się wtedy najróżniejsze indywidua. Zaczął cicho podśpiewywać, aby uniknąć rozmowy, zanurzył pędzel w mydle, po czym rozprowadził po twarzy klienta piękną pianę, usilnie starając się ominąć wąsy. Ułożył mu delikatnie włosy i natarł wodą kolońską, na co Fane jęknął z przyjemności.

Po tym, jak wyszedł od fryzjera Mitiki - z obciętymi włosami, uczesany, ogolony i wyperfumowany - i upewnił się, że wciąż ma na ogonie policjantów, Fane pomyślał, że nie wyda się podejrzane, jeśli uda się teraz do łaźni publicznej; ruszył zatem w stronę ulicy Grivitei, gdzie znajdował się zakład aptekarza Vasiliu. Tym razem lepiej, aby nikt nie domyślał się, po co tam idzie. Tutaj szczęście go opuściło - zakład był zamknięty, a drzwi zaciągnięte łańcuchem.

Przygryzł wąsy i zaklął tak głośno, że nawet jego "ogon" mógł to usłyszeć. Ale ponieważ nigdy nie wiesz, jakie zbierzesz plony, zdaje się, że ktoś wewnątrz go usłyszał, a może zauważył, i jego wyczulone na pewne dźwięki ucho wychwyciło brzęk klucza, drzwi się otworzyły, a z ich szpary wynurzyła się głowa potarganego młodzieńca.

- Dobrzy ludzie - rzekł Fane na powitanie - chcę wziąć kąpiel!

Chłopak odpowiedział, że jest zamknięte, a on jedynie pilnuje, trzymają w kasie pieniądze i zdarzało się już, że znikają.

- Jean, dajże mi wziąć kąpiel, a zostawię w kasie trochę pieniędzy, w kieszeni również - prosił Fane swoim najgrzeczniejszym tonem.

Chłopak zgodziłby się, gdyby to od niego zależało, ale ogień w piecach żarzył się jedynie w dni pracujące i nie pozwalano mu go rozpalać.

- Daj mi zatem skorzystać z latryny, jej nie ogrzewacie - powiedział Fane i zaczął przeskakiwać z nogi na nogę, zaciskając masywne uda.

Nie mogło zabraknąć napiwku, skoro wyświadczasz komuś tak pilną przysługę, więc chłopak pozwolił mu wejść:

- Prosto, w lewo i znów prosto!

- Ogromnie dziękuję, Jean!

Kiedy wrócił, po dwóch minutach, Fane wyglądał na niezdecydowanego, jakby nie wiedział, czy wybrać wróbla w garści, czy gołębia na dachu, czy też zrezygnować ze wszystkiego, co lata. Wszedł do małej izby w której potargany chłopak lenił się z łokciami na stole, i zapytał o łąziebno.

- Wyjechał na święta do Sinai - odpowiedział strażnik.

- A nie przekazał dla mnie wiadomości? Nazywam się Fane, zostawiłem tu u niego duży kufer.

Chłopak nie miał pojęcia o żadnym kufrze i był już podenerwowany.

- Niech no się rozejrzę, może go gdzieś zauważę, jest dla mnie jak skarb, potrzebuję go - odpowiedział Inelaru swoim świątecznym głosem, spojrzawszy na chłopaka ciemnym i bardzo przekonującym spojrzeniem.

Chociaż humor strażnika zdawał się pogarszać i widać było, że chciałby, aby Fane już sobie poszedł, ten nie odpuszczał, dominował wyraźnie nad nim i, chcąc nie chcąc, młodzieniec otworzył mu wszystkie drzwi. Inelaru zaglądał wszędzie - za żeliwne wanny, do schowka na miotły. Zdawało się czuć od niego chłodny powiew. Chłopak nie pozwolił mu wejść do pomieszczenia, w którym stała kasa, zapewniając, że nic tam nie ma. W chwili kiedy to powiedział, Fane dziwnie na niego zerknął, a chłopak poczuł raczej, aniżeli zrozumiał, że jest w niebezpieczeństwie i rzucił szybkie spojrzenie w stronę wejścia.

- Jean, boisz się? Złakłeś się, tak? A jeśli dam ci teraz w łeb i ukradnę pieniądze z kasy?

Szturchnął go prowokująco w ramię, zaśmiał się i wyszedł, obróciwszy się na pięcie.

Usłyszał za sobą brzęk klucza przekręcającego się dwa razy w zamku i zachichotał. Widać było, że strażnik to złotodziób, był jednym z tych biedaczysk, które uważają, że kawałek metalu uchroni ich od złego. Inelaru spojrzął za siebie, po czym ruszył do swojej kobiety wraz z całym "ogonem". Powiadomił ją, żeby na niego czekała. Po tym, jak pojedli i popili, i po tym, jak wziął ją dwa razy, z całą swoją żądzą nagromadzoną przez dwa dni spędzone w areszcie - kobieta wrzasnęła tak, że aż słyhać było na zewnątrz, za drugim razem jeszcze głośniej, tak to już z nią było, potem zaś zaczęła pojękiwać gardłowo, jak gołąb - zapadli w głęboki sen. Na drugi dzień Fane opowiedział jej w najdrobniejszych szczegółach, co mu się przydarzyło i przez co ostatnio przeszedł, a ona trajkotała jak każda kobieta, której zwraca się mężczyzną. A jeśli chodzi o kufer Jeana:

- Do diabła z nim. Były tam tylko ohydne szmaty, nic wartościowego. No tak, nie miałem jak ich przejrzeć w spokoju, dlatego chciałem go z powrotem, ale nie wyglądało na to, żeby zawierał to, co interesuje Fane Inelaru.

Zaśmiali się, szczęśliwi i beztroscy. Policjant na zewnątrz trząsł się z zimna, czekając na zmianę warty.

**PIĄTEK, 26 GRUDNIA**

Nowiny

# 1

Kiedy przybyłam, przy wejściu do Prefektury Policji paliły się obydwie latarnie, chociaż był środek dnia, a pod każdą latarnią stał strażnik. Jechaliśmy powozem prowadzonym przez samego papę, ponieważ Nelu wciąż był chory. Zapytałam, czy domyśla się, dlaczego pan Costache wezwał mnie do swojego biura, jakby nie mógł porozmawiać ze mną u nas w domu, a papa odparł, że jego przyjaciel nigdy nie miesza ze sobą dwóch różnych sfer życia, obiecał to dawno, jeszcze w młodości, że kiedy wchodzi do naszego domu, zostawia pracę przy drzwiach wraz z laską. I rzeczywiście, mam wrażenie, że dotrzymywał słowa, przynajmniej do wczoraj, do spotkania z Danem Creju. Papa dodał, że Prefektura jest dziś pusta, ponieważ mamy drugi dzień świąt. Znam pana Costache, odkąd znam samą siebie. Było mi przykro, kiedy podrosłam i musieliśmy zacząć zwracać się do siebie "proszę pani" i "proszę pana" zamiast "ty", jakby oddalił się ode mnie najbliższy człowiek, a bywał mi bliższy od rodziców, rozmawiałam z nim swobodniej. Pamiętam, jak pewnego lata, kiedy zaczęłam krzyczeć, natrafiwszy w książce na robaka, podszedł zaniepokojony, spojrzał na stworzonko i rzekł łagodnie: "Boisz się takiej małej uroczej istotki w książce?" I wyrzucił go przez okno. Papa odparł, że pewnie chce się czegoś dowiedzieć, był bardzo spokojny, żywił przyjaźń do pana Costache jeszcze zanim się urodziłam.

Rzeczywiście tego ranka nikogo nie było w Prefekturze. Papa zaprowadził mnie na piętro, staruszek przy drzwiach zapukał i otworzył je na oścież, pozwalając mi wejść, papa powiedział "bonjour" i zawrócił, a pan Costache podniósł się nagle zza biurka i podszedł mnie powitać. Przeprosił, że palił przed moim przybyciem, chociaż wyczuwałam zaledwie lekki zapach dobrego tytoniu. Sprawiał wrażenie zmęczonego i zasłaniał swoje piwne oczy, które od zawsze wydawały mi się zbyt zwyczajne jak na moje wyobrażenie o policjancie. Posadził mnie przy ogniu, a sam usiadł za biurkiem. Podejrzewam, że był zupełnie niewyspany; powiedział, że zajmuje się dwiema bardzo trudnymi sprawami, a ja mogę mu pomóc, całą noc o *tym* myślał.

- O tym? - zapytałam.

- O panience. Często przed snem myślę o panience.

Powiedział to, nie spoglądając na mnie. Mówił powoli, jakby był sam, i chociaż głos miał głęboki i zdecydowany, czułam, że musi mu być ciężko. Jego słowa brzmiały łagodnie. Po raz pierwszy pomyślałam o nim jako o samotnym mężczyźnie. Po raz pierwszy pomyślałam o nim jako o mężczyźnie. Po raz pierwszy zauważyłam, że ma piękną twarz, a owo piękno bije z jego wnętrza. Próbowałam zażartować, poczułam, że moja radość powodowana częstym widywaniem go w naszym domu znalazła się w niebezpieczeństwie.

- Chce pan powiedzieć, że myśl o mnie pana usypia, jestem dla pana aż tak interesująca? Powinnam poczuć się urażona, ale wybaczam panu i mogę być pańskim lekarstwem. Papa jest lekarzem, ja lekiem.

Nie uśmiechnął się, nawet z grzeczności. Wstał i stanął za moim fotelem tak, że go nie widziałam.

- Panienska jest niczym mały pająk, który wyczuwa, kiedy ktoś się do niego zbliża, i który, gdy go tylko lekko dotkną, kuli nóżki, zwija się w kłębek, tak że można go pomylić z małym, czarnym kamyczkiem. Wydaje mu się, że pozbędzie się w ten sposób intruzów. Za każdym razem, gdy zbliżałam się do panienski, gdy jej dotykałam, zachowywała się panienska jak pająk, zwijała się w kłębek. Teraz robi panienska to samo, ale ja nie mam czasu czekać, aż się panienska



rozwinię.

Zamilkłam i wpatrywałam się w pantofelki. Na jednym z nich była plama błota.

- Wczoraj chwaliła panienka mój głos, kiedy śpiewałem *Cyganerię*. Czy wie panienka, ile razy pochwaliła mnie, odkąd dorosła? Trzy razy, policzyłem to poprzedniego wieczora, a wczoraj wydawała się panienka zaskoczona, że potrafię śpiewać. Mam wrażenie, że dziwi się panienka za każdym razem, kiedy dostrzeże, że jestem człowiekiem jak każdy inny. Właśnie o tych dłoniach myślałem, kiedy uczyłem się arii, są wiecznie zimne - kontynuował głos za moimi plecami.

- Nie wiedziałam, że potrzebuje pan pochwał - ośmieliłam się wymamrotać, wciąż ze wzrokiem utkwionym w plamę błota na pantofelku, i chciałam, żeby zrozumiał, co próbuję przez to powiedzieć, żeby nie zabrzmiało to jak nagana, dodałam więc - Jest pan silnym człowiekiem, wspaniałym, podziwiam pana tak samo jak mamę i papę.

Chyba powiedziałam dokładnie to, czego nie chciał usłyszeć, tak sędzę, ale nie jestem pewna, ponieważ nigdy nie myślałam za wiele o tych sprawach. I rzekłam z pewnym bólem serca:

- A pana kocham nawet bardziej.

Wydał się rozdrażniony.

- Iulio, doprowadzę to do końca. Moje życie jest dość intensywne, to, co robię, robię z pasją, a walka ze złymi ludźmi, ze złem, pożera całą moją energię życiową i cały mój czas. Jestem wszędzie zapraszany, chodzę na przedstawienia, opera jest dla mnie niczym opium, mam admiratorów... i admimatorki. Ale moje życie to gama, w której brakuje jednej nuty. To tak, jakbym musiał śpiewać, nie używając jednej nuty, powiedzmy - sol. Wyobraź sobie, że w twoim pianinie brakuje białego klawisza z nutą sol. To ty jesteś dla mnie nutą sol, która wypełnia życie radością. Chciałbym...

- Proszę, nie, obrazi się pan na mnie, a nie chcę tego, w żadnym wypadku, nie chcę widzieć, że pan się na mnie gniewa, chcę, aby wszystko pozostało, jak było, na zawsze - powiedziałam zrezygnowana, nie dokładnie tymi słowami, ale podobnie, nie pamiętam już, i wstałam, żeby na niego spojrzeć. Jego twarz przepełniało niewymowne cierpienie i było mi naprawdę ciężko, ponieważ chciałam zrobić to, czego pragnął, ale nie mogłam, winien był przypadek, który sprawił, że pojawił się ktoś dla mnie ważniejszy. Opamiętał się jednak, kiedy dostrzegł mój zalękniony wzrok, wziął mnie za rękę, zimną, bo jakżeby inaczej? I powiedział już innym tonem, zdystansowanym i niemal gniewnym, który mnie zdenerwował, poczułam, jakby spychał mnie ze schodów:

- Kobiety jak pani, jak ty, charakteryzują się jednym - lokują swoje uczucia na chwiejnej podstawie. W najmniej pewnym i w najbardziej nieszczęsnym miejscu z możliwych. Nawet nie zauważają mężczyzn znajdujących się tuż obok, ignorują tych, których są pewne i spoglądają na tych w oddali, którzy je męczą, na tego, który ma inną.

Puścił moją rękę i zaczął spacerować po pokoju. Nie ośmieliłam się na niego spojrzeć, ale czułam, jak spowija mnie jego głos.

- Być może źle zrobiłem, mówiąc ci to, co powiedziałem, ale czy i ja nie mam prawa do normalnego i dobrego życia? Wiem, że mógłbym uczynić cię szczęśliwą, krok po kroku, tak samo jak on mógłby cię krok po kroku unieszczęśliwić. Alexandru Livezeanu jest zamieszany w podejrzaną sprawę. Zaprosiłem cię, żeby cię ostrzec! To nie ma przyszłości!

Poczułam, że mnie rani. Powiedział mi to, co miał mi powiedzieć, ale efekt okazał się zupełnie odwrotny. Osłabione uczucia wobec Alexandru nagle wezbrały jak rzeki po deszczu.

Pan Costache ma rację, i samo to już łamie mi serce - lokuję uczucia w najmniej pewnym i w najbardziej nieszczęsnym miejscu, spoglądam na tego, który ma wszystko, a mimo to jestem przekonana, że utonąłby beze mnie lub że pojawiłam się na świecie po to, żeby go uratować. Pan Costache poprosił obco brzmiącym głosem, abym pozostała dyskretna i zapewnił, że powiedział rodzicom dokładnie tyle, ile powinni wiedzieć, nie potrzebują dalszych wyjaśnień. Przywołał mężczyznę, aby mnie odprowadził, sam nawet nie podszedł do drzwi. W chwili, kiedy opuściłam jego biuro, wiedziałam, że nie będę mogła patrzeć na niego tak jak kiedyś.

Aksamitne zasłony były szczelnie zasłonięte, a pomieszczenie wyglądało z zewnątrz jak pogrążone w mroku; Costache położył się do łóżka o godzinie czwartej po południu, jakby była już noc. Wypił dwa kieliszki czegoś mocniejszego i życzył sobie jedynie pogrążyć we śnie ciało i umysł, i żeby nic mu się nie śniło. Zaharia, który widział go w takim stanie tylko kilka razy w życiu, chodził na palcach, nieco bardziej ożywiony. W pozostałe dni, kiedy ordynans bywał ponury, Costache pocieszał go i rozweselał. Ale kiedy to pan zachowywał się niczym chory, dużo bardziej zasmucony, niż ordynans mógłby kiedykolwiek być, ponieważ - jak domyślał się Zaharia - głębia smutku jest proporcjonalna do lotności umysłu, wówczas to znowuż on starał się utrzymywać w domu równowagę i dodawać panu otuchy. Liza, która czekała jedynie na swoją dzienną porcję pieśczoć, wycofała się z ogonem podkulonym między łapami, kiedy została odepchnięta.

Pukanie do drzwi zdziwiło i zaniepokoiło całą trójkę. Pan Costache przysnął przed kilkoma minutami, Zaharia usiadł, aby załatać parę spodni, a Liza leżała z głową przekrzywioną między łapami i pewnie rozmyślała o swoich sprawach. Pierwszy wstał w pośpiechu Zaharia, druga, niespiesznie, Liza, a pan Costache odwrócił się tylko na drugi bok, zdecydowany ignorować do jutra rana wszystko i wszystkich. Po pięciu minutach, kiedy to usłyszał głos ordynansa mieszający się z głosem jakiejś kobiety, który nie był jednak na tyle donośny, aby mógł go rozpoznać, do jego pokoju wszedł Zaharia i powiedział zdenerwowany:

- Nie chce odejść, mówi, że zaczeka, póki pan nie wstanie.

- Kto to? - głos Costache był w mroku ochrypliwy i pełen nadziei.

Jednak nie takiej odpowiedzi oczekiwał.

- Pani mecenasowa Movileanu. Mówi, że musi dać panu coś niezwykle ważnego. Co robić?

- zapytał Zaharia i był gotów wykonać każdy rozkaz, jak na wojnie, bez względu na grożące niebezpieczeństwo.

Costache jęknął jakby z bólu, czego nie robił zbyt często w towarzystwie innych. Nie odpowiadając, przekręcił guzik schowany pod abażurem nocnej lampki, a plama światła w formie grzybka otoczyła jego zdumioną twarz. Poprosił o szlafrok i wyszedł potargany, ze zmarszczonymi brwiami, roztaczając wokół woń alkoholu.

Kiedy ją tylko zobaczył, zdał sobie sprawę z tego, kim jest pani mecenasowa Movileanu - to dama z ulicy Teilor, pełna wdzięku i cierpiąca na migreny, ta, którą zdradzał mąż. Tak jak za pierwszym razem, wyciągnęła w jego stronę pulchną rękę, z dołeczkami, a Costache udał, że tego nie zauważa i przeprosił bez przekonania, że przyjmuje ją w takim stanie - nie czuje się najlepiej, ma katar. Kobieta wyglądała bardzo dobrze; była uczesana, wypudrowana jak należy i gustownie ubrana - w elegancką suknię z koronką na biuście i szerokimi rękawami mocno związanymi przy łokciach. Patrzyła na Costache ze stosowną troską, z którą tylko niektóre kobiety potrafią spoglądać na mężczyzn - te znające ich duszę i usposobienie, i chcące im pomóc. Costache potrzebował podobnego spojrzenia i, widząc, jak szczerze i czule obchodzi się ona z mężczyzną dość szpetnym, jak jest miła, kiedy nie jest rozgniewana i nerwowa, pomyślał, że coś jest na tym świecie nie tak, jak powinno. Pani Movileanu przeprosiła, że przyszła niespodziewanie, i rzekła, że chciała go zatrzymać już dwa dni temu, kiedy był u nich z wizytą. W odróżnieniu od tego, co myśleli sobie jej mąż i ten okropny Traian, który wiecznie go bronił,

wiedziała o wszystkich eskapadach. Wiedziała też, kim była *ta osoba*. Rozwiodłaby się, gdyby mogła, ale nie posiadała innych środków do życia, a rozwieść się z adwokatem pokroju Movileanu oznaczałoby pozostać bez dachu nad głową.

- Ale nie przyszłam, żeby mówić o sobie, niech mi pan wybaczy i się nie gniewa. Jeśli tak właśnie postąpiłam, to tylko dlatego, że nie pozwalałam sobie na to z nikim innym, jestem bardzo samotna, tak jak tylko zamężna kobieta może być u boku swojego męża, jeśli rozumie pan, co chcę powiedzieć. Przyszłam tutaj, ponieważ usłyszałam od pewnej dziewczyny, tej, która podała panu u nas kawę, o czym rozmawialiście z moim małżonkiem. Służba informuje nas o wszystkim, co się dzieje w domu, mieście i na świecie, czy tego chcemy, czy nie, ja nie muszę już czytać gazet.

Costache skinieniem głowy przyznał jej rację, też tak uważał, a pani Movileanu uśmiechnęła się, spoglądając na Lizę, która zbliżyła się i obwącowała powoli poły jej sukni.

- Nie jest prawdą, że portfel zniknął. Skorzystałam z nieobecności męża, nie został ze mną nawet wczoraj, podczas świąt, i przyszłam do pana dlatego, że portfel jest u mnie i chciałam oddać go właśnie *panu*. Adres otrzymałam w Prefekturze, zaszłam tam wcześniej. Przyszedł pan Caton Lecca i również pytał, gdzie pan przebywa.

- To niemożliwe - Costache skoczył na równe nogi, wzruszając ramionami w odpowiedzi na ostatnią uwagę. - Czy łączy panią coś z Petre, woźnicą z cukierni Żyda Ingera?

- Nie, jaki Petre? Jaki Inger? Niech pan wybaczy, ale nie rozumiem, dlaczego to niemożliwe, wręcz przeciwnie, dowodem jest to, że go panu wręczam.

I rzeczywiście, podała mu zamszowy portfel. Kiedy Costache go wziął, ucałował jej dłoń w rekompensacie za to, że wcześniej jej tego odmówił. Następnie otworzył portfel i przejrzał jego liczne przegródki. Znalazł tylko pozłacany klucz, z małymi zębami po obu stronach, które niczym koronkowe skrzydła sięgały połowy trzpienia.

- Nie było w nim nic innego, sądzę, że jest to klucz do jakiejś kasy. Wzięłam portfel ze stołu, ponieważ pomyślałam, że może mieć jakiś związek z tą kobietą. Kiedy okazało się, że jednak nie, miałam oddać go temu młodzieńcowi, tak właśnie chciałam zrobić, ale nie było okazji, dowiedziałam się, co się z nim stało dużo wcześniej, niż wiedział to mój mąż, również od służby. Powinien pan wiedzieć, że to nieprawda, że wyładowuję na nich swoje nerwy, jak mówił panu młody Traian, tego też dowiedziałam się od dziewczyny, jest wręcz przeciwnie, zależy im na mnie, nawet jeśli jest im mnie żal, co z kolei sprawia mi ogromną przykrość.

- Proszę pani, nie wiem, jak mam pani dziękować, proszę wybaczyć, że przyjąłem panią w takim stanie. Myślałem, że to właśnie Petre ukradł portfel, ale wygląda na to, że ten, który przekazał mi tę informację, kłamał lub się pomylił, w każdym razie nie jest to człowiek, któremu powinienem ufać.

Costache ujął jej dłonie, ciepłe i miękkie. Zmarszczył czoło, jakby coś sobie przypomniał, po czym rzekł do kobiety tym samym naturalnym tonem, z jakim i ona do niego mówiła:

- Chciałbym, aby pani jeszcze została. Pani obecność dobrze mi zrobiła, dobrze mi robi.

Pani Movileanu uśmiechnęła się. I jej dobrze to zrobiło. Sprawiała to już sama propozycja, widać to było po uśmiechu.

- Nie mam nic do stracenia i mogłabym zostać. Ale nie zrobię tego, w żadnym wypadku nie chciałabym, aby pan mnie potem oceniał... tak, jak to robią mężczyźni... w podobnych okolicznościach. Jest jeszcze coś, czuję, jakbym znowu była tą drugą. Mam już dość bycia tą drugą. Kto wie, może jeszcze się spotkamy. Po rozwodzie, ponieważ właśnie się na niego zdecydowałam. Będzie, co ma być! Nie zna pan jakiegoś dobrego adwokata, który nie byłby

przyjacielem mojego męża?

Costache jeszcze przez godzinę rozmawiał z panią Movableanu, od dawna nie rozmawiał w ten sposób z kobietą i, z nieco lżejszym sercem, położył się spać, uprzedzając ordynansa:

- Nie ma mnie do jutra! Dla nikogo. Nie ośmielaj mi się przeszkadzać. I zabierz Lizę na spacer!

Zegar z żołnierzem z "L'Independance Roumaine" wskazywał godzinę czwartą, a Alexandru nie wiedział, co robić. Wyszedł z domu, samemu prowadząc konia, jak zwykle, wyszedł na wszelki wypadek, ale nie miał odwagi pojechać do rodziny Margulisów. Powinien znaleźć najpierw małego gońca, nie miał jednak pojęcia, gdzie mógłby go szukać, a czerwona czapka nie pojawiała się w znajomych miejscach, jak gdyby rozpułyła się w powietrzu. Ten, kto zawsze miał odpowiedzi na podobne pytania i znał wszystkie adresy, to właśnie Nicu, a gdyby go znalazł, nie musiałby już pytać, gdzie jest. Co za głupoty! Jakby odchodził od zmysłów. "Godzina piąta. Zielen z czerwienią". Co to może oznaczać? Spotkanie, to z pewnością, ale gdzie? Pociągnął za wodze i zmusił konia, aby szedł stępem. Czy w centrum stolicy jest jakieś miejsce z zielenią i czerwienią, może park, sklep albo kawiarnia? Patrzył na szyldy, ale żaden nie pasował. A którego dnia? Do diabła z dzieciakiem, nic mu nie powiedział. Calea Victoriei była spokojna, kilka samochodów, ludzie ubrani ciepło i elegancko, ponieważ dzień był chłodny, szli w gości lub wracali z przedłużających się obiadów i wszyscy wyglądali beztrosko, uśmiechali się; Alexandru czuł się przez to jeszcze bardziej nieszczęśliwy. Jakby ktoś rzucił na niego urok, jakby los był mu nieprzychylny i wszystko, co rozpoczynał z pozytywną myślą, kończyło się fatalnie, stawało się *du mai en pis*<sup>[40]</sup>. Zauważył przed sobą na chodniku dziwnego mężczyznę w wielkim palcie, jakby z darów, spacerował ulicą, spoglądając w górę, co przypominało Alexandru arię płaszca. Widział *Cyganerię* we Włoszech, a kiedy myślał o Włoszech, uśmiechał się bezwiednie, stanowiły dla niego raj na ziemi. Aria płaszca była arią ubóstwa, a Alexandru wolałby być w tym momencie filozofem zmuszonym do sprzedaży pałta aniżeli jakimś Livezeanu w stanie, w jakim się tego dnia znajdował. Ten człowiek z pewnością był umierającym z głodu filozofem albo poetą, wszystko na nim wisiało, głowę miał w chmurach i szedł powoli, zerkając ze zdziwieniem na długie grube sople wystające spod dachów. W taki sposób chodzą osoby, które nie mają nikogo, kto by na nie czekał. Zanim wyprzedził mężczyznę, ten poślizgnął się na lodzie; przez chwilę zdawało się, że odzyskał równowagę, jednak upadł na chodnik jak długi. Alexandru zatrzymał konia i zeskoczył, w sekundę znalazł się obok przechodnia, który nie mógł się podnieść. Próbował chwycić go za ramię, ale mężczyzna jęczał, po czym przygryzł usta z bólu:

- Chyba zwichnąłem ramię - powiedział przez zaciśnięte zęby.

Alexandru zawahał się, chciał mu pomóc, ale nie chciał też stracić okazji - choćby była znikoma - na spotkanie z Iulią Margulis. Widząc jednak strach na twarzy człowieka leżącego na ziemi, schwycił go mocno za drugie ramię, podniósł i zabrał do powozu.

- Myślę, że ma pan wystawiony bark, widziałem już coś takiego. Zawiozę pana do mnie do domu, jeśli pan pozwoli, mój brat jest studentem medycyny i pomoże, o ile będzie na miejscu.

Mężczyzna nic nie odpowiedział, jęczał, wciąż przygryzając dolną wargę. Jako że milczenie oznacza zgodę, Alexandru wskoczył na kozła.

- Co prawda prowadzę powoli, ale proszę przytrzymać się drugą ręką, żebyśmy mieli pewność, że nic się panu więcej nie przytrafi!

W mniej niż pół godziny dotarli do podjazdu, naprzeciwko markizy. Dom był oświetlony zarówno na zewnątrz, jak i w środku. Pojawił się Toader, radosny jak zawsze, choć nie był to odpowiedni moment na wesołość, i pomógł swojemu panu wyciągnąć mężczyznę z powozu.

Toader nic nie powiedział, nie zdziwił się i nie snuł domysłów, był przyzwyczajony do tego, że Alexandru pakował się w najróżniejsze afery.

- Biegnij po mojego brata, poproś, żeby przyszedł do mnie do pokoju.

Mięu ruszył natychmiast, a ponieważ Toader uprzedził go wesoło, że przybył mężczyzna, który prawdopodobnie cały się połamał, od razu wziął ze sobą torbę. Mężczyzna siedział w fotelu, pod dwoma olejnymi portretami przedstawiającymi pradziadków, Toader ściągnął mu kalosze, a Alexandru pomagał mu właśnie zdjąć ubranie, co było operacją bardzo delikatną. Toader przyniósł wreszcie nożyczki i rozciął materiał. Medyk od razu dostrzegł, że ma do czynienia z przemieszczeniem barku.

- Co zrobiłeś? - zapytał surowo brata, który spojrzał na niego tak zasmucony podejrzeniem, że dodał pośpiesznie - Ma pan szczęście...

Zerknął na Alexandru, który wzruszył ramionami, spoglądając na niego ponad głową nieznanego; nie mógł go przedstawić, ponieważ zapomniał zapytać go o nazwisko. Mężczyzna rozchylił zaciśnięte powieki i powiedział cicho:

- Dan Creju.

Bracia spojrzeli po sobie, a Alexandru poczuł, że niebo spada mu na głowę, tylko tego mu brakowało!

- Poznał pan mojego brata Alexandru, ja jestem Mihai Livezeanu.

Kontynuował, mówiąc z sympatią i zaufaniem, które - jak go nauczono - były nieodzownymi cechami dobrego lekarza:

- Miał pan szczęście, panie Cretu, można to nastawić, ale będzie bolało. Pozwolimy panu krzyczeć. Nauczyłem się w Paryżu, jak to się robi, ale nie miałem jeszcze okazji spróbować, jestem wprost zachwycony. Jest wiele metod, ja wykorzystam tę najprostszą... Alexandru, bądź tak dobry i przynieś duży kieliszek koniaku dla swojego pacjenta.

Kosmyk opadający mu bezwstydnie na czoło był jedynym detalem, który kontrastował z chłodną powagą Mięu Livezeanu. Poszedł umyć ręce, wrócił szybko, Dan wypił koniak, krzywiąc się, chociaż był to najczystszy Courvoisier, sam Napoleon nie wybrzydzałby, gdyby żył. Położyli Dana w łóżku Alexandru, Mișu delikatnie pomacał chore miejsce i nie uprzedzając, wstawił bark na swoje miejsce, ruchem szybkim i silnym. Słysząc było pstryknięcie, Dan jęknął, po czym poruszył delikatnie ramieniem i nie czuł nic innego, jak tylko ślad po bólu - żaden nowy ból się nie pojawił. Zawiązano mu ciasno bandaż, a lekarz zalecił, aby nie ruszał ramieniem, o ile to możliwe, choćby nie wiadomo co się działo. Jeśli będzie uważał, nie będzie go męczył gipsem.

## 4

Wróciwszy wieczorem do hotelu, Otto stwierdził, że nie ma z kim podyskutować, chociaż odczuwał ogromną potrzebę opowiedzenia komuś, jak spędził dzień i czego udało mu się dowiedzieć. Otto był gadatliwy, a w domu, w Transylwanii, zawsze był brat, ciotka lub sąsiad, którzy mogli go wysłuchać. Kilka rzeczy ułożonych starannie na łóżku współlokatora i przewiązanych wstążką było znakiem, że ten nie opuścił hotelu i że jakiś dobry człowiek czuwał nad nim. Otto rozebrał się i porządnie umył, po czym padł na łóżko; był wykończony. Zapach środka przeciw insektom zdawał się jeszcze silniejszy niż dzień wcześniej.

Zdarł podeszwy i zgubił blaszkę z noska, chodząc od cerkwi do cerkwi, aby dowiedzieć się, gdzie jest więcej pracy i gdzie może więcej zarobić, ale wszędzie dostawał wciąż jednakową odpowiedź - prace zaczynają się w lipcu, najwcześniej w czerwcu, nikt nie zaczyna w zimie. Było to zrozumiałe. Będzie musiał zadowolić się na razie tym, co mu zaoferowano tutaj, w hotelu. Pojechał powozem aż do żeńskiego monasteru Pasarea. Stamtąd odesłano go do zakonników w Cernice, w odległości jakichś dziesięciu kilometrów. Piękna Cyganka o zirytowanym zielonym spojrzeniu, mająca nadzieję na jakiś grosz, usłyszawszy, gdzie go skierowano, z oczami błyszczącymi ze zdumienia zapytała przeoryszkę: "O rety, dlaczego wy tutaj, a wasze chłopcy dziesięć kilometrów stąd?"

Przebył długą drogę, to piechotą, to wozem, to tramwajem konnym, *alles umsonst*<sup>[41]</sup>, na próżno. Dowiedział się jednak czegoś wartego podzielenia się z innymi i żałował, że nie było na miejscu tego nierozmownego pana, który tak ochoczo wysłuchiwał, co miał mu w ostatnich dniach do powiedzenia. Wielokrotnie usłyszał pogłoskę, którą, zdaje się, powtarzano teraz we wszystkich cerkwiach - zniknęła cudowna ikona, wartościowy skarb zabrany przed dziesięcioma laty z wyburzanej w centrum katedry. Ikona, o ile dobrze zrozumiał, była przez jakiś czas przechowywana u biskupa, którego w okropny sposób odwołano ze stanowiska, robiąc z tego ogromny skandal, rok temu, a ten przekazał ją w sekrecie przeorowi, który w międzyczasie umarł, i ślad po niej po prostu zaginął. Była warta fortunę, ponieważ na jej złotych ramionach znajdowały się wielkie diamentowe gwiazdy. Pod zamkniętymi powiekami Otto wyobrażał sobie ikonę i zastanawiał się, jak by to było, gdyby pracując w jakiejś cerkwi, natknął się na nią schowaną w murze. Przez wespółprzytomny umysł przelatowały mu archanioły o smukłych stopach, w białych szatach i z tarczami w dłoniach, anioły z lokami opadającymi na ramiona oraz święci i święte z żółtymi aureolami nad głową. Wszystkich ich już widział, ale nie wiedział gdzie. Wkrótce święci zostali porwani przez wody rzeki, a pracownik hotelu przechodzący korytarzem usłyszał chrapanie z pokoju, który Dan Creju dzielił z murarzem z Transylwanii. Z tym że pan Dan Cretu nie wrócił dziś na noc.



**SOBOTA, 27 GRUDNIA**

Z wizytą

# 1

Dzień marnie się zaczął, gęstą mgłą, przez którą nie widziałam nic aż do brzozy za oknem. Zastanawiałam się, jak wyglądałoby nasze życie, gdyby wszystko było inaczej - codziennie tak gęsta mgła, że ludzie się nie widzą, i tylko kilka pogodnych dni, raz lub dwa razy do roku, z przejrzystym powietrzem, jak gdyby mleczna szyba i nieprzejrzystość zostały starte niewidzialną ręką i stały się przezroczyste. Jaką radość odczuwaliby ludzie tylko dlatego, że mogą widzieć, jakim cudem zdawałoby się powietrze niewidoczne, bezbarwne. A tak nikt nie cieszy się powietrzem i nie zdaje sobie sprawy, jak wyjątkowe jest to, że możemy patrzeć w dal, aż po horyzont. Mama pomogła mi umyć włosy, ponieważ pomagamy sobie, odkąd zrezygnowaliśmy ze służby, aby zaoszczędzić (została nam tylko kucharka, z głową pełną przesądów, oraz Safta i Nelu, wciąż chory). To nie mycie jest najtrudniejsze, ale suszenie. Nie mogę stać zbyt blisko kominka, już w czasach szkolnych opowiadano nam o dziewczętach, które zajęły się ogniem w ten straszny sposób.

Zrobiłam postępy w lekturze *Vanity Fair*, skończyłam wieczorem rozdział LIX i brak mi słów na to, jak zirytował mnie sposób, w jaki błagał *major* Williams: "Only let me stay near you and see you olten!" [42]. Zirytował mnie, ponieważ i ja mogłabym się tak zachować. Nie oburzyło mnie okropne postępowanie Amelii wobec biednego majora - jak pozwala mu siebie pożądać niczym ciastko, którego nigdy nie będzie mógł skosztować - ale ten jego brak dumy, jest w tym tak podobny do mnie. Jednak nie zachowuję się jak świętoszka Amelia, nie zostawiam miejsca na dwuznaczności i cieszę się, że wyjaśniły się sprawy z panem Costache, chociaż jest mi niewymownie przykro, że coś, co było tak proste, stało się tak skomplikowane i uciążliwe. Nie wiem nawet, czy będę w stanie na niego spojrzeć. Mama i papa o nic nie pytali, ale mama powiedziała coś złego na temat Alexandru i że nie ma do niego zaufania; powiedziała to tak, żebym usłyszała. Sprawilo to, że poczułam jeszcze większe wyrzuty sumienia, ponieważ nie poinformowałam ich o zaproszeniu na dzisiejsze popołudnie, kiedy będą wybierać się z Jakiem z wizytą do doktora Rizei, który operował mojego brata dwa lata temu. Uratował go, ale ciężko jest mi go odwiedzać, przypominam sobie całą grozę z przeszłości. Z kolei kochany Jacques uwielbia go i powiedział mi, że weźmie ze sobą flet, żeby zagrać dla niego menuet Handla.

Z tym że pan Al. L. być może wcale nie przyjdzie, kto to wie... Nie rozumiem słów Nicu, "zieleń z czerwienią". Pożyjemy, zobaczymy! Papa coraz częściej wspomina o pieniądzach, do tej pory tego nie robił. Czy jest aż tak źle? Powinnam poślubić starego milionera, a cała rodzina Margulisów uwolniłaby się wtedy od trosk finansowych, które chociaż nie psują naszego dobrego humoru, są jednak jak deszczowa chmura na błękitnym niebie. Jak znaleźć Nicu? Przyszedł mi do głowy głupi pomysł - tylko Nicu mógłby mi powiedzieć, gdzie jest Nicu.

Podzieliłam się z mamą spostrzeżeniem o oczach koloru agatu, które Jacques po niej odziedziczył, ale ona, dumna z naszych greckich przodków, chociaż są dość odlegli, powiedziała mi, że Agatha oznacza po grecku "dobra" i że nie ma to związku z czarnym kamieniem, tak jak myślałam. Że tata to Leon, to znaczy lew, że Jacques nosi imię po naszym ojcu chrzestnym Iacobie, i tyle, to imię biblijne, że ja jestem Iulia, ponieważ urodziłam się dwunastego lub, według nowego kalendarza, 25 lipca, przypadkowo tak jak mama mamy, babcia Trandafira. Zdziwiła się, że nie wiedziałam, iż *agathos* oznacza "dobry" i chciałam jej powiedzieć, że wiem

na przykład, że *andros* oznacza "mężczyzna", ponieważ zapamiętuję jedynie to, co ma związek z duszą. Wieczny mężczyzna - Alexandru.

Alexandru zapukał cicho do drzwi, ale nikt mu nie odpowiedział. Miał rozpiętą koszulę bez fontazia, a na koszulę zarzuconą marynarkę w kolorze *gris perle*<sup>[43]</sup>. Zapukał jeszcze raz, trochę głośniej, i przyłożył ucho do dobrze wypolerowanego drewna, ale znów nic nie usłyszał. Spojrzał na wskazówki, była godzina jedenasta z minutami. Zdecydował się wejść, ryzykując obudzenie gościa, ale nie, zastał go siedzącego na łóżku, z oczami utkwionymi w jedwabnej tapecie, której złocone wzory wiły się na niebieskim tle. Razem z Alexandru wszedł służący, odsuwając na bok kotary i zapytał, czy przynieść choremu śniadanie do łóżka.

- Tak, przynieś - odpowiedział Alexandru, ponieważ Dan zdawał się nie zauważać, że pytanie było skierowane do niego. Młodzieniec wyszedł, a kiedy wrócił ze stolikiem na kółkach, przez drzwi prześlizgnęła się za nim dwójka dzieci, dziewczynka i chłopiec w wieku około sześciu lat, którzy trzymali się za ręce i patrzyli na gościa z otwartymi ustami.

- To bliźniaki, dwójka z trójki dzieci mojej siostry Marioary - przedstawił ich Alexandru.  
- Przywitajcie się z panem Danem Cretu, a potem wracajcie do bony, szelmy jedne, jak mogła spuścić was z oczu? Przedstaw się! - ośmielił chłopca.

- Ciuciu Penciu. Nazywam się Ciuciu Penciu z Silistry - powtórzył dla pewności, że został usłyszany i zaśmiał się głośno ze swojego żartu, który najwyraźniej niesamowicie go rozbawił.

- Ja już daaawno wstałem!

- Dzień dobry panu, ja wstałam jeszcze wcześniej - odważyła się odezwać dziewczynka o głosie bardzo podobnym do głosu brata, ale z wyrzutem skierowanym do gościa, który leżał jeszcze w łóżku. - Ja nazywam się Anica.

Potem puścili swoje ręce, wrócili do drzwi i znów się chwycili, po czym wyszli, śmiejąc się i galopując przez korytarz.

- Są bardzo niesformi i rozpieszczeni, mówi się, że wdali się we mnie, szczególnie Stefanel, któremu nikt nie może się oprzeć. Dziś są ich urodziny. Lubią dziwaczne wyrazy, swego czasu udawali odgłosy wszystkich możliwych zwierząt. Mam nadzieję, że z barkiem już lepiej. Proszę coś zjeść i pozwolić mi w międzyczasie dotrzymać panu towarzystwa.

Pierwszy raz od ich spotkania Alexandru zobaczył Dana Creju uśmiechniętego i wpatrywał się w niego z miną cokolwiek nierozgarniętą. Jakby odmłodził o dziesięć lat. Alexandru poczuł, że od razu chciałby się z nim zaprzyjaźnić, poza tym jego uśmiech ciut-ciut przypominał uśmiech Iulii.

- Odkąd się tu pojawiłem, wszyscy dają mi jeść, to dobrze. Dziękuję, Alexandru, tak się nazywasz, prawda? Ale wolałbym papierosa.

Lekko zakłopotany gospodarz wyciągnął papierośnicę, Dan westchnął, jakby coś mu w tym geście nie odpowiadało, zapomniał wziąć papierosa i zabrał się do jedzenia. Skończył szybko, krzywił się, pijąc kawę, było widać, że mu nie smakuje, chociaż była to najwyborniejsza kawa ze sklepu Levona Harutuniana. Alexandru wyszedł, żeby pozwolić gościowi się ubrać - dał mu ubrania Mięu, ponieważ byli podobnej postury - a wrócił w towarzystwie pani matki. Maria Livezeanu miała ruchliwą głowę, cerę młodej dziewczyny, dołeczki w policzkach, wydatne usta oraz ciało duże i ocieźałe, co sprawiało, że nieco przypominała zółwia.

- Panie Danie Cretu, jestem bardzo rada, że jest pan naszym gościem, jak się panu spało?  
- powiedziała i po chwili wahania wyciągnęła w jego stronę rękę, aby mógł ją pocałować.

- Bardzo dobrze! - odpowiedział krótko Dan, a kiedy ręka pojawiła się przed jego ustami, dotknął jej bez zbytejnej elegancji.

- Czytałam o panu w gazecie, jaka w końcu jest prawda? Proszę wybaczyć, ale jestem osobą bezpośrednią, nie chowam się za pięknymi pokrętnymi słówkami. Nam pan może powiedzieć, nie zdradzimy pana, nasza rodzina ma wiele wad - dodała pani, szukając wzrokiem syna - ale nie jesteśmy donosicielami.

Na twarzy Dana nie został nawet ślad po wcześniejszym uśmiechu, wyglądał teraz na czterdzieści trzy lata, jak podali w gazecie.

- *Laissez-le, maman, il a besoin de repos, cest le medecin qui l'a dit*<sup>[44]</sup> - powiedział Alexandru, robiąc aluzję do brata, o którym mówiono już w rodzinie *medyk*.

Dan obserwował ich z uwagą kogoś, kto ogląda pantomimę. Był ożywiony i zdawał się być w lepszym humorze niż poprzedniego dnia.

- Ja też nie wiem, proszę pani, chciałbym móc pani odpowiedzieć. Jaki dzień dziś mamy? Przydałby mi się kalendarz...

- Sobotę.

- A, obawiałem się, że powinienem być w pracy. Nie, przecież powinienem, tak mi się zdaje, opuszczę państwa, nie chcę, żeby wyrzucono mnie z gazety, potrzebuję pieniędzy na utrzymanie, a poza tym byli dla mnie dobrzy.

- Proszę się nie martwić, odwozę pana, słyszałem, że jest pan zatrudniony w "Uniyersul", niedawno gościł u nas na obiedzie kierownik bezpieczeństwa publicznego, pan Costache Boerescu, i to on przekazał nam tę nowinę, znacie się, prawda? - powiedział Alexandru.

Dan wzruszył ramionami, jakby go to nie interesowało.

- Jakże uradowałaby się moja córka Marioara, gdyby mogła pana poznać, wie pan, odkąd się rozwiodła, stała się ponurakiem, niestety jest dziś cały dzień u przyjaciółki. Ale mam nadzieję, że w najbliższych dniach nie będzie nas pan unikał.

Gość zamilkł zupełnie, po kilku nieudanych próbach kontynuowania konwersacji pani matka wyszła, rzucając synowi wymowne spojrzenie. A wyrażało: poszło źle! Kogo znowu zabrałeś z ulicy? Dan zauważył wymianę spojrzeń, a po zamknięciu się drzwi uśmiechnął się porozumiewawczo do Alexandru, bez słów, aż można było uwierzyć, że jest innym człowiekiem.

- Panie Cretu - powiedział Alexandru po wyjściu matki - spotkaliśmy się w trudnym dla mnie momencie i cieszyłbym się, gdybym mógł pomóc chociaż panu. Proszę nie uznać mnie za zarozumiałego, kiedy proponuję panu wszelką pomoc, to *mnie* by pan pomógł, gdyby zechciał ją przyjąć. Mam osobiste pobudki, jest pan podobny do kogoś, kto jest dla mnie w tej chwili bardzo ważny.

Podszedł do okna i starał się przeniknąć wzrokiem mgłę, ale nie było widać nic poza mleczną falą przypominającą morze, w którym miasto zdawało się tonąć.

### 3

Nie odważyłbym się wyjść na miasto, gubię się nawet wtedy, kiedy jest ładna pogoda, a co dopiero teraz, w tej mgle, która jakby wylała się ze mnie i zatopiła ulicę. Nie mogę uwierzyć, że spałem głęboko i że nic mi się nie śniło, że dziś rano obudziłem się po prostu z jaśniejszym umysłem i że nie myślę o tym, co trapi moją duszę. Kiedy otworzyłem oczy, szukałem znanych ścian, a zobaczyłem tapetę ze złotym wzorem. Podeszedłem do okna, odsłoniłem kotary będące niczym mur i natrafiłem na kolejny - mur mgły. Z kolei mury we mnie zaczęły się walić. Kiedy przyszedł Alexandru, to jakby przybył dawny znajomy, niczym statek z mgły. On i doktor Margulis to na razie jedyne osoby, do których mam zaufanie, reszta mnie irytuje, sprawia, że jestem spięty. Alexandru zwierzył mi się, zdawkowo i bacząc na słowa, z okropnej historii, w którą się wplątał i ze sprawy z dziewczyną o imieniu Iulia, o której mówi, że raczej jej nie kocha, chociaż widać, że nie można mieć wątpliwości co do jego uczucia. Umówiła się z nim, ale nie wie gdzie, przekazała mu słowa, których nie rozumie: "zieleń z czerwieni"! Ten chłopak jest większym dziwakiem ode mnie. Po prawdzie to właśnie przez niego się przewróciłem, usłyszałem za sobą konie, odwróciłem się, ponieważ dźwięk kopyt zawsze wzbudza we mnie lęk, i poślizgnąłem się na lodzie. Medyk wydaje się zarozumiały, poważny, natomiast Alexandru ma w sobie coś z dziecka, któremu pozwalano w życiu na wszystko. I coś z dzieciaka bogatych rodziców. Mimo to zaskoczył mnie, kiedy powiedział ciepło i ze zrozumieniem, jakim charakteryzują się tylko ludzie inteligentni:

- Panie Cretu, jest pan ostatnimi dniami tematem rozmów, jak wszyscy, o których piszą gazety. Ja też chciałbym zostać dziennikarzem, jak najszybciej, jest to zawód, który mnie pociąga. Nawet podczas obiadu z panem Boerescu o panu mówiono.

Powiedziałem, żebyśmy przeszli na "ty", ale odpowiedział, że nie może, co najwyżej "panie Danie", ale nie lubię tego zwrotu, zostało więc, jak było.

- Proszę nie brać mi tego za złe - kontynuował - ale zbiło mnie z tropu wszystko, co zrobił pan dzisiaj rano.

Nie rozumiałem dlaczego. Wahał się, czy mi powiedzieć, musiałem naciskać, ale wreszcie, z trudem, udało mi się wyciągnąć z niego, co następuje: zwracałem się do niego na "ty", chociaż prawie się nie znaliśmy, a mimo że jestem od niego starszy, czegoś takiego nigdy nie robi się bez wcześniejszego uzgodnienia, nie wstałem, kiedy jego matka wchodziła i wychodziła, co jest "nie do wiary", biedna mama zaczerwieniła się z zażenowania zamiast mnie, nie potrafię całować kobiety w dłoń ("dotknął pan ustami centralnej części dłoni, podczas gdy należy pocałować kostkę środkowego palca, ledwie jej dotykając, należy chwycić za wszystkie palce, nie ściskając ich, i musnąć pocałunkiem środkową kość dłoni"), wszystkie moje odpowiedzi na pytania matki, a nawet i jego, miały w sobie pewną brutalność, brakowało im niezbędnych grzeczności, *proszę pani, proszę pana, dziękuję*, a kiedy mi dziękował, ani razu nie odpowiedziałem "nie ma za co" czy "nie ma za co, proszę pana!" włosy mam dziwnie obcięte, obcięte niedawno, a to, że w moim wieku mam ogoloną twarz... Zdaję się bać koni, mówię powoli, i mówię dziwacznie, nie potrafi wyjaśnić dlaczego, a o tym, jak jadłem śniadanie, nie chciał nawet wspominać, byłoby to grubiańskie, ale nie widział, żeby ktoś jadł równie nieporządnie, nieprzytomnie i szybko. Nie zdziwiłby się, gdyby zobaczył, jak witam kogoś, nie unosząc kapelusza. Zakończył w odmiennym tonie:

- Kim pan w zasadzie jest, panie Creju, skąd pan pochodzi? Jestem po prostu ciekaw, ale jeśli jest panu ciężko o tym opowiadać, nie będę nalegał.

Pytanie mnie przeraziło, sprawiał wrażenie, jakby rozumiał coś z tego, co mi się przytrafiło, zapytałem więc, żeby zyskać na czasie:

- A ty, znaczy, jeśli wolisz, a pan jak myśli?

- Ależ proszę pozostać przy "ty", bardzo mi się to podoba, jest bardziej bezpośrednio, postaram się i ja, z czasem... Szczerze mówiąc, mam wiele domysłów, ale żaden mnie nie zadowala. Jeśli przyjechał pan z zagranicy, dlaczego nie wie pan na przykład, jak całuje się w dłoń? Jeśli jest pan, jak mówią ludzie, proszę mi wybaczyć, tak tylko wspominam przy okazji rozmowy, przestępcą, dlaczego sprawia pan wrażenie tak delikatnego i zagubionego? Wykluczam tę hipotezę, ma pan fizjonomię porządnego człowieka. Pomyślałem, że mógłby być pan, zdarzają się takie przypadki, jeden nawet znam, to było zeszłego roku, człowiekiem o fałszywej tożsamości, powiedzmy, kimś, kto dorastał na prowincji i wymyślił sobie arystokratyczną przeszłość, ale nie wydaje się pan być z prowincji, nie udaje też pan arystokraty, nie jest chyba ani z centrum, ani z zagranicy, ani ze wsi, zdaje się być pan znikąd.

Powiedziałem spokojnie:

- Myślę, że masz rację, jestem znikąd - a on przestraszył się, że mnie obraził i pomyślał, że cytuję jakiś wiersz.

I wtedy, w niepohamowanym przypiływie szczerości, którego mógłbym pożałować, wszystko mu opowiedziałem, podając więcej szczegółów niż lekarzowi - że zdaje mi się lub myślę, że jestem z innego świata, chociaż nie z innego kraju. To dziwne, w przeciwieństwie do doktora, który od razu podejrzewał, że coś ukrywam i udaję wariata, Alexandru prawie mi uwierzył.

- Dokładnie tak pan się zachowuje, naprawdę, to niewiarygodne, jeśli miałbym połączyć ze sobą wszystko, co u pana zaobserwowałem, wydaje się pan człowiekiem z innych czasów, jeszcze mi nieznanych. Panie Cretu, nie uważa się mnie w rodzinie za zbyt inteligentnego, to Mięu ma przenikliwy umysł, a ja nie zarzywałem się podczas edukacji. Ale od kiedy uczestniczyłem w pokazie promieni X doktora Geroty, odkąd odkryto drobnoustroje i wiadomo, jak wyglądają te dziwne żyjątka odpowiedzialne za epidemie, na przykład mikrob grypy, który uśmiercił tylu ludzi za czasów mojej wczesnej młodości... aaa... odkąd możemy mówić szeptem, a człowiek oddalony o setki kilometrów może nas usłyszeć, jakby siedział tuż obok, odkąd oglądamy przez teleskop Księżyc, odkąd przeprowadza się tyle prób lotu, nie tylko zeppelinem, i usiłuje się zastąpić pojazdy konne auto-mo-bilem, z końmi, których nie widać i których się nie podkuwa - co stanie się z kowalami? Aaa, wydarzyło się w nauce tyle cudów, nawet nie próbuję ich wszystkich poznać, nasi przodkowie umarliby ze zdumienia, no, ja jeden wierzę, że wszystko jest prawdopodobne. Skoro ludzie mówią już nawet o nieśmiertelności, dlaczego nie miałyby to być możliwe? Nic, co się od tej pory wydarzy, i nic, czego człowiek dokona, nie może mnie zaskoczyć.

Podniósł się i zaczął chodzić nerwowo po pokoju, od kominka do okna, podczas gdy ja przysłuchiwałem mu się, nie mogąc się nasycić. Ale nadszedł zimny prysznic:

- Jeden szczegół się jednak nie zgadza, jakkolwiek chciałbym panu uwierzyć. Jeśli człowiek doszedłby do czegoś takiego, pan musiałby o tym wiedzieć, wiedzieć, że jest pierwszy, a skoro pan nic nie wie, bardziej prawdopodobne jest, że to tylko dążenie, ideał, mrzonka, którą wziął pan za rzeczywistość. Być może to, co - jak pan powiedział - podejrzewa doktor Margulis, jest jedynym wyjaśnieniem godnym przyjęcia. Jest pan cierpliwy, myślę, że sam pan do tego dojdzie, w końcu.

I, z egoizmem typowym dla wszystkich zakochanych, nie tracił już na mnie czasu, jakby to, co mu powiedziałem, było drobnostką, i wrócił do siebie. Chciał, to znaczy poprosił, żebym zaszedł, po południu, o piątej, do rodziny Margulisów, pod byle jakim pretekstem, a jeśli panienka Iulia będzie mogła go przyjąć, to żebym go o tym poinformował. Będzie na mnie czekał koło liceum Świętego Sawy. Zrobił mi następnie niespodziankę, zapraszając na przyjęcie noworoczne, i powiedział, żebym był spokojny, odda mnie w ręce rodzinnego krawca. Ostatnia rzecz, jakiej bym się w życiu spodziewał - wizyta u krawca! Co prawda byłem już odziany w bandaż, więc krawiec będzie musiał wziąć pod uwagę moje ramię. Alexandru dodał posępnym tonem:

- Zapraszam pana, nawet jeśli mnie, być może, nie będzie, moja przyszłość jest w tym momencie niepewna. Powiadomię moją siostrę, Marioarę, to ona zajmuje się przygotowaniami. Nie będzie to bardzo oficjalne przyjęcie, przyjdą żurnaliści, mówiłem już panu z jakiego powodu.



Wskazówki były niewidoczne, ponieważ gęsta mgła zakrywała całą tarczę zegara na fasadzie Prefektury Policji. Woźnica Petre zostawił zegarek w domu, jak zawsze, i obawiał się, że się spóźni, wezwano go na godzinę jedenastą. Zgubiłby się, gdyby nie znał drogi, tak obce wydawało się białe miasto, nawet odgłosy nie pojawiały się stąd, skąd się ich spodziewał, a koń przestraszył się, kiedy natrafił na drugi powóz. Miał ze sobą krem czekoladowy i migdałowy, które kupił u cukiernika, żeby przypodobać się panom policjantom. Jak na sobotę było zadziwiająco dużo ludzi, mężczyzn i kobiet, jedni chodzili, drudzy siedzieli, inni spacerowali bez celu po rozległym korytarzu na parterze, jeszcze inni stali w drzwiach. Można by powiedzieć, że wszystkie zmartwienia i wszystkie ofiary zebrały się po Bożym Narodzeniu na policji. Przybył i Caton Lecca, a z jego biura na pierwszym piętrze, tego z trzema łukowymi oknami, tuż nad głównym wejściem, słychać było uniesione głosy, a żołnierze chodzili na palcach. Policjanci kłócili się między sobą, zza drzwi słychać było wzajemne oskarżenia, jakie do tej pory się tutaj nie pojawiały, przynajmniej nie przy ludziach. Petre był coraz bardziej przestraszony, ponieważ najgłośniej krzyczał pan Costache Boerescu, ten, który go wezwał. Co to dopiero będzie, kiedy go zobaczy! Portfel z pewnością nie miał jak wypłynąć, czyściciele kanałów byli - zezowate szczęście - dokładnie tego samego dnia, mogą mu nawet zrobić rewizję, jest czysty, jedynie sumienie nie dawało mu spokoju i jakby coś zwietrzyło. Koń, Murguju, zaczął kuleć przez tę cholerną mgłę, to z pewnością zły znak, przecież bardzo umiejętnie go podkuwa, umie sprawić, że zwierzęta są grzeczne, czasem nawet nie potrzebuje pomocnika, który chwyta je kleszczami za nozdrza. Dzieci wchodziły mu na głowę, ale konie się go słuchały, miał do nich zresztą więcej cierpliwości, przemawiał do nich z uczuciem. A teraz proszę, poci się ze strachu jak koń, chociaż wcześniej wilgoć mgły zmroziła go do szpiku kości.

Drzwi otworzyły się nagle i pan Costache wyleciał z nich, nie patrząc na nikogo i nie zauważając woźnicy. Petre pobiegł za nim i nim kierownik służby bezpieczeństwa zdążył wejść do biura, zatrzymał go zdławionym "panie Costache". Policjant zawrócił i zdawało się, że dopiero teraz sobie o nim przypomniał.

- O, dobrze, że przyszedłeś, ale jak zobaczę, że tylko tracę na ciebie czas, to odeślę cię od razu na dół, do aresztu, i tam dopiero zobaczysz, jak się przesłuchuje.

Petre spojrział przerażony na pana Costache, a połowa obserwujących, którzy zostali, poderwała się na równe nogi.

- Co mam powiedzieć?

- Powiesz mi wszystko to, co zataiłeś przede mną ostatnim razem. Co zabrałeś temu chłopakowi i dlaczego, i czy to ty go zastrześliłeś!

- Nie, to nie ja, ja tego dnia nawet nie zabrałem ze sobą pistoletu. Uciekłem z domu przed gębą baby, zrządziła, że nie chce, żebym był przez całe życie żydowskim sługusem, chce, żebym otworzył kuźnię i żebyśmy żyli na własny rachunek. Nie miałem pistoletu! Najbierw zobaczyłem leżącego tego z... tego bez wąsów, myślałem, że pijany, trząśł się, to dałem mu płaszcz ojca, niech spoczywa w pokoju, a bo jakichś dziesięciu minutach znalazłem tego jasnowłosego, leżał jak trup, ale nie był martwy, więc i jego zabrałem.

Pan Costache spojrział na niego, nie łagodniejąc. Kiedy tylko chciał, paraliżował wzrokiem wszystkich wokół, był w stanie wydawać rozkazy, nie otwierając nawet ust. Nigdy nie podniósł

na nikogo ręki, opanowywał głos, zniżając go aż do szeptu i uzyskiwał wszystko szybciej niż ci, którzy używali... starych metod. Miał postawę, która imponowała nawet złodziejaszkom, a tym bardziej Petre, który złodziejaszkiem nie był.

- To ja go wziąłem.

- Co?

- Portfel.

- I?

- Rzuciłem go w gów... aaa, w szambo, żeby nikt go nie znalazł. Nie wiem, dlaczego go wziąłem. Chciałem otworzyć kuźnię i żeby baba dała mi spokój, i dobrze wiedziałem, że jasnowłosa długo nie pociągnie, więc już mu się nie przyda. Ale zaklinam się, że był tam tylko klucz i poza tym ani jednego bana, przysięgam na Świętą Ikonę!

Petre zrobił duży znak krzyża, dwoma i pół palcem, a Costache odesłał go swoim najsurowszym spojrzeniem, na co woźnica szybko wyszedł, idąc tyłem - to przewaga człowieka nad koniem, który nie umie z taką łatwością chodzić tyłem.

Mama, papa i Jacques wyjechali naszym powozem o 16.30. Pomyślałam: jeśli założę gorset i się uczeszę, to na pewno nie przyjdzie. Jeśli nie założę, możliwe, że się pojawi, a wtedy jak ja mu się tak pokażę, w tak złym świetle i z taką szeroką talią? Ale jeśli nie założę gorsetu, to będą z tego dwie korzyści: posiedzę rozluźniona i nie popadnę w komedię daremnych przygotowań. Często urządzam sobie taką loterię myśli, w której zawsze wygrywam. I to ile wygrywam! *By the way*[45], moja kuzynka, która zawsze ma jakieś pomysły, zachęciła mnie do wzięcia udziału w loterii noworocznej, tylko ona wie, że kupiłam los, przede wszystkim dlatego, że mamy problemy z pieniędzmi. Schowałam go tutaj, w dzienniku. Wybrałam cyfry po kolei, nic innego nie przyszło mi do głowy: 1, 2, 3, 4, 5, 6. Czyli: 12, 34, 56. Vasilica zrobiła na odwrót: 65, 43, 21. Nie mogę sobie wyobrazić, co zrobiłabym z dziesięcioma tysiącami lei, ale z pewnością zaczęłabym od kupna większego gabinetu dla papy, z nowoczesnymi przyrządami, bo jego są bardzo przestarzałe. Ile może kosztować aparat Roentgena? Nie mam najmniejszego pojęcia. Parę minut przed piątą zaczęłam się trochę krzątać, przejrzałam się w lustrze, ułożyłam nieco włosy, chociaż cokolwiek bym robiła, nigdy nie są na właściwym miejscu, podejrzewam, że nie odpowiada im to, co mam w głowie, w czaszce, jak to ładnie mówi papa. Pff, czy istnieje ktoś, kto jest taki, jakim chciałby być, pod każdym względem, i na zewnątrz, i wewnątrz? Nic mi nie wiadomo o kimś takim. Kto wie, po jakim prapraprzodku mam takie czarne i niesforne włosy.

Punkt piąta o mało nie zemdlałam z przerażenia, kiedy usłyszałam drzwi wejściowe i pojawiła się Safta. Ale nie miała miny "Alexandru Livezeanu", od razu się zorientowałam. Był to pan Dan Cretu, jakby w lepszym nastroju, chciał podziękować za obiad - jak to miło z jego strony, jest jednak dobrze wychowany! - i kiedy usłyszał, że jestem sama w domu, nie chciał zostać, choć prosiłam go półgębkiem (tym półgębkiem, który nie wierzył, że pojawi się Alexandru). Tak się spieszył, że nie zdjął nawet kapelusza, ten człowiek jest pełen rezerwy, ale jakże mi drogi, taki, jaki jest! Och, ciekawe tylko, jak mam opisać wszystko to, co wydarzyło się potem, bo w Szkole Głównej takich rzeczy mnie nie uczyli...

Po wyjściu Dana byłam tak rozkojarzona - ponieważ myślałam, że przyszedł *ten drugi* - że zaczęłam sama gasić świece i udałam się do swojego pokoju. Nie minęło dziesięć minut, kiedy przyszła Safta z jej miną "to Alexandru", to znaczy miała w sobie coś uroczystego i wyzywającego, jakby wyświadczała mi przysługę, pozwalając mi na spotkanie z mężczyzną jego pokroju. Nie miałam nawet czasu żałować, że bardziej się nie przygotowałam, i nie pamiętam nawet, czy i jak się przywitał. Chwyciłam szybko *Vanity fair, pour me donner une contenance*[46]. Siedziałam na kanapie, a on spoczął obok mnie, chociaż wskazałam mu krzesło. Spojrzał mi prosto w oczy i, nie odwracając spojrzenia, spojrzałam na niego i ja, w ten sam sposób. Kiedy byliśmy młodszy, bawiliśmy się tak z Jakiem, patrząc na zwierzęta, które nie wytrzymały i szybko odwracały głowę, szczególnie psy. Chciałam pokazać Alexandru, że wytrzymam, nie jestem psem, ale nie rozumiałam, co mówiło jego spojrzenie. Być może nic. Zapytałam:

- Co znaczy "zieleń z czerwienią"?

- Chciałem ci zadać to samo pytanie.

To nie był pierwszy raz, kiedy myśleliśmy o tym samym w tym samym momencie. Uśmiechnął się. A jednak nie tak pogodnie jak pan Dan Creju. Oto jaka potrafię być obiektywna!

- Nicu przekazał mi zaszyfrowaną wiadomość, jak w szaradach: "godzina piąta, zieleń z czerwieni". Bez dnia, bez miejsca. To, że przyszedłem tutaj, świadczy o mojej śmiałości, tym bardziej że w poniedziałek nie dostałem tego zaszczytu.

- A list? - przerwałam mu, ponieważ czułam się winna za poniedziałek. - Mój list był zrozumiały!

- Jaki list? - mówiąc to, przybrał niewinną pozę, którą przybiera zawsze, kiedy kłamie, i która doprowadza mnie do szału. I znowu zaczyna swoje znane gierki - poczułam, że serce mi ciąży. Nicu słynie z tego, że nie zgubił nigdy żadnego listu, żadnej przesyłki, które powierzyłam mu czy to ja, czy to ktoś inny, i powiedział, że wręczył mu list. Jeśli mam wierzyć Nicu lub Alexandru, wierzę Nicu. Wstałam, ale przypomniał mi się, że nie założyłam gorsetu, szybko usiadłam z powrotem, bo lepiej ukrywałam w ten sposób brak tej części garderoby i chyba trochę się zarumieniłam. Było widać, że od razu to zauważył, bo jego wzrok pozostał na mojej sukni, dokładnie na talii.

- Dlaczego szukałeś mnie w poniedziałek? - zapytałam, a pytanie wybrzmiało chłodniej, niż tego chciałam.

- Iulio... mam pewne problemy, jestem w sytuacji, która może obrócić się przeciwko mnie, powiedziałem to panu Boerescu, ale wydaje mi się, że mi nie uwierzył, nawet ty mi nie wierzysz, kiedy mówię, że nie otrzymałem listu.

Jego ton był zupełnie odmienny od wszystkich tych, które do tej pory znałam, jedynie jego oczy miały wciąż wyraz *homme afemmes*[\[47\]](#), chociaż kiedy mówił, oddychał coraz ciężiej, jakby biegł. Wstał szybko, aby wyjść, serce ścisnęło mi się z przerażenia, ale równie szybko wrócił na miejsce i usiadł, tuż obok mnie, i wziął moją twarz w dłonie. A potem, zamiast opowiedzieć mi o swoich troskach, przysporzył trosk mnie, mnóstwo przyspanych trosk. Ponieważ jedyna lampa mogła zostać bez trudu zgaszona, a płomienie delikatnie migotały w kominku. Ponieważ brak gorsetu pozwolił na to, aby wszystko zdarzyło się właśnie tam, na kanapie. Zbudził moje piersi, jedną po drugiej, po czym pojawiło się pragnienie, zataczające coraz węższy krąg, i jego bezkresna delikatność. Tak, to było coś wykraczającego poza nas samych, poza mnie samą, powiedział: "Twoja twarzyczka wyglądała, jakbyś narodziła się na nowo, to było niczym pierwszy płacz dziecka". Moje ciało zachowywało się tak, jak powinno, chociaż nikt je wcześniej tego nie uczył. Safta chyba wie, ponieważ od tamtej pory patrzy na mnie jakby obrażona.

## 6

W południe mgła rozplynęła się na kilka godzin; można było dostrzec dym z kominów, ale nie prosty jak ze świecy, jak bywało w pogodne dni, lecz przygarbiony i pokorny, sunący w dół, rozedrgany, wahający się, w którą stronę się skierować, i rozpadający się na coraz cieńsze smugi. Około czwartej po południu mgła pochłonięła dym, który się w niej skrył, a wieczorem mrok wchłonął jedno i drugie. W czarno-białych falach zniknął wierzchołek budynku gazety "L'Independance Roumaine", w którym redaktorzy nie przestawali dyskutować o swoim poprzednim dyrektorze, z całego serca żywiąc nadzieję, że Nicu Filipescu wyląduje w więzieniu. Zniknął też dość nijaki budynek na ulicy Sarindar, należący do gazety "Adeverul", w którym przygotowywano nowiułteńki atak na monarchię. Zniknął także barokowy budynek, na którym dwa półnagie ciała zbliżyły do siebie ramiona przyozdobione skrzydłami, wysoko, nad oknami biura pana dyrektora poczytnej gazety "Universul". Stąd wyruszyli, jeden po drugim, w białawym mroku, pan Peppin Mirto i pan Dan Cretu, obydwaj szli w stronę placu Teatralnego, aby wsiąść do dorożki, potem, z ostatniego biura po lewej, patrząc na wprost fasady, wyszedł główny redaktor Neculai Procopiu i, wreszcie, po tym, jak popisał chwilę swoją książkę, pan Pavel Mirto. Pan Cercel opuścił budynek ostatni, upewniając się, że nikt nie zostawił w którymś z biur zapalonego światła. Chociaż nie groziło to już pożarem, jak niegdyś, za czasów jego młodości, portier wypełniał swój obowiązek jak wtedy, kiedy świece mogły zmieniać domy Bukaresztu w pochodnie. Co więcej, elektryczność była droga, a pan Cazzavillan poprosił go, żeby nie zostawiał zapalonego światła. Mgła otoczyła i jego, kiedy kierował się powozem redakcji, na którym widniały duże białe litery UNIVERSUL, w stronę domu przy ulicy Vięinelor.

# **NIEDZIELA, 28 GRUDNIA**

Przegląd prasy

# 1

Piszę w łóżku, na kolanie, więc piszę brzydtko. Czuję się śpiąca i rozmamłana, i zaniepokojona, i mam bezładne myśli. Tęsknię. Dzisiejszej nocy nie śniłam o niczym innym, jak o rajskim ogrodzie, przypominał trochę ogród w naszym starym domu, ten, który sprzedano po śmierci dziadka. Przeszłam obok mirabelki, która nic mi nie mówiła, dotarłam do jabłoni, dojrzałam na niej małe złociste jabłko i sięgnęłam po nie bez chwili zastanowienia. Nieco dalej zauważyłam jabłko większe i bardziej zielone, chwyciłam je równie szybko. Jak tylko się obudziłam, pomyślałam o Ewie. Alexandru i Ewa. Mam przez to rozumieć, że to moja wina, że skusiłam Adama? Ale dlaczego miałabym być winna? Może dlatego, że nie miałam na sobie gorsetu? Co może być złego w dobru? Co może być złego w nas? Dowodem na to, że to nic złego jest fakt, że ciało dobrze wie, co ma robić. "Trochę zła w tobie". To prawda, że poprowadził mnie z delikatnością, o którą bym go nie podejrzewała. Nasze ciała są stworzone po to, aby się porozumieć, podczas gdy słowa są po to, aby nas dzielić - na pożegnanie powiedział z wyrzutem: "Dlaczego musiałem patrzeć, jak śpisz?". Niezrozumiałe słowa, które wydały mi się brutalne jak uderzenie. Oczywiście, że nie spałam!

Było jednak dość dobrze. Sięgnęłam dziś po "Universul" (po lekturze papy trafia do mojego pokoju, bo mama go nie znosi, mówi, że nie ma stylu) i nie-powiem-kto mnie podkusił - sam diabeł mnie podkusił, żebym zaczęła czytać listy doktora Bastakiego do panny Gorjan, tej, która po dwóch latach romansu strzeliła do swojego amanta z pistoletu, na szczęście zepsutego. Straszne są te listy. Warto, żebym przepisała tutaj dwa, abym miała się na bacności, teraz, po tym, jak zerwałam złociste jabłko z drzewa poznania dobra i zła. Latem, w sierpniu, napisał do niej tak: "*Moja droga ukochana*, przeczytałem list, który otrzymałem od Ciebie dzisiejszego poranka i wciąż czuję ucisk w sercu. To pewne, że Twoi rodzice próbują jedynie odsunąć Cię ode mnie i wykorzystują do tego typowe dla nich środki, podłe i pozbawione skrupułów. Jakąż to troską o Ciebie się kierują, jeśli mówią źle o człowieku szanowanym przez całe społeczeństwo?". No proszę, jaki skromny! To przynajmniej nie przypadek Alexandru. Ani moich rodziców. Ale to, co następuje, jest jeszcze lepsze, proszę: "Żeby mogli tak czynić, powinni charakteryzować się najzaciejszymi przymiotami, podczas gdy w ich przypadku jest zupełnie odwrotnie". Dodam tylko, że ojciec Eleny jest generałem. "Co oni chcieli począć ze swoją córką? Wydać ją za męża dla pieniędzy?! W takim razie chcieli Cię ulokować niczym kapitał. Kwestia finansowa przebija przez wszystko. Niewiele ich obchodzi czyjeś zalety i inteligencja, jest to dla nich wartość nieistotna. No dobrze, jak na ludzi, którzy myślą jedynie o pieniądzach, rozumują słusznie. Oczywiście muszą być teraz wściekli, widząc pogrzebane nadzieje i udaremnione targi. To szlachetne ciało, to pulsujące mięso zdołało ująć ich podłemu handlowi, oni zaś nie mogą wybaczyć takiego aktu niezależności, takiego buntu istoty szczerzej i uczciwej. Czytam i czytam ponownie twój list i szaleję ze wstydu i gniewu na samą myśl o tym, że możesz być ich córką. Nie zasługujesz na to, aby choć minutę pozostawać w otoczeniu podobnych ludzi, dlatego proszę, opuść natychmiast to okropne miejsce i przyjeźdź do mnie. Zorganizuję wszystko, żeby Cię uszczęśliwić. Kocham Cię i pragnę Cię do końca mojego życia". Nie minął rok i w czerwcu żonkoś z Braily pisze do panny list, jakiego, przyznaję, nigdy nie czytałam, a czytam dużo: "*Droga przyjaciółko*, jestem dzisiejszego poranka nad Dunajem, który znów nam zagraża; mam tyle do zrobienia, że nie wiem nawet, od czego zacząć. Moje plany

poszły w diabły. Źle zrobiłaś, opuszczając Bukareszt. W tej chwili chcę tylko pojechać na wały, które utrzymujemy z wielkim trudem. Nie mogę stąd wyjechać, myślę jedynie o niebezpieczeństwie zagrażającym Jezioru. Przyjechać do miasta jest wprost niemożliwością. Co robiłabyś w Braile? Czy już nigdy nie zaznam spokoju? W tej chwili nie obchodzi mnie ani żona, ani nikt inny. Nie myślę o niczym innym, jak o tym, co się tutaj dzieje. Jesteś zdecydowana za wszelką cenę konkurować z Dunajem? Rzeczywiście, i Ty wylewasz. Jestem wściekły, wiedząc, że jesteś w mieście. Ślę uściski etc" Szaleńczo podobało mi się to "Czy już nigdy nie zaznam spokoju?" i, przede wszystkim, deklaracja miłości: "Jesteś zdecydowana za wszelką cenę konkurować z Dunajem?", a na koniec: "Ślę uściski". Być może i ja oszalałam, kto to wie, ale ten pan Bastaki, oczerniany przez wszystkich, wydaje mi się sympatyczny, ma w sobie coś z mężczyzny z *Vanity Fair* i uważam, że jego gniew jest szczerzy i najwyraźniej uzasadniony, do pewnego stopnia. A co ja bym zrobiła na miejscu panny Gorjan w podobnych okolicznościach? Tak czy inaczej, nie mam pistoletu. Chociaż, to jego słowa, "wciąż czuję ucisk w sercu". Na zewnątrz jest mróz, gońcy z pewnością nie stoją na swoim rogu, nie mogę więc liczyć na żadną wiadomość. Potem znowu wróciłam do rozmyślań, przede wszystkim o "pulsującym mięsie" wczorajszego wieczora. Z uwagi na skromność nie mogę zapisać w zeszycie, o czym myślałam.



- Ludzie krzyczą, że nie mamy skończonego bruku, że trzy czwarte ulic nie ma kanalizacji, że nie mamy elektryczności poza głównymi arteriami, że podczas epidemii padamy jak muchy. A pan burmistrz Robescu trzyma pieniądze w skarpecie i proponuje nam stawianie monumentów: Statui Niepodległości i popiersia Ioana Bratianu. Kiedy domagamy się robót, nie ma ani grosza. A kiedy mamy pieniądze, wnosimy statuy! Bukareszt wrze, a pan burmistrz siedzi z założonymi rękami!

- Typowe nieprawdy w "Adeverul"[48].

Procopiu i Pavel Mirto przyszli do redakcji, przez zamieć, żeby przygotować z grubsza wydanie noworoczne. Dodawali sobie kurazu herbatą z rumem, Pavel, któremu zaparowały okulary, ogrzewał dłonie porcelanowym kubkiem, a Neculai Procopiu zagrzewał się, czytając na głos gazetę konkurencji. Chociaż redaktor główny pokazał Pavlowi ten fragment po to tylko, żeby pośmiać się z kolegów z ulicy Sarindar, myśląc o nich, trochę im zazdrościł. Edytorial nie był podpisany, ale zdawał się być w stylu Constantina Mille. Zawierał ekspresyjną deformację rzeczywistości, pięknie opakowaną w słowa, z dobrze opanowaną retoryką, jakby pisał to profesor literatury, który został adwokatem. Oczywiście wszędzie przebijał jego wojujący socjalizm, z powodu którego wiele lat temu wyrzucono go z uniwersytetu w Lassach i który - zamiast łągodnieć - stawał się coraz bardziej agresywny. Oczywiście Alexandru Beldiman, założyciel gazety, pierwszy uhonorował falą czarnej żółci Karola i następcę tronu, księcia Ferdynanda, któremu wciąż wróżył, że jego panowanie nie potrwa ani jednego dnia. Co się zaś tyczy prawdy, dobrze wiedzieć, że wiele ulic ma zostać wyłożonych brukiem, a pieniądze na statwę Bratianu nie pochodziły z kieszeni lub "skarpety" Merostwa, ale z funduszy uzyskanych w loteriach zorganizowanych właśnie w tym celu. I z noworocznej loterii, której wyniki nie były obojętne Procopiu, gdyż część pieniędzy była przeznaczona na prace komunalne. Jeśli chodzi o pana Mille, wszyscy wiedzą, że kupił akcje gazety z funduszy co najmniej, hmm, wątpliwych. "Adeverul" służył mu teraz, żeby uderzać w Króla, czym Król się nie przejmował lub starał się tego nie okazywać, ponieważ, jak wiadomo, na całym świecie prasa stała się czwartą władzą.

- Nie zdziwiłbym się, gdyby po latach, z kolektywistami u władzy, z Królem na wygnaniu, ludzie nieznający lub niechący poznać prawdy nazwali jakąś ulicę imieniem Mille. Może nawet tutaj, na Sarindarze - rzekł szeptem Pavel. I zapalił cygaro.

Procopiu przywykł do takich oryginalnych i ponurych pomysłów - jedną z obsesji jego kolegi była przyszłość, a teraz, kiedy pisał o tym książkę, niemal przestał żyć w terażniejszości. A przyszłość Pavla różniła się znacząco od przyszłości wszystkich przyjaciół i znajomych. Wiele razy i na próżno Procopiu mówił mu, żeby się ożenił, życie i przyszłość nabiorą wówczas barw, tak się stało w jego przypadku. Odkąd jest człowiekiem żyjącym w małżeństwie, myśli jakby znalazły się na swoim miejscu, tak jak małżonka układa w domu wszystkie drobne przedmioty, chociaż dość często również go beszta. Najstarszy dziennikarz "Universul" obawiał się prognoz Pavla, które, przynajmniej jeśli mowa o wyborach, systematycznie się sprawdzały. Pomyślał chwilę o przyszłości i po raz pierwszy się przestraszył.

### 3

Od jakiegoś czasu brzuch pana Cercela zachowywał się jak zwierzę i dawał mu znaki, a on przemawiał do niego, tak jak przemawia do gołębi. Na przykład dzisiaj rano, kiedy się obudził, brzuch od razu zaczął pokwikiwać, na co on: "Ty też już nie śpisz?" A że mówił głośno, małżonka odpowiedziała oschle: "Już dawno! Codziennie wstaję przed tobą". Trochę później Cercel powiedział do niespokojnego brzucha: "Chodź, gołąbku, zjemy coś!", a małżonka pomyślała, że mówi do niej i nieco się zdziwiła. Teraz brzuch był obrażony, pewnie dlatego, że musiał zmierzyć się z zawieruchą, żeby nawet w niedzielę siedzieć w pracy, i kłuł go złośliwie, jakby miał ostrza, tam w środku, a pan Cercel go uspokajał: "Bądź grzeczny, tak jest przed Nowym Rokiem, ale potem będziemy mieć wolne". Z jego brzuchem nie było dobrze - a może by tak iść do doktora Margulisa? Musiałby tylko znaleźć kogoś, kto by go zastąpił, przez pół godziny nic takiego się nie stanie! Portier, niezdecydowany, chwycił gazetę, pierwszą lepszą ze stosu innych, a widząc, że to "L'Independance Roumaine", odłożył ją na miejsce. Z brzuchem w obecnym stanie nie miał ochoty torturować się pismem nieboszczyka Lahovaryego i, mówiąc szczerze, nawet nie mógł. Pan Cercel znał francuski, ale tylko żeby dogadać się z drugim człowiekiem, kiedy w bramie "Universul" pojawiał się ktoś z zagranicy, czytanie to zupełnie inna historia. Wziął kolejną gazetę i trafił na "Lumea Noua". Skrzywił się i ją również odłożył. Przedstawiała idee socjalistyczne, jeszcze dwa lata temu pisał do niej sąsiad Constantin Mille, a teraz ciągle okropnie atakowali Nicu Filipescu, mówiąc, że jest gorszy od pospolitych przestępców, ponieważ zabija w biały dzień i przy świadkach! Portier szanował byłego mera i podobało mu się, że był młody i aktywny. Nie miał ochoty ani na "Romanul", ani na "Drapelul", ani tym bardziej na "Adeverul, denerwował go najbardziej. "Timpul" był zbyt nijaki, brakowało mu werwy, jaką miał kiedyś, kiedy pisywały dla niego największe umysły Bukaresztu. Gdyby nie Nicu, któremu relacjonował na bieżąco co nowego w prasie, nawet nie brałby się za czytanie.

- A niech cię, właśnie o tobie myślałem. Ale co jest, co się stało? - zapytał przestraszony, kiedy zobaczył, że chłopiec, biały od zamieci, niesie klatkę z Pstrokatą w środku; zwierzę wyglądało bardzo źle.

Nicu wyglądał równie cherlawo jak ptak, brwi łączyły mu się w kształt ostrza strzały, a policzki wcale mu się nie zarumieniły, pomimo zimna na zewnątrz.

- Nie podoba się jej u mnie nie pokochała mnie ja ją kocham chyba jest chora tęskni za domem!

Mówił, jakby strzelał, bez pauz.

- Usiądź i weź oddech.

Portier otworzył drzwiczki klatki, chwycił Pstrokatą pod skrzydła, pogłaskał ją i obejrzał ze wszystkich stron.

- Chyba nie jadła - powiedział po chwili, a chłopiec potwierdził, że nie jadła i nie piła, ale załatwiała się, co zresztą widać. No, nabrudziła też w domu, bo wypuścił ją z klatki, a potem namęczył się niemiłosiernie, żeby zamknąć ją z powrotem.

Portier zgodził się ją wziąć, a na wiosnę znaleźć jej parę, ale dopiero jak przygotuje im gołębnik. Gołębi nie trzyma się w klatkach, jak papugi albo kanarki, bo to je zabija. Widząc, w jakim stanie jest chłopiec, zaproponował, że poczyta mu "Universul" i poszukał historii

o skomplikowanych romansach, bo takich Nicu wysłuchiwał całym sobą: *"Ucieczka pewnej panny z Yaslui: Miłość nie zna granic ani ziemskich praw, nawet religia nie może jej powstrzymać przed ryzykownym lotem. Dowodem na to jest historia, która zdarzyła się przed paroma dniami w Vaslui..."* Głos pana Cercela rozwijał wątek opowieści, a twarz chłopca stawała się spokojniejsza, nabierała kolorów, a śnieżynki topniejące na policzkach sprawiały, że promieniała. Na koniec, kiedy okazało się, że młodych "odmiennych wyznań" nic nie mogło powstrzymać, a krewni dziewczyny "sami w końcu przekonają się, że nie można zerwać potężnych łańcuchów miłości", i on poczuł się krewnym ptaszyny i nie było mu już tak przykro, że zwraca ją jej towarzyszowi.

- Jak to innych wyznań?

- Jedno robi znak krzyża od prawej do lewej, a drugie od lewej do prawej albo wcale.

Nicu pomyślał, że to może podobnie jak wtedy, kiedy jesteś lewo lub praworęczny i zapytał z zaciekawiony:

- Jeśli robisz znak krzyża lewą ręką, to jesteś innego wyznania?

Portier nie odpowiedział, ponieważ - szczerze mówiąc - nie za bardzo obchodziły go podobne dziwactwa, pozostawiał je żonie.

- I ja znam historię miłosną, ale nie jest o wyznaniach - pochwalił się Nicu. - Spotkałem się z panem Alexandru Livezeanu. Bardzo się spieszył, jak zawsze, i wysłał mnie z przesyłką, chociaż w niedzielę mam wolne. Mówił, że pilne! Myśli pan, że i on jest związany "potężnymi łańcuchami miłości"? Ja nawet wiem z kim - powiedział podekscytowany.

Portier nie zapytał niestety z kim, chociaż Nicu zdradziłby mu to z radością. Pan Cercel z natury nie był ciekawski, praca na stanowisku portiera w dużej gazecie sprawiała, że spotykał w swoim życiu zbyt wielu ludzi, a ci już go nie interesowali. Dlatego hodował gołębie.

Generał brał do ręki kalendaria ułożone na stosie obok stolika - gazety, które obwąchiwał pies, początkowo z zainteresowaniem, później bez, unosząc pysk ku frędzłom fotela, dużo bardziej atrakcyjnym.

Borzoj spoglądał na Algiu z wyrzutem - pan od dwóch godzin nie ruszył się z fotela. Migdałowe oczy charta zamgliły się ze szlachetnym zakłopotaniem; pan czytał, w bezruchu, nie wołając go po imieniu i nawet przelotnie na niego nie spoglądając. Z kolei generał przeżywał ponownie każdy dzień 1893 roku, kiedy jego biedna żona była tu jeszcze, obok niego, po drugiej stronie stołu, haftując, a rodziców Lorda, dwóch borzojów, każdego o imponującym *pedigree*[49], młodych i pięknych, dzieliło wiele kilometrów; jeden był w Krajowie, drugi w Bukareszcie. Wizyta pani doktorowej Turnescu, krótko po wizycie Costache, obudziła w nim chęć do pracy. Czytał ponownie wiadomości o zburzeniu cerkwi Sarindar, chociaż znał niemal wszystkie na pamięć. Zrezygnował z funkcji prefekta, ale pamiętał dobrze okoliczności wyburzenia i raz jeszcze pomyślał, że nie było w tym winy Filipescu. Zresztą nie ze względu na Filipescu przeczytał tę informację, chociaż, w jakiś sposób wszystko się ze sobą łączyło. Potem wrócił do najnowszych gazet. Kiedy miał już przerwać, natrafił na wiadomość wydrukowaną małymi literami, którą wciąż omijał, ponieważ znajdowała się pod rysunkiem przedstawiającym salę sądową w Braile podczas procesu panny Gorjan, córki generała Gorjana, którego poznał w czasach, kiedy ten był jeszcze pułkownikiem, gdyż dopiero niedawno awansował. Preczytał wiadomość i dostrzegł, że w jej świetle szarada wypowiedziana przez Costache podczas ostatniej wizyty zaczęła nabierać sensu: *światło, Popescu, światło, Matka Boska, dar...*

- Lord, nie teraz, miej cierpliwość!

Generał zanotował coś ołówkiem, przeszukał inne kalendaria z efemerydami, wezwał ordynansa, który przybył z zaspianym spojrzeniem i swoim typowym zapachem - pasty do butów.

- Idź poszukać pana Costache. Jeśli go nie znajdziesz, zostaw mu wiadomość, że zapraszam go dziś do siebie, kiedy tylko będzie mógł, bez względu na porę.

Gdyby nie wiedział, że rozkazy wykonuje się bez dyskusji, ordynans miałby kilka solidnych obiekcji. A tak mężczyzna spojrział na generała tym samym spojrzeniem, jakim spoglądał wcześniej borzoj, tym bardziej że i jego oczy były migdałowe.

Chart otrzymał wreszcie swoją porcję pieszczot i został wyprowadzony na podwórze, gdzie biegał wśród zamieci jak szalony. Generał miał ochotę zrobić to samo, ale zwykł był nie okazywać, co czuje. Pozostał w bezruchu przy drzwiach, pomiędzy statuami nagich postaci obojętnych na mróz. Bluszcz oplatał fasadę domu, podmuchy miotają nim, ale nie mogły go złamać. Bluszcz potrafił walczyć, a generał podziwiał go za to.

Coraz rzadziej rozmawiam z samym sobą i, być może, wkrótce, ten głos, który niewoli mnie w swojej głębi, zamilknie i stanę się na powrót taki, jaki byłem kiedyś. Może ten świat zupełnie mnie pochłonie i nie będę już odczuwał tęsknoty za tym drugim. Może to, co wewnątrz i na zewnątrz stopi się ze sobą. Nie wiem, czy ten świat jest rzeczywisty, ale wiem, że mój rozum jest tak stworzony, że dla mnie taki właśnie jest. Nie wiem, czy kiedyś pojmę więcej, ale wiem, że do ostatniej chwili będę chciał się *dowiedzieć*. Po tym, jak wróciłem z odpowiedzią, że Iulia jest sama w domu, Alexandru zabrał mnie do dorożki na placu i poprosił, aby odwieziono mnie do jego domu w centrum. Powiedział, że od tej pory jestem jego gościem, jak długo będę chciał, "jak długo będziesz chciał sprawiać mi radość pozostawania moim gościem", i żebym zatrzymał się po drodze w hotelu, aby powiadomić, że już w nim nie zostaję. Uprzedził służącego i zapewnił, że przyjdzie później zobaczyć, jak się czuję. Był strasznie zdenerwowany, wciąż przygryzał palec w rękawiczce. Dorożkarz zatrzymał się obok hotelu, mówiąc cienkim głosem, że zaczeka, ja wysiadłem, o mały włos znowu bym upadł, było dość ciemno. Wszedłem, powiedziałem, że się wyprowadzam, a mężczyzna, mający w sobie coś z orientalnego dywanu, miękkiego, opatulającego i pofałdowanego, odpowiedział, że im przykro, że było opłacone za tydzień z góry, że byli zaszczyceni, mając gościa "takiego jak pan" (ale dlaczego?), i że posłaniec coś dla mnie zostawił.

- To pan nazywa się Frascati? - zapytałem, ale zaśmiał się bez wesołości i spojrzał na mnie przenikliwie.

Poszedłem zabrać rzeczy z pokoju, chciałem wyjść jak najszybciej, nie czułem się dobrze, ale się bałem. Otto, będący na górze, nie pozwalał mi odejść, stanął w drzwiach i zaczął opowiadać coś o cudownej ikonie. Powiedział, że we wszystkich cerkwiach panuje wielkie poruszenie i że lotem błyskawicy szerzy się pogłoska, że zniknęła cenna ikona, *wunderschon*[50], po czym opowiedział mi wszystko ze szczegółami, za którymi nie nadażalem, tym bardziej że mówił a to po rumuńsku, a to po niemiecku. W całą historię jest zamieszany - to był dla mnie cios - pewien bogaty młodzieniec, *sehr sehr reich*[51], Alexandru Livezeanu. Wszyscy sądzą, że ikona znajduje się właśnie u niego. A więc to sugerował Alexandru... Czyli jest po prostu złodziejem?

Kiedy wreszcie zszedłem, zatrzymał mnie też mężczyzna o orientalnym wyglądzie, chcąc pokazać coś w gazecie, "Lumea Noua" czy jakoś tak. Czułem, że to nic dobrego i nie chciałem spojrzeć, ale się nie udało, mężczyzna zmusił mnie do lektury z błyskiem złośliwości w oku. Był tam mój portret, narysowany dość ładnie, a pod nim tytuł wielkimi literami: TAJEMNICZY NIEZNAJOMY. Niżej, mniejszym drukiem: *Skąd pochodzi pan Dan Kretzu?* i niepodpisany artykuł o "nieznajomym, który zdaje się wiedzieć więcej od nas", oraz część tego, co opowiedziałem panu doktorowi Margulisowi, na szczęście nie za wiele, o "świecie o innych zasadach i przyszłości, dość dla nas ponurej". Nie wspomniano jednak o doktorze. Obiecał mi zresztą pełną dyskrecję. Zdradziłby mnie? No proszę, nie minęło dziesięć minut, a jedyni ludzie, którym ufałem, zdają się posiadać, każdy z nich, jakiś poważny mankament. Mężczyzna o orientalnym uśmiechu zapewnił, że byłby zaszczycony (znowuż!), gdybym został, jest gotów pokryć wszelkie koszty, wikt i opierunek, i że zamieszkał sam w pokoju. Dał mi do zrozumienia, że miałyby więcej gości, gdyby wiedzieli, że... Podziękowałem i wyszedłem, nie

patrząc za siebie i czując na karku jego wzrok.

## 6

Widać, że i dzisiaj ma głowę pełną swoich pacjentów. Albo braku lekarstw, albo problemów z pieniędzmi lub z pomocnikiem, bezużytecznym uczniem, którego chciałby wyrzucić, ale nie ma odwagi. Sprawia wrażenie, jakby nie słyszał, co mu opowiedziała. Skinął tylko głową, tak jakby jednak usłyszał i wymamrotał *tak, tak*, które równie dobrze mogło oznaczać "nie" lub cokolwiek innego. Agata była do tego przyzwyczajona i nie miała mu za złe, czasami potrzebowała po prostu człowieka, który by jej wysłuchał. Kiedy wybrała między dwoma mężczyznami, wychodząc za mąż za doktora, wiedziała, że będzie jedynie piątym kołem u wozu, kołem zapasowym. Nie było łatwo, a nawet, jak dzisiaj, bywało bardzo ciężko. Agacie zaróżowiły się powieki, po chwili zaczęła płakać i, co dziwne, akurat to doktor, a zarazem jej mąż, "usłyszał" natychmiast i się zaniepokoił. Pani Margulis miała wrażenie, że małżonek widzi więcej niż przeciętny człowiek, ponieważ potrafił dostrzec swoim sokolim wzrokiem z dużej odległości najmniejszą zmianę wyrazu twarzy, koloru skóry, każdy siniec, jakąkolwiek oznakę ciała. Nawet jeśli próbowano je zakamuflować, nigdy nie udawało się pozostawić ich niedostrzeżonymi. Pokazała mu, zmartwiona, sobotnią gazetę, a doktor zaczął czytać, w pośpiechu, na wrywki:

*Sprawa dnia Ochrona zawodów*

*Mieliśmy przyjemność rozmawiać tutaj o stowarzyszeniu dam, które zawiązało się, aby świadczyć pomoc, ofiarowując pieniądze, ubrania i dary ubogim dziewczynkom uczącym się w szkołach zawodowych lub warsztatach prywatnych. Popieramy tę inicjatywę z całego serca...*

- To był twój pomysł, prawda, sprzed trzech lat chyba?

Agata skinęła głową; czuła, że ma ściśnięte gardło.

*Pewna kwestia, na którą natknęliśmy się w ostatnich dniach, sprawiła, że przypomnieliśmy sobie o tym stowarzyszeniu i dostrzegliśmy pewne niedociągnięcia. Oto o czym mowa. Szkoły zawodowe wyedukowały już kilka roczników absolwentek - po mistrzowsku szyją, tworzą sztuczne kwiaty i inne. Co się z nimi stało, co robią teraz te profesjonalistki? Przypadek postawił jedną z nich na naszej drodze.*

*Mając niewielki kapitał po zakończeniu szkoły, otworzyła, wraz z koleżanką, skromną pracownię. Dziewczęta pracowały gorliwie, żyły oszczędnie, z całych sił poszukiwały klienteli, ciężko pracując, tworząc produkty ze smakiem i za niewielkie pieniądze. Nie były w stanie opłacić nawet czynszu. Przez dwa lata dzielnie walczyły, a rezultatem tych wysiłków okazało się... zamknięcie pracowni. Jedna z nich, ta, którą spotkaliśmy, próbowała pracować w domu - nowa walka bez powodzenia, ponieważ nie ma dla niej tyle pracy, aby zarobiła na życie. W tej chwili szuka zajęcia, jakiegokolwiek, żeby tylko móc przetrwać.*

*Oto, pokrótce, historia pewnej absolwentki naszej szkoły zawodowej - a wygląda tak historia niemal każdej z nich. O tym damy ze stowarzyszenia nie pomyślały. Chcieliśmy znaleźć przyczyny tej porażki.*

- I jakie są te przyczyny? - zapytał doktor, który czytał artykuł na głos, bez intonacji, aby Agata mogła nadążyć, ale nie miał cierpliwości doczytać do końca.

- Przynajmniej tutaj są sprawiedliwi. Sądzę, że pracownia pogrążyła się przez wielkie sklepy z Calea Victoriei, a całe to zło pochodzi od ludzi, którzy wolą kupować drożej, oby tylko towar pochodził z zagranicy, a nie od naszych dziewcząt.

- A jaką ty ponosisz za to winę?

Agata zaczęła płakać na dobre. Po tym, jak się trochę uspokoiła, powiedziała swoim najbardziej zrozpaczonym głosem, że to prawda, iż dziewczęta, Ana i Lenufa, są załamane, a ona usiłowała im pomóc. Tylko że dziennikarz, który nawet się nie podpisał - "Taki mają zwyczaj" - wtrącił doktor - przedstawił wszystko, jakby było regułą, a nie jest. Powiodło się wielu dziewczętom, którym pomogły, niektóre wyszły za mąż; to, co opisują w gazecie, wygląda, jakby jej inicjatywa była zabawą robioną na pokaz... A przecież stowarzyszenie naprawdę pomaga. Nawet jeśli nie wymieniono jej z nazwiska, wszyscy wiedzą, o kogo chodzi.

Doktor jej przerwał.

- Agato, na świecie są cierpienia, których nie możesz sobie wyobrazić, nie ma dnia, kiedy nie byłbym ich świadkiem. Dzieci chorują i umierają na oczach rodziców - oboje to znamy - inne dorastają, zanim zachorują i to one próbują pomagać rodzicom, żeby im ulżyć; niezliczoną ilość razy widziałem na własne oczy agonię, nie chcę ci opowiadać, co się działo podczas epidemii duru brzuszego, ale też podczas zwyczajnej grypy, chociaż odkryto wywołującego ją bakcyła, mamy też suchotników - umierają młodo z rumianymi policzkami, jakby byli zdrowi, pragnący miłości, ponieważ tuberkuloza jest niczym afrodyzjak, a walka lekarza przeciwko tej chorobie jest bez szans. Jak miałbym ci opowiedzieć o syfilisie, który pożera ciało, żeby nie przerazić cię na resztę życia? Lekarze, idący po omacku, niczym ślepcy, tutaj pomogą, gdzie indziej zaszkodzą. Czy wiesz, że około dwudziestu-trzydziestu lat temu, to znaczy w czasach naszych rodziców, medycyna częściej szkodziła, aniżeli pomagała, była jak seria eksperymentów przeprowadzanych na biednym pacjencie znajdującym się w szpitalu, który najczęściej wychodził z niego w gorszym stanie, niż przybył? Dzisiaj nawet dentysta, mój przyjaciel Steinhart, pyta, na przykład, "ze znieczuleniem czy bez?", a kiedyś każda operacja oznaczała niewyobrażalny ból. Przypominasz sobie doktora Biondiego ze szpitala Brancovenesc, tego, który operował z Gluckiem, kiedy byliśmy młodzi?

Agata skinęła głową, w milczeniu.

- Do tej pory nie powiedziałem ci o nim prawdy. Operował pięciu chorych z tuberkulozą płuc. Wcześniej wykonywał wycięcia płuc na psach i rezultaty były co najmniej obiecujące. Ale jego pięciu pacjentów zmarło - wszystkich pięciu! - a doktor Biondi, załamany, popełnił samobójstwo. Ludzie umierali czasem z bólu, zatrzymywało się im serce. A ty...

- A ja, ja płaczę z powodu artykułu w gazecie, w którym nawet bezpośrednio się o mnie nie wspomina. Ja zajmuję się dziewczętami, które są zdrowe i chcą wyjść za mąż - Ana za dziennikarza, który "przypadkowo" o niej napisał. Ja zajmuję się takimi sprawami, podczas gdy ty walczysz ze śmiercią, wiem. A co, jeśli i ja potrzebuję pocieszenia, choćby tylko raz, choćby tylko z powodu jakiejś błahostki?

I co, jeśli dzisiaj, spójrz na to w ten sposób, troszczę się bardziej o moje dziewczęta i moje drobne problemy aniżeli o całe nieszczęście tego świata? I co, jeśli dzisiaj nie mogę cierpieć za wszystkich ludzi, ale chciałabym, aby chociaż jeden człowiek cierpiał za mnie?

Krew, która uderzyła Agacie do policzków, wskazywała, że kobieta gniewa się bardziej na małżonka i świat aniżeli na żurnalistę. Ale nie powiedziała nic, a doktor Margulis odłożył pocieszenie na później, ponieważ musiał udać się do chorego. Niestety, jak wiadomo, choroba nie uznaje dni wolnych.



# **PONIEDZIAŁEK, 29 GRUDNIA**

Czas mija

# 1

Rok przeleciał obok mnie niczym strzała. I chociaż będzie trwać jeszcze dwa dni, co dzisiaj zrobiłam? Grałam i grałam na pianinie, brałam nuty po kolei. Potem grałam bez nut, z pamięci. Grałam gorzej niż kiedykolwiek, kiepsko, nieuważnie. Co do reszty, zaczęłam zapisywać moje wewnętrzne pięciolinie w tonacji Alexandru. Myślę wręcz, że to koncert Alexandru-dur i mogłabym grać go w kółko, choćby i fałszując. Podejrzewam, że jest równie ciężko nie fałszować, kiedy grasz wewnątrz, jak i wtedy, kiedy grasz na zewnątrz. A jeśli myli się nawet sam Wielki Kompozytor, to co wtedy? Muszę jeszcze trochę poczekać, żeby dowiedzieć się na pewno, czy czasami nie gram też wewnątrz. Wiem, co chcę powiedzieć, nie będę tutaj tego wyjaśniać. Wieczorem, kiedy siedzieliśmy wszyscy w salonie, mama i papa zdawali się być zmartwieni, a Jacques rozweselał ich, czytając książeczkę z żartami - Jacques czyta bardzo ładnie, nawet żarty. Wtedy pojawiła się Safta i dała mi znak głową, wskazując na drzwi, bez najmniejszego szacunku. Pozwala sobie na coraz więcej, od soboty, *blackmail*[52], jak powiedzieliby przyjaciele z *Vanity Fair*. Tylko Jacques zauważył jej niestosowny gest i pomógł mi, przykuwając uwagę rodziców żartem i udając, że go nie rozumie, a papa zaczął mu wyjaśniać, co jest w nim śmiesznego.

Co mam powiedzieć, serce stanęło mi na widok gestu służącej. Pomyślałam, że chodzi o Alexandru i się zmieszałam. Nie, to nie był on, to był Nicu. Zapytałam, dlaczego nie wejdzie, odpowiedział, że jest bardzo zajęty i ma do mnie sprawę. Poczułam jego rączkę, zimniejszą od mojej, otwierającą moją dłoń, i dotknęłam jakiegoś przedmiotu, twardego, a zarazem łaskoczącego. Było to pudełko zawinięte w aksamit obwiązany cienką wstążką, ale nie otworzyłam go z obawy, aby nikt mnie nie zauważył, zabrałam je do pokoju i schowałam w zegarze ściennym - to moja skrytka. W salonie nie mogłam się już skupić na niczym innym, chociaż mama i papa opowiadali o swoich przodkach i o Grecji, której nigdy nie odwiedziliśmy i w lecie też nie odwiedzimy, bo nie mamy pieniędzy, a papa nie ma czasu, potem Jacques i ja poszliśmy, wszystko mu szybko opowiedziałam, a on umierał z ciekawości:

- Myślę, że to coś ważnego, tak czuję, i nawet domyślałam się, co to może być.

Udaliśmy się do mojego pokoju, posadziłam go na kanapie, a to wspomnienie natychmiast pojawiło się w mojej duszy, jak pocisk, podeszłam do zegara, otworzyłam drzwiczki i wyjęłam aksamitne pudełeczko. Dałam Jacquesowi, żeby je otworzył, co sprawiło mu radość, a jego okrągłe oczka były jak oleiste kawowe ziarenka od naszego Ormianina, Levona Harutuniana. Levon oznacza w jego języku to samo co Leon, imię papy - dwa lwy.

- To bilecik złożony na cztery. O, a pod bilecikiem jest pierrścionek. Mam przeczytać?

Usiadłam, bo zrobiło mi się trochę słabo, a braciszek odczytał:

- Jesteś zaproszona, z całą rodziną, na nasze przyjęcie noworoczne. Musimy - podkreślone - zacząć ten rok razem. Al. L.

- To wszystko? - zapytałam.

- Wszystko.

Miałam ochotę się rozpłakać i wtedy Jacques dodał:

- Dla nas, chłopaków, to znaczy więcej niż dla was, dziewczyn.

I oddał mi pudełeczko, bilecik i pierrścionek. Przymierzyłam pierrścionek, miał oprawiony maleńki rubin, a naokoło kilka diamentów, jest naprawdę piękny, ale dla mnie za duży. Szkoda,

nie będę mogła go nosić. Ogarnął mnie smutek.

Dziś rano robiłam to, co zwykle, jakby wszystko było tak samo, chociaż wszystko było inaczej. Calea Victoriei była inna, pusty plac po monasterze Sarindar był inny, ludzie byli inni, wody Dymbowicy były inne, bardziej spokojne, i rybitwy Jacques'a latały w innym kierunku. Pomyślałam: może wszystko jest po staremu, może rybitwy latają jak zawsze, Dymbowica płynie równie szybko, ludzie są tacy sami, pusty plac po Sarindarze jest taki, jaki był, Calea Victoriei jest taka sama, tylko ja jestem inna. Ale dlaczego miałabym być inna? Być może dlatego, że rok się kończy, a piasek w klepsydrze spieszy się teraz, pod koniec, i przesypuje z góry na dół. Być może wody mojej rzeki zbliżają się do wodospadu. Być może dodają kolejny słój do pnia życia, jak w drzewie, i rosnę (choć nie urosłam, odkąd ukończyłam siedemnaście lat!), i widzę świat z innej perspektywy. Czuję, jakby czas zaczął biec szybciej, wczoraj ani się zorientowałam, a już nadszedł wieczór, dzisiaj podobnie. Tuż po obiedzie, lekkostrawnym - papa pilnuje, żebyśmy nie jedli zbyt dużo w okresie, w którym wszyscy się przejadają, pewnego razu wyjaśnił nam, jak przygotowywać posiłki w zależności od czasu trawienia potrzebnego każdemu z nich i jak łączyć lekkie dania z sosami i zupami, żeby nie obciążać delikatnego żołądka i wątroby - tuż po obiedzie, zamiast odpocząć, pojechaliśmy do miasta z Nelu, który był błydy po chorobie i ledwo mógł utrzymać lejce. Jeśli chodzi o mnie, to nie mogłam usiedzieć w miejscu! Byliśmy w "Universul" po nowe pudełko sztucznych ogni, ze wszystkim, co potrzeba, żeby chociaż w Nowy Rok Jacques mógł się nimi nacieszyć. Ja wchodziłam, a pan Creju wychodził, ukłonił mi się, ale z kapeluszem na głowie, potem jakby sobie o nim przypomniał i go zdjął, a ten upadł mu na ziemię, zaśmiałam się, było to urocze, jest mi bratem w swojej niezdarności. I od słowa do słowa powiedział mi, że jest gościem Alexandru, ale nie w wielkim domu, żeby nie powiedzieć - w pałacu rodziny Livezeanu, jak to jest w zwyczaju, ale w jego małym mieszkaniu w centrum. Oto jakich nowin się dowiaduję; z jednej strony się cieszę, bo to oznacza, że jest dobry, z drugiej strony smucę, bo wiem, do czego wykorzystuje się takie mieszkania. Dobrze chociaż, że teraz gości w nim mężczyzna!

Nicu był zmęczony, a miał jeszcze przed sobą długą drogę, po ciemku. Przeczynał za plecami Botosu, choć go nie widział, ale słyszał jego sapanie. Rzucił się do ucieczki, jednak biegł z trudem, jakby miał kulę u nogi, taką, o jakiej opowiadał mu pan Cercel, że przyczepia się do nóg skazańcom. Pomyślał, że udałoby mu się uciec jedynie, gdyby wzniósł się ponad ziemię i zaczął machać rękoma, niemal widział, jak się unosi, ociężała i niezbyt wysoko, jak kaczkę, coś ciągnęło go w dół, wreszcie mu się udało i oto był metr nad Botosu, potem coraz wyżej i dalej, uciekł mu, pojawiło się światło, a pod nim domy, dużo małych domów, widział ich dachy i dymiące kominy, i cerkwie z wieżami - uważał, żeby o nie nie zahaczyć - i pola, i lasy, widział jedynie zielone wierzchołki cicho szeleszczących drzew, potem znowu jakby coś pociągnęło go w dół, ale tym razem mocno, wyteżył wszystkie siły i utrzymał się w powietrzu i już nic złego nie mogło go tam spotkać. Słyszał koguta, coraz bliżej, coraz głośniejszy. O Boże, co za radość, co za radość i ból, co za ból!

- Poleciałeś, znów poleciałeś w nocny lot!

Była zima i było ciemno, znajdował się na dole, na ziemi, a we śnie było lato i szybował wysoko w powietrzu. A jeśli prawdziwy świat to był ten ze snu, i jeśli teraz jest we śnie, chociaż wydaje mu się, że się obudził? Zamknął oczy, próbując jeszcze polecieć, ale mu się nie udało. Nie, niestety, wiedział zbyt dobrze, że lot był snem, a łóżko rzeczywistością. Że może leżeć w łóżku, jak długo będzie chciał, ale długość snu nie zależy od jego woli. Mama krzątała się już po kuchni, co znaczyło, że czuje się dobrze. I jemu jest teraz dobrze, pod kołdrą jest mu ciepło, zwinął się w kłębek i jest niewymownie szczęśliwy po locie, jakby naprawdę leciał, jest zadowolony, że nie ma dzisiaj żadnych trosk, z mamą jest w porządku, że przesyłka Alexandru została przekazana Iulii jak należy, że uniknął pytań i, przede wszystkim, że loteria jest tak blisko, dzieli go tylko dzień od wyników. Ramiona i ręce aż po czubki palców, i stopy aż po czubki palców, i głowa, i włosy, i uszy, i nos, i usta, i serce, które jest dziś kolorowe jak na planszy doktora, wszystkie trwają w oczekiwaniu, ale nie tylko w oczekiwaniu na jutrzejszy dzień, nie tylko w oczekiwaniu na Nowy Rok i na marzenie, do którego masz prawo, żeby się spełniło, ale przede wszystkim w oczekiwaniu na przyszłość, kiedy on i Jacques będą duzi i będą spacerować pod rękę z uroczyimi damami, pachnącymi lawendą, ubranymi w kolorowe suknie, które szeleszczą i błyszczą w słońcu. Zimą będą jeździć na łyżwach po jeziorze Cismigiu, trzymając się za ręce. To dziwne, widział też Jacques'a ślizgającego się obok młodej dziewczyny. Nie miał już cierpliwości, czekał, aż dorośnie i czuł, że dokona wielkich rzeczy, będzie ważnym człowiekiem, jak pan Dan Creju albo pan Cazzavillan.

- Mamo?

Podeszła do jego łóżka na palcach, a widząc, że chłopiec się obudził, zapaliła lampę naftową, ucałowała jego włosy i powiedziała, żeby przyszedł jeść.

- Jest zimno, pojawiły się kwiaty szronu. Ubierz się ciepło, skarbie mamusi.

Nicu zastanawiał się, która mama jest jego prawdziwą, ta dzisiejsza czy ta sprzed kilku dni, z załamującym się głosem i zagubionym spojrzeniem, której nie rozpoznawał? Kto kryje się w jego mamie i dlaczego tak ją męczy, dlaczego męczy też jego i go przeraża? Przytulił prawdziwą mamę i uścisnął ją najmocniej, jak potrafił, żeby nie wyszła z siebie na zewnątrz i nie uciekła do kreciego tunelu, w którym nie może jej osiągnąć.

\*\*\*

Kiedy wrócił do domu po męczącej pracy - pięć przesyłek i adresy dość od siebie oddalone, ale też kilka sporych napiwków - mama prała ługiem ubrania i odkładała je na tarkę z pofalowanymi węzami, które łaskotały dłonie, kiedy lekko ich dotknąć, ale przy porządnym praniu robiły odciski. Mama odłożyła koszule i chusty do wygotowania, do gara z krochmalem, w międzyczasie zjedli, po czym Nicu zaproponował, że sam wyniesie balię i rozwiesi pranie na sznurze. Lubił, jak podczas rozwieszania ubrania z miękkich i parujących stawały się na mrozie zeszywniałe i kleiły się, jakby były z kamienia, a kiedy chciał je rozkleić, trzeszczały jak nienaoliwione drzwi. Nie mógł ustać w miejscu i powiedział mamie, że idzie do Jacquesa zanieść mu obiecanę mamuty.

Pokazał jej obrazek z "Universul Ilustrat", a ona śmiała się na widok ich grzbietów niczym zęby piły i z ich ogonów długich niczym postny dzień. Jej śmiech przypominał mu inny, jej matki, jakby babcia siedziała w ustach mamy, tak jak ludzie z daleka mogą zmieścić się cali w słuchawce telefonu. Był wtedy mały, zupełnie malutki, i jedli razem twarde wiśnie. Babcia rozłupywała je na pół, żeby móc je lepiej pogryźć. On wziął jedną i odkrył ku swojemu zdziwieniu, że wygląda z niej coś i porusza się lekko w środku, jak rogi ślimaka. Pokazał to babci, a ona fuknęła "fuj!", on zaczął się śmiać; powtarzali to z każdą wiśnią i kiedy pojawiał się robaczek, babcia mówiła "fuj!" i razem śmiali się do rozpuku. Wiśnie bez robaków nie były zabawne, interesowały ich tylko te z robakami. Był to jeden z najszcześniejszych dni, jakie Nicu sobie przypominał i od tamtej pory zaliczał do udanych tylko te, w których się śmiał. Taki był dzisiejszy dzień. Babcia powiedziała mu, że po śmierci chciałyby się zamienić we wróbla, niech bardzo uważa na wróble, być może będzie między nimi podskakiwać, chociaż z trudem wyobrażał ją sobie, jak podskakuje, była dość sztywną kobietą, nawet po domu ledwo się poruszała. Nie mógł jej rozpoznać, wszystkie wróble były do siebie podobne, a żaden nie zdawał się wyjątkowo uradowany na jego widok. Był pewien, że babcia dałaby mu znak skrzydełkami. Po drodze na ulicę Fantanei w głowie Nicu rozbrzmiał głos mówiący: będzie dobrze! będzie dobrze! będzie dobrze! Nie wiedział, czyj to głos, nie mógł uwierzyć, że mógłby być jego.

Jacques również był wesoły, doktor Rizea dał mu w prezencie nowy flet, cudowny. Zagrał Nicu menuet Handla, tim-tam-tam, tim-tam-tam, a potem, niespodziewanie, przerwał w połowie frazy i powiedział:

- Jesteś ze mną zaproszony, to znaczy z nami, do Alexandru Livezeanu, w Nowy Rrok. Przychodzi też pan Dan Crretu, czy to nie wspaniale? Papa dostał zaproszenie dla całej rodziny, a ja poprosiłem, żebyś ty też mógł przyjść, Iulia powiedziała, że da ci mój odświętny garnitur sprzed dwóch lat, miałem go na sobie tylko dwa razy, jest nowiuteńki.

Dodał szeptem, że Iulia i Alexandru "są zakochaną parą", a Nicu odpowiedział, udając niezainteresowanego, że wie to już od dawna. Doktor Margulis zaleca, aby podczas choroby wciąż myśleć o tym, że wyzdrowiejesz i powtarzać sobie bez ustanku: muszę wyzdrowieć, muszę wyzdrowieć, muszę wyzdrowieć! Ale nawet kiedy nie jesteś chory, przydaje się powtarzanie: będzie dobrze, będzie dobrze, będzie dobrze! Chociażby po to, żeby wystroić się w nowy garnitur na koniec zupełnie przestarzałego roku.

### 3

- Będzie dobrze?

Oczy Pavla Mirto błyszczały ironicznie zza okrągłych okularów, podczas gdy Procopiu, w drugim gabinecie, jak zwykle oglądał swoje wąsy, jakby bał się, że znikną ze swojego miejsca:

- Tak, myślę, że Rumunia przypomina orkiestrę, ale nie zagrała jeszcze koncertu, wciąż tylko ćwiczy. A to skrzypek zaskrzypi, a to solista zacznie w złym momencie, a to sekcja dęta coś zepsuje lub dyrygent się rozniewa i zatrzyma muzykę, żeby na wszystkich nakrzyczeć, bezładnie, wszystko jest postrzępione i wciąż zaczynane od początku, ale podczas właściwego koncertu melodia będzie płynąć bez skazy, a aplauz Europy...

- A kiedy będzie ten koncert, panie Procopiu? - przerwał mu Pavel swoim ściszym głosem, pobrzmiwającym tym razem sarkazmem nie na miejscu, ponieważ to on był tu najmłodszy.

- Zanim się ożenisz - odpowiedział lekko poirytowany Procopiu, a po jego ripocie wtrącił się bezpardonowo Peppin.

- Kto? Mój Pavaluca? Żenisz się, chłopcze? - powiedział głosem, który wypełnił gabinet dobrym humorem i z miejsca rozproszył napięcie. - Żebyśmy się dobrze zrozumieli, ja będę pierwszy, zgodnie z kolejnością pojawienia się na świecie, żeby nie doszło do bójki. Starszy brat ma pierwszeństwo.

- Nie - powiedział Pavel surowo, nie unosząc głosu. - Mówimy o przyszłości Rumunii, a pan Procopiu przyrównuje ją tutaj do orkiestry, która robi nieskończone próby.

- A, nie, mnie się zdaje, że to jak gra w bilard u Fiałkowskiego. Uderzasz w bilę nie po to, by ją poruszyć, ale żeby poruszyć inną, każde uderzenie ma ukryty cel, zygzak do wykonania i każdy ruch zachodzi precyzyjnie, jak w kosmicznym mechanizmie, tak też Bóg musi uderzać w światy, kijem. W końcu wygramy, nawet jeśli jeszcze tego nie widać przy naszym stole bilardowym historii.

- Nie - powiedział Pavel tonem równie surowym. - Przypomina raczej rój szarańczy.

- Stado szarańczy - poprawił go Procopiu.

- Chmarę - zaproponował Peppin, doświadczony tłumacz.

- Oj, do diabła! Rój, chmara, cokolwiek! Do niedawna nie wiedziałem, że szarańcza nie lata, tylko skacze, robi ogromne skoki... I pozwala unosić się wiatrowi niczym jakieś szybkie powietrzne statki, nie męczy się i nie sprzeciwia, używa, że tak powiem, wszelkich usług oferowanych za darmo przez naturę.

- Czy chcesz powiedzieć - zaczął Neculai Procopiu lekko przestraszony, ale i zainteresowany naukową stroną problemu - że zniszczymy wszystko jak szarańcza?

- Och, wcale nie, źle się wyraziłem! Wręcz przeciwnie, chciałem powiedzieć, że przychodzą nawałnice i nie mamy jak się im opierać, siła wielkiej historii jest nieporównywalna w stosunku do naszej odporności, a to odnosi się też do życia prywatnego. Na każdej stronie historii świata i my robimy skok, nie kontrolując się, a naszą jedyną szansą jest pozwolić się unosić, właśnie tak, ale wykorzystując jak najlepiej wiatr zdarzeń, żebyśmy nie zostali na ziemi, w tyle. Żebyśmy dopasowali się do szybkości czasu, czasów, lepiej to ujmując. Żebyśmy się dopasowali, a nie opierali.

- Tak, to interesujące - przyznał spokojniej pierwszy redaktor - i ja mogę się pod tym

podpisać, szczególnie w przychylnych czasach. Ale teraz goni nas czas, nie czasy, powinniśmy zająć się numerem noworocznym. Zobaczmy, co mamy.

Dyskutowali o historii zaginionej ikony, ale nie dysponowali zbyt wieloma danymi, Procopiu zaferował się zbadać sprawę następnego dnia od świtu, a jeśli nie znajdzie nic godnego uwagi, podadzą zwyczajną notkę. Nie mieli też nowin w sprawie Rareę Ochiu-Zanoaga, a święta minęły dość spokojnie, nie było co z tego wyciągnąć.

- Podales wyniki loterii? - zapytał Peppin spokojnie, ponieważ ani on, ani Pavel nie grali.

- Tak, podamy jutro, ja nie wygrałem, co mam powiedzieć, nawet się tego nie spodziewałem... Było mało ludzi, bo i pogoda brzydka, losowanie nie odbyło się w Ciemigiu, jak planowano, ale w hotelu "Bulevard". Wydanie będzie dość cienkie - zatroskał się pierwszy redaktor, na co Pavel wzruszył ramieniem, a Peppin dwoma.

Wzięli z wielką ostrożnością klisze, które Marwan przyniósł do opublikowania w *Naszej ilustracji* - dogadali się nareszcie w kwestii zapłaty - były rzeczywiście bardzo dobre, niemal nie liczyło się, co obok nich napiszesz, więc jeśli do jutra nic się nie wydarzy, uratuje się ten numer fotografiami i wierszami satyrycznymi Mariona (kolegi Dumitru-Marinescu). Pavel wyciągnął okulary dla krótkowidzów i popatrzył z uwagą na obrazki. Jeden przedstawiał Calea Victoriei widzianą góry, z piętra teatru, i był zrobiony, kiedy padał śnieg, można było rozróżnić poszczególne śnieżynki, niczym białe kuleczki, z powozami i ludźmi pomniejszonymi z tej perspektywy. Drugi był zrobiony podczas ładnej pogody, w słoneczny dzień, niedaleko redakcji gazety "L'Independance Roumaine", której cała trójka z "Universul" zazdrościła technologii - wszystkie maszyny zostały sprowadzone z zagranicy i gazeta wyglądała jak "Le Figaro".

- Czy to nie pan Costache Boerescu? - zapytał Peppin i zaczął się śmiać.

- We własnej osobie, Marwan też zwrócił mi na to uwagę, kiedy je przyniósł.

- Będzie miał niespodziankę - zaśmiał się cichutko Pavel.

- I to jaką!

Dwie z rybitw, które krążyły zazwyczaj nad Dymbowicą, dotarły do okna pana Costache Boerescu w Prefekturze Policji. Były ogromne i szybowały wspólnie z niesamowitą harmonią ruchów, jak gdyby ktoś pociągał w tym samym czasie za niewidzialne sznurki. Spoglądał na nie z melancholią - pewnie nie będzie nigdy, z nikim, w podobnej uspokajającej harmonii. O parach wokół wiedział zazwyczaj więcej, niż by chciał. Z reguły lubił bardziej jedną z osób, ale - jak mawiał Peppin Mirto - małżeństwa bierzesz w pakiecie, nie ma na to rady. Byli i tacy, którym szczerze zazdrościł, ponieważ machali skrzydłami i zmieniali kierunek lotu dokładnie w tej samej sekundzie, i taką parą była Agata i Leon Margulisowie. Czy i on mógłby kiedyś z nią poszybować? Jak wyglądałoby jej życie, gdyby go wybrała? Czy nie byłaby szczęśliwsza? I co stałoby się z jego życiem, gdyby Iulia...

- Przyszedł pop z cerkwi Ikony - oznajmił przodownik.

Wstał, żeby go przyjąć.

Dzień wcześniej, jeśli mamy być szczerzy, z powodu zamieci niewielu ludzi pofatygowało się do cerkwi. Epiharia, która wszystkich parafian znała z imienia lub chociaż z widzenia, zdziwiła się widokiem szacownego mężczyzny, z laską o srebrnej gałce w formie dzioba, który nigdy wcześniej nie postawił tutaj stopy - to z pewnością! Zawiesił płaszcz na wieszaku nad ostatnią ławką i słuchał spokojnie niedzielnej liturgii po Narodzeniu Pańskim. Nie sprawiał wrażenia, aby myślał o świętościach, spoglądał na ściany, głąskał drewno oparcia ławki, chociaż ksiądz, widząc go, natychmiast się ożywił i tak pięknie opowiadał o ucieczce do Egiptu, jak gdyby sam w niej uczestniczył, oraz o tym, jak anioł nakazał Józefowi wziąć "dziecię i Jego matkę", aby uniknąć gniewu Heroda: "Płacz i jęk wielki... Rachela oplakuje swe dzieci i nie chce utulić się w żalu, bo ich już nie ma"[53]. Epiharia przetarła oczy i nie mogła podejrzewać, widząc, że nowo przybyły spogląda na nią tylko raz po raz, że powodem, dla którego znalazł się w cerkwi, była jej niepozorna osoba. Wyszła ostatnia, jak zawsze, a przed nią ojciec z córką, on zrobił duży znak krzyża dużą dłonią, a dziewczynka, w tym samym czasie, mały krzyżyk małą rączką, i Epiharia spojrzała na nich z miłością. Obok drzwi stał nowo przybyły, przywitał się i chciał porozmawiać, co za szczęście, że podszedł do niej również ksiądz, wesoły, dobrze zrobił, ponieważ zmieszała się, a jej twarz stała się szkarłatna aż po dołeczek w brodzie. Od słowa do słowa, a zaczynając od Dana Cretu, z którym nie tak dawno była sama w cerkwi, okazało się, że pan nowo przybyły, który był kierownikiem bezpieczeństwa publicznego, dowiedział się o zaginionej ikonie czegoś, co go interesowało. Pop zaproponował, że będą kontynuować dyskusję następnego dnia, ponieważ teraz oczekuje go małżonka, jest cierpiąca.

- Proszę usiąść tutaj, obok ognia - powiedział Costache, zapraszając go na ulubiony fotel, w którym jeszcze niedawno siedziała Iulia. - Życzy sobie ksiądz herbaty? Jestem bardzo ciekaw, co może mi ksiądz powiedzieć o tej ikonie, która, o ile dobrze zrozumiałem, wywołała ogromne poruszenie całego duchowieństwa. To, czego nie rozumiem, to jak może dojść do zniknięcia ikony i dlaczego natychmiast nie zgłoszono tego policji.

Ksiądz rozsiadł się radośnie w pobliżu ognia. Jak wszyscy ludzie, którzy zmuszeni są długo stać w bezruchu, miał duże problemy z plecami. Mówiąc dużo i szybko, czego Costache nie spodziewał się po duchownym, i starannie dobierając słowa, czego można się już było spodziewać, wyjaśnił mu kilka kwestii. Gospodarz zanotował je na kartce, w skrócie:



Cudowna Ikona z monasteru Sarindar. Cechy charakterystyczne: diamentowe gwiazdy na ramionach. Podczas wyburzania monasteru (1893) zabrał ją późniejszy (dziś już były) metropolita Ghenadie.

Po tym, jak wybuchł skandal, w wyniku którego metropolita został wyprowadzony siłą z mieszkania, ikona znajdowała się, jak się zdaje, w kasie pancерnej. Ale równie dobrze mogła zostać już oddana komuś innemu.

Metropolita, przebywający obecnie w Caldaruęani, oskarża odpowiedzialnych za wyprowadzenie go o kradzież kasy z ikoną, ci z kolei zaprzeczają i odrzucają oskarżenia.

Ikona, ze względu na ogromne diamenty, ma nieocenioną wartość. Gazety oraz żeńska część społeczeństwa były po stronie metropolity, uznając go za niewinnego, chociaż został skazany przez Synod.

- A wasza świętobliwość jak uważa? - pan Costache starał się mówić, jak należy. - Czy ukradł ją metropolita?

- Nie grzeszmy słowem, obrzucając błotem służbę Cerkwi - odpowiedział surowo ksiądz. Potem dodał szeptem, rozglądając się wokół, aby nikt inny nie usłyszał - Jestem po stronie Wielce Błogosławionego Metropolity, ale nawet w myślach nie mogę podważać decyzji Synodu. To Zły wetknął tam swój ogon. To raczej ktoś z tamtych, jakiś wasz policjant, przypomina sobie pan, w jakim pośpiechu wszystko się działo, ukradł kasę z pieniędzmi i ikoną. Myślę, że dzisiaj nie ma go już nawet w kraju.

- "Zły"... Poszukamy go!

## 5

Bliźnięta walczyły z jajami na miękko i umorusały sobie buzie żółtkiem.

- Kiedy przyjdzie nowy rok? Chcę go już zobaczyć! - powiedział Stefan, wspierany, jak zawsze, przez siostrę, która z pełnymi ustami energicznie skinęła głową.

- Zawołaj go, to przyjdzie!

To dlatego kochali bardziej wuja Alexandru od wuja Mięu - zawsze ich rozochocał zamiast uspokajać. Stefan uznał, że pozwolono mu tym samym krzyczeć na całe gardło:

- Roku, roku, przychodź szybciej!

Mama podskoczyła i zbeształa chłopca, a widząc jego zdumioną buźkę, zapytała nieco łagodniej:

- Kto jest niegrzeczny?

- Anica - opowiedział natychmiast chłopiec.

- A ty jak masz na imię?

- Anica - powtórzył.

Rzeczywiście, z lokami i bladymi policzkami mógł uchodzić za swoją siostrę. Marioara odesłała ich z boną, ponieważ i tak już nie jedli, a ona chciała omówić przygotowania do Nowego Roku.

Trójka rodzeństwa ostatni raz jadła sama śniadanie w dzieciństwie, kiedy rodzice wyjeżdżali w długie podróże za granicę i zostawiali ich pod opieką guwernantki. Widać, że płynęła w nich ta sama krew, ponieważ i Mięu, i Alexandru, i Marioara byli pogodnego usposobienia, chociaż nie mieli ku temu zbyt wielu powodów. Mięu narzekał, że zostały mu tylko dwa dni pobytu w domu i że niczego się podczas wakacji nie nauczył, z wyjątkiem praktyki na ramieniu pana Cretu po jego mile widzianym wypadku na lodzie. Marioara zastanawiała się nieco teatralnym głosem, chociaż to, co mówiła, płynęło z duszy, czy znajdzie jeszcze kiedykolwiek mężczyznę, który zechce ją z trójką dzieci, z których dwójka, bliźnięta, są tak niegrzeczne, że "przegonią każdego absztyfikanta", a Alexandru powiedział, że jest zaniepokojony i zakochany:

- Wielka mi nowość - powiedzieli niemal jednym głosem Marioara i Mięu.

Siostra nalała kawę z zastawy Limoges, której kawiarka, cukiernica i filiżanki miały tak wygięte uchwyty, jeden w kierunku drugiego, że wyglądały, jakby plotkowały, a kawiarka i cukiernica wręcz jakby tylko w swoim towarzystwie - pewnie obgadywały którąś z filiżanek.

- W kim? - zapytała Marioara, niezbyt zainteresowana.

Była zmęczona zaprzyjaźnianiem się z paniami i pannami, które przedstawiał jej Alexandru, a potem, kiedy je porzucał, pocieszaniem ich lub unikaniem. Lepiej, żeby nawet nie wiedziała. Zamiast odpowiedzieć, Alexandru się skrzywił:

- Tym razem jest inaczej!

- Wielka mi nowość - wykrzyknęło starsze rodzeństwo.

- Teraz to *ja* się boję. Myślę, że już ją straciłem. Iulia Margulis.

Marioara zmarszczyła brwi, imię coś jej mówiło, ale nic dobrego, przypomniała sobie małą, nijaką istotę, ubraną raczej ubogo, która była u nich na przyjęciu Mięu. Rzeczywiście, jej brat dość dużo się nią zajmował, co ją dziwiło, zazwyczaj zajmował się najpiękniejszą i najbardziej elegancką zaproszoną. Powiedziała jednak:

- Tak, przypominam ją sobie, jest istotą... - szukała z trudem odpowiedniego słowa

- delikatną. Alexandru spojrział na ziemię, a jego siostra ze zdziwieniem zauważyła, że się zarumienił.

- Ciężko jest rozmawiać z innymi o kimś, na kim ci zależy, mnie jest bardzo ciężko. Bo spodziewasz się, że inni zaczną dzielić się swoimi uwagami. Jeden mówi, że jest taka, drugi, że siaka, jeden, że mądra, drugi, że głupia, że ma zbyt kręcone włosy, że nie ma gustu albo że mówi przez nos, i powoli gaszą cały jej blask. Pewnego razu Iancu, specjalizujący się, jak wiecie, w dość obrzydliwych kwestiach, aby "uratować" mnie przed zamężną kobietą, bez której zdawało mi się, że życie straci swój aromat, tak mi ją opisał, między dwoma kieliszkami i między dwiema... świniami takimi jak my, kawałeczek po kawałeczku: usta ma jak szczupak, nos ma garbaty, oczy ma jak glony, owal twarzy za mały, tylną krągłość za wielką, że...

Marioara i Misu przerwali mu:

- Ja cię tego nie uczyłem - powiedział drętwo Mięu, a Marioara dodała:

- I nawet nas to nie obchodzi! Żal mi cię, gdzie ty masz rozum? Iancu to osioł, tak jak powiedziałeś. Chociaż ma swój urok - nie mogła się powstrzymać, aby tego nie dodać.

- Powiedziałem, że Świnia. Ale wyświadczył mi przysługę, bo się od niej uwolniłem! Nie chciałbym, żeby ktokolwiek wyświadczył mi podobną przysługę z Iulią. Gdybym mógł, zabrałbym ją od ludzi i tak gdzieś schował, żeby nikt o niej nie wiedział.

- A zapytałeś, czy ona by tego chciała? Zresztą porwania nie są już modne, urodziłeś się za późno.

- Wiem.

**WTOREK, 30 GRUDNIA**

Czas stoi w miejscu

# 1

Czegoś takiego nie spodziewałam się w środku zimy. Znalazłam w pokoju ogromnego komara, myślę, że to ojciec wszystkich komarów, założyciel i głowa rodu. Kiedy indziej zabiłabym go bez zastanowienia, teraz - widać, że jestem starsza o rok - zostawiłam go w spokoju. I tak wyglądał na zmęczonego, jak podróżnik, który chce tylko położyć głowę na czystej poduszce i dać odpocząć nogom. Może jest w noworocznej podróży. Udostępniam mu wszelkie dobra i wygody. Jest wieczór, jest przytulnie, ciasto na talerzu leżącym na stole pachnie goździkami i cynamonem, wszystko jest kolorowe, tak jak chciałam - tapeta i draperia są jasnożółte, wpadają w rdzawy odcień, dywan w kwiaty ma ten sam kolor między zielonymi girlandami, fotel i kanapa są oliwkowozielone, jedynie narzuta na łóżku niezbyt pasuje, powinnam ją zmienić, ale zrobię to, gdy będziemy mieli pieniądze. Jakby nie istniało *na zewnątrz*, jakby istniało tylko *wewnątrz*.

Dzisiaj przez cały dzień byłam rozstrojona wiadomością, która spadła na nas jak grom z jasnego nieba. Biedna Safta przeczytała w "Universul" (zbiera gazety do wycierania okien po tym, jak je przeczytamy), że jeden ze szwagrów - jej rodzina pochodzi z Boheni w Oltenii - został pogrzebany żywcem pod kamieniami. Ja zabroniłabym podobnych wiadomości, gdybym tylko mogła! Opisali wszystko, nie szczędząc szczegółów: jak nieszczęśnik udał się z kilofem do kamieniołomu, skąd brali materiał na budowę szkoły w dzielnicy Cetate. Więcej nie będę przytaczać. Cierpienie rodziny obszernie komentowano; co też musiała poczuć Safta, kiedy przeczytała wiadomość! Papa oczywiście natychmiast dał jej pieniądze na podróż, ponieważ jedzie tam jutro, w Nowy Rok, dał jej też od razu środek uspokajający, była w strasznym stanie, dusiła się płaczem, myślałam, że i ona umrze, dwa razy zemdlą. Nikt nie powinien przechodzić przez coś podobnego, nigdy! Nawet kiedy słyszysz o czymś takim od drugiej osoby, jak obca by ci nie była, boleśnie odczuwasz cios. Dlaczego na świecie dzieją się takie okropności? Kręci mi się w głowie, gdy o tym myślę i próbuję to pojąć, dzisiaj musiałam się nawet położyć, źle się czułam. Szczytem wszystkiego jest to, że kilka dni temu przeczytałam w "Universul" artykuł o prawie takim samym tytule, ale żartobliwy: *Pogrzebani w dolarach*. Była tam mowa o dwóch pracownikach mennicy w Filadelfii, którzy - jak pisano - "ledwie uszli cało". Wysłano ich, aby skontrolowali depozyt z pieniędzmi i sprawdzili, czy znajdują się w nim dwa miliony dolarów. Nawet nie potrafię wyobrazić sobie tylu pieniędzy, brzmi to jak baśnie orientalne. Kiedy unieśli worki, płótno trzasnęło, podarło się i "zaczęło sypać dolarami" na stopy pracowników, którzy - jak pisano - po krótkiej chwili zostali zakopani w srebrnych monetach aż po pas. Przyszli, piszą, strażacy i uratowali ich przed niechybną śmiercią. Morał był taki: "to prawda, że pieniądze dają szczęście", ale nie umierajmy nimi zasypani. Historia bardzo mi się spodobała, powinni przeczytać ją wszyscy chciwcy. Papa mówi, że *argirofilia*, czyli chciwość, to choroba i podaje za przykład poprzedniego metropolite, Ghenadie. Papa z pewnością na nią nie choruje, ba, wydaje mi się, że cierpi na jej zupełne przeciwieństwo. Jak można by je nazwać? *Argirofobial A propos*, przeczytałam w gazecie, jakie numery wygrały na loterii. Ja trafiłam tylko numer dwanaście, a Vasilica dwadzieścia jeden, więc żadnej z nas się nie udało. Ale wydaje mi się to teraz nieistotne.

Wczoraj wieczorem, po raz pierwszy, zapomniałam pójść do Jacques'a i powiedzieć mu dobranoc, jak to robimy, odkąd ledwo zaczęłam stawać na nogach, dreptałam na bosaka do jego

kołyski, chociaż papa nie pozwalał mi go dotknąć. Boję się, że stanę się egoistką, oto defekt, którego jeszcze nie posiadam.

Może z powodu Safty - czuję, że pęka mi przez nią serce - a może i dlatego, że mam sińce na duszy, zdecydowałam się nie iść nigdzie w Nowy Rok. Szkoda mi tylko Jacquesa, wiem, że cieszyłby się, gdybym też poszła. Dlaczego nie miałabym spędzić noworocznej nocy, śpiąc? Coraz bardziej doceniam sen i jestem coraz częściej senna. Mimo to, mimo tego wszystkiego, co tu opisałam, mam schowane głęboko w duszy poczucie zadowolenia. Wszystko wydaje mi się bardzo ciekawe, szczególnie to, że żyję!

Widać, że istnieje Bóg dziennikarzy, nawet jeśli wyobrażają go sobie jako jakiegoś inżyniera-mechanika w białym fartuchu, sabotowanego co chwilę przez diabła, również ubranego w roboczy fartuch, ale czarny i, przede wszystkim, z dziurą u dołu pleców. I ten właśnie Bóg dziennikarzy sprawił, że pan Neculai Procopiu cały poranek spędził na czytaniu kolekcji gazety "Universul" z maja 1896. Tak się zdarzyło, że była akurat pod ręką. Pani Procopiu chciała skorzystać z rzadkiej okazji, kiedy jej mąż nie opuszcza o świcie małżeńskiego gniazdzka, i objęła go ramionami wraz z oparciem krzesła, pełna czułości zimowego poranka, w ciepłym domu, z drewnem leniwie trzaskającym w piecu i aromatem kawy w pokoju. Ale jej mąż był w stanie, który nie pozwalał mu na marzycielstwo. Delikatnie odsunął jej ręce, całując zagłębienie dłoni, i zatopił się w ponownym czytaniu wiadomości o metropolicie Ghenadie. Pani była oczywiście po stronie zdjętego ze stanowiska metropolity, ale ona miała serce również w głowie, nie tylko w piersi. Przez to serce zdarzało jej się nie myśleć trzeźwo. Jeśli chodzi o niego, był z natury nieufny i nie dawał się zwieść szczegółom. Artykuły były napisane przez dwóch redaktorów, których nie było już w gazecie, nie wiedział, jak się teraz naprędcie z nimi skontaktować, najprawdopodobniej wyjechali na święta, a czas go naglił. Zrewidował fakty.

17 maja: członkowie Świętego Synodu zbrali się "na zaproszenie Ministerstwa Wyznań Religijnych". Archijerej Atanasie Craioveanul przeczytał akt oskarżenia metropolity o grzech argirofilii, hierosylii i symonii, na co zaszeleściły brody i szaty sędziów oraz rozległ się pełen lęku szmer. Sam Procopiu dodał w nawiasie, dla czytelników, wyjaśnienie tych słów: nadmierna miłość pieniądza, świętokradztwo i handel dobrami duchowymi, karane pozbawieniem święceń i ekskomuniką. Jednogłośnie postanowiono oddać go pod sąd. "Mianowane zostaje zastępstwo oraz komisja złożona z trzech nuncjuszy apostoelskich mających przesłać mu trzy wezwania kanoniczne". Gazety miały ogromny wpływ na tę decyzję przez "wystosowanie poważnych zarzutów wobec Wielce Błogosławionego Ghenadie".

18 maja: ogłoszenie dekretu o zawieszeniu. Tego samego dnia "Dreptatea" rozpoczyna wymierzoną w rząd, "niezwykle agresywną" kampanię na rzecz metropolity. Wszystkie opozycyjne gazety robią to samo.

19 maja: w sali Dacia N. Flewa założyciel gazety "Dreptatea" i jego przyjaciel, Nicu Filipescu, organizują pierwsze spotkanie wspierające metropolitę, będą miały miejsce i kolejne, coraz bardziej burzliwe. N. Flewa jest również adwokatem metropolity.

20 maja: Wielce Błogosławiony Metropolita Prymas Ghenadie Petrescu, otrzymawszy trzy wezwania kanoniczne, stawia się przed Świętym Synodem w towarzystwie adwokatów N. Filipescu i C. Dissescu, którzy nie zostają jednak wpuszczeni na salę, ponieważ ich obecność jest niezgodna z prawem kanonicznym, jako że sąd Synodu jest "raczej intymną spowiedzią, a nie sądem publicznym". Metropolita odrzuca zarzuty i wręcza Synodowi pisemny sprzeciw, po czym wychodzi. Synod rozpoczyna obrady, "odrzuca argumenty obronne, uznając je za nieuzasadnione" i skazuje metropolitę na "utrata łaski kapłaństwa" i "pozbawienie godności metropolity", ten zaś zostaje zwyczajnym mnichem w Caldarușeni pod imieniem zakonnym Ghenadie Petrescu.

24 maja: Procopiu podkreśla ten dzień, uznając, że to tutaj znajduje się klucz wszystkich wydarzeń. Jak podczas dziecięcych zabaw, czuje, że zbliża się do szukanego obiektu i słyszy

okrzyk: "Gorąco! Gorąco!" Popija kawę, która wystygła, i czyta ponownie wiadomości z dnia wyprowadzenia Ghenadie z pałacu metropolitalnego, około godziny siódmej wieczorem. Obecni są dwaj członkowie Synodu, Silivestru i Gherasim Timus, pan Sara^eanu, który jest prokuratorem generalnym Sądu Apelacyjnego, prokurator okręgu Ilfov Lilovici, Paul Statescu, ten, który był prefektem policji przed Catonem Leccą, sekretarz generalny Ministerstwa Wyznań Religijnych Stefan Sihleanu, jeszcze jeden dyrektor z tego ministerstwa - Dragomir Dumitrescu i "funkcjonariusze bezpieczeństwa publicznego". Metropolita nie chciał ich przyjąć, mówiąc, że jest chory. Weszli siłą, odczytano wyrok i nakazano mu udać się *natychmiast* do monasteru Caldaruęani. Metropolita kwestionował "zasadność wyroku Synodu" i był popierany przez Lascara Catargiu, szacownego byłego premiera, oraz Nicu Filipescu. Weszli, popychając laską policjantów stojących przy drzwiach. "Prokuratorzy użyli siły dozwolonej im przez prawo, nakazali opróżnić *safey* i zmusili metropolitę do wyjazdu, wsadzili go do powozu, wywieźli przez podwórze bramą wychodzącą na Filaret, a z Bukaresztu wyjechali roгатką Serban-Voda, gdzie prefekt policji stołecznej przekazał go panu Dobrescu, prefektowi okręgu Ilfov, który zawiózł go do Caldaruęani, gdzie dotarł bez problemów o godzinie pierwszej w nocy". Fleva zgromadził w międzyczasie protestujących, ale przybyli za późno.

Po tym, jak gazety opozycji i żeńska część społeczeństwa wykrzyczały chórem sprzeciw wobec brutalności tego wygnania, stając zdecydowanie, pomimo wyroku Synodu, po stronie metropolity, i po tym, jak żony ministrów ośmieliły się wystąpić publicznie przeciw swoim mężom, po tym, jak Fleva i Filipescu zorganizowali zgromadzenia, "zakończone wybuchem zajadłych walk na laski i krzesła, podczas których raniono wielu uczestników i wybito wiele szyb", a "walczących musiała rozdzielić policja", mnicha Ghenadie z Caldaruęani znów widziano w dobrym humorze, uśmiechniętego, a może nawet śmiejącego się w kułak. Kilka dni później, jakby symbolicznie, zmarł Baronsi, autor powieści *Tajemnice bukareszteńczyków*.

Procopiu wydawało się, że śni - przecież to tutaj, w tym fragmencie, znajduje się odpowiedź! Podkreślił czerwonym ołówkiem: "prokuratorzy nakazali opróżnić *safey*". *Safy czy safey?* Miał sobie za złe, że wcześniej nie zadał tego pytania, jego redaktorzy byli bardzo nieuważni, dobrze, że odeszli. Nie, musiało przecież chodzić o "safey", czyli sejfy z pieniędzmi, inaczej napisaliby "pokoje" lub "pałac metropolitalny". Zawołał żonę i przedstawił jej swoje rozumowanie. Ikona, którą metropolita trzymał zapewne w jakimś sejfie, została zabrana w dzień wygnania przez jednego z ludzi prokuratora. Trop prowadzi więc do bardzo wysoko postawionych osób. Wyszedłby z tego znakomity artykuł na pierwszą stronę! Ale żona nie była pod wrażeniem jego wniosków i rzekła:

- Skąd wiesz, że nie zniknęła wcześniej? Jeśli metropolita został słusznie oskarżony o symonię, w co osobiście nie wierzę - dodała pospiesznie - być może właśnie sprzedaż ikony wszystko zapoczątkowała.

No proszę, nie miała już serca w głowie i osądzała wszystko na chłodno, podczas gdy on aż się rozpalił. Być może to dlatego, że mroziła krem cytrynowy przygotowywany na ostatni dzień roku.

Przyszła służąca z zaproszeniem.

- Zobacz tylko - powiedziała pani Procopiu - jesteśmy zaproszeni, razem z twoimi przyjaciółmi, braćmi Mirto, na wieczór noworoczny do rodziny Livezeanu! Tylko czemu tak na ostatnią chwilę?



### 3

Tym razem brzuch pana Cercela obudził się pierwszy. Portier od razu ocknął się z lekkiego snu, zadając sobie pytanie, co to za dźwięk, po czym, uprzytomniwszy sobie, że to *on go obudził*, że hałasuje, tak samo jak jego córki, kiedy były dziećmi ssącymi pierś i dopominały się u mamy swojej porcji mleka, uspokoił się i znów zaniepokoił. Postanowił ponownie, że wybierze się do doktora Margulisa, chociaż obawiał się jego diagnozy. Oby tylko nie poszedł pod nóż! Zresztą zrobi to po Nowym Roku, teraz nie jest dobry moment. Potem, żeby odegnać złe myśli, powiedział:

- Dzisiaj poznamy wyniki loterii! Co zrobimy, jeśli wygramy?

Odkąd żona słyszała ciepłe i pieszczotliwe słowa męża, które oczywiście uznawała za skierowane do siebie, stała się miłsza i nie była już tak opryskliwa jak wcześniej. Odpowiedziała mu swoim głosem z czasów młodości, że chciałaby mieć powóz i piękne konie z elegancką uprzężą, jakie mają ci z dobrego towarzystwa, i chociaż jednego-dwóch służących do pomocy w domu, jest cała obolała i nie może już wszystkiego robić sama: pracować, prasować, ścierać kurze, zajmować się ogródkiem warzywnym, przerzucać nawóz, macać kury, gotować, nakrywać do stołu, zbierać ze stołu, sprzątać, aby dom lśnił, i kiedy myśli, że skończyła, zaczyna wszystko od nowa, jak gdyby... Pan Cercel przerwał:

- Ja chciałbym powiększyć gołębnik, dokupić gołębi i wyposażyć Nicu albo posłać go do dobrej szkoły, bo przecież ma jedną trzecią udziału w naszym losie.

- Nie dziel skóry na niedźwiedziu, idź lepiej do roboty, a jeśli wygrasz, nawet tam nie zostawaj, nie będzie już potrzeby, wracaj szybko i daj mi znać.

W tym momencie pan Cercel poczuł wewnątrz straszliwe ukłucie i zakrył brzuch obydwoma rękami, wydając z siebie jęk, jak gdyby się zakrztusił.

- Kobieto!

- Nie ma mnie w domu - zażartowała, ponieważ myśli o koniach i służbie wprawiły ją w dobry humor.

- Nie wybieram się dzisiaj do pracy, idę do doktora - powiedział mężczyzna ściszonego głosem. - Z moim brzuchem chyba nie jest dobrze.

Kobieta bardzo się przestraszyła. Dała mu najlepszą bieliznę z szafy, gdzie wszystko było ułożone równo niczym w wojsku, po czym wzięła niedzielne ubranie i pomogła mu się ubrać. Portier wyszedł, trzymając się za brzuch i pojękując.

\*\*\*

- Doktorze, źle ze mną? Pójdę pod nóż?

Pan Cercel leżał na łóżku przykryty ceratą z gabinetu doktora Margulisa. Lekarz przyjął go natychmiast, bez kolejki, widząc jak trzyma się za brzuch. Na początku zadał mu niezliczoną liczbę pytań, o choroby przebyte w dzieciństwie, jak je i ile pije, w jaki sposób, jak bardzo i od jak dawna go boli. Poprosił potem, aby zdjął ubranie, i koszulę, i flanelowy podkoszulek, i położył się na łóżku. Zaczął delikatnie uciskać ręką, pytając ciągle: "Boli?", "A tutaj boli?". Potem masował okrężnymi ruchami jego brzuch, który uspokoił się jakby dzięki czarom.

- To coś poważnego, doktorze? - zapytał pan Cercel, krztusząc się.

- Na razie nie mogę tego dokładnie określić, dowiemy się za kilka tygodni. Nie wygląda mi to na żaden... nic niepokojącego. Dobrze zrobiłeś, że przyszedłeś natychmiast.

Po czym nastąpiły liczne wyjaśnienia, z których portier nic nie zrozumiał, a nieznane słowa go przeraziły; doktor zaczął w końcu znowu mówić po ludzku i pouczył go łagodnie, jak ma od tej pory postępować:

- Przejdź na dietę. Koniec z twoją śliwownicą, nawet jeśli jest wyborna, z kwaśnymi zupami żony, z czosnkiem, cebulą i pieprzem, surowych warzyw i owoców też ci nie wolno. Ani chleba świeżo wyciągniętego z pieca, im bardziej jest czerstwy, tym jest zdrowszy. Jedz za to oliwę, gotowane mięso, parzone warzywa z masłem. Jajka na twardo albo na miękko. I widzimy się za dwa tygodnie. Możesz spokojnie wrócić do pracy.

Pan Cercel ruszył ożywiony na piechotę w kierunku ulicy Brezoianu numer 11. Nawet dobrze nie porozmawiał z panem doktorem, a już czuł się prawie zdrowy, powinien sprezentować mu gąsior śliwownicy, skoro i tak nie wolno mu już zamoczyć w niej ust. Ale czy doktorowi Margulisowi wolno?

Z radości i troski zaczął mówić do siebie, jak wariaci.

Przynieśli nowy numer gazety, ale pan Cercel jej nie otwierał. Niech przyjdzie Nicu, to we dwójkę sprawdzą numery loterii.

## 4

"\_98.38.51" - powtarzał sobie Nicu, mijając z naprzeciwka spiżowego żołnierza z "L'Independance Roumaine" i dzwoneczki, które właśnie teraz zaczęły dzwonić, jakby chciały przekazać mu radosną wieść.

Dalszą część drogi pokonał, raczej lecąc, aniżeli idąc, i kiedy tylko wszedł, jak zawsze, drzwiami na lewo, gdzie było napisane *Redakcja i administracja*, spojrzął uważnie na pana Cercela, aby wyczytać z jego twarzy, czy się im poszczęściło. Ale nic nie można było odczytać, portier jakby się śmiał i płakał jednocześnie, nic nie można było zrozumieć.

- Wygrał pan?... Wygraliśmy? - zapytał Nicu, a z emocji nie dobierał słów tak jak zazwyczaj.

Portier sięgnął powoli po gazetę. Jego twarz od razu się rozjaśniła i zaczął się śmiać, a Nicu nie mógł uwierzyć w to, że jego marzenia tak łatwo się spełniają - skoro się śmieje, to znaczy, że na pewno wygrali. Ale zamiast numerów loterii portier pokazał mu dużą fotografię. Była to Calea Victoriei - którą codziennie szedł - w słoneczny dzień, z dorożkami, powozami i długimi soplami zwisającymi z domów. Nieco poniżej budynku gazety "L'Independance" znajdował się człowiek, o, rozpoznał go, to był pan Costache, dumny, grożący uniesioną laską. A po drugiej stronie, między powozami, uciekał przestraszony chłopak, gotów wpaść pod końskie kopyta. Widać było też woźnicę z otwartymi ustami, ściągającego lejce. Nicu nigdy nie widział na zdjęciu całej swojej sylwetki i był wręcz oburzony. Wyglądał na małego obdartusa, a jego śliczna czerwona czapka była na zdjęciu popielata. I nie przypominał sobie, żeby był tak przerażony, jak to wyglądało na fotografii. Prawie popłakał się ze złości, podczas gdy pan Cercel był w bardzo dobrym humorze. Portier zabrał mu z ręki gazetę, aby poszukać wyników loterii, spoglądał z uwagą na każdą stronę, trzymając coraz dalej od oczu te cztery kartki zapisane drukiem ściśniętym i drobnym, podczas gdy Nicu czytał zupełnie inaczej, zbliżając wzrok coraz bardziej, jakby chciał wejść w gazetę, tam, w miejsce zdjęcia. W końcu to pan Cercel znalazł wyniki i przeczytał:

- 12.21.20. To nie nasze. No spójrz, z tyłu liczb wszystkie są z dwa i jeden. Ja miałem dziewięćdziesiąt osiem, czyli nadchodzący rok, trzydzieści osiem, czyli rok moich urodzin, i pięćdziesiąt jeden, rok urodzin mojej żony. Ale pomyliło mi się, powiedziała mi wczoraj, że jest z pięćdziesiątego drugiego, tak jak Teatr Wielki.

- Może nie powinniśmy dawać tylko lat, nie wszystkie lata wygrywają. Może numer domu?

Portier powiedział, że są w życiu ważniejsze rzeczy, na przykład zdrowy brzuch.

- Co u Pstrokatej? - Nicu poczuł, że powinien o to zapytać, chociaż - odkąd postanowiła go opuścić - już jej nie kochał.

- Je, pije, załatwia się i przesyła ci pozdrowienia.

Ale chłopca nie obchodziły jej pozdrowienia i sprawy, które należały już do przeszłości. Obchodziło go jego noworoczne życzenie. A ponieważ życzenia się spełniają - wiedzą to wszyscy chłopcy - trzeba obchodzić się z nimi bardzo ostrożnie, jak w historii o złotej rybce, żeby nie zmarnować swojego szczęścia. Pan Peppin przyniósł mu przesyłki, a Nicu zabrał je od razu, spiesząc się jak nigdy. Do końca roku został jeszcze jeden dzień i jedenaście godzin.

Generał Algiu był na podwórzu i usiłował tresować swojego charta. Na śniegu pełno było śladów czworonoga. Pan Costache zobaczył go już z dorożki, płot nie był wysoki, Algiu nie obawiał się złodziei. Generał także wyczuł jego przybycie, choć stał odwrócony plecami, ponieważ odwrócił się nagle i pod jego białymi wąsami pewnie pojawił się uśmiech, chociaż pozostał niewidoczny.

- Przepraszam najmocniej, pańskie zaproszenie odebrałem dopiero w niedzielę o północy, kiedy wróciłem z opery, a wczoraj byłem w Giurgiu.

- Co grali w operze?

- *Rigoletto* z panną Olimpią Marculescu w roli Gildy. Czegoś takiego jeszcze nie widziałem, istna burza owacji i kwiaty niczym w maju, nie w grudniu.

Generał zauważył, mimochodem, że nie powiedział mu, kto grał *Rigoletta*, tylko *Gildę*, i zaprosił go do środka. Borzój przecierał im szlak, odwracając głowę, aby zobaczyć, czy za nim podążają.

- Rozwikłałem szaradę, ale nie rozwikłałem tajemnicy - spieszenie powiedział pan Costache z kawą *a la Marghiloman* w rękę. - Dowiedziałem się przy okazji, że logika jest niczym trening, ale wynik walki wciąż trudno kontrolować, dopiero tam znajduje się prawda...

- Nie lubię filozofować, Costache, ale nie rozumiem, czym jest prawda, skoro i ty wiesz, że dla każdego prawda przybiera inną postać.

- Zaczynam wierzyć, że istnieje coś ponad nami i być może ludzie ubodzy w duchu są bardziej wrażliwi, lepiej przygotowani na to zbliżenie aniżeli ci o żelaznej logice, która oddziela ich...

Nie dokończył myśli, ponieważ borzój skoczył mu na kolana. Generał z trudem go odciągnął i zachęcił przyjaciela, aby kontynuował. Costache powiedział, że po wielu poszukiwaniach, to tu, to tam, niemal przez przypadek wszystkie tajemnice zaczęły łączyć się z ikoną z gwiazdami na ramionach, która znajdowała się kiedyś w monasterze Sarindar. Po zburzeniu monasteru znalazła się u byłego metropolity Ghenadie Petrescu. Od tego momentu sprawy się komplikują. Może wcześniej, może w dniu wygnania metropolity, podczas zaistniałego zamieszania, ktoś ukraść ikonę. Inna wersja mówi, że Ghenadie oddał ją biskupowi, który zmarł, i tutaj ślady się płaczą. Tak czy siak, ikona znalazła się w sejfie, do którego były co najmniej dwa klucze. Tym, który miał ją z niego zabrać, jako zwykły pośrednik, był Rareș Ochiu-Zanoaga: otrzymał dwa identyczne klucze, każdy umieszczony w zamszowym portfelu. Jeden portfel trzymał u siebie, drugi powierzył, z ostrożności, adwokatowi Movileanu.

Costache przerwał i popił łyk kawy z koniakiem, delikatnie się uśmiechając.

- Zna pan może dobrego adwokata specjalizującego się w rozwodach?

Generał, który zwykł był wysłuchiwać wszystkiego do końca, zanim zadał jakiegokolwiek pytanie, dał dwa znaki, jeden głową, który oznaczał "tak", a drugi prawą ręką, który oznaczał "potem, teraz skończ, co zacząłeś". Costache kontynuował. Z adwokatem Movileanu młody Rareș chciał chyba załatwić sprawy związane z pieniędzmi, których suma z pewnością byłaby pokaźna, gdyby wszystko się powiodło, warto więc było zainwestować. Chciał zdobyć własny majątek, żeby stać się malarzem. Wspomniał o czymś podobnym adwokatowi.

- Reszty dowiedziałem się od Alexandru, syna Hristei Livezeanu.

Generał lekko zmarszczył brwi, a Costache, który znał go od dawna, kiedy ten był jeszcze prefektem, sądził, że rozumie, co chce powiedzieć, jakby słyszał jego myśli: "Ma opinię *coureur*[54], ale nie jest złym chłopakiem. Poza tym przyjaźnię się z jego rodziną".

- Sam mi to opowiedział parę dni temu, kiedy Livezeanu zaprosili mnie do siebie - przerwał, aby westchnąć, i opowiadał dalej bezbarwnym tonem. - Rareę Ochiu-Zanoaga i Alexandru mieli wspólnego znajomego, niejakiego Grigore Cerneę - wczoraj wybrałem się do Giurgiu jedynie po to, aby to potwierdzić. Ten Cernea, mężczyzna w wieku trzydziestu pięciu lat, to podejrzany osobnik, przez jakiś czas był mnichem, potem zrzucił habit i zabrał się za handel dewocjonaliami. Zwykle pod przykrywką, pretekstem były cele charytatywne, ale połowę pieniędzy zagarniał dla siebie. Ikona z Sarindaru nie mogła jednak zostać sprzedana, podobnie jak reszta majątku monasteru. Kiedy Nicu Filipescu zdecydował o wyburzeniu, cały majątek, znajdujący się u różnych duchownych, miał zostać przekazany nowej cerkwi, piękniejszej niż Sarindar, ale nie można było jeszcze wybrać dla niej miejsca. Jak pan wie, plan ten odwleka się *sine die*[55]. Grigore Cernea poprosił Livezeanu, aby spotkał się z pewnym młodzieńcem - chodziło o Rareę - koło lasu Baneasa w piątek, 19 grudnia, o dziesiątej rano, by wziął od niego przesyłkę i przekazał komuś innemu, kogo nazwiska nie znamy. Dopiero Rareę miał je podać Alexandru, podobnie jak miejsce spotkania z tym człowiekiem. Jak widać, Alexandru był jedynie kolejnym pośrednikiem między Rareę i drugim posłańcem. Nie robił tego dla pieniędzy, ale ze względu na przyjaźń z tym Grigore, jak mnie zapewnił. I wierzę mu, między młodzieżą ich pokroju pomoc jest czymś naturalnym. Jest typem człowieka, który wplątuje się w różne podejrzanе historie, wierząc, że dokonuje wielkich i pięknych czynów.

Pan Costache właśnie westchnął, spoglądając z zazdrością na charta, który nie mógł ustać w miejscu niczym nieposłuszne dziecko.

- Dość, nie musisz opowiadać reszty, już wszystko rozumiem: kiedy tam przybył, Rareę leżał postrzelony, paczka zniknęła, a on uciekł, zrozumiał, że są to jakieś brudne interesy.

- Dokładnie tak mi powiedział, niemal tymi samymi słowami. Zaproponował, że opowie mi minuta po minucie, co robił od momentu, kiedy stamtąd uciekł (powiedział, że nawet się do niego nie zbliżył, bał się po prostu, myślał, że jest martwy), zapewnił, że możemy wysłać ludzi, aby przeszukali jego dom i mieszkanie w mieście, nie ma nic do ukrycia. Fakt, iż nie wiedział o kluczu, przekonał mnie, że nie kłamie, inaczej to on wziąłby go z kieszeni chłopaka, nie Petre. I bardzo się przestraszył, żeby nie oskarżono go o zabójstwo, dlatego na początku nie pisnął ani słowa. Najpierw dowiedział się z gazet, że młodzieniec żyje, potem, ku swojej rozpaczy, że umarł. Bo tylko Rareę Ochiu-Zanoaga mógł potwierdzić, że jest niewinny.

- I jak rozwikłałeś szaradę? - generał zapytał tonem, który przypomniał Costache momenty, kiedy Algiu wiedział więcej niż podwładni i wystawiał ich na próbę. Zatem, wyczuwając podstęp, namyślił się, zanim odpowiedział:

- Z wyjątkiem słowa *Popescu* - być może to nie był nawet *Popescu*, tylko *popi* - cała reszta, *gwiazdy, światło, Matka Boska* i *sar* lub *dar*, jest jasna. Rareę był ciekawski i sprawdził, co miał przekazać, dlatego spotkała go śmierć - była to ikona Matki Boskiej z monasteru *Sarin dar*, ta ze świecącymi gwiazdami na ramionach, czyli diamentami.

- Obawiam się, że nie rozwiązałeś szarady poprawnie - powiedział wesoło generał Algiu, a Costache się skrzywił. - Czy będzie ci przeszkadzać, jeśli zapalę?

I zapalił fajkę, a gość poszedł w jego ślady, ale zapalając cygaro.

- To prawda, że jedynie przez przypadek natrafiłem na dodatkowy element. Według ciebie słowa były zapisane tak - i pokazał mu bilecik, na którym zanotował: *światło, Popescu, światło*,

*gwiazdy, Matka Boska, sar (dar?).*

Wszedł ordynans, roztaczając charakterystyczny dla siebie zapach pasty do butów i pytając, czy panowie zjedzą wieczorem w domu, ale Algiu dał mu znak, że nie mają teraz na to czasu.

- Dowiedziałem się o historii z ikoną od pani Eleny Turnescu, wdowy po chirurgu, tej która daje hojne datki. Potem natknąłem się, mniej lub bardziej przez przypadek, na wiadomości o awansach wojskowych i zauważyłem, że kilka miesięcy temu pan N.I. "Światło" Popescu został podporucznikiem. To jemu Alexandru miał przekazać paczkę, dlatego chłopak powiedział przed śmiercią, jakby podawał hasło, dokładnie to, co miał powiedzieć Alexandru. "Światło" powinno zostać zapisane wielką literą. Sam do niego poszedłem, ponieważ znam bardzo dobrze jego przełożonych, wydaje się niewinny, ale nigdy nic nie wiadomo. Ten sam Grigore Cernea przekazał mu, aby czekał na Alexandru Livezeanu - znał go z widzenia - o godzinie dwunastej na Dworcu Północnym, przy pierwszej kolumnie. Mówi, że czekał dwanaście godzin na dworcu, aż do północy, zastanawiając się, czy aby dobrze zrozumiał, ale nikt nie przyszedł. *Kaniec!*[\[56\]](#).

- Jest pan niesamowity! - wykrzyknął Costache. - Zadał mi pan szach i mat. Teraz wszystko się ze sobą łączy. Tego Grigore Cernei nie ma już w kraju i coś mi mówi, że już nie wróci. Dowiedziałem się od pewnego bagażowego z Dworca Północnego, że właśnie wyjechał stamtąd do Wiednia. Ale wcale nie jestem pewien, że to on ma ikonę, ponieważ wszystko zdaje się działać na zasadzie łańcucha ludzi, którzy znają jedynie sąsiednie ogniwo, łańcucha, którego końca nie można uchwycić. To najlepsze rozwiązanie dla tego, kto planuje to wszystko, jeśli chce na zawsze pozostać w cieniu.

- A pan Dan Cretu? - zapytał generał. - Przeczytałem w "Lumea Noua" pewne rzeczy, w które - szczerze mówiąc - nawet mój ordynans by nie uwierzył.

- A, tak, dowiedziałem się, że ten, który opowiedział to dziennikarzom z "Lumea", to pomocnik mojego przyjaciela Margulisa, młodzian, któremu nie można ufać, już dawno radziłem mu, żeby go wyrzucił. Mam nadzieję, że teraz to uczyni. Kto wie, co usłyszał i co zrozumiał! Zresztą o Danie Cretu zupełnie niczego się nie dowiedziałem, z nikim się nie kontaktował, nikt go nie szukał. Jakby spalił za sobą wszystkie mosty. Jego sejf się nie odnalazł, ale konkubina Fane powiedziała nam, że były w nim tylko ubrania. Zapewnił ją o tym Inelaru.

Usiedli do stołu i zmienili temat.

- Pan też jest zaproszony w Nowy Rok do rodziny Livezeanu? Niech pan przyjdzie, bardzo pana proszę, będę czuł się swobodniej - powiedział Costache, a powieki generała, po kilku niezdecydowanych mrugnięciach, zamknęły się na znak zgody. Podniósł kieliszek z rubinowym winem, które pozostawiało przezroczyście smugi na szklanych ściankach.

- Twoje zdrowie - powiedział tonem, który miał zabrzmieć beztrąsko.

# **ŚRODA, 31 GRUDNIA**

Przyszłość i przeszłość

# 1

Zostało jeszcze kilka godzin i skończy się rok. Co z nim zrobiłam, albo raczej z niego? Odkryłam menuet Handla, czyli melodię z zegara Jacquesa. To dobrze. Poznałam pana Dana Creju, który bardzo łatwo wszedł do naszej rodziny i ze wszystkimi się zaprzyjaźnił. To również bardzo dobrze, ale to chyba jakiś cud, ponieważ papa, dość surowy i wymagający wobec ludzi, jest ze wszystkimi na dystans, a co dopiero z mężczyzną, nad którym unoszą się najróżniejsze domysły, niektóre nieprawdopodobne. Poznałam innego Alexandru niż tego do tej pory. To chyba niedobrze, chociaż było dobrze. Jestem zaproszona, aby rozpocząć rok 1998 - ależ głupotę napisałam, jak dziwnie to wygląda! - 1898, oczywiście, zatem aby rozpocząć ten rok u rodziny Livezeanu. To ani dobrze, ani źle, tylko nijak, szczególnie jeśli zostaną w domu. I nie skończyłam jeszcze *Vanity Fair*. To dobrze i źle: źle, ponieważ nie dotrzymałam postanowienia, i dobrze, ponieważ zawsze mi przykro, kiedy kończę dobrą książkę.

Myślałam o ludziach z mojego otoczenia, w ten ostatni poranek roku, o wszystkich tych, których znam i o których większą część czasu, *entre nous* [57], nawet nie pamiętam. Pomyślałam na przykład o panu Cercelu, portierze z "Universul", który hoduje gołębie i który, powiedział nam papa, ma problemy zdrowotne i boi się "że pójdzie pod nóż". Co też musi dziać się teraz w jego duszy! Pomyślałam o panu Peppinie Mirto, jak ciężko pracuje i jak wszystkim się zajmuje, i jaki jest wesoły i grzeczny, i jak cudownie by było, gdyby zrobił karierę jako śpiewak operowy. I tak samo o signorze Giuseppe, który jest mniej utalentowany, ale ma większe serce, chociaż żyje z dnia na dzień. Pomyślałam o mamie. I o papie, jaki jest umęczony jeżdżeniem do *wszystkich* chorych, za marne grosze lub wręcz za darmo, jak walczy z chorobami, dzień w dzień, nawet w niedzielę, i nikt nie postawi mu za to pomnika, który należy mu się choćby dlatego, że chciałby, aby cierpienia na świecie było chociaż o jedno ziarnko mniej. Jak gdyby sprawiał, że znika ziarnko lub dziesięć, lub tysiąc z całego piasku cierpienia tego świata. Pomyślałam o Jacques'u, jaki jest dzielny i jaka przyszłość go czeka. Nie wiem, dlaczego mam do niego większe zaufanie niż do siebie. I pomyślałam o biednej Safcie, która - jeszcze niedawno tak ufna w swoją szczęśliwą gwiazdę, tak przepęhiona radością - jedzie teraz na Nowy Rok, przez ośnieżone drogi, do domu, do pogrążonej w żałobie rodziny, której ból jest jeszcze świeży, i znowu zachciało mi się płakać. Pomyślałam o Mięu, bracie Alexandru, u którego podoba mi się jego kosmyk włosów na czole, i o tym, co będzie z tą jego medycyną, a zaraz potem o doktorze Gerocie, człowieku, który zrobił na mnie największe wrażenie ze wszystkich, których znam, i który, jestem pewna, przestawi góry w rumuńskiej medycynie, można to wyczytać w jego spojrzeniu i słowach. Myślałam o tym, że nie wygrałam na loterii i że nikt, kogo znam, nic nie wygrał. Myślałam o tym, żeby nie myśleć o Alexandru i o mnie, ponieważ ciągle to robię. I zadałam sobie pytanie, kto sprawił, że się wszyscy poznaliśmy i żyjemy w tych samych czasach i w tym samym miejscu... I na koniec pomyślałam, że jeżeli - ale tylko jeżeli - pójdę na przyjęcie, to nie mam żadnej sukni, która by mi pasowała, może tylko ta w kolorze fioletołu parmeńskiego, która nie jest pierwszej nowości, zatem nie mogę iść. I nie chcę!



Marioara Livezeanu patrzyła na stół przez półprzymknięte drzwi i nie mogła wprost oderwać od niego wzroku. Był piękny jak marzenie, jak wystawa jubilera, jak odświętna suknia. Holenderski obrus nasiąknął za bardzo krochmalem, było widać, że na rogach nie falował wystarczająco, sterczał sztywno jak kobiety, które za mocno ścisnęły gorset. Ale innego mankamentu w nim nie znajdowała. Gwiazdy wyryte w kryształach kieliszków błyszcząły delikatnie, ale kiedy zapali się żyrandol, niczym wielka świetlista kula, zajmą się ogniem i skrzyżują swe promienie. Kieliszki do szampana, wydające cichy dźwięk podczas toastów, stały obok na osobnym stoliku, ich kolej nadejście dopiero o północy. Butelki szampana znajdowały się już w wiaderkach, uwięzione między dużymi kawałkami lodu z jeziora Cismigiu. Myśl o tym, że najlepszy trunki na świecie przybył z Francji, aby znaleźć się między kawałkami bukareszteńskiego jeziora, bardzo intrygowała Marioarę. Przed kilkoma dniami przeczytała w "Universul", z których jezior bukareszteńscy mogą brać lód: Floreasca, Herastrau, Ciemigiu, Teiu Doamnei, Pasarea, Mogoșoaia, Fundeni. Bliżej byłoby im do Floreaski, ale utopił się tam niedawno jeden parobek, który udał się właśnie po lód, więc Hristea Livezeanu wolał wysłać swojego nad Ciemigiu. Nad dekoracją stołu pracowały do tej pory cztery kobiety i jeden młodzieniec: rosenthalowskie talerze miały pozłacane brzegi, różowe róże i zielonozłote listki. Cała reszta musiała więc zostać dopasowana do tych szczegółów, tym zajęła się już sama. Różowe róże, zamówione zawczasu i dostarczone punktualnie, przeplatały się z białymi, miały delikatnie rozwinięte pączki, a serwetki, zaprasowane w kształt wachlarza i spięte srebrnym pozłacanym pierścieniem w kształcie zwiniętego delfina, były w kolorze zgaszonej zieleni. Talerze do *hors d'oeuvres*[\[58\]](#) leżały na nich niczym dzieci z porcelany na kolanach matki, inne czekały na stosie, dwanaście na osobę. I maszyna do ogrzewania talerzy, nowiutka, przywieziona z Wiednia.

I kieliszki do szampana - sprawdziła ich dźwięk, uderzając w nie paznokciem. Sosjerki, zastawa do kawy i herbaty, karafka, dzbanuszek na oliwę, samowar, dzbanki do kawy, wszystko znajdowało się pod ręką, ale z boku, aby nie drażniło spojrzeń. Cztery rzędy widelców i tyle samo srebrnych noży błyszczących niczym szpady, dwie łyżki, tylko na początek, odliczone dla każdego zasiadającego za stołem, noże w tej samej odległości od widelców, ani milimetr dalej, nóż do ryb na swoim miejscu, a łyżki i łyżeczki na górze, jak należy. Wazy na zupę również były z porcelany von Rosenthala, z koronkowymi uchwytami, tak samo jak okrągły uchwyt pokrywy. Naczynie miało białe fale i złoczone brzegi, ale na pokrywie było, och, pęknięcie cieniutkie jak włos - uderzyła w nią kucharka, po czym wybuchła płaczem, ale nie można było już nic zrobić, było za późno, aby ją wymienić. Marioara niechętnie oderwała się od swojego dzieła sztuki i pobiegła przygotować się na najważniejszy wieczór w roku, i przygotować również trójkę swoich dzieci. Dzień 31 grudnia był dla niej niczym postawienie kropki, a 1 stycznia jakby rozpoczęciem, wielką, pogrubioną literą, jak te, które widuje się w książkach, namalowane na początku każdego rozdziału. Umierała z ciekawości, aby wreszcie poznać pana Dana Cretu. W jej życiu nie działo się zbyt wiele poza chorobami dzieci i kłótniami rodziców.

\*\*\*

Alexandru Livezeanu ledwie zdążył wrócić do domu, aby przebrać się na przyjęcie, na które wcale nie miał ochoty. Założył najładniejsze spinki, które podarował mu ojciec, i żałował, że do

fraka nie wypada wpiąć kwiatu. Czuł, że wewnątrz kwitnie. Od 27 grudnia tłoczyły się w nim i wstyd, i radość, i bezwstydnosc, i nieśmiałość wobec świata, a zarzekałby się, że nigdy ich nie poczuje. Nowy Rok, przynajmniej teraz, był jedynie hałaśliwą nocą, mogącą zgnieść kruchość myśli i przeżyć, z którymi pogodził się od kilku dni. A może siła milczenia przykryje cały zgiełk, a niewypowiedziane uczucie zostanie usłyszane niczym krzyk ciszy w środku zgiełku. Czuł się w połowie wypełniony jasnością, w połowie mrokiem. Światło pochodziło z przeszłości, ciemność należała do przyszłości. Największą obawą było to, że *ona* nie przyjdzie, po ostatnim spotkaniu, nie widział jej od tamtej pory, a ona nie odpowiedziała na zaproszenie. Doktor z żoną zapowiedzieli, że przybędą, wiedział to od Marioary. o niej ani słowa. Drżała mu ręka, kiedy poprawiał jedwabną muszkę, choć lustro go zadowalało, odbijając oblicze spoglądające dziś na niego inaczej.

Podczas przygotowań do uroczystego wieczoru Hristea i Maria Livezeanu bez przerwy się sprzecali przez uchylone drzwi dzielące ich pokoje. Nowy Rok był dla nich okazją do starych rozliczeń, wciąż ponawianych. Udało im się podsumować wszystkie oskarżenia całego ich życia, od momentu, kiedy się poznali, a Hristea rozglądał się za wszystkimi innymi dziewczętami poza Marią, zaś ona zrobiła to, co zrobiła, i usidliła młodego amanta. Dotarli w kłótni do wydarzeń wczorajszego wieczora, kiedy pan, jak zwykle, spóźnił się do klubu. On wypominał jej, ona wypominała jemu, w pojedynku bez końca, z którego oboje wychodzili przeraźliwie zmęczeni i jeszcze bardziej zawzięci. Jeśli chodzi o syna, Alexandru, to zupełnie stracili nad nim kontrolę, powiedziała matka i poczuła, że napływają jej łzy do oczu, a jedna z nich płynie strużką przez puder na twarzy pełnej zmarszczek. Hristea zbliżył się i założył jej, zgodnie ze zwyczajem, sznur pereł, prezent z okazji srebrnych godów, ale zrobił to niezręcznie i dostał kolejną reprimendę. Pani matka Livezeanu była nerwowa i rozemocjonowana - czekało zbyt wielu nieznanym gości.

### 3

Powozy zatrzymywały się, jeden za drugim, na starannie odśnieżonym podejździe. Był mróz. Pierwsza zatrzymała się dorożka Miszki z placu, ta, do której zaprzężono dwa piękne białe konie. Wysiedli z niej czterej żurnaliści z "Universul", Procopiu i bracia Mirto, wszyscy odświętnie ubrani, za nimi pani Procopiu i Dan Cretu, któremu ubranie pasowało zadziwiająco dobrze - dzieło Alexandru, a raczej jego krawca. Był nie do poznania, a Neculai Procopiu musiał przyznać, że pierwszy raz od kiedy go poznał, jego redaktor pasował do "wystroju". Pani Procopiu spoglądała na niego zamyślona, a jej mąż nie wiedział, czy i teraz nie ma serca w oczach. Peppin, który w ostatnim czasie przytył, zdziwił się, że frak już na niego nie pasuje. Musiał pożyczyć od wuja, w ostatniej chwili, był przykrótki, a koszula Pavaluki, ta od święta, była nadjedzona przez mole, na szczęście nie było tego widać. Jeśli mowa o pierwszym redaktorze, nie było mu wygodnie w butach zakładanych jedynie na naprawę szczególne okazje, tak jakby stopy mu ostatnio urosły. Toader, ten wesoły służący, skoczył im pomóc i odprowadził ich aż do schodów wejściowych, nad którymi wisiały świecące lampy i girlandy. Była ósma. Do północy zostały cztery godziny.

Kiedy Marioara zobaczyła Dana, była to dla niej największa niespodzianka życia - mężczyzna, o którym tyle rozmawiała, mężczyzna, o którym prasa wypisywała, że jest z innych czasów, pan Dan Cretu lub Kretzu, był człowiekiem zupełnie zwyczajnym. Rozczarowanie nie trwało długo, ponieważ twarz pana Cretu podobała się jej, a kiedy, po chwili wahania, ucałował ją delikatnie w dłoń, Marioara uśmiechnęła się do niego uwodzicielskim uśmiechem z dołeczkami w policzkach, którego zaniechała od długiego czasu, dokładnie od rozwodu - i oto pojawił się znowu.

Następnie, około wpół do dziewiątej, pojawił się powóz rodziny Margulisów, stary, ale zaprzężony w wyczesane konie, w uprzęży z nowymi czerwonymi dzwoneczkami. Nelu, woźnica, czuł się już dobrze, ale wciąż wyglądał mizernie. Pani ledwo się zmieściła, z połami sukni rozłożonymi na siedzisku, a doktor siedział wciśnięty pomiędzy Jakiem a łobuziakiem Nicu, przy jego stroju napracowała się cała rodzina, wyglądał jak spod igły. Chłopiec miał zarumienioną twarz, było mu gorąco i spoglądał spod ostrokątnych brwi jak zawsze, kiedy próbował czmychnąć. Jacques starał się, aby nie poślizgnęła mu się kula, ale na schodach służący wziął go po prostu na ręce i postawił przed drzwiami lekko niczym płatek. Alexandru, który właśnie pojawił się przy wejściu, chociaż to jego rodzice przyjmowali gości, poczuł ściśnięcie w gardle, widząc, że Iulia nie przyjechała. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Jego jasna połowa zgasła i poczuł bezsens długiej nocy, która go czekała. Ale zanim zdążył o nią zapytać, Nicu powiedział mu *na osobności*: "Nie była gotowa!". Alexandru natychmiast wykorzystał okazję i zaoferował głosem światowego człowieka, że pojedzie po pannę Margulis, przecież dobrze prowadził. "Jedź powoli!", zdążył krzyknąć doktor, spoglądając za nim z obawą. Stary generał Algiu przybył o godzinie dziewiątej, siedząc na kozle razem z ordynansem, bez którego nie ruszał się ani o krok, ogarnięty poczuciem ogromnej pustki. Generał uważał, że jest za stary - stary duchem, nie ciałem - aby zapełnić tę pustkę inną kobietą. Dzisiaj kończył się rok żałoby, co oznaczało, że był to dzień, w którym stracił ukochaną żonę. Nowy Rok na zawsze pozostanie dla niego mrocznym dniem. Ale będąc wśród ludzi, czuł się lepiej. Costache pojawił się późno, po godzinie, z mademoiselle Olimpią Marculescu, Gildą. Dotarli w tym samym

czasie, co dorożka prowadzona przez Alexandru, z której wysiadła panna Margulis. Zdumienie było obustronne: Costache zdziwił się, widząc Iulię samą w dorożce z Alexandru, a Iulia zdziwiła się, widząc Costache w jakimś towarzystwie, myślała, że nie ma nikogo. Ich spojrzenia się spotkały. Policjant przeprosił gospodarzy za spóźnienie: jedzie prosto z Opery, gdzie protagonistka, jak zawsze, poderwała na nogi całą salę. Po kilku minutach wspomnień ostatnich przyjęć noworocznych pan Hristea Livezeanu pokazał im francuską karykaturę w "Le Figaro", na której widniał uroczysty stół, pięknie przystrojony, a na górze znajdowała się wydrukowana małymi literami wypowiedź amfitriona: "Bardzo proszę, bez politykowania, bez sprawy Dreyfusa!" Na dole strony ten sam stół, zniszczony, goście zbici na kwaśne jabłko i wyjaśnienie, również małym drukiem: "Iis en ont parle"[59]. Tym trafnym *a propos* wszyscy goście zostali zaproszeni na kolację. Było ich piętnastu przy stole w jadalni, stole z masywnego drewna, który można było składać i rozkładać według uznania - liczba w sam raz, chociaż szesnastu byłoby lepiej, dla symetrii; dzieci siedziały przy swoim stole, mniejszym, w liczbie pięciu. Nicu kursował od stołu do stołu, ponieważ wciąż miał coś do powiedzenia Danowi, dopóki nie zobaczyła go Agata i nie zbeształa.

## 4

- Skoro to mnie przypadł ten ogromny zaszczyt, aby jako pierwszy otworzyć okno na przyszłość - powiedział gospodarz - oto, co widzę: za rok, dwa, zanim zmienimy wiek, "żelazna dama" upadnie. Taką przynajmniej mam nadzieję!

Przed godziną dwunastą ostatniego dnia roku 1897 lub godziną 0.00 pierwszego dnia roku 1898 Marioara zaproponowała grę towarzyską - każdy miał przepowiedzieć przyszłość, zamiast odczytywać ją z ciasteczek z przepowiedniami, których wszyscy mieli już dość. (Marioara nie zdradziła, że ciastka się spaliły). Lepiej zatem, by każdy sam przepowiedział przyszłość. Można przy tym dać się ponieść fantazji. Pomysł, aby zrobić krótką przerwę przed pieczeniem spotkał się z jednogłośnie aprobatą. Do piętnastu dorosłych dołączył i Nicu, jako szesnasty, ponieważ czuł, że należy raczej do świata dużego stołu, a nie stołu dla dzieci. A ponieważ ludzie do niego Ignęli, przyjęto to jako coś nowego. Na bilecikach zapisano numery od jeden do szesnaście i wymieszano je w kapeluszu Peppina Mirto, aby wylosować kolejność wystąpień. Kapelusz i przypadek sprawiły, że pan Hristea Livezeanu był pierwszy, Dan Cretu ostatni. A między nimi reszta, choć wielu skorzystało z prawa do wstrzymania się od głosu, a to z nieśmiałości, a to z innych powodów, trudnych do odgadnięcia. Procopiu, drugi w kolejce, przygotował już wypowiedź, jak widzi przyszłość gazety "Universul", ale kiedy usłyszał, że pan Livezeanu życzy sobie upadku "żelaznej damy", innymi słowy *La Tour Eiffel*, uznał, że obowiązek dziennikarza nakazuje mu wypowiedzieć się w tej sprawie. Powstał, za przykładem pierwszego mówcy, chociaż buty zmuszały go, aby jak najwięcej siedział, i poprosił, by zezwolono mu na niegrzeczność i sprzeciwienie się szanownemu gospodarzowi:

- Wieża Eiffla przetrwa wieki. Będzie odwiedzana przez coraz więcej ludzi. Mówiąc "Paryż", wszyscy będą myśleć "wieża Eiffla", mówiąc "wieża Eiffla", wszyscy będą myśleć "Paryż".

Ośmielony uśmiechem pani Livezeanu, która nigdy nie zgadzała się ze zdaniem małżonka, kontynuował:

- Przetruwa co najmniej tyle czasu, ile Statua Wolności w Nowym Jorku, która... która właśnie jemu zawdzięcza swoje metalowe elementy. Pan Gustave Eiffel jest geniuszem stali, każdy to wie. To prawda, że historia Kanału Panamskiego, przesadnie opisywana przez gazety, nawet u nas, nadweryżyła reputację pana inżyniera. Dawno minęły jednak czasy, kiedy pisarz bez żadnego poczytnego dzieła, jakim pozostaje na razie niejaki Leon Bloy, nazywał wieżę "tragiczną lampą uliczną", a pisarz lepszy, chociaż moim zdaniem nieco ekscentryczny, pan Huysmans, opisywał ją, proszę mi wybaczyć, panie i panowie, jako czopek pełen dziur!

Policzki Procopiu zapłonęły, a współbiedniacy zauważyli, że dotknięto czułego punktu dziennikarza. Jego kolega z biura, Pavel Mirto, znał przyczynę. Młodzieńczym marzeniem pana redaktora było zostanie inżynierem, a Gustave Eiffel i Anghel Saligny byli jego wielkimi wzorami w świecie, w którym wzór ciężko było znaleźć, ponieważ było ich zbyt wiele. Był na wystawie w Paryżu w 1889 roku i miał nadzieję uściskać kiedyś osobiście dłoń Eiffelowi. Salignyego znał dobrze, byli w tym samym wieku. Procopiu uczestniczył w uroczystym otwarciu tego klejnotu, jakim był most w Cernavoda nad Dunajem, otwarty 14 września 1896 roku, i żywo wspominał tysiące ludzi przybyłych z radością pięcioma pociągami, a wśród nich również najbardziej znanych dziennikarzy. I specjalny pociąg wiozący cały dwór królewski, dyplomatów, ministrów. Tydzień później Neculai Procopiu miał zaszczyt uczestniczyć

w bankiecie wydanym przez ministra robót publicznych na cześć Salignyego i innych inżynierów pracujących przy budowie mostu.

Alexandru uniósł grzecznie kieliszek w kierunku Procopiu, aby mu pogratulować. A jednak miał odwagę i pasję, o które by go nie podejrzewał, zawsze wydawał mu się człowiekiem banalnym.

Aby zatrzeć niezręczne wrażenie pozostawione przez wspomnienie o czopku, słowo *ose*<sup>[60]</sup> na uroczystym przyjęciu i w obecności dam - ale takie jest ryzyko, kiedy zaprasza się żurnalistów - zapytał:

- Numer trzy, kto ma numer trzy?

Poruszony doniosłością chwili, zgłosił się Nicu. Stał obok krzesła Iulii. Zdjął marynarkę i włożył kciuki pod szelki, jak podpatrzył to u pana Cercela, *jego* wzoru. Mówił szybko, jak w szkole, kiedy wzywano go do odpowiedzi, i patrzył wprost na Dana:

- Przez okno przyszłości widzę pana Dana i nieco dalej Jacques'a, który idzie na przechadzkę bez kuli... Ze mną - dodał rozemocjonowany ciszą, która zapadła wokół.

- Bravo! Teraz moja kolej - powiedział Alexandru, ponieważ towarzystwo było jeszcze bardziej zakłopotane niż podczas poprzedniej przemowy, chociaż Jacques uśmiechał się ze swojego miejsca. Rozumiał, że Nicu, mając na względzie konieczność, poświęcił dla niego własne życzenie. Nicu patrzył na Alexandru, ciekaw, czy powie coś o znanym mu sekrecie:

- Ja nic nie widzę, ale chciałbym pisać dla "Universul". Chociaż kronikę towarzyską, wciąż jej nie macie - zwrócił się do trzech dziennikarzy, którzy zdawali się pochwalać ten pomysł, przynajmniej z grzeczności.

- Przyjdzie na to czas! - powiedziała pani Livezeanu. - Skorzystam z prawa do wstrzymania się od głosu, nie mam żadnej przepowiedni. Ale chciałabym się wspiąć na wieżę Eiffla, na samą górę, zanim ją zburzą, jak przepowiada mój mąż. Winda, oczywiście! Jeszcze znajdę na to pięć franków. *A bon entendeur, salut*<sup>[61]</sup> - dodała, specjalnie dla męża.

Przyszła kolej na Pavla. Wypowiedział słowa swoim zwyczajnym tonem, półgłosem, tak że usłyszeli go jedynie ci siedzący obok:

- Niektórzy z państwa wiedzą, że piszę powieść. Miejmy nadzieję, że Bóg naszej przyszłości nie jest powieściopisarzem, który uśmierca nagle swoich bohaterów i wymyśla zło, chociaż On, Stwórca, jest przecież dobry, czyż nie? I robi to tylko po to, żeby wyszła z tego dobra książka i żeby diabeł nie powiedział, że On, Pan, stworzył świat bez rogów i ogona. Albo drugi wariant: miejmy nadzieję, że nie przyjdzie nam żyć na świecie Biesa, który - jako nieustraszony plagiator - poskładał razem boży świat, ale dodał, ot, trochę, pierwotnego zła, jak to on. A Bogu od czasu do czasu udaje się go sabotować jakimś dobrem. Miejmy nadzieję, że ktokolwiek napisał ten świat - w tym momencie Paweł uniósł palec ku niebu, po czym wskazał na ziemię - lubi dobre zakończenia, i że wszystko dobre, co się dobrze kończy.

- Wszystko dobre, co się kończy śmiercią? - przerwał zirytowany doktor Margulis.

- Powinniśmy w to wierzyć, czyż nie? - odpowiedział Pavel, ledwo słyszalnie, ale nie unosząc się. - Oto dobre zakończenie powieści. Wszystko dobre, co się kończy śmiercią. I sądzę, że to, co było, jest tym, co jeszcze będzie.

- Co? Dobro czy śmierć? - Agata, która zaznała obydwu, również straciła cierpliwość. I jej Pavaluca wydawał się dość denerwujący. - Nie za bardzo zrozumiałam pańskie przepowiednie, panie Mirto, ale prawdą jest, że Pytia mówiła tak samo.

Hristea Livezeanu był nieco przygłuchy i nic nie rozumiał.

- No cóż, jeśli życzyacie sobie, żeby skończyło się weselem lub chrztem, to wiedźcie, że mój

brat chciałby się ożenić w przyszłym roku albo chociaż zaręczyć - powiedział Pavel i spojrzał na brata, który był ponury, wbrew swoim zwyczajom, pewnie z powodu fraka. Przepowiedziano też, że: człowiek wyląduje na Księżycu, jak u Juliusza Verne'a, u władzy zostaną, niestety, czerwoni, cały świat będzie błyszczał od światła elektrycznego i być może zostanie odkryte lekarstwo na gruźlicę (to była "przepowiednia" Leona Margulisa). Generał Algiu trochę się rozpogodził, zdawało się, że zło, które go prześladowało, zostało w tyle albo że to on je wyprzedził. Jego słowa brzmiały inaczej niż zazwyczaj, jakby w chwili, kiedy uniósł się z krzesła, przestał się już pilnować.

- Dla mnie okno osobistej przyszłości jest zamknięte. Ale przez okno kraju widzę dobre rzeczy, jak na razie. I powiem jeszcze dzieciom, żeby cieszyły się tymi latami, bo tak spokojnie i radośnie już więcej nie będzie! Nie wiem, dlaczego tak mówię, skąd mi to przyszło do głowy, ale jestem przekonany, że tak jest. Nie wierzę w różową przyszłość, zbyt wiele w życiu widziałem. Pozwolę kontynuować młodemu Boerescu, zna się lepiej ode mnie, i na mowach, i na walce z czasem.

Młody Costache czuł się stary w wigilię Nowego Roku i miał nadzieję wyjść, zanim zaczną się tańce, chociaż panna Marculescu spoglądała na niego z czarującym uśmiechem, z włosami elegancko uniesionymi nad głową niczym czarna aura. Wyglądała doprawdy zachwycająco, a co jakiś czas kierowały się w ich stronę zdziwione spojrzenia Iulii. Costache wiedział od początku wieczoru, co powie. Stojąc i unikając spotkania ze wzrokiem Iulii, patrząc jedynie na generała, uśmiechnął się do niego, uniósł kieliszek z winem rocznik 1878, w którym ledwo zamoczył usta, i powiedział:

- Nie mogę powiedzieć wiele o roku, w który zaraz wkroczymy. Ale przepowiadam, że przyszedł wiek, dwudziesty, rozpocznie się z panem generałem Ionem Algiu na czele Prefektury Policji. I że odciski palców staną się najlepszą metodą rozpoznawania złoczyńców, którzy zmieniają wygląd dzięki nowym wąsom.

Słysząc było najróżniejsze komentarze, niektórzy patrzyli na Dana i jego świeżo zapuszczony wąsik, inni spoglądali z zainteresowaniem na jego palce. Iulia, która była przedostatnia, nie wstała z miejsca, a Alexandru pomógł jej rozpocząć, uderzając w jej kieliszek łyżeczką. Ku zdziwieniu wszystkich dziewczyna odwróciła się w stronę Dana:

- Panie Cretu, jak przetłumaczyłby pan *Vanity Fair*?

- Hmm, *Targowisko próżności*?

- Wspaniale! - powiedział Peppin Mirto. - Niewiarygodne, ani chwili się pan nie zastanawiał. Tak właśnie jest, kiedy się tłumaczy, albo słowo od razu przyjdzie ci do głowy, albo wcale go nie znajdziesz.

- Ja przepowiadam - powiedziała Iulia - że świat przyszłości będzie targowiskiem próżności albo jarmarkiem marności. I kobiety nie będą nosić gorsetów - powiedziała, po czym mocno się zarumieniła i zakrztusiła.

W chwili, kiedy Alexandru popijał z kieliszka, Nicu wyszeptał Danowi: "Latarnia morska w Tuzli", a ten spojrzał na niego ze zdziwieniem.

Gra została przerwana z powodu braku czasu. Został jedynie Dan Cretu, ku rozczarowaniu Marioary, która obserwowała go uważnie cały wieczór i przekonała się, że pierwsze wrażenie jej nie myliło - pan Cretu nie ma w sobie nic, ale to zupełnie nic tajemniczego, jest człowiekiem jak każdy inny. Uśmiechnęła się z dołeczkami w policzkach.

Wskazówki zbliżały się do godziny dwunastej. Mężczyźni odkorkowali butelki szampana z wiaderka, w których lód z jeziora Ciemigiu w połowie się roztopił. Na pierwsze z dwunastu

uderzeń zegara kieliszki stuknęły o siebie z brzękiem, a światła zostały zgaszone przez służących, jakby świat na kilka sekund zatrzymał swój bieg. Rozbrzmiały okrzyki i chichoty. Gorsy męskich koszul błyszczały w ciemności, a dzieci wspinały się na kolana dorosłych. Anica schowała głowę w fałdy sukni mamy. Generał zakaszłał. Alexandru szukał w ciemności sylwetki Iulii, jej wąskiej talii ściśniętej gorsetem. Hristea Livezeanu był znudzony i bolała go głowa. Dan Cretu poczuł, że Nicu chwytą go za rękę. Zaraz po tym świat znowu ruszył, światła się zapaliły, opatulając zarówno gości, jak i domowników. Jakby spotkali się na drugim brzegu rzeki. Oczekiwali od nowego roku całego dobra, którego odmówił im poprzedni. W mieście słychać było wystrzały armatnie ze Wzgórza Metropolitalnego, przez które najpierw podskakiwano z zaskoczenia, potem z radości. Niewidoczni wrogowie z nowego czasu zostali zmuszeni do ucieczki. A okrzyk "Szczęśliwego nowego roku!" usłyszano tyle razy i wykrzyknęło go tyle głosów we wszystkich domach, że podążając śladem wielu nowych lat, można było dotrzeć daleko, daleko, w przyszłość, której na razie nikt nie mógł dojrzeć.



Został tylko pan Dan Cretu, aby wyrzeć, jak to ujął poetycko gospodarz, "przez okno przyszłości", a ciekawość jego współbiesiadników sięgnęła zenitu. Kieliszki zostały raz jeszcze napełnione szampanem, a piana strzepiła się niczym stara koronka odchodzącego roku. Nawet jeśli jesteś człowiekiem racjonalnym i wiesz, że to tylko gazety uczyniły z kogoś postać tajemniczą i *inną* od reszty, wciąż czujesz się lekko podekscytowany, niczym przy chłodnym podmuchu w dobrze ogrzanym pokoju. A jeśli wypieś szampana Dom Perignon, możesz nawet uwierzyć, że w tym wszystkim czai się jakaś nieczysta siła. Dan zaczął mówić. Wypowiadał słowa jakby do siebie, nie wstając z miejsca, nie patrząc na innych, jakby ich nawet nie dostrzegał.

- Niedobrze jest zbyt patrzeć w przeszłość, a jeszcze gorzej, jeśli twoja przeszłość znajduje się w przyszłości. Zabraniam sobie myśleć o własnej przeszłości. Być może w moim umyśle, nie dalej jak rok temu, moja przyszłość znajdowała się w zupełnie innym miejscu. Przez nagły przewrót moja przeszłość stopiła się z przyszłością. Być może naprawdę, jak to dobrze tutaj ujęto, to, co było, jest tym, co jeszcze będzie. Być może, czego jeszcze nie powiedziano, ale co wkrótce zostanie powiedziane, lata stoją w miejscu, jak pejzaż widziany przez okno pociągu, i to my, my przemijamy.

- Przemijamy właśnie teraz - wtrąciła się pani Marioara Livezeanu, uśmiechając się z dołeczkami w policzkach, rozgniewana tym, że Dan Creju zachowuje się po myśli dziennikarzy i wchodzi w rolę tajemniczego nieznajomego. Na szczęście kapela ubranych w czerwone fraki muzykantów zaczęła grać znanego walca, więc pani domu ogłosiła:

- Zaczynamy walca! Panie proszą panów.

## 6

To nie był dobry dzień dla bukareszteńczyków. Padał śnieg, do końca roku zostało dwanaście dni, do końca dnia dwanaście godzin. Na wielkich bulwarach, po których koła poruszały się wolniej od nóg, zapalono świąteczne iluminacje, na które niewielu ludzi unosiło wzrok. Niebieskie krople spływały niczym łzy po żarówkach zwisających nad rzędami kół bez początku i końca. Gdzieś, zakopany w rzędzie innych niczym mała żółta plama, znajdował się stary automobil dziennikarza Dana Crepja. Jechał w kierunku aerodromu, wstąpiwszy wcześniej do redakcji gazety, w której pracował. Z samochodu znajdującego się za nim wysiadły, jedna po drugiej, korzystając z nieplanowanego postoju, cztery kobiety i ruszyły piechotą przed siebie, a ponury wygląd tej, która prowadziła, wydał się Danowi dziwny. Wciąż włączała sygnał alarmu, metodycznie. Nie nerwowo, ale maniakalnie. Zmieniała jedno pasmo ulicy na drugie, aby zyskać kilka metrów, które i tak natychmiast traciła. Momentami, kiedy znajdowali się równolegle do siebie, Dan widział jej profil - paliła. Przypominała mu kogoś znajomego, ale Dan nie mógł sobie przypomnieć kogo. Miała czarne włosy przykryte czapką z pomponem, jak dziecko.

W redakcji Dana Boże Narodzenie obchodzono z kilkudniowym wyprzedzeniem, jak zawsze. Na dużym kalendarzu, z pogrubionymi cyframi, bez zdjęć, czyjaś ręka przesunęła czerwony kwadracik o tydzień, aby wskazywał właściwą datę. Zresztą cała redakcja żyła trybem tygodniowym, jakby ktoś przeniósł wszystkich naraz o siedem dni, z jednego okienka kalendarza do drugiego. W czerwonej ramce wyróżniał się teraz poniedziałek, 19 grudnia. Dan Cretu wszedł szybko przez drzwi biura, strząsając śnieg z kolorowego ubrania. Spóźnił się jak zawsze.

Spoglądał naokoło bez zaciekawienia - kobiety i mężczyźni, którzy nie przejmowali się za bardzo sobą nawzajem. Pierwszy redaktor kartkował magazyn naukowy z wieżą Eiffla na okładce. Pavel, młody chłopak w okrągłych okularach, rozmawiał cicho z jakąś panią i był myślami zupełnie gdzie indziej. Wszedł też administrator, który mówił z kolei głośno i melodyjnie, jakby znajdował się na scenie. I tak było ich niewielu, niektórzy wzięli wolne, a Dan przez kilka chwil im zazdrościł. Ludzie ubrali się nieco staranniej niż w zwyczajne dni, ale breja na ulicy nie zachęcała do fantazji odzieżowych. W górnej części pomieszczenia widać było cienkie bluzki uwydatniające kształty, dekolty wypełnione młodymi piersiami i tanie naszyjniki lub długie kolczyki, potem, zależnie od przypadku, koszule, ubrania z grubego materiału, a nawet i krawat, a niżej, bliżej podłogi, zarówno kobiety, jak i mężczyźni wyglądali jak w uniformach - takie same niebieskie lub czarne spodnie, bez kantu, wygodne buty lub kozaki, zostawiające ślady błota na podłodze, różniące się rozmiarem i kształtem podeszwy. I obuwie Dana, które się wyróżniało. Kilkoro redaktorów, redaktorek i korektorek, a także ludzi z drukarni zgromadziło się jakby pod przymusem, jak na każde wezwanie w pracy. Nie mieli nawet choinki, wszędzie szukano oszczędności. Przezroczyste i miękkie szklanki i talerze, które miały zostać wyrzucone po użyciu. Dan zauważył poźółtkłą gazetę ze starej kolekcji "Uniwersul", kupioną u jakiegoś antykwariusza; przyniósł ją Pavel, żeby pokazać kolegom. Rzucił okiem na pierwszą stronę, na której znajdowała się ankieta zatytułowana *Dlaczego pościsz?*, i zdziwił się przez chwilę, widząc, że była podpisana przez kogoś, kto nazywał się prawie tak samo jak on - Dan Kretzu.

Od kiedy przekroczył próg psychologiczny dwudziestego pierwszego wieku, nie

interesowały go już choinka, rok ani żadne świętowanie. Niewiele przykuwało jego uwagę. Żył, nieustannie zmęczony, w burzliwej terażniejszości. Był to zresztą najbardziej męczący okres roku, w którym czas stawał się jedyną radością, jaką można było komuś podarować. Dan miał 43 lata, a życie zwyczajnie koło niego przeszło. Odczuwał wielką potrzebę czasu.

\*\*\*

Wydawca Socec syn odłożył rękopis, *Zwicker*[\[62\]](#) położył na stole i napisał wielkimi literami, fioletowym tuszem: NIE. Był to pierwszy tekst, który odrzucił od śmierci swojego ojca.

## EPILOG

Dzisiaj ulica Fantanei nosi nazwisko Berthelota i prowadzi do rumuńskiej radiostacji.

Ulica Świętego Jana na tyłach Teatru Narodowego zniknęła, tak samo jak i Pasaż Rumuński i sam teatr. W jego miejscu stanął hotel, w którym zachowano wejście do najbardziej znanej niegdyś budowli w Bukareszcie.

Ulica Teilor to obecnie ulica Vasile Lascar.

Zaraz obok starej siedziby gazety "Universul", jednopiętrowego budynku w stylu rokoko, postawiono nowy, z pięcioma piętami i spadzistym dachem, do którego redakcja gazety przeniosła się w okresie międzywojennym. Na parterze starego budynku, zupełnie zaniebanego, działa obecnie restauracja serwująca kuchnię rumuńską, a nikt, kto do niej wchodzi, zdaje się nie wiedzieć o ludziach, którzy założyli tu kiedyś słynną gazetę. Przy wejściu pozostały jednak wielkie litery: UNIVERSUL.

Luigi Cazzavillan ma w Bukareszcie swoją ulicę i park w stylu *belle epoque* oraz pomnik.

W miejscu monastyru Sarindar wzniesiono, jeszcze przed pierwszą wojną światową, okazały budynek - Kasyno Oficerskie. W miejscu, w którym stał kiedyś ołtarz, znajduje się fontanna artezyjska. Ikona Matki Boskiej z diamentowymi gwiazdami na ramionach nigdy nie została odnaleziona, podejrzewa się, że została wywieziona poza granice kraju. Gdzieś w świecie, nie wiadomo gdzie, jej diamenty wciąż błyszczą.

Były podporucznik N.I. "Światło" Popescu zmarł w 1939 roku w Bukareszcie. Został pułkownikiem. W międzywojennym "Universul" prowadził rubrykę zatytułowaną *Z innych czasów*.

Ulica Sarindar nosi dzisiaj nazwisko Constantina Mille, na cześć dyrektora gazety "Adeverul". Od 1898 roku, kiedy zmarł jej założyciel, Alexandru Beldiman, Mille zaczęło utożsamiać z gazetą, której właścicielem był już od dawna. W okresie międzywojennym wszystkie kina na bulwarze Elżbiety miały "wyjście przez Sarindar".

Za zabicie w pojedynku dyrektora francuskojęzycznej gazety "L'Independance Roumaine", George Em. Lahovary'ego, Nicu Filipescu, były mer stolicy i dyrektor gazety "Epoca", został skazany na sześć miesięcy więzienia w Vacareęti. Ani jego sława, ani kariera polityczna, zdaje się, nieskazitelna, nie doznały z tego powodu uszczerbku.

Generał Algiu powrócił jeszcze na rok do Prefektury Policji; było to w 1901, pierwszym roku dwudziestego wieku.

Pan Costache zatroszczył się o usunięcie swojego nazwiska z dokumentów. Wciąż podejrzewał, że Dan jest nieujawnionym przestępcą, ale był jednocześnie pewien, że nie jest niebezpieczny.

W 1898 roku w Ateneum doktor Dimitrie Gerota, tak jak obiecał, wygłosił prelekcję na temat konieczności zrezygnowania z gorsetu, a rodzina Margulisów była obecna na sali. W Akademii Sztuk Pięknych jego studentem był Constantin Brancuqi, który pod jego okiem wykonał odlew zatytułowany *Obdarty* (rum. *Jupuitul*). Gerotę uważa się za pierwszego rumuńskiego radiologa, założył szpital i muzeum z odlewami anatomicznymi. Wciąż mówi się o "powiezi Geroty" na katedrach chirurgicznych, urologicznych i na seminariach anatomicznych we Francji, Niemczech czy Japonii.

W 1906 roku Jacques, który skończył wówczas dwadzieścia jeden lat, przetłumaczył

następujące zdanie z języka hiszpańskiego, który stał się jego nową wielką pasją, i przeczytał je Nicu: "Pragnęli obu ziem jednocześnie, bo człowiek pragnie wszystkich ziem i wszystkich wieków, i pragnie żyć na całej przestrzeni i w każdym czasie, w nieskończoności i w wieczności". Była to esencja wieku, w którym obydwoj się urodzili, tłumacząca emocje bukareszteńczyków związane z pojawieniem się obcego, który sprawiał wrażenie, jakby wiedział o czasie więcej niż oni. "Ale kto to?" - zapytał Nicu, a Jacques odpowiedział: "Prawie nikt o nim nie słyszał, to Miguel de Unamuno".

Niculae Stanciu był jednym z pierwszych młodych bukareszteńczyków, którzy otrzymali dyplom pilota i sterowali samolotami wojskowymi podczas pierwszej wojny światowej. Zginął w trakcie misji, a pośmiertnie nadano mu Medal Męstwa i Wiary ze szpadami.

Menuet Handla został przetransponowany na fortepian przez Wilhelma Kempffa i był wielokrotnie wykonywany. Jego najdziwaczniejszą wersję stworzyła pianistka Idil Biret.

"Universul" przetrwał do 1953 roku, z dwuletnią przerwą w trakcie Wielkiej Wojny. Gazeta, jak wszystkie symbole starego świata, została zamknięta przez komunistów.

Powieść Pavla Mirto, *Życie zaczyna się w piątek*, nie została opublikowana. Soceca syna irytowały opisy kobiecych strojów, niemożliwych do wyobrażenia, jak i pomysł, jakoby miękkie talerze i szklanki miały być wyrzucane po użyciu. I cała reszta.

## O TŁUMACZACH

**Karolina Brykner** (ur. 1985), tłumaczka z języka rumuńskiego, angielskiego i francuskiego. Absolwentka Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu na wydziale filologii romańskiej oraz filologii rumuńskiej, specjalność literaturoznawcza. Uczestniczyła w stypendiach i kursach językowych w Rumunii. Od czasu zakończenia studiów zajmuje się przekładem literatury użytkowej, przede wszystkim poradników psychologicznych. Przekład *Życie zaczyna się w piątek* Ioany Parvulescu to jej debiut w przekładzie literatury pięknej. Prywatnie miłośniczka psów, fascynuje się kulturą Rumunii oraz literaturą współczesną, szczególnie polską i rumuńską.

**Tomasz Klimkowski** (ur. 1980), tłumacz i językoznawca specjalizujący się w języku rumuńskim, absolwent i doktor nauk humanistycznych Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, na którym prowadzi zajęcia z języka rumuńskiego i traduktologii. Przełożył: *O aniołach* A. Plesu, *Stracony poranek* G. Adamesteanu, *Zabliźnione* serca M. Blechera oraz zbiór wierszy *Gra w to, aby nie być niczym więcej niż jestem* E. Ivancu. Autor rozdziałów o literaturze rumuńskiej w *Historii literatury światowej* (t. V-VII, 2005-2007). Współautor *Słownika polsko-rumuńskiego i rumuńsko-polskiego* (2012). Stypendysta i współpracownik Rumuńskiego Instytutu Kultury (tłumaczenia poezji i filmów). Współzałożyciel i sekretarz stowarzyszenia Arados, promującego dziedzictwo kulturowe i językowe Rumunii, krajów celtyckich i Polski.

## **ANEKSY - 1897**

(z czasopism epoki)

## Kalendarz prawosławny na rok 1897

Świętego Bazylego Wielkiego	1 stycznia
Chrzest Pański	6 stycznia
Sobór Świętego Jana Chrzciciela	7 stycznia
Początek przedpościa	2 lutego
Mięsopust	16 lutego
Seropust	23 lutego
Niedziela Palmowa	6 kwietnia
Pascha - Zmartwychwstanie Pańskie	13 kwietnia
Świętego Jerzego	23 kwietnia
Przepełnienie Pięćdziesiąticy	7 maja
Świętych Konstantyna i Heleny	21 maja
Wniebowstąpienie Pańskie	22 maja
Pięćdziesiątnica	1 czerwca
Początek Postu Apostolskiego	8 czerwca
Świętych Piotra i Pawła	28 czerwca
Zaśnięcie Bogurodzicy	15 sierpnia
Podwyższenie Krzyża Świętego	14 września
Świętego Dymitra	26 października
Świętych Archaniołów Michała i Gabriela	8 listopada
Świętego Mikołaja	6 grudnia
Boże Narodzenie	25 grudnia
Świętego Stefana	27 grudnia



## Kalendarz katolicki

Siedemdziesiątnica	2 lutego (14 lutego)
Tłusty wtorek	18 lutego (2 marca)
Środa Popielcowa	19 lutego (3 marca)
Wielkanoc	6 kwietnia (18 kwietnia)
Wniebowstąpienie Pańskie	15 maja (27 maja)
Zielone Świątki	25 maja (6 czerwca)
Najświętszej Trójcy	1 czerwca (13 czerwca)
Boże Ciało	5 czerwca (17 czerwca)
Pierwsza niedziela adwentu	16 listopada (28 listopada)
Boże Narodzenie	25 grudnia (6 stycznia)

## Kalendarz żydowski

5657		1897
Adar	1	22 stycznia
	14 Mały Purim	4 lutego
We Adar	1	21 lutego
	13 Post Estery	5 marca
	14 *Purim	6 marca
	15 Szuszan Purim	7 marca
Nisan	1	22 marca
	15 *Pesach I	4 kwietnia
	16 *Pesach II	5 kwietnia
	21 *Pesach VII	11 kwietnia
	22 *Pesach VIII	12 kwietnia
Ijar	1	21 kwietnia
	18 LagBaOmer	3 maja
Siwan	1	20 maja
	6 *Szawuot I	25 maja
	7 *Szawuot II	26 maja
Tamuz	1	19 czerwca
	18 *Post na pamiątkę zburzenia świątyni	6 lipca
Aw	1	17 lipca
	10 Post na pamiątkę spalenia świątyni	27 lipca
Elul	1	17 sierpnia
5658		
Tiszri	1 *Nowy Rok I	15 września
	2 *Nowy Rok II	16 września
	4 *Post Gedalii	18 września
	10 *Dzień Pojednania	22 września
	15 *Kuczki I	26 września
	16 * Kuczki II	30 września
	21 **Wielka Hosanna	5 października
	22 *Koniec Kuczek	6 października
	28 *Otrzymanie prawa	7 października
Marcheszwan	1	15 października
Kislew	1	24 listopada

	25 *Poświęcenie świątyni	8 grudnia
Tewet	1	14 grudnia
	10 *Zdobycie Jerozolimy (post)	23 grudnia
Szwat	1	12 stycznia 1898

Święta oznaczone \* obchodzi się obowiązkowo.

## Kalendarz muzułmański

1314	Ramadan I	1897	22 stycznia
	Szawwal I		21 lutego
	Zu al-kada I		22 marca
	Zu al-hidżdża I		21 kwietnia
1315	Muharram I		21 maja
	Safar I		20 czerwca
	Rabi al-awwal I		19 lipca
	Rabi al-achir I		18 sierpnia
	Dżumada al-ula I		16 września
	Dżumada al-achira I		16 października
	Radżab I		14 listopada
	Szaban I		grudzień

## **Święta państwowe i domu panującego**

11 lutego - rocznica rewolucji z 1866 r., w wyniku której w Rumunii objęła władzę nowa dynastia.

14 marca - ogłoszenie w 1881 r. Królestwa Rumunii.

8 kwietnia - urodziny Jego Królewskiej Mości i ogłoszenie plebiscytu w sprawie jego wyboru.

24 kwietnia - imieniny Jej Królewskiej Mości Elżbiety.

1, 8 i 10 maja - wybór, przybycie do Rumunii i wstąpienie na tron Rumunii w 1866 r. Jego Królewskiej Mości.

10 maja - ogłoszenie niepodległości Rumunii w 1877 r. i koronacja pierwszego króla Rumunii w 1881 r.

11 czerwca - rocznica rewolucji z 1848 r., podczas której Rumunia uzyskała ostatecznie autonomię.

22 lipca, Świętej Marii Magdaleny - imieniny Jej Księżęcej Mości Marii.

12 sierpnia - urodziny następcy tronu, Jego Księżęcej Mości Ferdynanda.

3 października - urodziny Jego Księżęcej Mości Karola Rumuńskiego.

17 grudnia - urodziny Jej Królewskiej Mości.

## Chronologia

Od stworzenia świata (styl juliański)	7384
Od stworzenia świata (styl gregoriański)	5990
Od założenia Rzymu	2852
Od założenia Jass	620
Od założenia Bukaresztu	613
Od upadku Konstantynopola	444
Od śmierci Stefana Wielkiego, hospodara Mołdawii	393
Od pierwszych ksiąg drukowanych w języku rumuńskim	328
Od pierwszego zaboru Besarabii	85
Od wielkiego pożaru w Bukareszcie	50
Od rewolucji europejskiej i rumuńskiej z 11 czerwca 1848 r.	49
Od zjednoczenia księstw rumuńskich	38
Od uwłaszczenia chłopów	33

## Zaćmienia

Dwa pierścieniowe zaćmienia Słońca, w Europie niewidoczne. Bez zaćmień Księżyca.

Do pierwszego pierścieniowego zaćmienia Słońca dojdzie 19 stycznia (1 lutego): początek o 19.23, koniec - o 1.10. Będzie widoczne w Ameryce Środkowej, Ameryce Południowej - z wyjątkiem wschodniego i południowego krańca przylądka Horn, wschodniego wybrzeża Argentyny i południowej części Oceanu Atlantyckiego - oraz w południowo-wschodniej Australii. Do drugiego pierścieniowego zaćmienia Słońca dojdzie 17 (29) lipca. Początek o godzinie 15.02. Koniec - o godzinie 20.52. Będzie widoczne na zachodnim wybrzeżu Afryki, w strefie zwrotnikowej Oceanu Atlantyckiego, w południowej części Ameryki Północnej, w Ameryce Środkowej i w północnej części Ameryki Południowej.

Rok upłynie pod znakiem Marsa, boga wojny, niepokoju i spótkowania. W ciągu tego roku będzie mieć miejsce wiele niezwykłych zdarzeń. Dzieci w nim urodzone będą mieć porywczy i zaczepny charakter. Chłopcy będą zuchwali, skorzy do kłótni i walki, nieposłuszni rozkazom przełożonych i kochający niezależność; dziewczęta będą piękne, mądre, pracowite, z poczuciem obowiązku, ale złe, gderliwe i swarliwe.

## **Członkowie Świętego Synodu,**

którzy w maju 1896 r. sądzili byłego metropolitę ungrowołoskiego Ghenadie Petrescu:

Najprzewielebniejsi biskupi: 1. Ghenadie, biskup Rymniku; 2. Partenie, biskup Dolnego Dunaju; 3. Iosif, metropolita Mołdawii; 4. Gherasim Timuș, biskup Ardżeszu; 5. Silivestru, biskup Huși; 6. Arch. Ioanichie Flor Bacauanu; 7. Dionisie Climescu, biskup Buzau; 8. Ieronim, biskup Romanu; 9. Arch. Calistrat Orleanu Barladeanu; 10. Arch. Valerian Ramniceanu; 11. Arch. Dosofti Botoșaneanu; 12. Arch. Pimen Georgescu Piteșteanu; 13. Athanasie Miron Craioveanu; 14. Arch. Meletie Galateanu; 15. Arch. Nifon Ploieșteanu.



## **Rząd**

W latach 1895-1899 Rumunia ma liberalny rząd. W grudniu 1897 r. jego skład jest następujący:

Prezes Rady Ministrów - Dimitrie A. Sturdza.

Minister spraw wewnętrznych - Mihail Pherekyde.

Minister spraw zagranicznych - Dimitrie A. Sturdza.

Minister finansów - George D. Palladę.

Minister sprawiedliwości - Alexandru G. Djuvara.

Minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego - Spiru Haret.

Minister wojny - generał Anton Berindei.

Minister rolnictwa, przemysłu, handlu i dóbr ziemskich - Anastase Stolojan.

Minister robót publicznych - Ion I.C. Bratianu.

## Przypisy

- [1] Moraru znaczy po rumuńsku "młynarz".
- [2] Gra słów w języku rumuńskim: razboi - "krosna" i "wojna".
- [3] (Fr.) oszust, hochsztapler.
- [4] Tache - zdrobnienie od Costache.
- [5] (Fr.) portfel (portefe)
- [6] Cret znaczy po rumuńsku "kędzierzawy, o kręconych włosach".
- [7] (Fr.) wsuwany jeden pod drugi.
- [8] (Niem.) w wieku dwunastu lat.
- [9] (Niem.) pociągiem.
- [10] (Niem.) paszport.
- [11] (Niem.) dokumenty.
- [12] (Niem.) Alpy Transylwańskie.
- [13] (Niem.) rumuński porządek.
- [14] (Niem.) dorożki.
- [15] (Fr.) mysioszary.
- [16] (Fr.) Ależ ona mądra. (Comme...)
- [17] (Fr.) po francusku (en franc...)
- [18] Junimea (dosł. "Młodź") - rumuńskie towarzystwo kulturalno-literackie.
- [19] (Fr.) kłótnia, sprzeczka, spór.
- [20] (Łac.) W zdrowym ciele zdrowy duch.
- [21] (Fr.) miesięczka (regles)
- [22] (Fr.) za długo się wylegiwałem (... fait la...)
- [23] (Fr.) na wzór Marghilomana. Alexandru Marghiloman - rumuński polityk konserwatywny.
- [24] Botos - przymiotnik od rzeczownika bot oznaczającego w języku rumuńskim "pysk, morda".
- [25] (Fr.) urok (charm...)
- [26] (Fr.) w gronie rodziny (en famille)
- [27] (Fr.) krągła, korpulentna (bien en chair)
- [28] (Fr.) młoda kobieto (une jeune femme)
- [29] (Fr.) Ależ nie, moja droga.
- [30] (Fr.) bandyta. (un voyou)
- [31] Gra słów: visine w języku rumuńskim oznacza "wiśnie".
- [32] Tobosari: rasa gołębi; tobosar w języku rumuńskim oznacza "dobosz".
- [33] Potrawa rumuńska podobna do polskich gołąbków.
- [34] (Wł.) Mój Boże!
- [35] Aluzja do rumuńskiego przysłowia "Ochi verzi, sa nu-i crezi" ("Nigdy nie ufaj zielonym oczom").
- [36] (Fr.) ale ponieważ obiecałam pisać po rumuńsku, muszę dotrzymać słowa.
- [37] (Fr.) spotkanie (rendez-vous)
- [38] (Wł.) rączka.

- [39] (Fr.) mimochodem (en passant)
- [40] (Fr.) Z deszczu pod rynnę.
- [41] (Niem.) wszystko na próżno.
- [42] (Ang.) Pozwól mi jedynie być blisko ciebie i często cię widywać!
- [43] (Fr.) perłowoszary
- [44] (Fr.) Mamo, daj mi spokój, potrzebuje odpoczynku, lekarz mu to zalecił.
- [45] (Ang.) przy okazji (By the way)
- [46] (Fr.) aby sprawić wrażenie swobodnej (pour me...)
- [47] (Fr.) kobieciarz
- [48] Gra słów: adevarul (w dawnej pisowni adeverul) to w języku rumuńskim "prawda".
- [49] (Fr.) rodowód. (pedigree)
- [50] (Niem.) piękna
- [51] (Niem.) bardzo, bardzo bogaty.
- [52] (Ang.) szantaż.
- [53] Mt 2.18. Cytat za Biblią Tysiąclecia.
- [54] (Fr.) włóczęga.
- [55] (Łac.) bez oznaczenia dnia.
- [56] (Ros.) koniec
- [57] (Fr.) między nami.
- [58] (Fr.) przystawki.
- [59] (Fr.) Rozmawiali o tym ("Ils en ont ...")
- [60] (Fr.) śmiałe
- [61] (Fr.) Mądrej głowie dość dwie słowie. (A bon ...)
- [62] (Niem.) binokle (Zwicker)

## Metryka

Seria z Żurawiem

Projekt okładki *Małgorzata Flis*

Autorka: Ioana Panoilescu

Tytuł oryginału: *Viafa in cepe vineri*

© Humanitas Fiction, 2009

© Copyright for Polish Translation and Edition by Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego Wydanie I, Kraków 2016 All rights reserved

Projekt współfinansowany w ramach programu Unii Europejskiej „Kreatywna Europa”.

Publikacja odzwierciedla jedynie poglądy autora i Komisja Europejska nie ponosi odpowiedzialności za umieszczone w niej treści.

Co-funded by the Creative Europe Programme of the European Union

ISBN 978-83-233-4049-2

IWYDAWNICTWO [www.wuj.pl](http://www.wuj.pl)

Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego

Redakcja: ul. Michałowskiego 9/2, 31-126 Kraków tel. 12-663-23-81, tel./fax 12-663-23-83

Dystrybucja: tel. 12-631-01-97, tel./fax 12-631-01-98 tel. kom. 506-006-674,

e-mail: [sprzedaz@wuj.pl](mailto:sprzedaz@wuj.pl) Konto: PEKAO SA, nr 80 1240 4722 1111 0000 4856 3325

Redaktor inicjujący Mateusz Chaberski

Redaktor prowadzący Mirosław Ruszkiewicz

Adiustacja językowo-stylistyczna Halina Hoffman

Korekta

Grażyna Gawryłow

Skład i łamanie Jerzy Najder

Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego Redakcja: ul. Michałowskiego 9/2, 31-126 Kraków tel. 12-663-23-81, tel./fax 12-663-23-83

Dla celów publikacji elektronicznej zmieniono znaki charakterystyczne dla języka rumuńskiego na bliskie im znaki łacińskie.